



PIOTR
GÓRSKI

*Fakty i spekulacje układały się w całość.
To była ładnie opowiedziana historia.*

**KRÓLOWA
LALEK**

PIOTR
GÓRSKI

KRÓLOWA
LALEK

PROLOG

Gdy była dzieckiem, Lidia sadzała lalki wokół stołu wykonanego z odwróconej doniczki przykrytej serwetką. Lalki były nędzne, tak jak i jej dom.

Było ich sześć: pięć dziewczynek i chłopak. Sama szyła dla nich ubrania ze szmat. Przemienić podartą ścierkę w suknię balową to dokonanie godne wróżki z bajki.

Najbardziej lubiła tę jedyną lalkę, dla której ubrań nie wykonała sama. Wypatrzyła ją na urodzinach przyjaciółki, rzuconą na dno eleganckiego kufra z zabawkami. Lalka była mniejsza od innych, częściowo szmaciana, ale uszyta z pięknego płótna, a twarz, dłonie i stopy wykonano z tworzywa przypominającego w dotyku ludzką skórę.

Zwłaszcza twarz była piękna, o wielkich, zawsze otwartych oczach, żywa, zamyślona, jakby lalka marzyła.

Lidia nie miała śmiałości dotknąć kogoś tak cudownego i tylko patrzyła w zachwycie. Przyjaciółka wyjaśniła, że nie bawi się tą lalką, która jest zła i ją przeraża, i że Lidia może ją sobie zabrać, byle tylko ojciec tego nie zobaczył, bo przywiózł lalkę z zagranicy i mówił, że drogo kosztuje.

Zanim jednak podała zabawkę oszołomionej Lidii, pokłuła pół twarzy lalki cyrkiem, żeby stare lalki Lidii nie zazdrościły jej urody. Lidia czuła ból przy każdym uderzeniu cyrkla.

Sadzała odtąd nową lalkę przy swoim doniczkowym stole, lepszym profilem zwracając ją w stronę chłopaka. Wyobrażała sobie, że tych dwoje łączy miłość na śmierć i życie. Ale pewnego razu posadziła ją po drugiej stronie chłopaka i miała wrażenie, że przeczytała w jego plastikowych oczach odrazę.

Dzieciństwo bywa ciężkie, za to żyje się nadzieją, potem się dorasta i dalej jest ciężko, a nadzieja gaśnie. Aż nadchodzi dzień, kiedy czujesz, że taki twój los. Masz wtedy dwadzieścia osiem lat, siedzisz przy prawdziwym stole zasłanym śnieżnobiałym obrusem, przechylasz kieliszek i uśmiechasz się z wdziękiem. Czasem słyszysz własny śmiech dochodzący jakby z daleka, może należący do kogoś innego.

Lalki, które cię otaczają, nie są już nędzne, mówią do ciebie, nachylają się, odchodzą, tańczą i wracają. Ale to wciąż lalki, przynajmniej w twoich oczach, bo czujesz się pośród nich obco. Ty też nachylasz się, mówisz, tańczysz i pijesz coraz więcej szampana.

Tak, na szczęście jest szampan. Pozwala stłumić uczucia.

Lidia odstawiła kieliszek i uśmiechnęła się do Magdy Majnert, starszej o dziesięć lat właścicielki galerii obrazów w Sopocie, która właśnie skończyła mówić. Lidia nie wiedziała, o czym opowiada Majnert, ale z pewnością nie mówiła o tym, o czym

naprawdę chciała.

Tomaszek wykorzystał moment przerwy, aby podnieść się z rzeźbionego krzesła, przeprosić i się oddalić.

Tomaszek. Tak nazywała w myślach męża od początku ich znajomości, bo tak jej się przedstawił. Nie Tomasz, ale Tomaszek. Rozbawił ją i może dlatego zwróciła na niego uwagę, choć mógłby być jej ojcem. To był czas, kiedy jeszcze bawiły ją różne rzeczy, a on miał już wtedy pięćdziesiąt trzy lata i kilka żon na koncie.

Patrzyła, jak idzie między stolikami, a potem zatrzymuje się, aby porozmawiać z Romkiem Łaszewskim, człowiekiem z ratusza. Kiedyś imponowało jej, że Tomaszek zna w Gdańsku każdego. To znaczy każdego, kogo warto znać. Teraz zebrało ją na mdłości.

Majnert wzięła Lidię za rękę.

– Opamiętaj się, proszę – powiedziała – albo będę zmuszona mu powiedzieć.

– I co mi zrobi, jak mu powiesz?

Majnert lekko ścisnęła jej palce.

– Wolisz, żebym poszła na policję?

Lidia trzasnęła krzesłem i odeszła od stołu. Kilka par oczu skierowało się w jej stronę. Znowu powiedzą, że nie ma manier. Oczywiście, że nie. Kurwy, które wychodzą za mąż dla pieniędzy, rzadko przejmują się manierami.

Jeszcze dwa lata temu płakała, że tak o niej mówią. Potem wewnątrz stwardniała, nauczyła się gryźć i oddawać zniewagi, na przykład rozpuszczać niszczące jak trucizna plotki. Poznawała i wydawała ich sekrety. Byli jej za to wdzięczni, bo nie musieli już nienawidzić jej bez powodu.

Uświadomiła sobie, że się zapomniała. Uśmiech, o który tak dbała tego wieczora, zniknął z jej twarzy.

Przechodziła obok ozdobnego lustra w inkrustowanej ramie. Najpierw uderzyła ją w oczy czerwień długiej sukni, potem burza blond włosów, wreszcie spojrzała w oczy swojemu odbiciu.

Jestem piękna, przemknęło jej przez głowę. I smutna. Co mnie martwi?

Ponownie przywdziała uśmiech jak maskę. Przeszła do drugiej sali zabytkowej willi, wynajętej na to przyjęcie przez Marynieckich, ludzi od dźwigów i czegoś tam jeszcze. Lidii nie obchodziły dźwigi, więc nie zapamiętała.

Weszła między grupki rozmawiających osób, ubranych w eleganckie garnitury i suknie, z których żadna nie była tak czerwona jak jej. Wielu z tych ludzi nie знаła, a ci, których znała, odwracali wzrok, gdy usiłowała złowić ich spojrzenia. Wkrótce przestała udawać, że usiłuje.

Upolowała za to kolejny kieliszek szampana, który kelnerki w czarnych szelkach roznosiły na tacach. Odwróciła się plecami do wszystkich i zapatrzyła na wielki obraz, jeden z wielu zawieszonych na ścianach. Przedstawiał polowanie z chartami na zająca i był oryginałem albo reprodukcją. Nie miała pojęcia także o takich sprawach.

– Samotna? – usłyszała za sobą głęboki głos.

Poznała, do kogo należał. Emil Zasada, przystojny, stanu wolnego, zajmuje się

konsultingiem, czyli właściwie nie wiadomo czym. Widziała, że rozmawiał z Tomaszkiem, i od tej pory nie spuszczał z niej wzroku.

– Byłam ostatnio na Bazarze Natury we Wrzeszczu – odparła, nie odwracając głowy. – Chciałam kupić trochę ekomarchewki...

Chyba go zaskoczyła tą marchewką, bo nie odezwał się od razu.

– To ciekawe.

– Mężczyzna, który ją sprzedawał, też mnie podrywał. Ale on przynajmniej miał odrobinę fantazji.

Przesunęła się przed inny obraz. Teraz mogła patrzeć na śniadanie na trawie w wykonaniu nagiej kobiety i dwóch całkowicie ubranych mężczyzn z jakiejś dawno minionej epoki.

– Po co mi fantazja? – A więc przyszedł za nią. Zawsze za nią chodzą i nie tak łatwo się ich pozbyć. – Mam inne zalety.

– Niech pan poda trzy.

– Podam jedną. Pani mąż chce się ze mną zaprzyjaźnić.

– To ma być dla mnie zaleta?

– Coś, co załatwia sprawę.

W pomieszczeniu było ciepło, ale ona poczuła chłód. Spodziewała się czegoś takiego, lecz i tak ją to zabolowało. Zapragnęła wrócić do domu. Nie do tego wielkiego apartamentu, w którym mieszkała z Tomaszkiem. Do domu sprzed lat, w którym się wychowywała, zabrać tam lalki i zostać w brzydkim pokoju na zawsze.

– Jaką sprawę?

Wreszcie na niego spojrzała. Był bardzo pewny siebie.

Obrzucił ją niedbałym, oceniającym spojrzeniem. Nie wiedziała, czy jego beczelność irytuje ją, oburza czy przeraża.

– Niech się pani napije.

– A pan?

– Nie muszę.

– Czemu ja powinnam?

– Podejrzewam, że cała ta sytuacja nie jest dla pani łatwa.

Oddała nietknięty kieliszek przechodzącej kelnerce.

– O czym pan mówi?

– Odniosłem wrażenie, że mąż chętnie mi panią odda. Niewiarygodne. Zastanawiam się, czy chcę panią wziąć.

– Przepraszam – powiedziała. – Muszę iść. Muszę z kimś porozmawiać.

Chciała go wyminąć, ale zastąpił jej drogę.

– Z kim?

– Z kimś. Z kimkolwiek. Byle nie z sukinsynem.

Wciąż uniemożliwiał jej odejście, więc go odepchnęła. Kątem oka uchwyciła kierujące się ku nim zaciekawione spojrzenia. Dał za wygraną.

Znów była przy stole. Tomaszek już wrócił, siedział sam, bez galerianki, jak Lidia

nazywała w myślach Majnert. Wydawał się zagubiony.

– Zasada mnie zaczepił – powiedziała.

– Czego chciał?

– Zajrzeć mi do majtek.

– Sukinsyn.

– Też mu to powiedziałam.

Tomaszek poruszył się niespokojnie.

– Postaraj się być dla niego miła. Mimo wszystko bądź dla niego miła.

Nawet się nie zmartwiła.

– Jak daleko mam się posunąć?

– Przestań.

– Powiedz mi, kochany, jak mogłabym go nie urazić? Mam zrobić mu loda w toalecie?

Wstał, wziął ją pod łokieć, zmusił, by poszła z nim na bok.

– Ciszej. Ile wypiałś?

– Powiedział, że chcesz mnie oddać. Naprawdę chcesz to zrobić, kochany? Bo on jeszcze nie wie, czy mnie weźmie. Zabolalo mnie to: ty chcesz mnie oddać, a on nie chce wziąć. To bardzo brzydko z jego strony.

– Do diabła z sukinsynem. Pójdę i mu to powiem.

Nie ruszył się, nawet nie poszukał tamtego wzrokiem. Za to gapił się na nią.

Kiedy stało się jasne, że nic więcej się nie wydarzy, chwyciła go za ramię.

– Nie, nie idź – szepnęła z przejęciem. – Sama mu to powiem. Albo zrobię mu tego loda i będzie spokój.

Powoli uniół twarz i popatrzył na nią z góry. Były w tym spojrzeniu spokój, zamyślenie i coś jakby pogarda dla niej. A może litość...

Pokręciła głową. Nie, nie powinien nią gardzić ani się litować. To ona miała powody, aby nim gardzić. Zachciało jej się płakać.

– Dlaczego on powiedział, że chcesz mnie oddać? Nie chcę znowu...

– Nie pij więcej.

– Wiesz co? – odparła. – Wiesz co, kochanie? – Wciąż patrzył na nią w ten okropny sposób. – Ja tak niewiele dzisiaj wypiałam. Ale oczywiście zaraz wypiję więcej. On ma rację, powinnam się napić. Tak będzie łatwiej.

Skierowała się w stronę toalety. Zmusiła się, żeby nie biec. Weszła do pustego holu i chwilę stała, szczęśliwa, że nikt na nią nie patrzy, bo przestała panować nad twarzą. A potem uniosła wzrok i zobaczyła kamerę monitoringu. Poczowała złość, bo może jednak ktoś jej się przyglądał, a jeśli tak, kto to był i co o niej myślał? Ogarnęło ją wrażenie nie do odparcia, że przez to jedno małe oko kamery patrzą na nią dziesiątki obojętnych oczu. Wystawiła język do obiektywu i od razu przygnębiło ją, że to zrobiła.

Zapragnęła, żeby popatrzył na nią ktoś, kogo obchodziła.

Jestem taka głupia, pomyślała.

Zamknęła się w toalecie, gdzie kamienne płytki imitowały postarzone drewno. Powoli się uspokajała. W końcu wyszła z kabiny i poprawiła makijaż przed lustrem.

Wróciła na salę. Tomaszek czekał na nią w lekkim płaszczu.

– Wychodzimy? – spytała, czując wdzięczność, że ją stąd zabiera.

– Ja wychodzę. Interesy.

– Interesy? Nic nie mówiłeś...

– Łaszewski chce omówić pewne sprawy. Nie mogę odmówić.

– Ty nikomu nie możesz odmówić. Uważasz mnie za dziwkę, ale to ty nią jesteś.

Poczuła panikę, że tu zostanie, wzbudził się w niej jednak opór, żeby prosić go, by został. Wiedziała, że prosiłaby na próżno.

Łaszewski, także ubrany, skinął jej głową z oddali. Był najbrzydszym mężczyzną, jakiego w życiu spotkała, ale nie z tego powodu niedobrze jej się robiło, gdy na niego patrzyła.

– Spotkamy się w domu – powiedział Tomaszek.

Zakręciła się na pięcie i poszła między stoliki. Zatrzymała kelnerkę i zdjęła jej z tacy dwa kieliszki szampana. Opróżniła je jeden po drugim.

Zasada stanął obok, elegancki, nienaganny, sącząc whisky, bo cóż by innego. Popatrzył jej w oczy.

– Na początek przynieś mi jeszcze szampana – powiedziała.

– Sama sobie przynieś.

Rozchyliła usta, po czym powoli je zamknęła, upokorzona. Oczy Zasady lśniły od samozadowolenia.

– Nie bój się, nie ucieknę – szepnął. – No, biegnij.

Odszukała kelnerkę i zabrała z tacy kolejne dwa kieliszki. Wzrok Lidii na moment spotkał się ze wzrokiem Majnert, otoczonej wianuszkami innych kobiet.

Lidia Rudzka zacisnęła zęby. Mimo wszystko poczuła satysfakcję, bo Zasada się tamtej podobał.

Wróciła do niego.

– Przyniosłam też dla ciebie.

– Nie piję tego ścieku. Wypij oba.

Posłuchała i odstawiła puste kieliszki.

– Nie waż się więcej mówić do mnie na ty. Kurwom, które dostaję w prezencie, nigdy na to nie pozwalam. Dla ciebie będę panem Zasadą, nawet gdy będę ci wsadzał w dupę. Rozumiesz? – Uśmiechnął się czarująco.

Jeśli komuś zdarzyło się właśnie na nich spojrzeć, musiał pomyśleć, że Lidia usłyszała komplement.

Skinęła głową.

– Tak.

– Tak, proszę pana – powiedział.

W sercu czuła nienawiść. Nie do tego człowieka, który wykorzystywał sytuację. Nienawidziła Tomaszka tak mocno i czysto, jak tylko potrafiła, a potrafiła bardzo.

– Tak, proszę pana – powtórzyła.

– Jak chcesz się upić, to się pośpiesz. Czekam przed restauracją. – Zniknął między ludźmi.

Tomaszek znowu ją oddawał. Nie pierwszy raz, choć z pewnością ostatni.

Był ktoś, komu mogła zaufać. Z kim mogła rozmawiać o wszystkim, bo stał po jej stronie. I nazywał ją laleczką.

Powiedziała mu o tym przyjęciu, a on zapewnił, że po nią przyjedzie, zabierze stąd i znowu nazwie laleczką.

Jeszcze przed chwilą nie wiedziała, czy mu na to pozwoli, ale właśnie podjęła decyzję. Podeszła do krzesła, przez które przewieszona była jej torebka. Nosiła dużo większą torebkę niż inne kobiety na przyjęciu, każda malutką jak łąza. Palcami wymacała telefon, wykorzystując okazję, żeby dotknąć ukrytej w torebce lalki. Tomaszek miał jej za złe, że wszędzie ją ze sobą nosiła. Mówił, że Lidia jest infantylna. Starła się tym nie przejmować, od dziecka wierzyła, że lalka pewnego dnia przyniesie jej szczęście.

Wyciągnęła telefon i wybrała numer.

Jej nowy pan, Zasada, bardzo się zdziwił.

Tomaszek także.

1

Kruk usłyszał o tym zabójstwie z radia. Młoda kobieta wyszła nocą z restauracji przy Uphagena, a rano przy obwodnicy znaleziono jej ciało ze śladami tortur, więc sprawa podpadała pod szczególne okrucieństwo.

Niedzielę spędził leniwie, a w poniedziałek rano nie dowiedział się szczegółów, bo pochłonęły go inne rzeczy. Pierwszą część dnia zeznawał w gdańskim sądzie okręgowym w sprawie, która wydarzyła się tak dawno, że niemal już o niej zapomniał.

O wpół do drugiej przebijał się przez miasto, bo zadzwoniła jego była żona, Ewa. Chciała się jak najszybciej spotkać. Dawno nie dzwoniła, a jeszcze dawniej prosiła o spotkanie, więc Kruk natychmiast się zgodził. Pomyślał, że to może być ważne. Zaproponował park Reagana. Miejsce publiczne, dużo ludzi, Kruk uznał, że będzie tam bezpieczny, w razie gdyby Ewa chciała wydrapać mu oczy.

W parku było przyjemnie, wrześnie powietrze wciąż pachniało latem, czuło się zapach morza napływający zza drzew oddzielających park od plaży. Już na niego czekała w opiętej sukience podkreślającej kształty.

– Rozwodzę się – powiedziała.

A więc to jednak nie było nic ważnego ani nawet żadna nowość.

– Przykro mi.

– Och, na pewno.

Fakt, nie było mu przykro.

Samotna kobieta siedziała na ławce przy szerokiej alei. Mogła być w jego wieku lub trochę młodsza. Piękna, tym rodzajem piękna, który jest raczej poważny i może onieśmielać. Typ biznesowy, garsonka, szpilki, wszystko w najlepszym gatunku. Pozostawała wyprostowana i nieruchoma, zapatrzona w dal spojrzeniem, które nie widzi.

Kruk też się zapatrzył – na nią – choćby po to, aby nie patrzeć na Ewę.

Ewie się to nie spodobało.

– Nie gap się na kobiety, kiedy jesteś ze mną – powiedziała. – Jak wyglądam?

Wyglądała świetnie. Oczy lśniące, twarz roziskrzona, jakby myśl o rozwodzie dodała jej skrzydeł. Może tego właśnie potrzebowała, żeby rozkwitać: perspektywy zmian i nadchodzącej wolności. Pozostanie w tym stanie, aż znowu kogoś spotka, zwiąże się z tym kimś i przygaśnie.

A może spotka kogoś, przy kim nie przygaśnie. Może do tej pory źle dobierała mężczyzn. Ten adwokat, z którym ostatnio żyła, na pewno był źle dobrany.

Kruk poczuł żal, bo pomyślał, że on sam też nie był dla niej. Nie był lepszy niż tamten, choć z nim wytrzymała dłużej, ale może tylko dlatego, że pierwsze małżeństwo rwie się trudniej.

Z jakiegoś powodu to wszystko nagle zaczęło go obchodzić, mimo że ostatnio niemal przestał myśleć o Ewie.

Wciąż gapił się na kobietę w garsonce, żeby Ewa nie odgadła, o czym myśli.

Tamta kobieta na ławce spojrzała na niego przelotnie. Nie na tyle jednak przelotnie, by Kruk nie zauważył, że przebił się przez jej smutek i zainteresował. Zastanowił się, jaki miał wyraz twarzy i co ta kobieta w niej zobaczyła.

Mniejsza z tym. Nigdy już jej nie spotka, więc mogła zobaczyć, co chciała.

– Jesteś piękna – zwrócił się do Ewy. – Zawsze byłaś.

– Miły jesteś. Dlaczego właściwie się rozstaliśmy? Nieważne. Powiedz, gdybyś mnie nie znał, spodobałabym ci się?

Kruk poczuł złość. Przyszedł, bo myślał, że może chodzić o coś ważnego. Ale niby o co? Dlaczego tak pomyślał? Ona tego nie powiedziała, nalegała tylko na szybkie spotkanie. Jeśli chciał być zły, to na siebie.

– Gdybym cię nie znał...

– Zastanawiałaś się kiedyś, ile warta jest noc z kobietą? Ile zapłaciłbyś za noc ze mną?

To był właśnie jej styl. Znał ją całe lata, ale nigdy nie uważał, że ją naprawdę poznał.

– Co to w ogóle za pytanie?

– Rozstaję się z facetem, potrzebuję potwierdzenia własnej wartości.

– Za noc z tobą płaci się krwią.

Roześmiała się bez specjalnej wesołości.

– No tak, krwią mógłbyś zapłacić. Pieniądze nigdy nie były twoją mocną stroną.

– Po co chciałaś się spotkać?

– Powiedzieć o swoich planach.

– Po co?

Wzruszyła ramionami, po czym spytała:

– Masz kogoś?

Nie odpowiedział. Tamta kobieta w garsonce wstała z ławki. Dopiero w tej chwili dostrzegł na jej twarzy ślady łez. Patrzył, jak odchodzi.

– Masz rację, to nie moja sprawa – rzekła Ewa. – Zastanawiasz się czasem, co by było, gdybyśmy znowu spróbowali?

– Bierzesz rozwód z drugim mężem, żeby wrócić do pierwszego? – warknął.

– Nie. Nie chcę do ciebie wracać. Pytam tylko, czy się zastanawiasz.

– Nie zastanawiam się.

– Przy tobie... – Zawahała się. – Wiesz, miałam skromniejsze sukienki, ale czułam się więcej warta.

Kruk chciał stąd iść.

– Chyba nie do mnie powinnaś przyjść się wypłakać.

Odwróciła wzrok, patrzyła na park i ludzi. Obok nich przeszła kobieta w jasnym płaszczu ze wzrokiem wbitym w komórkę, a tuż za nią przejechała na hulajnodze dziewczynka.

– Mamo, patrz, jakie kwiatki!

– Nie zrywaj teraz kwiatów.

Dziewczynka zatrzymała hulajnogę przy krawężniku. Zeskoczyła i zerwała z trawnika mały kwiat.

– Ale ja chcę! Żeby ci było miło.

Wskoczyła na swój pojazd i usiłując nie zgubić kwiatka, pognąła za matką.

– Może powinniśmy mieć dziecko... – powiedziała Ewa. – Albo nawet kilkoro. Całe mnóstwo dzieci.

Kiedy znowu spojrzała na Kruka, jej oczy nie lśniły. Pomyślał, że posiadał ten wyjątkowy dar gaszenia w nich życia.

– Przepraszam – powiedziała. – Nie wiem, czemu chciałam się spotkać. To absurdałne, że chciałam.

– Potrzebujesz pomocy?

– Jakiej? Jesteś adwokatem od rozwodów?

– Rysiu będzie ci robił trudności?

– Rozstajemy się w zgodzie. On wyprowadzi nam sprawy prawne.

– Proszę, jak przyjemnie.

– Nie mieliśmy wspólnoty majątkowej. To, co mi dał w trakcie małżeństwa, zostaje przy mnie. To, co ja mu dałam, przy nim.

– A co mu dałaś?

– To, co i tobie. Muszę iść. Naprawdę przepraszam.

Wyciągnęła rękę i w roztargnieniu uściśnęła mu palce, jakby chciała się usprawiedliwić sama przed sobą.

Patrzył za nią, jak odchodzi, mając poczucie porażki. Nie miał pojęcia, po co przyszła. Może po to, by zepsuł jej humor?

Powinienes coś w sobie zmienić, powiedział do siebie w myślach.

Tylko nie wiedział co.

2

Kruk zjadł obiad w KFC w Galerii Przymorze pod domem. Te mleczne bary i fast foody cię zabijają, pomyślał, gdy w pojedynkę rozprawił się z kubelkiem skrzydełek i zamawiał dodatkowe frytki. Potem wypił kawę w kawiarni przy wejściu. Musiał zajechać jeszcze na komendę, ale zwlekał.

Są takie dni, kiedy nie chce ci się pracować. Od wielu tygodni każdy dzień Kruka był taki. Zmuszał się.

Gdy w końcu dotarł do komendy i powoli wchodził po schodach, od razu pożałował, że przyszedł. Z górnego piętra schodziła Monika Paczulska, policyjny psycholog, pogrążona w rozmowie z koleżanką z wydziału. Wyglądała świetnie, chyba nigdy nie wyglądała tak dobrze. A w każdym razie nie w czerwcu, gdy zdjęła spodnie i odsłoniła przed Krukiem sine od ciągłego bicia nogi.

Nie nosiła już spodni. Przed dwoma tygodniami, kiedy wróciła do pracy po zbyt długim i wziętym niespodziewanie urlopie, po raz pierwszy w życiu zobaczył ją w spódnicy. Spódnicę nosiła nawet krótszą, niż policjantce można i wypada. Nogi miała świetne, takie, które mogą narobić ci bałaganu w głowie, jeśli za długo się w nie wpatrujesz. Nabrała zwyczaju lekkiego podciągania spódnicy podczas siadania. Ten pozornie niedbały gest pozwalał zauważyć, że jej uda są równie bez skazy, gładkie i opalone jak łydki, przynajmniej w dolnych rejonach.

Kobiety zeszyły na piętro i zatrzymały się, wciąż rozmawiając. Monika opowiadała o jakiejś restauracji na plaży w Grecji, do której zabierał ją Damian, bo wieczorami grano tam na żywo starogreckie pieśni. Uwielbiali tę restaurację, a pieśni ścisnęły im serca.

Po prostu, kurwa, sielanka.

Kruk im się uklonił, gdy je mijał. Monika się uśmiechnęła, ale był to uśmiech osoby, która jest z natury miła. Nic się za nim nie kryło. Nic, co by nawiązywało do dramatycznych wydarzeń z czerwca.

Twarz też miała opaloną, bluzkę swobodnie rozpiętą pod szyją, pasma długich włosów opadały na ramiona. Z urlopu wróciła inna kobieta niż ta, którą zapamiętał Kruk. Była całkiem odmieniona, ktoś wykonał przy niej świetną robotę.

Kruk uważał, że wie kto.

Na przykład ten facet, który schodził za kobietami, minął Kruka, jakby ten był powietrzem, a teraz zatrzymał się i cierpliwie czekał, aż panie skończą rozmawiać. Facet, który oparł się o poręcz schodów, uniósł głowę i dopiero teraz skinął Krukowi, jakby właśnie go zauważył, a Kruk odwzajemnił pozdrowienie, bo był dobrze

wychowany. Facet, który również dopiero co wrócił z nagłego urlopu, podczas którego zasypywał Kruka MMS-ami z podróży. Jakby byli najlepszymi przyjaciółmi.

Facet właśnie wtrącił się do rozmowy. Patrząc na nich oboje, na jej spokojną, uśmiechniętą twarz, na to, jak słucha jego wyważonego głosu, gdy opowiadał o tym, jak zwiedzali Akropol, Kruk pomyślał, że może on sam oszalał. To wszystko może się nie zdarzyło. Może Monika nigdy go nie wybrała, by właśnie jemu zwierzyć się ze swoich koszmarów na jawie, może wcale nie szukała u niego pomocy. Może nie zabrał jej do swojego mieszkania i tam nie ukrył. Może ochroniarz pewnego psychopatycznego adwokata nigdy nie wdarł się do mieszkania Kruka, nie rozebrał Moniki, nie przywiązał nagiej do łóżka i nie narobił tam zdjęć. Te zdjęcia sugerowały, że to Kruk ją do siebie ściągał, gwałcił i bił. Ale tych zdjęć przecież też nie było. Może ochroniarz nigdy nie zadzwonił do Paczulskiego i nie ściągnął go tam, a ten nie przyjechał z dwoma świadkami i nie zabrał stamtąd Moniki. Może to tylko koszmar Kruka. To przecież nie mogło się wydarzyć, skoro właśnie patrzył na nich dwoje, gdy są tacy spokojni i szczęśliwi, jakby kochali się od dawna z głębi serca i byli najlepszymi przyjaciółmi.

Ja oszalałem, pomyślał Kruk. Za mocno parę razy dostałem w łeb. Może głupio się uśmiecham i ślinię, a ludzie wokół z grzeczności udają, że wszystko gra.

Na korytarzu pojawił się nadinspektor Wojciech Sarzyński, komendant komendy wojewódzkiej, i podchodził do Paczulskiego. Kruk, który był już na piętrze, jeszcze bardziej zwolnił, aby coś uchwycić z tego spotkania.

– Bardzo dobrze, Damian. – Komendant uściskał Paczulskiemu dłoń. – Co tu robisz? Myślałem, że pracujecie na pełnych obrotach.

– Przyjechałem tylko po żonę, Wojtek. Zaraz wracam do chłopaków.

– Bardzo dobrze. Jest presja, to kwestia wizerunkowa. – Komendant zmarszczył brwi i jakby uznał, że nie wypowiedział się dostatecznie jasno, dodał: – Jest presja.

– Tak jest.

Ponowny uścisk rąk i Sarzyński zniknął z korytarza, jakby pojawił się na nim tylko na chwilę, aby podkomisarz Damian Paczulski mógł zademonstrować Krukowi, że jest z komendantem na ty.

Kruk powłókł się dalej i zwałił na krzesło w gabinecie naczelnika wydziału dochodzeniowo-śledczego Marcina Zycha. Marcin był jego bezpośrednim przełożonym i starym kolegą. Właśnie chował jakieś akta do stalowej szafy i zbierał się do domu.

Kruk wyobraził sobie scenę takiego powrotu. Marcin staje w drzwiach, jego żona, Matylda, wychodzi go powitać. On całuje ją w policzek, a z kuchni dobiega zapach obiadu.

Nuda.

Ale może wyglądało to zupełnie inaczej.

– Wiedziałaś, że Paczulski kumpluje się z naszym Zero Jeden?

Wzruszenie ramion w odpowiedzi.

– Co dobrego spotkało cudnego Damianka? – nie ustępował Kruk. – Sarzyński był

z niego zadowolony.

– Chodzi o te zwłoki z sobotniej nocy. Paczulski prowadzi śledztwo i ma zamiary na samochód, do którego wsiadła ofiara. Zarządzono poszukiwania. Ważny trup, makabryczna zbrodnia, poważni ludzie walczą o sprawiedliwość.

– Tacy są szybcy?

– Szybcy i wściekli. Rasowe gliny.

Kruk nie wahał się ani chwili.

– Włącz mnie w tę sprawę. Załatw objęcie śledztwa nadzorem wojewódzkiej.

Marcin usiadł naprzeciw i zaczął bawić się kluczami do samochodu.

– Bo za szybko i za sprawnie działają, a my nie mamy nic do roboty?

– Wiem, że skurwiel będzie utrudniał, ale chyba jesteś od niego mocniejszy?

– Chyba... Nie wiem, czy lubię to słowo. Właśnie mi powiedziałaś, że Paczulski kumpluje się z moim szefem.

– Włączysz mnie?

– Jak, twoim zdaniem, miałbym to uzasadnić?

– Jak sobie chcesz.

– I to ma pomóc Monice?

Marcin Zych wiedział o wydarzeniach z czerwca. O tym, jak Kruk odkrył, że Paczulski znęca się nad żoną. W niektórych sprawach Kruk nie miał przed Marcinem tajemnic. Zwłaszcza w takich, o których chciał, by dowiedziała się żona Marcina, bo Zych z kolei nie miał tajemnic przed nią.

Zgodnie z przewidywaniami Kruka, Matylda przejęła się losem Moniki Paczulskiej i naciskała Marcina, żeby jej pomóc.

– Bądź u nich jutro siódma rano na odprawie.

Kruk spojrzął na zegarek, dochodziło wpół do szóstej po południu.

– Naprawdę to załatwisz?

– Już załatwione.

– Załatwione. – Kruk powtórzył za Marcinem. – Już to załatwiłeś. Kiedy załatwiłeś?

Marcin westchnął, podniósł się z krzesła i stanął twarzą do okna, pewnie w tym celu, aby to okno widziało jego twarz, nie Kruk.

– Ktoś prosił o wsparcie wojewódzkiej, chcą szybko zamknąć sprawę. Zasugerował ciębie.

– Kto?

– Podkomisarz Damian Paczulski.

– Kurwa – powiedział Kruk. – Co jest grane?

– Też się zdziwiłem.

Marcin odwrócił się od okna.

– Nie lekceważ go, jest niebezpieczny i może sprytniejszy niż ty. – W jego głosie pojawił się mocny ton. – Dlatego martwi się o ciębie.

Kruk nie potrafił zebrać tego w całość.

- Paczulski się o mnie martwi?
- Ja się martwię.
- Powiedziałeś, że ktoś martwi się o mnie.

Marcin chrząknął, otrząsnął się z zamyślenia.

- Matylda się martwi.

To było coś nowego. Matylda, jeśli chodziło o Kruka, martwiła się raczej tym, co mógłby zrobić Kruk.

A więc zdaniem wyroczni Marcina sytuacja była poważna.

Kruk poczuł dziwne wzruszenie, że gdzieś był ktoś, kto się o niego troszczył. Pomyślał, że chciałby, żeby Marcin po powrocie do domu wcale nie całował Matyldy w policzek. Chciałby, żeby rzucili się na siebie w szale dzikiej namiętności.

Zasługiwali na coś lepszego niż zdawkowe czułości.

- Ukochaj ją ode mnie – powiedział, a Marcin spojrzał na niego podejrzliwie.

3

Rano Kruk się spóźnił. Niewiele, ale odprawa już się zaczęła. Wszedł i stanął skromnie przy drzwiach, aby nie zwracać na siebie uwagi. W sali o oliwkowych ścianach stał stół konferencyjny, a przy nim kilku mężczyzn w mundurach i po cywilnemu.

Twarze zwracali w stronę wielkiej korkowej tablicy, przy której stał podkomisarz Damian Paczulski z teleskopowym wskaźnikiem w dłoni, jeszcze złożonym, i mówił coś z ożywieniem. Na tablicy widniały kartki i zdjęcia, zajmując połowę powierzchni. Wszystkie równiutko przypięte, warto by podkomisarza pochwalić za staranność, gdyby nie to, że zdjęcia przedstawiały zmasakrowaną kobietę i mogły doprowadzić do mdłości co większych wrażliwców.

Mężczyźni ryknęli śmiechem. Kruk zdał sobie sprawę, że Paczulski opowiadał dowcip.

– Zapraszamy, komisarzu – zwrócił się do Kruka. – Czekaliśmy. Nie chcieliśmy zaczynać bez ciebie.

Wszystkie te twarze, na których jeszcze widniały uśmiechy, odwróciły się, aby go sobie obejrzeć. Kruk skinął im głową i zajął miejsce przy stole, obok prokuratora Bartłomieja Gaweckiego. Byli tam jeszcze: naczelnik miejskiej dochodzeniówki, zastępca komendanta miejskiej, technik kryminalistyczny oraz trzech facetów, których Kruk nie znał.

Twarze po kolei zwracały się z powrotem w stronę prowadzącego śledztwo, aż pozostała tylko jedna. Należała do wysokiego, silnie zbudowanego mężczyzny o krótko ściętych włosach i zaciętych rysach. On jeden nie śmiał się ani przez chwilę, a jego wzrok przeszywał Kruka na wylot. Ten wzrok dobitnie mówił, że nie zostaną przyjaciółmi, ale to nic, bo Kruk nie szukał przyjaciół.

Odwzajemnił spojrzenie i gapili się na siebie dłuższy czas, aż zniecierpliwiony Kruk przeniósł w końcu wzrok na tablicę. Zrozumiał przesłanie, a ile można się gapić.

– Do roboty, panowie – powiedział naczelnik miejskiej.

Paczulski skinął głową.

– Streszczę, co do tej pory mamy – rzekł. – Baksi, coś nie tak?

Zacięty facet w końcu przestał się gapić, choć niechętnie. Odwrócił się, wzruszył ramionami i rozparł się na krześle, zaplatając dłonie na brzuchu.

Aspirant Konrad Baksiński. Kruk mógł się spodziewać, że to on. Nigdy go do tej pory nie spotkał, ale zdążył się zorientować, że tak nazywa się jeden z dwóch policjantów, których tamtej czerwcowej nocy Paczulski zabrał do mieszkania Kruka,

gdy akurat nie było go w domu. To w jego obecności zastraszona Monika oskarżyła Kruka o gwałt. Oskarżenie pozostało w gronie przyjaciół i nigdy nie trafiło do prokuratury, lecz Baksi miał widać w pamięci tamtą noc i żywił do Kruka pretensje.

– Ofiarą jest Lidia Rudzka, lat dwadzieścia osiem, zamężna. W nocy z dziesiątego na jedenastego września uczestniczyła w małym przyjęciu zorganizowanym przez przyjaciół jej męża, Tomasza Rudzkiego, w nowo otwartej restauracji Remzo przy ulicy Uphagena. Sala została wynajęta do trzeciej w nocy, ale Tomasz Rudzki opuścił przyjęcie o dwudziestej trzeciej dwadzieścia trzy. – Paczulski zajrzał do notesu. – O godzinie dwudziestej trzeciej czterdzieści sześć Lidia Rudzka również opuściła restaurację w towarzystwie Emila Zasady, właściciela agencji konsultingowej, który miał odwieźć ją taksówką do domu. Na nagraniach z monitoringu przed restauracją widać, że zanim pojawiła się taksówka, nadjechało białe audi A4, a Lidia Rudzka pozostawiła Zasadę i wsiadła do samochodu. Sądząc po szybkości, z jaką to zrobiła, pojawienie się audi nie było dla niej zaskoczeniem. Musiało być za to zaskoczeniem dla Zasady, bo nie obyło się bez przepychanki z kierowcą.

– Wiemy, kim jest kierowca? – spytał zastępca komendanta.

– Zasada otworzył drzwi od jego strony, chwilę rozmawiali, a potem usiłował zabrać kierowcy kluczyki, ale tamten go odepchnął. Pozycja samochodu wobec kamery nie pozwala na identyfikację osoby za kierownicą. Audi ruszyło ulicą Uphagena w stronę Conradinum i od tej pory nikt, z kim rozmawialiśmy, nie widział Lidii Rudzkiej żywej. – W sali zrobiło się cicho. Ani śladu po niedawnej wesołości. Paczulski jednym szybkim ruchem rozłożył teleskopowy wskaźnik i wskazał pierwsze zdjęcie. – Tak została dostrzeżona przez przypadkowego kierowcę na poboczu obwodnicy przed Kowalami. Kierowca wezwał policję o szóstej trzydzieści cztery.

Zdjęcie przedstawiało zwłoki młodej kobiety w czerwonej sukni leżące na poboczu drogi. Denatka spoczywała na boku w takiej pozycji, jakby przytulała się do ziemi, z jedną ręką wyciągniętą ponad głowę, z wyprostowanymi nogami.

Końcówka wskaźnika przesunęła się na kolejne zdjęcie: zbliżenie na głowę. Lidia Rudzka miała ładny profil, który maska śmierci dopiero zaczynała przemieniać. Na policzku trochę otarć i zadrapań. Usta rozchylone, na zębach i ustach krew.

– Wstępne oględziny zwłok każą sądzić, że nie doszło do zgwałcenia. Prawdopodobnie zginęła na skutek wielokrotnych uderzeń w głowę tępym narzędziem. – Głos Paczulskiego lekko zadrżał. Kruk przestał patrzeć na zdjęcie, nie spuszczał go z oka. – Więcej powie sekcja.

Paczulski zrobił pauzę, może chciał oddać szacunek zmarłej, a może chodziło o coś innego.

– Zdaniem techników zabójstwa nie dokonano w miejscu ujawnienia zwłok. Nie znaleźliśmy charakterystycznych śladów obok ciała, najprawdopodobniej już po zabójstwie sprawca zatrzymał się przy poboczu i wyrzucił z samochodu zwłoki.

Wskaźnik przesunął się na następne zdjęcie, potem na kolejne. Na każdym z nich widniała druga strona twarzy Lidii Rudzkiej, która była zwrócona do ziemi, gdy znaleziono zwłoki, i stała widoczna dopiero wtedy, gdy policja odwróciła głowę.

O ile prawa strona twarzy pozostała stosunkowo nietknięta, o tyle lewa została

zmasakrowana. Niepodobna było rozpoznać rysów, zarówno łuk brwiowy, jak i kość policzkową strzaskano. Spojenie skroniowe niemal wepchnięto w głąb czaszki, widać było krew i fragmenty mózgu, a skóra popękała w tylu miejscach, że niemal oblaźła z mięśni. Nos wyglądał na niedraśnięty, za to zęby po tej stronie twarzy zostały częściowo wybite.

– Sprawca uderzał przede wszystkim w lewą stronę głowy. – Głos Paczulskiego już nie drżał.

Kruk był ciekawy, dlaczego w ogóle zadrżał. Gdyby miał obstawiać, powiedziałby, że takie sprawy go podniecają.

– Próbuujemy coś znaleźć na nagraniach z monitoringu miejskiego, ustaliśmy nocną trasę audi – kontynuował podkomisarz. – Mamy pełną listę pięćdziesięciu trzech osób, które były na przyjęciu. Rozmawialiśmy do tej pory z kilkunastoma z nich, będziemy rozmawiać z każdą. Szczególnie interesują nas ci ludzie, którzy mieli interakcję z ofiarą. – Paczulski znów zrobił przerwę. Popatrzył po zebranych, po czym kontynuował: – Mamy numery rejestracyjne audi, do którego wsiadła Lidia Rudzka. Nie było zgłoszenia kradzieży samochodu, ustaliliśmy tożsamość właściciela. To Cezary Majewski, zamieszkały w Zamościu, rozwiedziony, prowadzi małe biuro turystyczne. Raz odebrane prawo jazdy na trzy miesiące za jazdę po alkoholu. Policja z Zamościa wykonała swoją robotę, od jedyne go pracownika biura uzyskano informacje, że biuro miało poważne długi, walczyło o przetrwanie, a Majewski wyjechał z Zamościa trzy tygodnie temu. Utrzymywał z pracownikiem kontakt telefoniczny. W piątek dziewiątego września kontakt się urwał, ani razu nie odebrał telefonu. Wystąpiliśmy do operatora o billingi oraz lokalizację telefonów Majewskiego i Lidii Rudzkiej. Daliśmy do mediów informację o audi. Skontaktowaliśmy się z Emilem Zasadą, przyjdzie o dwunastej na komendę złożyć zeznanie.

4

Paczulski skupił się na tym, jaki kierunek przyjmie dalej śledztwo. Naczelnik to zaaprobował. Gdy skończyli, sala opustoszała. Został tylko Paczulski.

I Kruk. Rozparty na krześle, gapiący się w sufit.

– Bardzo się wynudziłeś, komisarzu? – spytał Paczulski.

Kruk westchnął i podniósł się z krzesła. Przespacerował się do tablicy. Z bliska przyjrzał się fotografiom.

Paczulski prowadził z Krukiem grę. Udawał, że nic się nie stało. Kruk sądził, że zdjęcia przysyłane z urlopu miały go uspokoić i dać dowód, że Monika żyje, nic się jej nie dzieje, i lepiej, żeby komisarz dał im spokój.

Bo była jeszcze kwestia innych zdjęć. Tych wykonanych w mieszkaniu Kruka. Kruk dostał jedno takie zdjęcie jako ostrzeżenie. Przedstawiało nagą i związaną Monikę Paczulską, leżącą na łóżku Kruka. Rozległe zasinienia na jej ciele, ślady po długotrwałym biciu, były doskonale widoczne w świetle lampy błyskowej.

Kruk miał zbyt wiele doświadczenia w zbyt wielu różnych postępowaniach, aby nie zdawać sobie sprawy, że pierwszym podejrzanym o wykonanie tych zdjęć, gdyby kiedyś ujrzały światło dzienne, byłby on. Musiałby się bardzo tłumaczyć, skąd Monika wzięła się w jego mieszkaniu. A przebieg wydarzeń, zakończonych śmiercią adwokata, który uknuł całą intrygę, sprawiał, że Kruk nie za bardzo miał jak się wytłumaczyć.

Tamte zdjęcia stanowiły zagrożenie dla Kruka. Tyle że po śmierci adwokata nie wiadomo, co się z nimi stało.

Kruk nie znalazł ich u prawnika ani w komórce jego pomocnika, nigdzie ich nie znaleziono.

Paczulski miał w dodatku Baksiego i jeszcze jednego świadka, przekonanych o winie Kruka. Gdyby pojawiło się wobec Kruka oficjalne oskarżenie o gwałt wysunięte przez zastraszoną Monikę, gdyby tamte zdjęcia wypłynęły, gdyby świadkowie zeznali, co widzieli, Kruk miałby niewielkie szanse.

Ale jakieś jednak by miał.

Zwłaszcza że stali za Krukiem dwaj ludzie, którzy wyglądali niegroźnie, niemal safandułowato, ale w rzeczywistości byli bezwzględni. Nawet jeśli Krukowi stałaby się krzywda, im nie stałoby się nic. I mogliby dobrać się do kogoś, kto im podpadł.

Z pewnością by się dobrali.

Paczulski pewnie o tym wiedział, w każdym razie udawał, że nic się nie stało. Jego żona też udawała.

Od powrotu Paczulskich z urlopu dwa tygodnie temu wszyscy okazywali szczęście i pokój.

Ale to cienka powłoka iluzji, która nie wytrzyma pierwszej jesiennej burzy. Wszyscy przyglądali się sobie, uśmiechali się i wypatrywali słabości.

Kruk odwrócił wzrok od tablicy i uśmiechnął się do Paczulskiego.

– Nie mogłem się nudzić. Świetna odprawa.

– Co zamierzasz? Ograniczysz się do konsultacji czy będziesz aktywnie uczestniczył w śledztwie?

– Moja pomoc jest zbędna. Nie rozumiem, czemu o to wystąpiłeś.

Paczulski też się uśmiechnął. Leciutko wzruszył ramionami.

– Wojewódzka ma większe możliwości. Łatwiejszy dostęp do specjalistów.

Zrobiło się tak przyjacielsko, tak słodko, że Kruk poczuł mdłości. Miał ochotę zrzygać się na marynarkę stojącego przed nim faceta.

– Czemu? – warknął.

– Grzebiesz w moich sprawach, węszysz, czy nie jestem w coś umoczony. Chcesz mi patrzeć na ręce, ja pomogę.

Miał rację. Podczas jego urlopu Kruk zainteresował się przebiegiem służby podkomisarza. Przejrzał trochę akt. Tylko że Krukowi się wydawało, że robił to dyskretnie.

– Są naciski na szybkie zakończenie śledztwa? – spytał, aby zmienić temat.

– Nawet nie wiesz, jak wielkie.

– Nie chcę być niewdzięcznikiem. Oczywiście aktywnie pomogę.

Paczulski wciąż się uśmiechał. Kruk dopiero przyglądając mu się z bliska, zwrócił uwagę na fakt, że pomimo długiego urlopu w słonecznych krajach był raczej blady. Ta bladość czyniła jego twarz rachityczną.

– Jedziesz na przeszukanie mieszkania ofiary? – spytał Paczulski.

Kruk skinął głową. Szli obok siebie w milczeniu, które przerwał Kruk:

– Jak dużo się o niej dowiedziałeś?

– Jeszcze niewiele.

– Powinniśmy ją dobrze poznać. Wiesz, podstawowe sprawy: kim była, czym się zajmowała, kim jest jej mąż, który zostawił ją samą na przyjęciu. Co mieli zwyczaj robić, gdy nikt nie patrzył. Czy wymieniali czułości, czy facet tłukł ją bez opamiętania...

Dotarli do schodów i zeszli na parter.

– Świetny pomysł – powiedział cicho Paczulski.

5

Mieszkanie, a raczej apartament, liczyło sto dwadzieścia dziewięć metrów kwadratowych powierzchni i dwa wielkie balkony, co nie miało może znaczenia dla śledztwa, ale miało dla Kruka, który stanął na jednym z nich, oparł się o barierkę i patrzył na osiedle. Przyjemnie było tak stać, podczas gdy wiatr lekko uderzał w twarz, nawet jeśli oznaczało to brak profesjonalizmu.

Za plecami, za szkłem, Kruk miał tych policjantów, którzy szukali czegoś, właściwie nie wiadomo czego, co mogło okazać się istotne. I męża ofiary, który towarzyszył im w czynnościach. Na oko Tomasz Rudzki wciąż był w ciężkim szoku, lecz kto mógł wiedzieć, czy to nie jest udawany szok.

Mężowie zawsze byli podejrzeni.

Kobiety zabijane są najczęściej przez mężczyzn, których znają i same wpuszczają do domu, nawet jeśli potem znajdowane są martwe w ciemnej uliczce. Albo na obwodnicy o brzasku.

Krukowi znudziło się gapienie na ulicę i wrócił do mieszkania. Młoda posterunkowa, kucająca przy regale z książkami, rzuciła mu zaintrygowane spojrzenie. Uśmiechnął się do niej, ona odwzajemniła uśmiech i wróciła do swojego zajęcia: do grzebania dłońmi w lateksowych rękawiczkach w rzeczach obcych ludzi.

Kruk przeszedł przez obszerny i dość nijaki salon, znalazł się w przedpokoju i stamtąd wszedł do czegoś, co musiało służyć za gabinet pana domu. Był tam kolejny regał ze specjalistycznymi książkami. Pod oknem solidne biurko, dalej mała wygodna kanapa. Niski policjant w mundurze zdjął właśnie ze ściany linoryt Gdańska i wpatrywał się we wbudowany w mur sporej wielkości sejf.

Uwagę Kruka przyciągnęło coś innego. Na biurku stał laptop z zamkniętą pokrywą, a przy nim trzy małe ramki ze zdjęciami. Kruk obejrzał sobie te zdjęcia. Tomasz Rudzki z ładną blondynką na tle panoramy Paryża. Kruk to poznał po wieży Eiffla w tle. Na innym zdjęciu Rudzki z inną blondynką, też w Paryżu, przy Moulin Rouge. Trzecie, a jakże, Rudzki, blondynka, Paryż, Łuk Triumfalny.

Facet lubił Paryż i blondynki.

– Jego były żony – odezwał się policjant.

– Też nie żyją? – spytał Kruk.

Mundurowy szeroko otworzył oczy.

– Nie, rozwiódł się z nimi.

– Skąd wiesz?

– Spytałem.

Kruk ponownie przyjrzał się zdjęciom. Zastanowił się, co myślała Lidia Rudzka, gdy wchodziła do gabinetu. Jak się czuła z tymi zdjęciami na biurku męża i dlaczego je tolerowała.

Jej zdjęcia tu nie było, ale może wkrótce dołączy do kolekcji.

– Sejf – odezwał się mundurowy.

– Co sejf?

– Powinniśmy go otworzyć?

Kruk spojrział na klawiaturę na płycie czołowej sejfu. Drogi model, wysoka klasa zabezpieczeń.

– Pewnie. Wystarczy, że wpiszesz kod.

Zostawił mundurowego samego z jego myślami. W progu innego pokoju stał Tomasz Rudzki. Głowę miał spuszczoną, zbyt ciężką, by ją dźwigać. Gdy spojrział na Kruka, w oczach miał coś, co można by nazwać rozpaczą, ale można by też to nazwać inaczej, jeśli komuś się chciało.

Gdy policja weszła do jego mieszkania, nie zainteresował się prawną podstawą przeszukania. Zgodził się na wszystko, zaczął tylko tłumaczyć, że wkrótce musi wyjść do pracy. Był psychiatrą, prowadził prywatną praktykę, odwołał większość pacjentów, z niektórymi musiał się jednak spotkać. Potrzebowali stałej kontroli i spotkań, odwołanie wizyty mogli potraktować jako odrzucenie niezależnie od powodu takiego odwołania, co mogłoby niekorzystnie wpłynąć na ich stan psychiczny.

Kruk wysłuchał go i zastanawiał się, co o tym myśleć. Niewątpliwie facet czuł się niezastąpiony.

– Przepraszam – powiedział, aby Rudzki się przesunął i dało się wejść do środka.

Przesunął się. Bardzo powoli.

Ten pokój należał do pani domu, jej prywatne królestwo. Był pełen różu i futrzanych narzutek, mogła urządzić go sama albo dostała w spadku po którejś z kobiet ze zdjęć w gabinecie. On miał gabinet, ona ten pokój. Wspólna sypialnia, którą Kruk obejrzał wcześniej, na noc, i salon na dzień. Tak tu się żyło.

Pokój przetrząsał osobiście Paczulski.

– Co tam na balkonie? – mruknął znad toaletki i skrzyneczki z biżuterią.

Kruk się rozglądał. W rogu pokoju stał brzydki zabawkowy stolik, a wokół niego brzydkie lalki. Pięć stłoczonych brzydkich postaci przyodzianych w brzydkie szmaciane ubranka, na brzydkich krzesłach niepasujących do tego różowego puszystego pokoju. Kruk przykucnął obok.

Jedno z zabawkowych krzesłek, ustawione centralnie do reszty, było puste. Mimo to pozostałe lalki zostały tak posadowione, że kierowały swój nieruchomy wzrok na to wolne miejsce, jakby na kogoś czekały, ale wciąż nie mogły się doczekać.

Bzdura, pomyślał Kruk. Uczłowieczam lalki. Jestem pojebany.

– Jej zabawki z dzieciństwa – odezwał się Rudzki. – Nie chciała ich wyrzucić.

– Kto? – Kruk zanotował w myślach, że facet nie użył imienia żony.

Chwila ciszy, podczas której przyglądał się Rudzkiemu. Zapracowany. Mimo to dorobił się czterech żon, a teraz zyskał sposobność, by dorzucić do kolekcji kolejne.

O ile Kruk go nie zamknie.

– Lidia.

Kruk prywatnym telefonem zrobił kilka zdjęć lalkom przy stoliku. Możliwe, że stare lalki w szmatach więcej mówiły o pensjonariuszce tego pokoju niż wszystko inne. Wstał.

– Co jest w sejfie? – spytał Rudzkiego.

Dostrzegł zaskoczenie w jego spojrzeniu.

– Skąd pan wie o sejfie?

Coś powstrzymało Kruka przed odpowiedzią, ale Rudzki i tak wyjaśnił:

– To jej sejf. Na biżuterię.

– W pańskim gabinecie?

– Ach, pan o tym mówi. – Rudzki zmienił się na twarzy. – Nie, tamten jest mój.

– A gdzie jest jej?

Ręka Rudzkiego wysunęła się, z niejakim oporem wskazując wiszący na ścianie niewielki portret damy w czerwonym kapeluszu.

– Tam.

Paczulski zdjął obraz ze ściany, odsłaniając dużo mniejszy i tańszy sejf niż w gabinecie. Kruk zastanowił się, czy przeszukujący pokój podkomisarz by go znalazł.

– Zna pan kod? – spytał Paczulski.

– Nie. Ona nie korzystała z sejfu. – Wskazał skrzyneczkę na toaletce, którą odstawił Paczulski. – Widzi pan? Nie przywiązywała wagi do takich rzeczy.

Kruk podszedł i otworzył skrzyneczkę. Pierścionki, łańcuszki, bransoletki.

– Czy to jest aż tak dużo warte, że trzeba trzymać w sejfie?

– Nie pamiętam, ile to jest warte, ale czułbym się lepiej, gdyby zechciała dbać o rzeczy, które jej kupiłem.

– Może nie korzystała z sejfu, bo nie znała kodu? Potrafiła go obsłużyć?

– Lepiej ode mnie. Gdy chciałem zmienić kod u siebie, to ją prosiłem o pomoc.

Kruk przytaknął ze zrozumieniem. Rudzki zainstalował w domu dwa sejfy, lecz kreował się na kogoś tak niegramotnego, kto do ich obsługi potrzebował młodej kobiety. Niewątpliwie trudno go było podejrzewać, że zna szyfr i wie, co kryje sejf żony.

Kruk zapragnął poznać zawartość.

– Pańska żona mogła gdzieś zapisać kod?

– Prosiłem ją, żeby tego typu rzeczy nie zapisywała, ale jak mówiłem, nie korzystała z sejfu...

– Mamy torebkę? – Kruk spojrzął na Paczulskiego. Pomyślał, że na przyjęcie Lidia Rudzka raczej nie wzięła zwykłej torebki, tylko jakąś mniejszą, pasującą do czerwonej sukienki, którą na siebie włożyła.

– Już zabezpieczona. Leży w salonie.

Kruk wrócił do salonu, do pracującej tam policjantki. W rogu pokoju stało pudło

na dowody. Założył lateksowe rękawiczki, aby w środku, w dużej papierowej torbie, znaleźć skórzaną torebkę średniej wielkości.

Przejrzał zawartość. Wyjął notes. Był to mały brulion spięty gumką. Zapiski dotyczyły codziennych domowych spraw, zakupów, wizyt u dentysty. Nic nie znalazł.

Po chwili znów był w pokoju Lidii Rudzkiej.

– Ma pan klucz awaryjny? Albo kod zapasowy?

Gdy Rudzki pokręcił bezradnie głową, Kruk przyjrzał się zamkowi w sejfie. Naprawdę był to tani model, marketowy, klasyczna tandeta. Rudzki wykazał się niezłym tupetem, usiłując przekonać Kruka, że Lidia nie dbała o rzeczy, jako dowód przytaczając fakt, że nie umieściła ich w tym czymś.

– Zgodzi się pan na awaryjne otwarcie czy czekamy na decyzję prokuratora?

– Mówiłem, że nie korzystała z sejfu. Przez dwa lata małżeństwa nie potrafiłem jej do tego skłonić.

– Przez dwa lata małżeństwa Lidia żyła, a teraz to się skończyło. Możemy się włamać?

Niechętnie się zgodził.

– Bareda, emerytowany policjant, znasz? – odezwał się Paczulski. – Mieszka na Zaspie, otworzy każdy sejf i kasę pancerną. Talent.

Kruk go nie słuchał, tylko lewą ręką chwycił pokrętko otwierania sejfu, kantem prawej dłoni uderzył w wystającą konsolę z klawiszami, jednocześnie przekręcając pokrętko. Powtórzył kilka razy.

Udało się. Zamek nie miał przeciwwagi.

Drzwiczki sejfu lekko odskoczyły.

Paczulski aż cmoknął.

Nie było się czym zachwycać. To nie efekt nadzwyczajnego wykształcenia, po prostu Kruk obejrzał kiedyś kilka filmików na YouTube. Tandetny sejf, tandetny zamek podatny na tandetne metody.

Paczulski zajrzał Krukowi przez ramię. Wnętrze sejfu stało otworem, odkrywając zawartość.

– O kurwa – powiedział Damian Paczulski i pokręcił głową.

6

– Co to za pieniądze? – spytał Kruk.

Rudzki wpatrywał się we wnętrze sejfu: w ułożone równiutko jeden na drugim cztery stosiki banknotów spiętych gumkami recepturkami. Oddech miał przyśpieszony, jakby w oszołomieniu wyciągnął rękę, ale Paczulski odepchnął ją i pokręcił głową.

To otrzeźwiło Rudzkiego.

– Nie mam pojęcia.

– Żona wypłacała ostatnio większe sumy ze swojego konta?

– Nie miała takich pieniędzy na koncie, a pracowała dla zabicia czasu. Jeśli potrzebowała pieniędzy, prosiła o nie i dostawała.

– Gdzie się pracuje dla zabicia czasu?

– W galerii sztuki.

Paczulski wyjął komórkę i zadzwonił. Poinformował technika kryminalistycznego, że będą go potrzebować.

– Po co technik? – spytał Rudzki.

Nikt mu nie odpowiedział. Rudzki usiadł na różowej sofie i przymknął oczy. Zrobił się nagle zmęczony. Kruk nie spuszczał z niego wzroku.

– A pański sejf? – spytał, a Rudzki otworzył oczy. – Co pan tam trzyma?

– W tej chwili nic. Używam go rzadko, jedynie gdy przynoszę do domu akta pacjentów.

– A więc możemy tam zajrzeć?

Rudzki powoli się podniósł i skierował do drzwi. Kruk znowu spojrzał na pieniądze, potem na Paczulskiego. Przeszło mu przez myśl, że jeśli pójdzie z Rudzkim, to będzie świetna okazja, żeby Paczulski poczęstował się forszą.

Podkomisarz zrozumiał to spojrzenie i jego twarz się zmieniła. Kruk uznał, że może przesadza. To, że ktoś tłucze żonę, jeszcze nie znaczy, że musi być złodziejem. W końcu to dwa różne paragrafy.

Poszedł za Rudzkim do jego gabinetu. Mundurowy ich przepuścił, a Rudzki wprowadził kod nerwowymi palcami, nie zasłaniając klawiatury. Oto człowiek, który nie ma nic do ukrycia.

Obyło się bez niespodzianek. Sejf stanął otworem.

Rzeczywiście był pusty.

– Co teraz? – spytał Rudzki.

- Dokończymy przeszukanie.
- Czy mogę iść do pracy? Powinienem.
- Dobrze by było, żeby był pan obecny podczas liczenia pieniędzy.
- Nic mnie nie obchodzą te pieniądze.

Powiedział to szybko. Kruk zastanowił się, czy aby nie za szybko, zupełnie jakby deklamował wyuczoną kwestię.

- Nie obchodzi pana, skąd się wzięły?
- Owszem, chciałbym to wiedzieć. Ale wszystko mi jedno, co się z nimi stanie.

Nie należą do mnie.

- Skąd ta pewność?
- Powiedziałem, że nie wiem, co to za pieniądze.

Rudzki chciał jak najszybciej zakończyć ten temat. Była w tym odrobina tłumionej paniki. No to Kruk ciągnął dalej:

- Jeśli pan nic nie wie, nie może pan wykluczyć, że żona pana okradła.
- Co takiego?
- Nic pan nie wie.
- Łapie mnie pan za słówka?
- Uściślam. Eliminuję sprzeczności w wypowiedziach różnych osób. Taką mam pracę.

Rudzki gapił się na niego w milczeniu, wreszcie powiedział cicho:

- A ja? Mogę w końcu iść do swojej pracy?
- Będziemy chcieli z panem porozmawiać o żonie.
- Wczoraj odpowiedziałem waszemu funkcjonariuszowi na wszystkie pytania.
- O co pytał?
- O przyjęcie, o tamtą noc, o moje alibi.
- Może będziemy chcieli zapytać o więcej.

Rudzki westchnął i pokiwał głową.

– Możemy porozmawiać w moim gabinecie po czternastej, jeśli to panom odpowiada. Będę miał przerwę między pacjentami.

Kruk skinął głową. Poszedł za Rudzkim do przedpokoju, przyglądał mu się, jak wkłada lekki płaszcz i wychodzi.

Wrócił do pokoju Lidii Rudzkiej. Paczulski kontynuował czynności, które przerwał w momencie, gdy wypłynął temat sejfu. Kruk zajrzał do wnętrza sejfu, patrzył na banknoty, zastanawiając się, czy nic się nie zmieniło w ich obrazie, który zapamiętał.

– Pracujemy razem – rzekł zimno Paczulski, nie odwracając głowy. – Powinniśmy zacząć sobie ufać.

- Nie.
- Powinniśmy. To ja cię ściągnąłem do śledztwa.
- Nie daje mi to spokoju – odparł Kruk.

7

Na komendę miejską dotarli jeszcze przed dwunastą, ale Emil Zasada już tam był. Na ich widok wstał, przedstawił się i czekał, co z nim zrobią, bawiąc się kluczykiem do porsche.

Był dobrze zbudowany. Miał na sobie granatowy garnitur i klasyczne czarne buty. Wszystko w najlepszym gatunku. Twarz przystojna, opalona, spokojna. Kobiety musiały ustawiać się do niego w kolejce. Paczulski uzgodnił coś z dyżurnym i poprowadzili go do pokoju przesłuchań. Zasada wydawał się tym zaskoczony. Może sądził, że zaproszą go restauracji.

Kruk usiadł na krześle pod ścianą, Paczulski i Zasada zajęli miejsca przy stole naprzeciwko siebie. Taka konfiguracja wymuszała konfrontację i może rzeczywiście lepiej by było zabierać ludzi do restauracji, przynajmniej na pierwsze rozmowy.

Zadzwoiła komórka Paczulskiego. Spojrzał na wyświetlacz i wyszedł na korytarz, a po chwili wywołał Kruka.

– Dzwonił twój komendant, Sarzyński – rzekł. – Ten Zasada to waśniak, robi w public relations, wasza komenda szykuje się do współpracy. Komendant chce z pomocą specja od PR ocieplić wizerunek i mamy być dla niego mili.

Kruk lekce sobie ważył te PR-owe bzdury. Zastanowiło go natomiast wyczucie Sarzyńskiego, który idealnie trafił, gdy właśnie zaczynali z Zasadą, i zadzwonił bezpośrednio do podkomisarza.

Wrócili do pokoju i usiedli. Zasada chyba już się przyzwyczaił do miejsca i nie okazywał zniecierpliwienia. Położył na stole telefon komórkowy w skórzanym etui. Wyłączył go, okazując szacunek rozmówcom. Ekran pozostał nieskazitelny, jakby nigdy go nie dotykał.

Paczulski trzasnął protokołem o blat z płyty pilśniowej, zadał wszystkie niezbędne pytania o dane osobowe i przystąpił do rzeczy:

– Proszę nam opowiedzieć o wieczorze i nocy z dziesiątego na jedenastego września, kiedy zginęła Lidia Rudzka.

– Byłem w restauracji Remzo na przyjęciu zorganizowanym przez Annę i Alfonsa Marynieckich, z którymi łączą mnie kontakty biznesowe. Jestem wstrząśnięty tym, co się stało. Lidia Rudzka była bystrą, pełną uroku młodą kobietą. Ogromnie mi jej żal.

Mówił bez emfazy spokojnym, głębokim głosem. Było coś prawdziwego w jego postawie. Kruk wyobraził go sobie na tym przyjęciu pośród podobnych mu mężczyzn, pośród kobiet w sukniach z głębokimi dekolcami, i zastanowił się, jak to jest. Pomyślał, że zmarnował życie.

– Tomek Rudzki wyszedł wcześniej. Lidia czuła się bez niego zagubiona, więc zaproponowałem, że ją odwiozę do domu. Wezwałem taksówkę i czekaliśmy przed wejściem. Była ciepła noc. Wtedy nadjechał ten samochód, Lidia powiedziała, że to jej znajomy i że z nim pojedzie. Kierowca nie wysiadł, nie wyłączył silnika, czekał, aż Lidia wsiądzie. Podeszedłem, żeby go zobaczyć. Otworzyłem drzwi, był tym zaskoczony i skłął mnie. Zionął alkoholem.

Zasada popatrzył na Paczulskiego, przeniósł wzrok na Kruka, jakby oczekując pytań.

– Proszę mówić dalej – rzekł Paczulski.

– Powiedziałem Lidii, że jej znajomy jest pijany, jednak nie zareagowała. Usiłowałem zabrać temu człowiekowi kluczyki, ale mnie odepchnął i zatrzasnął drzwi. Odjechali.

– Co dalej?

– Wróciłem na przyjęcie.

– Znał pan kierowcę audi?

– Nie.

– Rozpoznałby go pan?

– Możliwe, choć było ciemno i widziałem go przez chwilę.

– Zawiadomił pan jej męża? – Zasada spojrział z zaciekawieniem na Paczulskiego, który doprecyzował: – O tym, że jego żona pojechała z jakimś pijanym mężczyzną.

– Nie znam aż tak dobrze Tomka. Spotkaliśmy się kilka razy przy różnych okazjach, przeszliśmy na ty, ale nie łączy nas przyjaźń.

– Czyli nic pan nie zrobił?

– Była dorosłą kobietą, nie moja sprawa, z kim i gdzie jedzie.

– Jak dobrze pan ją znał?

– Niezbyt dobrze.

– Ale zgodziła się, żeby pan ją odwiózł do domu?

– Tak.

– Dlaczego po prostu nie poprosiła pana o wezwanie taksówki albo nie wezwała jej sama?

– Zaproponowałem, że ją odwiozę do domu. Nie zastanawiałem się nad tym.

– Do czyjego domu?

Mięśnie twarzy Zasady leciutko drgnęły. Kruk pomyślał, że komendant może być niezadowolony z prowadzącego przesłuchanie podkomisarza.

– Miałem nadzieję, że do mojego – odparł Zasada.

– Mieliście jechać do pana, ale podjechało to audi i panu związała?

– Niestety.

– Świadkowie widzieli, że wcześniej na przyjęciu mieliście mały incydent. Rozmawialiście i Lidia Rudzka odepchnęła pana.

– To prawda.

– O co poszło?

- Okazałem jej swoje zainteresowanie. Ona nie okazała mi swojego.
- A później się zainteresowała?
- Mówiłem, że czuła się zagubiona. Chyba ją zabolowało, że mąż zostawił ją samą.
- Pan chciał to wykorzystać.
- Owszem.
- Jak pan ją zachęcił?
- Powiedziałem, że wsadzę jej w dupę.
- Zapadła cisza.
- Ładnie pan powiedział – wtrącił się Kruk.
- Jej też się spodobało.

Kruk zastanawiał się, po co facet tak wypalił. To nie robiło dobrze na jego osobisty pijar. Nic nie wskazywało na to, żeby był idiotą. Nie wyglądał też na takiego, który musi się chwalić.

- Była mężatką – odezwał się Paczulski.
- Nie przeszkadzało mi to. Panu by przeszkadzało?

Spojrzenie Paczulskiego było spokojne, lecz oczy zrobiły się zimne jak kostki do drinków.

- Nie, bo to nie moja żona.

Kruk usiłował zrozumieć, w jaki sposób myśli Paczulski. Nie potrafił go przejrzeć.

- Lidia Rudzka w końcu pozytywnie zareagowała na pańskie zainteresowanie – rzekł Paczulski – a jednak uciekła z pijanym kierowcą audi. Skąd się to audi wzięło?
- Mówiłem już. Podjechało, gdy czekaliśmy na taksówkę.
- Była zaskoczona, gdy się pojawiło?
- Ja byłem, gdy do niego wskoczyła.
- Nie pytałem o pańską reakcję.
- Samochód zatrzymał się przy nas, a ona od razu do niego wsiadła. Można z tego chyba coś wywnioskować?

Można było, ale Kruk nie wiedział co. Miał zbyt mało danych. Powinien obejrzeć nagranie z monitoringu sprzed restauracji.

- Co pan robił potem?

– Wróciłem na przyjęcie. Spędziłem resztę wieczoru z panią Majnert, łączy nas miłość do sztuki. Zamówiliśmy taksówkę, koło wpół do drugiej odwiozłem ją do Sopotu. W Sopocie mieszka moja asystentka, nie byłem senny i zajrzałem do niej. Pracowaliśmy do rana.

- O – powiedział Kruk. – Jaki pan subtelny się zrobił. Jak nazywa się asystentka?
- Julia Rosa.

Zasada wyszczerzył zęby. Paczulski z kamiennym wyrazem twarzy czekał, aż Zasada przestanie się szczerzyć.

- Wezwę grafika – rzekł. – Chciałbym portret pamięciowy kierowcy audi.
- Paczulski i Kruk zostawili Zasadę w pokoju.

– Ciekawe, co na to powie Rudzki – rzekł Paczulski.
Kruk też był ciekawy.

Gabinet Tomasza Rudzkiego znajdował się przy ulicy Pivnej w jednej z zabytkowych kamienic na piętrze. Żadnej asystentki, jedynie on sam. W tym otoczeniu Kruk spojrział na niego innymi oczami. Mężczyzna grubo po pięćdziesiątce, siwa głowa, za to za okularami w rogowej oprawie oczy wciąż jeszcze młode.

Twarz miał znużoną, a gdy uniósł dłoń, aby poprawić okulary, nie dało się nie zauważyć ogromnego złotego zegarka i grubej jak nakrętka na okazałą śrubę złotej obrączki, której jeszcze nie odłożył do szuflady.

Gabinet robił wrażenie, obszerny, z kilkoma skórzanymi fotelami, skórzaną kanapą, zestawem mebli gdańskich i solidnym biurkiem ze skórzanymi ozdobami na blacie.

Wystrój gabinetu i sposób noszenia się psychiatry pewnie miały coś przekazać przychodzącym tu ludziom z problemami, choć Kruk nie wiedział co. Na pewno każdy mógł czuć się uspokojony, że w jego psychice nie będzie dłużył tani facet.

– Znaleźliście coś jeszcze? – Głos miał głęboki, spokojny, budzący zaufanie. Głos świętego specjalisty. Kruka naszała ochota, by wyznać mu swoje najgłębsze sekrety.

– Nie – odparł Paczulski.

– Mam tylko pół godziny do kolejnej wizyty. Cokolwiek dzieje się w moim życiu, nie może to odbijać się na pacjentach. Muszę być dla nich o każdej porze dnia i nocy.

Kruk nie uwierzył, że Rudzki jest dla swoich pacjentów dostępny bez przerwy. Ani że ktoś jest w stanie pomagać innym budować życie, gdy dobiegł wcześniej załuczono mu żonę. Nie miał już ochoty wyznawać facetowi sekretów. Nie zdradziły mu nawet, jak nazywa się jego pies, gdyby miał psa.

Paczulski złożył Rudzkiemu kondolencje. Przeprosił, że nie zrobił tego od razu. Może na niego też podziałała powaga tego gabinetu. Na chwilę zapadła cisza, bo podkomisarz czekał, aż to samo zrobi Kruk.

Kruk niczego takiego nie zrobił. Za to cisza zrobiła się niezręczna.

Rudzki wskazał im fotele. Gdy wszyscy trzej zajmowali miejsca, wykorzystał czas, aby przyjrzeć się Krukowi.

Paczulski wyjaśnił, że chce zadać kilka pytań o noc z soboty na niedzielę. Rudzki odpowiadał spokojnie. Przyjęcie było udane, Lidia dobrze się bawiła, ale przed wpół do dwunastej musiał je opuścić. Padło nazwisko Roman Łaszewski, radny, Rudzki nie mógł odmówić. Pojechali do Centralparku, gdzie Rudzki miał mieszkanie na wynajem, które aktualnie nie miało lokatorów. Przebywali tam do wpół do czwartej rano, rozmawiając o programach redukcji stresu wśród pracowników administracji

publicznej i patrzeniu z góry na miasto.

– Tak – przytaknął Paczulski. – Zabezpieczyliśmy nagrania z monitoringu wieżowca.

– Jestem podejrzany?

– To rutynowe czynności.

Rudzki wrócił do domu po czwartej nad ranem, żony jeszcze nie było. Był zmęczony, położył się spać i dość szybko zasnął. Obudzili go dopiero policjanci, przynosząc straszne wieści.

To była ciekawa opowieść, która aż prosiła się o kilka pytań wyjaśniających. Kruk czekał, aż Paczulski je zada.

– Z kim pańska żona rozmawiała na przyjęciu? – odezwał się podkomisarz.

Kruk zapytałby w tym momencie o co innego i nawet otworzył usta, lecz się rozmyślił.

– Głównie ze mną – powiedział ze smutkiem. Spojrzał przelotnie na Kruka, po czym znowu zwrócił się do Paczulskiego: – Trochę z Magdą Majnert, Lidia pomagała w jej galerii sztuki. Może z kimś jeszcze, ale to musiały być zdawkowe rozmowy. Lidia nie była lubiana.

– Dlaczego?

– Była młoda, piękna, pochodziła z biednego domu, nie miała wykształcenia, była moją żoną. Jednym przeszkadzały wszystkie te rzeczy, innym niektóre.

W świetle tego, co mówił Rudzki, jedno z niezadanych do tej pory pytań aż krzychało, aby je zadać.

– Panu nie przeszkadzała żadna z nich – zasugerował Paczulski.

– Oczywiście, że nie.

– Strasznie mi przykro z powodu pańskiej straty.

Kruk prawie pokręcił głową. Paczulski, który – wbrew woli Kruka – zyskał jego uznanie sposobem rozmowy z Zasadą, teraz zaczynał go wkurwiać.

– Czy to wszyscy, z którymi rozmawiała? – spytał podkomisarz.

– Musiała rozmawiać z Emilem Zasadą, skoro miał ją odwiedzić do domu, ale to było już po moim wyjściu.

– Po przepytaniu obsługi i innych gości wiemy, że doszło do pewnego incydentu. Pańska żona miała drobną sprzeczkę z Emilem Zasadą, odepchnęła go nawet. Pan był jeszcze wtedy na przyjęciu.

Nareszcie coś interesującego. Kruk czekał na odpowiedź Rudzkiego.

– Nic mi nie powiedziała.

Kruk patrzył na tego faceta i zastanawiał się, jak przyjął śmierć żony, mając przy tym świadomość, w jaki sposób zginęła. Trudno było odgadnąć: zdawkowo pytał o śledztwo, nie zareagował na informację o sprzeczce. Spojrzał tylko na zegarek, przecież uprzedzał, że czeka na pacjenta.

– Nie zauważył pan, że Emil Zasada był zainteresowany Lidią?

– Nie sądzę, by tak było.

– On potwierdził, że był.

Rudzki przyciągnął ramiona do szyi, przygarbił się, jakby chciał zajmować jak najmniej miejsca w przestrzeni.

– Trudno mieć mu to za złe. Była piękna.

No cóż, pomyślał Kruk. Można i tak.

– Kim był człowiek, do którego samochodu wsiadła pańska żona? – spytał Paczulski.

– Sam zadaję sobie to pytanie.

– Podejrzewa pan, kto to może być?

– Nie mam żadnego pomysłu.

Kruk przyjął to wszystko spokojnie.

Podkomisarz zapytał, jak układały się relacje w małżeństwie Rudzkich. Układały się dobrze, zdaniem pana małżonka. Rudzki nawet się trochę rozgadał, mówił coś o wzajemnym zaspokajaniu potrzeb emocjonalnych, seksualnych i finansowych. Użył kilku słów rodem z podręcznika psychiatrii, widać starannie przeanalizował swój związek pod tym kątem. Dobrze. Było dobrze. Naprawdę dobrze.

Ale się skończyło, pomyślał Kruk.

Okna gabinetu zasłonięte były kremowymi pionowymi żaluzjami. Żaluzje przepuszczały światło, które docierało do wnętrza w postaci białej mgiełki zasnuwającej przedmioty i ludzi. Atmosfera była senna, leniwa, być może sprzyjała wyznaniom.

A potem pół godziny minęło i Paczulski uznał, że wystarczy. Spojrzał na Kruka, czy ten ma jakieś pytania.

Kruk miał.

Ale ich nie zadał.

9

Paczulski pojechał na komendę miejską, bo dostał informację, że gotowy jest portret pamięciowy kierowcy audi. Kruk mruknął, że do niego dołączy, ale najpierw musi coś załatwić.

Wsiadł do swojej toyoty i pozwolił, by Paczulski mocno go wyprzedził. Gdy podkomisarz przejeżdżał przez skrzyżowanie z aleją Zwycięstwa, Kruk był jeszcze przy rondzie z pomnikiem Sobieskiego. Tam zawrócił i po chwili znów był na Pivnej.

Stanął przed kamienicą, gdzie urzędował Rudzki. Gabinet psychiatry mieścił się na najwyższym piętrze i Kruk powoli zbliżał palec do najniższego przycisku domofonu. Wahał się, bo wolałby nie uprzedzać o swoim przybyciu. Jakiś mężczyzna właśnie wychodził i Kruk skorzystał z tego, żeby się wśliznąć na klatkę. Gdy psychiatra otworzył mu drzwi, lekko przymrużył oczy.

– Przepraszam – powiedział Kruk. – Oficer, z którym pan rozmawiał, zapomniał zadać jedno pytanie.

– Proszę pytać.

Stali i patrzyli na siebie.

– Nie zaprosi mnie pan do środka?

– Skoro to jedno pytanie.

Kruk wciąż tylko na niego patrzył i Rudzki dał za wygraną.

– Proszę.

Poszedł pierwszy przez przedpokój, zostawiając Krukowi zamknięcie drzwi. Przy okazji komisarz zauważył coś, co poprzednim razem umknęło jego uwadze: oparty o ścianę obraz zapakowany w szary papier. Papier był częściowo rozdarty i Kruk zajrzał pod opakowanie: jakieś kolorowe plamy i pasy.

Kruk takiego malarstwa nie považał, ale widać dla kogoś pokroju Rudzkiego to była sztuka w sam raz.

Znowu usiedli w tym samym gabinecie, w tych samych głębokich fotelach. Gospodarz zdawał się lekko poirytowany, choć i tak bez Paczulskiego zrobiło się przyjemniej.

– Bałem się, że już ma pan tego pacjenta – powiedział Kruk.

– Chyba się spóźni. O co chodzi?

Świetnie się składało. Kruk był ciekawy, czy pacjent nie nazywa się Godot.

– Chciałem się upewnić, że przekazano panu wiadomość, że pańska żona nie żyje. Znieruchomiał.

– Nie rozumiem.

– A co tu jest do rozumienia? Wie pan o tym czy nie?

Rudzki zajął wygodniejszą pozycję. Kruk też spróbował. Dało się siedzieć wygodniej. Po prostu nie miał wprawy.

Patrzyli na siebie w milczeniu.

Kruk ułożył rymowanekę. Postanowił, że nie wypowie jej na głos. Wytrzymał w tym postanowieniu pięć sekund.

– Moja żona leży w grobie, ja tu słodko siedzę sobie.

Rudzki nachylił się w fotelu. Przestało mu być wygodnie.

– Moja żona leży w kostnicy i czeka na sekcję, panie komisarzu. Nie zna mnie pan. Jest pan szybki w ocenach.

– Pańska żona na nic już nie czeka.

– Nawet na sprawiedliwość?

– A co do tego, czy jestem szybki, zdania są podzielone. Dla jednych za szybki, dla innych za wolny. Potajemnie marzę o tym, żeby stać się taki, wie pan, w sam raz.

Uderzenie starego zegara na ścianie rozbiło zapadłą nagle ciszę. Kolejna godzina bliżej śmierci, pomyślał Kruk, bo to miejsce, mimo całego przepychu i przeznaczenia, było w gruncie rzeczy ponure. Wyzierającą z każdego kąta żalobę rozświetlał jedynie ten wspaniały facet.

– Po co pan przyszedł? – spytał Rudzki.

– Proszę mi coś wyjaśnić. Wrócił pan do domu po czwartej rano. Żony nie było. Dzwonił pan do niej? Zanim pan odpowie, proszę pamiętać, że sprawdzimy billingi.

– Sądzi pan, że będę kłamał?

– Dobrze by było, gdyby pan nie kłamał.

– Może nawet sądzi pan, że ją zabiłem?

– A bo ja wiem? Na pewno by pan umiał. Wystarczy wziąć tępy przedmiot i bić kobietę w skroń, aż się jej czaszka wbije w mózg.

– Na rany Chrystusa!

Kruk uniósł dłoń, przesunął palcem wskazującym z prawa na lewo i z powrotem, a także kilka razy cicho cmoknął.

– Jest pan wierzący? Nie widzę krzyża.

– Co to pana obchodzi?

– Mnie obchodzi bardzo wiele rzeczy, bo moja praca polega na tym, że muszę wiedzieć, czy zabił pan żonę.

– Jak miałem to zrobić? Znalaziono ją zmasakrowaną na obwodnicy, a ja byłem na Piecowskiej, nagrały mnie kamery, mam świadka.

Kruk się uśmiechnął.

– No właśnie. Podaje pan swoje alibi, ale nie mówi o tym, że nigdy by tego nie zrobił, bo ją kochał. Jakie to smutne.

– Pan...

– Nocą parę kilometrów w tę czy w tamtą stronę to żadna odległość, nie ufam kamerom, a świadkowie zbyt często kłamią. I tyle, jeśli chodzi o mój zachwy

pańskim alibi.

Rudzki siedział jak zahipnotyzowany, wreszcie wydusił z siebie:

– Niebawale...

– Ja wierzę tylko w miłość, proszę pana.

– Pan wierzy w miłość. Pan jest bardzo naiwny.

– Potrafię zrozumieć, że miał pan zbyt wiele żon, aby się roztkliwiać nad tą ostatnią. Dzwonił pan do niej czy nie?

– Nie.

– Dlaczego? Przecież kupił jej pan komórkę, prawda?

– Po co miałem dzwonić?

– Przyjęcie było zaplanowane do trzeciej w nocy. Godzina to wystarczający czas, by dotrzeć do domu.

– Pomyślałem, że pewnie przyjęcie się przedłużyło, a żona jeszcze została.

– Tak pan pomyślał? Na pewno tak?

Rudzki skupił wzrok na postaci komisarza. Nie powiedział nic.

– Dlaczego pan w ogóle ją tam zostawił? – spytał Kruk.

– Tłumaczyłem przecież: sprawy zawodowe.

– Pan powiedział, że żona rozmawiała tego wieczora głównie z panem. Ludzie, których tam znała, nie przepadali za nią. I zostawił ją pan z nimi?

– Chciała.

– Czemu chciała?

– Mimo wszystko chciała zostać jeszcze trochę. To piękna restauracja, miejsce ze wspaniałą atmosferą.

Kruk pomyślał, że facet może i był cenionym psychiatrą, ale kłamał jak prostak. Bez polotu.

Rany, jak bardzo bez polotu.

– Chciała zostać tylko trochę, nie miała do kogo ust otworzyć, impreza kończyła się najdalej o trzeciej. Mnóstwo powodów, aby być w domu przed czwartą nad ranem. Ale jej nie było, a pan poszedł lulu jak gdyby nigdy nic.

Rudzki wyprostował się i spytał spokojnie:

– Czy powinienem powiadomić swojego prawnika?

– O czym?

– Że jestem podejrzanym?

– Niech go pan powiadomi, że kłamał pan policji. Zobaczy pan, jak się ucieszy.

– Może miałem jej dość, pokłóciliśmy się i było mi wszystko jedno, gdzie jest?

– Prawnik się nie ucieszy. Taka kłótnia to może być motyw. O co się pokłóciliście?

– Była zła, że muszę wyjść. Prosiłem, żeby wracała do domu. Chciała zrobić mi na złość i uparła się, że zostanie. To dlatego po powrocie nie zdziwiłem się, że jej nie ma. Myślałem, że chce mi coś w ten sposób pokazać. Nie chciałem dać jej satysfakcji i za nią wydzwaniać.

Patrzyli sobie w oczy bardzo długą chwilę. Kruk pokiwał głową. Może rzeczywiście był za szybki, że uznał faceta za prostaka. Sposób, w jaki Rudzki wybrnął z kłamstw, w które się na początku zaplątał, mógł się od biedy podobać.

– To wyjaśnia tę kwestię. Ale wciąż nie rozumiem, czemu musiał pan wyjść nagle z przyjęcia w środku nocy i rozmawiać o programach redukcji stresu?

– Radny Łaszewski to człowiek, który pracuje bez przerwy. Nie mogłem mu odmówić.

– Bzdury.

Kruk podniósł się z fotela. Rudzki nie.

– Popytamy, czy ktoś widział, że kłócił się pan z żoną.

– Dziwię się, że nikt o tym nie wspomniał, choć z drugiej strony nie afiszowaliśmy się z naszym konfliktem.

– Czyli jak się uprę, znajdę kogoś, kto potwierdzi, że mogliście się kłócić, ale nie znajdę nikogo, kto będzie wiedział, o co się pokłóciliście.

– Jest pan bystrym obserwatorem – powiedział Rudzki. – Ale ja też widzę to i owo i potrafię wyciągnąć wnioski.

– Oby... albo pacjenci płacą panu za nic.

– Gdy pan wrócił do mnie i wspomniał o tym drugim policjancie, nie powiedział pan: „mój kolega”, „mój partner”...

– Mój co? – warknął Kruk.

– Powiedział pan: „oficer, z którym pan rozmawiał”. Nie użył pan nawet jego nazwiska. Brzydzi się pan?

Tym razem to Kruk nic nie powiedział.

– Trzeba być ślepym, żeby nie zauważyć, że się nie dogadujecie. To kiepsko wróży dla śledztwa. Wrócił pan zebrać informacje, do których on nie będzie miał dostępu. Zyska pan przewagę. Sprawy ambicjonalne?

Kruk nadal milczał. Rudzki się roześmiał. Jego żona została znaleziona martwa, ale potrafił jeszcze znajdować drobne radości z chwilowych przewag.

– Ten oficer, aby pozostać przy pańskiej terminologii, prowadził tę rozmowę bardzo poprawnie. Dziwne, że został przydzielony do tak poważnej sprawy. Macie aż takie braki kadrowe?

Kruk uznał, że wystarczy. Zanim ruszył do wyjścia, zabrał jedną z wizytówek Rudzkiego, których cały plik leżał na biurku. Był tam numer komórki psychiatry, a komisarz nie sądził, by był to koniec ich znajomości.

– Wcale się nie zdziwię, jeśli za chwilę będę miał kolejną wizytę. Czy on też wróci porozmawiać poważnie, komisarzu Kruk?

Po dwóch minutach Kruk znalazł się na ulicy. Mocno odetchnął powietrzem miasta.

Przed witryną pobliskiego sklepu stał podkomisarz Damian Paczulski. Oglądał wystawione na manekinach sukienki.

10

Kruk stanął obok Paczulskiego. Obaj się gapili, podziwiali sukienki i nic nie mówili. Wreszcie Paczulski przemówił:

- Zobaczyłem twój samochód. Nie chciałem przeszkadzać.
- Kupujesz sobie kieckę?
- Co tu robisz?
- Zapomniałem zadać mu jedno pytanie.
- Jakie?
- Okazało się nieistotne.

Paczulski rzucił niedopałek na chodnik. Przydeptał.

- Dowiem się od niego – mruknął. – I nie jestem głupcem.
- Wiem.
- W taki sposób do niczego nie dojdziemy. Co proponujesz?
- Rozwiedź się, wynieś do innego miasta. Kiedyś już ci to proponowałem.
- Niewykonalne. Jesteśmy zbyt szczęśliwi. Widziałeś, przesyłałem ci zdjęcia.
- Widziałem, że Monika wciąż żyje.

Paczulski drgnął, gdy Kruk wymówił jej imię. Ich oczy spotkały się na sklepowej szybie. Kruk zapamiętał, że tak można wyprowadzić Paczulskiego z równowagi.

W sumie dość łatwo.

Pomyślał, że nie powinien tego robić. To mogło być niebezpieczne. Niebezpieczne dla Moniki.

– Zastanawiałem się – powiedział Paczulski – jak ułożyć się nam współpraca. Teraz już wiem.

- Co wiesz?
- Zastanawiałem się, co jest dla ciebie najważniejsze. Śledztwo czy inne sprawy.
- Ładnie to ująłeś: „inne sprawy”.
- Po co tu wróciłeś? Wypytać Rudzkiego, dlaczego nie zmartwił się nieobecnością żony po powrocie do domu? Co powiedział?
- Takie tam brednie dla kmiotków.

– Nie ufasz mi, w porządku. Ja też będę się starał nie odwracać do ciebie plecami. Ale w taki sposób nie poprowadzimy śledztwa. Pytałem, co proponujesz?

Paczulski ani razu nie spojrzał bezpośrednio na Kruka. Wystarczyła mu obserwacja odbicia w szybie sklepowej. Ale Paczulski też się tam odbijał. Jeszcze bledszy i bardziej zimny niż oryginał.

Kruk wreszcie zastanowił się nad jego pytaniem.

– Rozdzielimy nasze sprawy, zawodowe i prywatne.

– Da się?

– Nie.

– Więc jak?

– Będziemy się, kurwa, starać.

– Starać...

– Właśnie – uśmiechnął się Kruk. – Starać. Co z tym portretem pamięciowym?

– Skąd mam wiedzieć? Nie dojechałem na komendę. Za to czekając na ciebie, wygooglowałem adres tej galerii sztuki, gdzie pracowała Rudzka.

– W Sopocie?

Paczulski pokiwał głową.

– Galeria Sztuki Magdy Majnert.

– Dobra – powiedział Kruk na niewypowiedzianą propozycję.

11

Chłopiec leżał na stalowym łóżku, poduszkę miał pod głową, a oczy otwarte. Nad łóżkiem górował stojak z kroplówką. Przez długą przezroczystą rurkę do krwi chłopca sączyła się morfina.

Olivier Charon skończył zmywać podłogę i stał oparty na kiju od mopa. Patrzył to na mokre ślady na posadzce, to na twarz chłopca znaczoną bólem i rezygnacją. Okno było uchylone, zapach drzew, który tamtędy docierał, był wszystkim, na co chłopiec mógł liczyć.

Charon zszedł na parter, powlókł się do pomieszczenia technicznego. Zostawił wiadro, w łazience umył ręce, być może staranniej, niż było konieczne. Gdy wychodził, natknął się na doktor Wasilewską. Uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością.

– Dziękuję – powiedziała. Była kobietą pod sześćdziesiątkę, kiedyś prawdopodobnie piękną, ale czas i charakter pracy sprawiły, że to piękno zgasło. – Nie wiem, co bym bez pana zrobiła.

Nawet nie próbował oddać uśmiechu, tego akurat nie umiał. Zrobiłaby to, co robiła, gdy go nie było, a był tu raptem od miesiąca. Poradziłaby sobie. Zawsze sobie radziła. Nie miała innego wyboru.

– Pójdzie pan do Alicji? Pytała o pana.

Skinął głową.

– Później... – Doktor Wasilewska się zawahała. – W Pokoju Piratów dziś w nocy...

– Sprzątnę.

Chciała coś jeszcze powiedzieć, ale spojrzała mu tylko w oczy takim spojrzeniem, które starcza za dziękczynną laudację, a dla nikogo nie jest krępujące. Na końcu korytarza pojawiła się pielęgniarka i Wasilewska podeszła do niej.

Zanim udał się do dziewczynki, Charon zszedł do świetlicy i wyjął z szafy wysoki kapelusz, który naciągnął na głowę.

Gdy tylko go zobaczyła, sześćioletnia Alicja nakryła kolorowym kocem coś, co leżało obok niej na prześcieradle, i wyciągnęła do niego wychudzone ręce. Jej przygasłe oczy rozbliły. Powoli podszedł, delikatnie uściśnął jej dłonie, skłonił się.

– Dzień dobry, Alicjo z Krainy Czarów.

– Dzień dobry, Panie Kapeluszniku.

Udał oburzenie.

– Nie jestem zwykłym Kapelusznikiem.

– Wiem, jest pan szalony. Gdzie jest Suseł i Marcowy Zając?

– Znasz ich, Suseł śpi, a Marcowy Zając nalewa herbatę i smaruje masłem zegarki.

Dziewczynka uśmiechnęła się w wysiłkiem, a potem jej blada twarz się zmieniła, przybierając zamyślony wyraz.

– Tak naprawdę wcale ich nie znam, tylko mi pan o nich czytał. Szkoda, że nigdy nie przychodzą. Chciałabym ich poznać.

– Poznasz. Pewnego dnia ich przyprowadzę.

– Mogą nie zdążyć, bo na ich zegarku jest zawsze szósta, a ja niedługo umrę.

Przysunął krzesło i usiadł przy niej. Pilotem uniósł zagłówek jej łóżka, pomógł zająć wygodniejszą pozycję, oprzeć się o poduszki.

– Obiecuję, że zdążą.

– Czy pan dotrzymuje obietnic? Pan Kapelusznik jest roztrzepany i potrafi być niemiły.

– Jestem nie tylko Kapelusznikiem. Pamiętasz, mówiłem ci o tym? Jestem kimś więcej.

– Pamiętam. To sekret.

– Wkrótce ci go zdradzę.

Dziewczynka uśmiechnęła się. Szybkim ruchem ręki zdjęła z głowy bandanę. Pielęgniarka powiedziała kiedyś Charonowi, że mała nienawidzi tej bandany, nienawidzi peruk, ale zakłada je, bo chce wyglądać jak zwykła dziewczynka.

Gdy pierwszy raz Alicja zdjęła przy nim bandanę, odsłaniając łysą główkę, nie docenił tego gestu. Dopiero pielęgniarka ze łzami w oczach wyjaśniła mu, że dziewczynka nigdy tego nie robi przy obcych.

Jemu zaufała. Czuła się przy nim bezpieczna.

– Poczytasz mi, Panie Kapeluszniku?

Wziął książkę z szafki przy łóżku. Czytał jej wiele razy i zawsze tę samą opowieść o Krainie Czarów. Zakładka tkwiła w miejscu, gdzie ją zeszłym razem zostawił: bohaterka zauważa na drzewie Kota z Cheshire. Rodzice spędzali u Alicji dwadzieścia godzin na dobę, też mogli jej czytać tę bajkę, ale nie chciała. Tę opowieść mógł jej opowiadać wyłącznie on.

Rozpoczął:

– Kot uśmiechnął się tylko, widząc Alicję. Pomyślała, że wygląda bardzo dobrodusznie: mimo to miał *bardzo* długie pazury i wielką ilość zębów, poczuła więc, że należy traktować go z szacunkiem¹. Czytał dalej, a dziewczynka sądząc, że tego nie widzi, ostrożnie przesunęła to, co kryła pod kocem, i na moment wychynęła spod niego nieruchoma twarz plastikowej lalki.

Była to zwykła lalka, jaką ma każda dziewczynka, ale Charon się wzdrygnął. Przerwał, bo nagle zabrakło mu tchu. Alicja chwyciła lalkę i wrzuciła do szuflady białej stalowej szafki przy łóżku. Prosta, lecz szybka czynność zupełnie ją wyczerpała. Na czole dziewczynki pojawiły się krople potu.

Charon powoli się uspokajał. Akurat ta lalka nie była najgorsza.

Wrócił do czytania.

Pierwszy raz czytał umierającemu dziecku, gdy sam był takim dzieckiem. Miał dziesięć lat, a jego siostra osiem i miała inną lalkę. Śmierć siostry wstrząsnęła światem Charona. Uwrażliwiła na niektóre rzeczy. Zobojętniła na inne.

To było dawno, ponad ćwierć wieku wcześniej. Od tamtej pory były inne śmierci.

Wkrótce dotrze do miejsca, w którym Alicja trafia na obłąkaną herbatkę u Kapelusznika.

To był ich ulubiony fragment.

* Lewis Carroll, *Przygody Alicji w Krainie Czarów* przełożył Maciej Słomczyński, Czytelnik, Warszawa 1972. (Przyp. red.).

12

Zaparkowali na Kościuszki w Sopocie, potem przeszli duży kawał deptaka Bohaterów Monte Cassino, nadal zatłoczonego mimo września, i zagłębili się w boczną uliczkę, gdzie na parterze odnowionego domu znajdowała się galeria.

Otwarcie drzwi wzbudziło szmer dzwonka. Stanęli w białej sali niezbyt imponujących rozmiarów ze ścianami robiącymi za wystawę obrazów. Pachniało farbą. Obrazy nie miały ram. Typowa sztuka nowoczesna, gryzmoły i abstrakcje, które dałby radę namalować pięciolatek, ale akurat pięciolatki mają więcej rozumu i ciekawsze rzeczy do roboty.

Kruk podszedł do największego obrazu złożonego z pionowych i poziomych różnokolorowych pasów, zastanawiając się, co miał wyrażać. Przeczytał tytuł dzieła: *Wieloświat*, i uznał, że autor jest bezczelny. Spojrzał na cenę, była pięciocyfrowa.

– Podoba się panu?

Odwrócił się zaskoczony, skąd wziął się ten głos, i zobaczył uchyloną część ściany, a przed nią kobietę. Nie, to nie była ściana, tylko drzwi w kolorze ściany, które prowadziły do dalszej części galerii.

– Interesujący obraz – powiedział. – Jakiś znany artysta?

– Kiedyś na pewno będzie.

Kruk akurat w to wątpił, lecz mógł być w błędzie. Interesował się malarstwem i wiedział, że byli tacy, co potrafili sprzedać czarną kropkę na białym tle za astronomiczną kwotę.

Podążyła mu rękę.

– Magda Majnert.

Rozpoznał ją. Pomyślał, że to niesamowite, bo Trójmiasto liczyło z milion mieszkańców, a on znowu ją spotykał.

Nie wiedział, czy ona go poznała. Była elegancka, w innej garsonce niż w parku, i nie płakała.

– Komisarz Sławomir Kruk. – Wskazał Paczulskiego, który wciąż stał przy wejściu, lustrując pomieszczenie. – Podkomisarz Damian Paczulski.

– Policja... – Jej dłoń wysunęła się z jego dłoni i Majnert zrobiła krok w tył. – Zastanawiałam się, czy będziecie chcieli ze mną rozmawiać.

– Dlaczego?

– Byłam wtedy w Remzo. Słyszałam, że rozmawiacie z ludźmi, którzy tam byli.

W ukrytych w ścianie drzwiach pojawił się młody człowiek w koszulce z trupią czaszką. Czaszka była tak samo zagniewana jak on. Zlustrował wzrokiem policjantów

i zwrócił się do Majnert:

– Policja? Nie tylko mnie pani okradła?

Zaczerwieniła się lekko.

– Pan używa mocnych słów, panie Florianie. Proszę wrócić do biura, zaraz do pana przyjdę.

– Nie byłbym tego pewien – odezwał się Paczulski. Wyglądał na zrelaksowanego, bardzo mu się tu podobało.

– W dodatku pani kłamie – warknął młody człowiek. – Może skorzystam z obecności policji i zeznam, co się wyprawia w tej tak zwanej galerii.

– A co się wyprawia? – zachęcił go niemal już rozanielony Paczulski.

– Mam mu powiedzieć? – Florian z satysfakcją zająrzył Majnert w twarz. – Będę krzyczał o tym każdemu, kto zechce słuchać.

Majnert stała nieruchoma, nie patrząc na niego i lekko kuląc ramiona.

Kruk powinien wesprzeć Paczulskiego i zachęcić niejakiego Floriana, który pięknie się nakręcał, do wyznań. Ot tak, na wszelki wypadek, z policyjnej ciekawości i doświadczenia, które mówiło, że różne sprawy w życiu się łączą. Ale Kruk nie chciał wspierać Paczulskiego, a tę kobietę widział w parku i było mu jej żal.

– Kto to? – spytał.

Uniosła znużone, smutne oczy.

– Autor prac, które pan widzi. Sprzedałyśmy obraz pana Floriana, a autor domaga się natychmiastowej zapłaty.

– Natychmiastowej? – Uniósł ręce w histerycznym geście. – Obraz został sprzedany w piątek. Gdzie moje pieniądze?

Kruk ponownie zlustrował obrazy na ścianach.

– Ktoś to kupił?

– Znalazłyśmy kupca, a pan Florian oczywiście otrzyma swoje pieniądze w przewidzianym umową terminie.

– Nie tak się umawialiśmy. – Młody artysta podetknął jej wskazujący palec pod nos. – Obiecała pani, że za ten obraz dostanę forszę natychmiast. Chyba że ją pani przepiła.

– Dostanie pan, panie Florianie – odparła Majnert jeszcze bardziej znużonym tonem. – Niech tylko nie będzie pan tak niecierpliwy.

On jednak wciąż trzymał jej palucha przed twarzą, potrząsał nim i chciał coś powiedzieć, ale Kruka znudziła jego historia.

Chwycił go za ten palec i wykręcił, a chłopak zgiął się i jęknął.

– Pan wróci później – zaproponował Kruk i pchnął go w stronę wyjścia.

Florian spojrział na swój palec, potem na Kruka, a Paczulski znalazł się przy nim, przyjacielsko otoczył ramieniem i z zaciekawieniem zerkając na Kruka, powiedział:

– Pójdziemy?

Dopiero na zewnątrz młody mężczyzna otrząsnął się z zaskoczenia, bo dało się słyszeć jego podniesiony głos.

- Co pan zrobił? – spytała Majnert, znowu cofając się o krok.
- Prowadzę sprawę o zabójstwo, muszę zadać pani kilka pytań i nie mam czasu.

Kruk pomyślał, że kłamie, bo nie o to chodziło. Rozdrażniło go to gestykujące beztalencie. I to, że jego obrazy wisiały w galerii Magdy Majnert. Ta kobieta miała w sobie coś przyjemnego.

Nie była mu wdzięczna za pomoc.

- Czy pana kolega wróci?
- Gdy się upewni, że nie wróci pani kolega.
- Ach. – Spojrzała na niego bystro. – Czy muszę zaprosić pana do biura?
- Nie musi pani.
- O co chciał mnie pan zapytać?
- O Lidię Rudzką.
- Oczywiście.

Wyglądała na zmęczoną i pomyślał, że da jej odpocząć. Podeszedł do najbliższego obrazu, a raczej do kolejnego zestawu kolorowych pasów.

- Za ile poszedł obraz tego... Floriana?
- Przepraszam, nie wiem, czy mogę udzielać takich informacji.
- On by jej chętnie udzielił. Aż palił się do tego.
- Ja nie powinnam.
- Kto wpadł na pomysł, by kupić coś takiego?
- Są znawcy, którzy kupują obrazy rokujących artystów, licząc na wzrost ceny w przyszłości, kiedy malarze wyrobią sobie nazwisko.
- Tylko co to za znawcy. Dlaczego pani w ogóle wystawia prace tego człowieka?
- Pan mówił, że nie ma czasu.

Jej głos stał się chłodny i Kruk poczuł małe ukłucie w sercu, bo z jakiegoś powodu chciał, by ta kobieta go polubiła. Odwrócił się do niej.

– Po prostu się zastanawiam. Gdybym ja coś chciał namalować, jak mógłbym trafić na pani ściany?

– Miałam szczęście – odparła z rezygnacją. – Nikt nie chciał wystawić prac pana Floriana, aż wreszcie zdesperowany trafił do mnie, oferując całe swoje oszczędności, żebym tylko dała mu szansę.

– I dostał ją.

– Po kilku dniach sprzedało się pierwsze niewielkie płótno. Jakiś turysta kupił je do swojej kancelarii prawniczej w Kopenhadze. Ale już dzień później poszło kolejne. Wziął je kolekcjoner z Barcelony, który przyjechał do Sopotu na weekend. Pochwalił się tym na Facebooku. Tak się zaczęło.

Kruk pokiwał głową. Trudno dyskutować z faktami.

– Widziałem dziś podobny obraz – powiedział. – W przedpokoju gabinetu Tomasza Rudzkiego, nawet go jeszcze nie rozpakował. Czy to właśnie za ten obraz nie zapłaciła pani Florianowi?

Uciekła wzrokiem. Obserwował ją przez chwilę, po czym przespacerował się

w stronę kolejnego obrazu, stanął przed nim i zaczął go oglądać nader starannie.

– Już? – spytał.

– Słucham?

– Czy już się pani namyśliła, czy Rudzki też był pani klientem?

Oboje spojrzeli na drzwi, bo wrócił Paczulski. Młodego człowieka z nim nie było. Paczulski bez słowa dołączył do nich i zaplótł ręce na piersi.

– O klientach informacji też nie udzielamy.

Paczulski opuścił ręce. Popatrzył na Majnert ze spokojem i pokiwał głową, jakby aprobował jej słowa. Kruk dostrzegł, jaki to miało na nią wpływ. Odetchnęła, wydawała się mniej zdenerwowana.

– My? Kto jeszcze pracuje tu z panią?

Znowu spojrzała na Paczulskiego i znalazła w nim zrozumienie.

– Powinnam powiedzieć: ja. Pomagała mi tylko Lidia. Bez niej zostałam sama.

Dziewczynka w końcu zasnęła.

Nacisnął przycisk na pilocie łóżka, a gdy zagłówek opadł powoli, poprawił poduszki pod głową dziecka.

Olivier Charon, odkładając kapelusz do szafy w świetlicy, spojrział na zegar na ścianie. Wpół do trzeciej. Powinien jeszcze sprzątnąć ten pokój, o który prosiła Wasilewska.

Po raz drugi tego dnia poszedł do pomieszczenia technicznego. Panował tu bałagan, piętrzyły się pozostałości po niedawnym remoncie budynku, co ułatwiło Charonowi zadanie, gdy pewnej nocy Czarne Siostrzyczki podały mu przez okno siedemnaście dziesięciolitrowych baniaków z trupimi czaszkami na etykietach i ostrzeżeniem „Łatwopalne”. Udało mu się w taki sposób upchnąć zbiorniki pod kartonami po meblach, że nie było ich widać. Stały sobie spokojnie, jak gdyby nigdy nic.

Zabrał potrzebny do sprzątnięcia sprzęt i wszedł na górę. Śmierć była brudna, Charon dobrze o tym wiedział. Często zostawiała za sobą krew, mocz i kał. Trzeba było po niej posprzątać.

W Pokoju Piratów już z grubsza sprzątnięto po chłopcu, który zmarł w nocy, ale nie sprzątnięto jak należy. Trzeba było wszystko zdezynfekować, przemyć na nowo, złożyć rzeczy chłopca, aby je oddać rodzinie, nałożyć nową pościel dla nowego dziecka, które tu wkrótce trafi.

Charon robił to wszystko spokojnie, metodycznie, starannie. Taki już był, przede wszystkim metodyczny. Podniósł wzrok, bo ktoś stanął w drzwiach. Kobieta po pięćdziesiątce, jak zawsze ubrana na czarno niczym wrona, choć może uważała się tu za anioła. Pozdrowił ją skinieniem głowy. Odpowiedziała uśmiechem pełnym ciepła i wdzięczności, po czym zniknęła na korytarzu.

W tym miejscu wszystkie kobiety miały dla ciebie wspaniałe uśmiechy. Jedyne, czego nie miały, to pieniędzy za twoją pracę.

Na szczęście on nie potrzebował pieniędzy.

Potem przyjechał jeszcze psychiatra Tomasz Rudzki z bloczkiem recept na najcięższe leki uspokajające, zawsze gotowy nieść pomoc małym pacjentom i ich rodzicom. Rudzki był blady, próbował uniknąć spotkania, ale Charon znalazł okazję, żeby odciągnąć go na bok. Podczas rozmowy z psychiatrą wróciła do Charona wizja skrwawionej twarzy młodej kobiety, która w bezwładnych rękach trzymała lalkę.

Lalka wpatrywała się w Charona. Kobieta nie, bo była martwa.

O czwartej opuszczał hospicjum, idąc alejką między drzewami.

Niedaleko wynajmował pokój w małym hotelu. Wziął prysznic, włożył czarny garnitur i czarne buty z cielęcej skóry, które bardzo lubił.

Na hotelowym parkingu stał jego mercedes. Najnowsza trzystapięćdziesiątka w kolorze szarym, która przy innych samochodach wyglądała jak niedźwiedź. Dwa miesiące temu, gdy załatwiał sprawy firmy w Warszawie, ktoś ukradł mu ten samochód sprzed hotelu. Charon wykonał tylko jeden telefon, a resztę dnia jeździł taksówkami. Gdy wieczorem wrócił do hotelu, samochód znów na niego czekał, świeżo umyty, z dwoma tysiącami złotych zwrotu kosztów i biletami na jakiś koncert w środku.

Bilety i pieniądze wyrzucił do kosza, przeprosiny jednak przyjął. Uznał, że nie będzie szukał złodzieja.

Myśląc o swojej wspaniałomyślności, wycofał z parkingu i włączył się do ruchu.

14

– Proszę opowiedzieć o tamtym wieczorze – rzekł Kruk.

Zbierała myśli. Znowu była zdenerwowana.

– O czym panie rozmawiały? – spytał łagodnie Paczulski.

– Głównie ja mówiłam – zwróciła się do niego. Mówiła już tylko do niego. – Lidia była niepewna siebie, nie najlepiej odnajdowała się wśród ludzi. Wszędzie widziała wrogów, wydawało jej się, że ludzie jej nie lubią, nie potrafiła nawiązywać przyjaźni, nawet luźne znajomości były dla niej problemem.

– Nie miała racji? Była lubiana? – spytał Kruk.

– Nie była. – Majnert lekko poruszyła ramionami. – Zrobiła dużo złego. Miała zmysł obserwacji, świetnie czytała ludzi. Wszyscy to w jakimś stopniu potrafimy, ale ona była bezbłędna.

– Co pani chce przez to powiedzieć?

– Potrafiła dostrzec to, co ludzie zwykle chcą, żeby pozostało w ukryciu. I robiła z tego użytek.

– Wciąż nie rozumiem.

– Jeśli podejrzewałby pan, że żona pańskiego znajomego ma romans, pewnie dziesięć razy by się pan zastanowił, zanim by pan to rozgłosił. Ona zastanawiała się dziesięć sekund.

Kruk uznał to za wątpliwy komplement.

– Puszczala w obieg plotki?

– Bardzo nieprzyjemne plotki i robiła to bardzo zmyślnie. Półśłówka, sugestie, właściwie trudno było jej coś zarzucić. Rozumie pan, dlaczego jej nie lubiano?

– Czy był ktoś, kto szczególnie ucierpiał i mógł żywić wobec niej nienawiść?

Zrozumiała, co miał na myśli, lecz przecząco pokręciła głową.

– Wszyscy. I nikt.

Nie spodobała mu się ta odpowiedź.

– A jak się nazywa żona mojego znajomego?

Zaczęła się zastanawiać. Może nie miała pamięci do nazwisk, ale to też nie spodobało się Krukowi. Wydawała się rozkojarzona.

– To był taki fikcyjny przykład...

– O czym mówiła jej pani na przyjęciu? – Kruk przeskoczył na inny temat.

– O nadchodzącym wernisażu. Lidka pracowała u mnie, ale praca ją nudziła. Miesiąc temu odeszła na urlop macierzyński moja pracownica, a Lidka mnie zapytała,

czy nie potrzebuję kogoś na jej miejsce. Chciała mieć własne pieniądze, co mnie zdziwiło, bo Tomasz niczego jej nie żałował. Zawsze była świetnie ubrana, uczesana, prosto od kosmetyczki... Na przyjęciu próbowałam natchnąć ją entuzjazmem do tego, co przygotowujemy.

– Co to za wernisaż?

– Nie zainteresuje pana. Wystawa prac Floriana Szymańskiego. Tego samego, którego wystawił pan za drzwi. – Kruk pokiwał głową, a Majnert mówiła dalej: – Tomasz martwił się o nią, że niczym się nie interesuje, siedzi w domu i bawi się lalkami jak dziecko.

– Bawiła się lalkami?

– Raz mu się wymyknęło, że potrafi godzinami nie wychodzić z pokoju, siedzi, bezmyślnie patrzy na lalki, czasem weźmie jakąś do rąk i dalej siedzi. Podobno to forma depresji, ale Lidka nie chciała brać antydepresantów.

– Skąd depresja?

– Mówił, że miała genetyczne skłonności.

Kruk pomyślał, że przy nim Rudzki nawet się o tym nie zająknął. Być psychiatrą i mieć żonę w depresji to jak być mechanikiem i trzymać w garażu zepsuty samochód.

– I co z tym wernisażem?

– Nawet nie starała się udawać, że mnie słucha.

– Zaobserwowała pani coś jeszcze tego wieczoru? – spytał Kruk.

– Tomasz wcześniej wyszedł, Lidka bardzo się tym przejęła. Zaczęła pić i rozmawiała z Emilem Zasadą. Pomyślałam, że Tomasz nie powinien jej zostawiać.

– Ze względu na Zasadę?

– Niepokoiłam się. Zasada to atrakcyjny mężczyzna, dla którego młoda kobieta łatwo może stracić głowę. Była nim zainteresowana. Sama przynosiła mu szampana.

– Wysługiwał się nią?

Spojrzała na niego z urazą.

– Nawet nie przyjął kieliszka. Chciał być uprzejmy i odwieźć ją do domu, ale wtedy pojawił się tamten samochód.

– Skąd pani wie, co kierowało Zasadą?

– Powiedział mi.

Kruk lekko się uśmiechnął. Zmieszała się, bo zrozumiała, jak naiwnie to zabrzmiało, więc pośpiesznie dodała:

– Mnie też odwiózł do domu. To mężczyzna z klasą, džentelmen.

A jednak nie udało jej się pozbyć z głosu cienia rozczarowania. Kruk ledwo się powstrzymał.

– Czy pani wie – odezwał się Paczulski – kim mógł być mężczyzna, do samochodu którego wsiadła Lidia Rudzka?

– Niestety nie.

– Mówiła w ogóle o jakichś mężczyznach?

– Poza Tomkiem?

– Tak.

– Nie byłam jej powiernicą. Lidia nie lubiła ludzi, mnie także nie lubiła. Kruk spojrział na Paczulskiego, który wzruszył ramionami i powiedział:

– Dziękujemy.

Kruk dał jej wizytówkę, a Paczulski natychmiast pośpieszył ze swoją.

– Pani nie mówi całej prawdy – powiedział Kruk. – Choćby żona mojego znajomego... Proszę o kontakt, jeśli przypomni sobie pani jej nazwisko.

Gdy wyszli, Kruk głęboko odetchnął powietrzem, w którym czuło się lekki zapach morza.

– Ale się na nią uwzięłeś – powiedział Paczulski przyjaźnie.

– Czego dowiedziałeś się od chłopaka? – spytał Kruk.

– Niczego ważnego. Obraz, który sprzedała galeria, miał tytuł *Okruchy szkła w naczyniu duszy*. Pokazał mi zdjęcie płótna w komórce. Podobne do całej reszty. Chłopak chce swoją kasę, to wszystko. Obiecałem, że mu pomogę, jeśli nie złoży na ciebie skargi.

– Zamierzał?

Paczulski wzruszył ramionami.

– Wiesz, jak to jest. Chcesz dobrze, upewniasz się, że kolega nie będzie miał kłopotów, a niechący podsuwasz gnojkwowi pomysły. Przesrane.

Kruk popatrzył na Paczulskiego bez specjalnego zainteresowania. Ot tak, żeby się upewnić, że nie o to mu od początku chodziło. Nie o to, żeby być blisko Kruka i go stopniowo podsrywać.

Uznał, że przyjmie zachowanie Paczulskiego za dobrą monetę i to okaże:

– Co o tym wszystkim myślisz?

– A bo ja wiem?

– Rudzki był oszczędny w wyznaniach. Zbyt zajęty pracą.

– Odpowiedzialny facet, troszczy się o pacjentów. Z powołaniem.

– Może my też musimy o nich zadbać?

– Czyli?

– Dowiedzieć się, kim są.

– Po co?

– A bo ja wiem?

– Facet ma alibi. Powinniśmy przede wszystkim odszukać Majewskiego, kierowcę audi.

– Jeśli to on siedział za kierownicą. Ale rozpląnął się z samochodem, za to Rudzki poszedł do pracy, choć zatłuczono mu żonę. Ciekawe, dla kogo się tak poświęca.

– Jak chcesz to zrobić? – Paczulski się skrzywił. – Pójdiesz do prokuratora, żeby go zwolnił z tajemnicy zawodowej? – Ściszył głos. – Czy chcesz wywieźć faceta do lasu?

– Postawmy obserwatora przed kamienicą, gdzie przyjmuje.

– Tam jest trochę mieszkań, kręci się mnóstwo ludzi, nie będziemy wiedzieli, kto idzie do niego. Ludzie nie mają wypisane na czole, że idą do psychiatry.

– Postawmy cwane obserwatora, a będzie wiedział, kto idzie do Rudzkiego, zanim jeszcze ten ktoś otworzy drzwi na klatkę.

Kruk miał dosyć i powinien pojechać do swojego mieszkania, ale zdecydował inaczej. Wrócił z Paczulskim na komendę miejską. Tam dostał jego biurko, starego laptopa z brudną klawiaturą i pliki z monitoringu z restauracji na Uphagena.

Paczulski zostawił go i pojechał do domu. Wyjaśnił, że żona czeka. Na biurku stało jej zdjęcie. Gdy już podkomisarza nie było, Kruk zapatrzył się na tę fotografię. Monika wyglądała na uśmiechniętą, spokojną, szczęśliwą. Stała na jesiennej plaży w pobliżu moła w Brzeźnie, mając zarzuconą na ramiona męską kurtkę, i trzymała w dłoniach dużą muszlę.

Siedem lat małżeństwa, pomyślał Kruk, który zdążył się dowiedzieć, że Monika i Damian byli razem od siedmiu lat. Siedem lat koszmaru... a może na początku świat był piękny i nic nie zapowiadało nadchodzącej burzy? Gotował cię powoli jak żabę, stopniowo przyzwyczajając do rzeczy, które gdyby nastąpiły znienacka, byłyby nie do zniesienia?

Odwrócił ramkę ze zdjęciem.

Włączył program do odtwarzania plików wideo w laptopie.

Obejrzał nocną scenę z parkingu przed restauracją, kiedy Lidia Rudzka czekała na taksówkę z Emilem Zasadą. Kilkakrotnie zobaczył incydent od początku do końca. Odniósł wrażenie, że Rudzka nie tylko spodziewała się białego audi, ale wręcz wypatrywała, kiedy się pojawi. Gdy to się stało, bez wahania wśliznęła się na tylne siedzenie. Kruk patrzył, jak Zasada otwiera drzwi przy kierowcy i jak odepchnięty zatacza się, a samochód odjeżdża.

Nie poczuł się mądrzejszy, gdy już obejrzał to wszystko.

Znacznie więcej czasu zajęło mu odtworzenie nagrania z przyjęcia. Restauracja nie miała kamer w salach restauracyjnych, jedynie w holu. Kruk oglądał przewijających się tam eleganckich ludzi, wśród nich kobietę w czerwonej sukni.

To była ona. Czasem z mężem, lecz zwykle sama. Przechodziła między dwiema wynajętymi salami, chyba pojawiała się częściej niż inni. A może to tylko jemu tak się wydawało, bo ona interesowała go najbardziej?

Zwłaszcza zaciekał go jeden moment. Rudzka przechodziła przez hol, ale z jakiegoś powodu tym razem zrobiła się świadoma obecności kamery.

Kruk nachylił się nad ekranem, żeby jej się przyjrzeć. Miał przed oczami wyprostowaną jak struna, piękną młodą kobietę w czerwonej sukni. Zatrzymał odtwarzanie. Wyraz twarzy zimny, lekko wzgardliwy, taki, który ma trzymać na dystans.

E tam.

Wznowił odtwarzanie. Rudzka jakby zrozumiała, że Kruk nie da się nabrać, i wyraz jej twarzy się zmienił. W jednej chwili cała pewność siebie zniknęła, jej miejsce zajęły bezradność i znużenie.

Uniosła głowę i spojrzała Krukowi prosto w oczy. Drgnął, takie to było niespodziewane. Przez moment była zmieszana, potem pojawiła się złość. Pokazała mu język. Ta dziecinna demonstracja – Kruk nie miał pojęcia, co miała znaczyć – jednak nie ucieszyła Lidii Rudzkiej. Miał wrażenie, że zbiera jej się na płacz.

Ponownie nacisnął pauzę, patrzył na nią i zastanawiał się, o czym wtedy myślała.

Wciąż miał ją przed oczami, kiedy wracał samochodem do domu. Nie zapadła jeszcze noc, trwał wrzesień, lecz dni i tak zdawały się nie mieć końca.

W mieszkaniu zjadł szybką kolację. Przez chwilę usiłował oglądać telewizję. Postaci polityków przesuwały się po ekranie. Wyłączył telewizor.

Twarz Lidii Rudzkiej znowu pojawiła mu się przed oczami.

Położył się do łóżka. Od dawna żył sam, ale zawsze kładł się tylko na jednej, tej samej stronie dużego łóżka. Nawyk mężczyzny przyzwyczajonego do obecności kobiety. Jeden z tych uporczywych nawyków, których trudno się pozbyć.

No to spróbował się go pozbyć. Przesunął się na środek pościania. Leżał na plecach i patrzył w sufit rozświetlony cieniami światła sączącymi się przez okno, na które nie zaciągnął rolet.

Był zmęczony, ale nie potrafił zasnąć. Trwał w stanie pośrednim między snem a jawą. Wydawało mu się, że cały czas czuwa, dopiero jedno czy drugie gwałtowne wybudzenie, które wstrząsało jego ciałem, uświadamiało mu, że jednak zapadał w sen.

Kobiety z nim nie było, ale jakaś kobieta mu się śniła. Niewyraźna postać, nie potrafił jej rozpoznać. Zbyt szybko znikwała.

O szóstej rano zwłókł się z łóżka i stanął przy oknie. Był ledwo przytomny. Z wysokości siódmego piętra patrzył na budynki i ulice Przymorza.

Świat jest do dupy, pomyślał.

Szkoda.

Bo w głębi duszy czuł, że mógłby być wspaniały.

Rano nie pojechał do miejskiej, tylko do siebie na komendę. Marcin Zych miał kilka pytań w związku z innymi sprawami, które Kruk prowadził. Towarzyszył im Paweł Lalkarz. Pochylali się nad aktami w biurze Marcina, gdy zadzwonił Paczulski i poinformował Kruka, co było na odprawie.

Skonfrontowano portret pamięciowy kierowcy audi sporządzony w oparciu o pamięć Zasady ze zdjęciem Cezarego Majewskiego, które policja z Zamościa zabrała z jego mieszkania podczas przeszukania. Nie było wątpliwości, że portret i zdjęcie przedstawiały tego samego człowieka, ale i tak z samego rana ponownie wezwano Zasadę i okazano mu zdjęcie Majewskiego pośród kilkunastu innych.

Wytypował bezbłędnie.

Kruk skończył rozmawiać, a Marcin uniósł brwi.

– Miło, że cię informuje. Jak wam się współpracuje?

– Świetny policjant, ma tylko małą wadę. Katuje żonę.

Marcin rozsiadł się wygodniej, odchylając do tyłu oparcie krzesła i zakładając ręce na piersi. Czubki palców złożył razem, tworząc z palców daszek.

– W pracy to nie przeszkadza.

– Ani trochę.

– Ludzie, którzy nas otaczają, skrywają wiele tajemnic. Sami mamy tajemnice.

– No i co?

Marcin patrzył podejrzliwie.

– Dołączyłeś do śledztwa, tylko czy ono cię w ogóle obchodzi? Zatluczono na śmierć kobietę, a ty bardziej interesujesz się koleżanką z pracy.

– Tamta już nie żyje, może poczekać.

Ciche westchnienie, Marcin znowu pochylił się nad papierami.

– Monika uważa – rzekł Kruk – że Paczulski jest nietykalny i nie da się go ruszyć.

Sprawdzę to.

– Jak?

– Ruszę go.

– I tyle?

– Zobaczymy, skąd nadejdzie odwet.

– My zobaczymy? – Marcin dwukrotnie uderzył końcówką pióra w biurko. – To znaczy ty i kto?

– Przede wszystkim ty, bo siedzisz z nas trzech najwyżej. Jak ktoś z góry zacznie

się do mnie dobierać, to twoimi rękami.

Marcin ponownie postukał piórem o blat, tym razem znacznie szybciej.

– Ona mówiła ci w czerwcu o układzie. Nie ma żadnego układu. Układ jest taki jak wszędzie: wzajemne sympatie, antypatie, zależności, podsrywania i ambicje. Czasem solidarność zawodowa, choć tej mało. Za to dużo polityki. To tyle. Nie całujemy się nawzajem w upierścienione dłonie.

Kruk przymrużył oczy, aby ukryć rozbawienie.

– Siedzisz z nas trzech najwyższej, ale może nie dość wysoko.

– Albo układ ma charakter bardziej płaski i prywatny – odezwał się Paweł Lalkarz. – Lub też w ogóle nie ma żadnego układu, jest tylko zastraszona kobieta.

– To policjantka, inteligentna policjantka, policjantka od zwierzeń – powiedział Kruk. – Jeśli ją tłukł, a ona siedziała cicho, może robiła tak nie bez powodu.

– Może to, może tamto. – Marcin wyprostował się. – Do roboty, panowie.

Nie skończyli szybko. Gdy Kruk wychodził z gabinetu Marcina, czuł się zmęczony jak po całym dniu. Pewnie przez tę ciężką noc.

Przy schodach wpadł na Monikę Paczulską, jakby od jej powrotu z urlopu świat nie chciał pozwolić, by Kruk o niej zapomniał. Wyminęła go, wchodząc na górę. Dogonił ją.

– Porozmawiajmy – powiedział.

Przyśpieszyła kroku, usiłując mu uciec.

– Monika...

– Śpieszę się.

Poszedł za nią na górne piętro, choć niemal biegła, żeby się od niego uwolnić. I pewnie by pobiegła, gdyby nie ludzie na korytarzu.

Ale to był pierwszy raz od jej powrotu z urlopu, kiedy mógł z nią porozmawiać sam na sam, i nie zamierzał odpuścić. Dwóch policjantów w mundurach odwróciło się w ich stronę, zainteresowanych jej ucieczką i pościgiem Kruka.

To ją otrzeźwiło. Zatrzymała się i uśmiechnęła do komisarza.

– Zostaw mnie – poprosiła.

– Nie.

– Nie mieszaj się w życie innych.

– Cały czas to robię. Ty też.

– Nie mieszaj się w moje życie.

Znowu ruszyła w kierunku swojego gabinetu, tym razem spokojnie. Mundurowi stracili zainteresowanie.

Kruk pomyślał, że jest idiotą. Goni za nią po korytarzu jak dzieciak, a jeśli Paczulski się o tym dowie, Monika może za to zapłacić.

Powinien odpuścić, nie narażać jej. A jednak szedł za nią aż pod same drzwi jej gabinetu.

Tam odwróciła się do niego.

– Jest dobrze – powiedziała, zaciskając drobne zęby.

- Nieprawda.
- Jest dobrze – powtórzyła. – Nawet jeśli kiedyś było źle, to przeszłość.
- Co chcesz mi wmówić?
- Chcę, żebyś zostawił mnie w spokoju.
- Monika...

Nerwowo zmagala się z zamkiem w drzwiach gabinetu, zanim zrozumiała, że drzwi nie były zamknięte na klucz. Otworzyła je i chciała wśliznąć się do środka, zostawiając Kruka na korytarzu. Nie pozwolił na to. Chwilę siłowali się z drzwiami, po czym Monika je puściła, cofnęła się do wnętrza i uniosła otwarte dłonie.

Patrzyła na niego wzrokiem, który oskarżał. Jakby przewaga fizyczna Kruka, przez którą nie potrafiła się od niego uwolnić, skierowana była przeciwko niej. Miała taki wyraz twarzy, jakby coś istotnego udowodniła.

Kruk poczuł się fatalnie.

- Proszę – powiedział.
- Odejdź.
- Mogę ci pomóc. Zaufałaś mi, zawiodłem, ale to jeszcze nie koniec.
- Mam nadzieję, że koniec. Nie chcę twojej pomocy. Nie potrzebuję jej. Jest dobrze, nie zepsuj mi tego.

Było w jej głosie coś, co nim wstrząsnęło.

Przez chwilę nie miał pojęcia, co zrobić.

Czekała, żeby sobie poszedł. Skinął głową, zrobił krok w tył, lecz wciąż przytrzymał otwarte drzwi.

Patrzyła to na niego, to na drzwi. Na sekundę w jej twarzy coś się pojawiło. Coś, co znał.

- Nikt nie może mi pomóc – powiedziała cicho.

Odwróciła się w stronę swojego biurka. Wydała z siebie cichy krzyk, stanęła w miejscu i powiedziała:

- Kim pani jest?

Kruk też dopiero ją dostrzegł. Za biurkiem Moniki siedziała kobieta, a właściwie pólężała, lekko skulona, z głową na boku, zaplatając ręce wokół siebie, jakby tuliła nieistniejące dziecko. Musiała być niewysoka, bo zza tego biurka niemal nie było jej widać.

Nieśpiesznie się wyprostowała. Olbrzymi krwiał całkiem zasłaniał prawe oko. Na jej twarzy widniały rany i zadrapania częściowo tylko wygojone, a także kilka sporych siniaków.

Potrząsnęła głową, sprawiała wrażenie zaspanej.

– Krystyna Bielińska – odezwała się zachrypniętym głosem. Odchrząknęła. – Sierżant Krystyna Bielińska.

- Co pani tu robi?
- Kazali mi przyjść.
- Kto?

– Tacy tam, co się o mnie troszczą. Podpadłam paru dilerom. – Dotknęła koniuszkiem palca swojej twarzy i przymknęła zdrowe oko w pobłażliwym grymasie. – Szef kazał mi się zgłosić, mam otrzymać pomoc psychologiczną, żebym się nie rozsypała.

Kruk trochę ją znał, nie przepadała za nim, lepiej znał jej męża. Operacyjna. Pracowała pod przykrywką, skoro jednak dilerzy się za nią zabrali, to już się skończyło.

Monika znów była spokojna.

– Oczekiwałam pani dzisiaj, ale jak pani tu weszła?

– Drzwi były otwarte.

– Naprawdę?

– Nudziło mi się na korytarzu.

– Włamała się pani?

– Nie, ale jeśli mam być szczerą, to cały czas każą nam ćwiczyć. – Bielińska roześmiała się głośno, wychyliła się zza biurka i spojrzała na Kruka. – A ten co? Naprzykrza ci się?

– Nie, pani Krystyno. Komisarz właśnie wychodził.

– Widziałam, aż się nie może doczekać. Mów mi Kriss, nazywał mnie tak handlarz, który mi to zrobił. – Wskazała krwiak przesłaniający oko. – Strasznie jesteś młoda i ładna. Nie mam zaufania do ładnych lasek, one nic nie wiedzą o życiu. – Oparła się łokciami o biurko i znowu wychyliła się w stronę Kruka. Zawładnęła gabinetem Moniki, czuła się jak u siebie. – Cześć, Kruk.

Skinął głową.

– Słuchaj, nie stój jak kołek, zamknij te drzwi. I pamiętaj, na korytarzu też jest ładnie.

Monika na moment odwróciła głowę w jego stronę. Ich spojrzenia się spotkały.

Kruk pomyślał, że nic tu po nim. Cofnął się o kolejny krok i lekko pchnął drzwi. Patrzył, jak skrzydło się przesuwają, zmiernając w kierunku futryny.

– Zamienimy się miejscami, Kriss? – usłyszał jeszcze głos Moniki.

– Jasne, to przecież twój gabinet.

Drzwi się w końcu zamknęły.

Jacek Wolny stał przy regale z książkami w gabinecie Tomasza Rudzkiego i przeglądał *Le Roman de la Rose* Guillaume'a de Lorrisa i Jeana de Meunga w twardej oprawie. Stał tak od dobrych dziesięciu minut. Rudzki dwukrotnie próbował do niego zagadać, ale został zignorowany.

Wreszcie Wolny odłożył książkę na półkę, rozparł się na kanapie i wpadł w zadumę. Potem uniósł głowę i cmoknął, wykrzywiając przy tym jedną stronę twarzy.

– Kiedyś musiałem dostać wszystko, czego chciałem, nie przyjmowałem odmowy.

Był niskim, sześćdziesięciokilkuletnim mężczyzną z okrągłą łysiną na czaszce. Nosił krawat i wełnianą kamizelkę, to go wyróżniało.

– Co by pan zrobił kiedyś, gdybym tak jak teraz nie zechciał sprzedać panu tej książki? – spytał Rudzki.

Wolny znowu się zamyślił.

– Nie sądziłem, że znajdzie pan dla nas czas – odezwał się, nie odpowiadając na pytanie. Gdy nie chciał odpowiadać, po prostu tego nie robił.

Rozmowy z nim były dla Rudzkiego trudne.

– To dlatego nie przyszli państwo wczoraj?

– Słyszeliśmy, co się stało. Bogna była pewna, że jej sesja się nie odbędzie. Powiedziałem jej, że wtedy by pan zadzwonił, ale ona myślała, że w pana sytuacji mógł pan o tym zapomnieć. – Wolny pogroził Rudzkiemu palcem. – A pan czekał na nas jak zwykle. Biznes jest najważniejszy, też tak uważam. Kobiety nie potrafią tego zrozumieć.

Rudzki od siedmiu lat prowadził terapię żony Wolnego. Wcześniej zajmowało się nią wielu innych psychiatrów i psychologów. Nie potrafiła dojść do siebie po śmierci syna.

Wolny zawsze jej towarzyszył. Za każdym razem w ciągu tych siedmiu lat. Przyprawdzał ją i czekał w przedpokoju. Po każdej sesji ochroniarze odprowadzali ją do domu, a on zostawał wysłuchać psychiatry. Zwykle Wolny milczał, dowiadywał się, co mówiła żona, w jakim jest stanie, po czym wychodził. W ostatnich miesiącach, gdy zaczęły się jego kłopoty w biznesie, Rudzki go zagadnął, zamienili kilka słów, i odtąd Wolny zaczął zostawać dłużej.

Rozmawiał z Rudzkim o swoich problemach, a raczej głośno myślał, czasem tylko zwracając uwagę na to, co miał do powiedzenia psychiatra. I nie miał zamiaru płacić.

Rudzki nie ośmielił się wystawić rachunku.

– Co mówi policja? – spytał Wolny.

– Nic nie wiedzą.

– W mediach trąbią, że policja szuka człowieka w białym audi, z którym pańska żona odjechała w nocy. Zostawił pan ją samą wśród obcych? Gdzie pana poniosło?

Rudzki szukał słów, żeby odpowiedzieć, ale Wolnemu nie zależało na odpowiedzi.

– Nie należy zostawiać kobiety bez opieki. Powinien pan najpierw odwiedzić ją do domu.

Rudzki poczuł złość, że ten facet go poucza. Zaraz się jednak zaniepokoił, że to po nim widać.

– Nie powinienem tego mówić. – Wolny pokręcił głową. – To dlatego, że jestem zły. Te skurwysyny ciągle koczują pod moim zakładem.

To było tyle, jeśli chodzi o zdolność Wolnego do przejęcia się czyimś losem. Rudzki już dawno zdiagnozował go jako psychopatę, ale nie na tyle sprytnego, żeby umiał skutecznie udawać normalność. Prawdopodobnie kiedyś, gdy Wolny nie prowadził legalnego biznesu, mogła to być zaleta. Taki brak uczuć musiał być dla jego wrogów przerażający.

– Policja nie chce pomóc?

– Pieprzyć policję. – Pozory oglądy odpadały z Wolnego, gdy cokolwiek układało się nie po jego myśli. – Demonstracje są podobno legalne i nie zakłócają pracy zakładu. Akurat. Skurwysyny zaczepiają mi pracowników, zachęcają do sabotażu.

– To dzieciaki, chcą dobrze, troszczą się o środowisko.

Rudzki pożałował swoich słów, jeszcze zanim dokończył zdanie. Odezwał się, żeby cokolwiek powiedzieć.

O dziwo, Wolny zareagował spokojnie.

– Moje zakłady spełniają restrykcyjne normy. Mam wszystkie pierdolone zezwolenia i atesty. A oni protestują właśnie u mnie. Gdybym chciał kogoś wykończyć, zrobiłbym dokładnie tak samo, wysłałbym skurwysynowi ekologów, żeby się z nimi boksował.

– Pan wciąż powtarza, że ktoś to panu robi celowo. Widziałem te dzieciaki w telewizji. To idealisci.

– Sami nie wiedzą, że komuś służą. Moi ludzie przeświełają już prowodyrów. Kurwa, te dzieciaki wydzierają się pod moją firmą, nosząc trampki klejone klejem, który w tej firmie robimy. – Wolny umilkł, potrząsnął głową. – Ekolodzy to zaledwie początek. Będzie gorzej.

– Może pan się myli.

– Ten facet, który chce kupić budynek... Powiedział, że będą odbierać mi wszystko po kolei. Aż zgodzę się sprzedać. – Odetchnął, jego skupiona twarz nagle się zrelaksowała. – Powinienem wywieźć go do lasu i zrobić z nim to, co zrobiono z pana żoną, ale to tylko pionek, za którym stoi ktoś mocniejszy. Poza tym już tak nie działałam.

Rudzki poczuł się tak, jakby go uderzono w twarz.

W towarzystwie tego człowieka zawsze czuł niepokój. Wolny bez przerwy powtarzał, jak się cieszy, że może prowadzić legalne interesy i płacić podatki. I że kiedyś był inny, ale się zmienił. Rudzki zbyt długo pracował w zawodzie i zbyt wielu ludzi usiłował zmienić, by w to wierzyć. Ludzie się nie zmieniają.

– Jeśli nie dam im tego, czego chcą, w końcu mnie będą chcieli wykończyć.

– Co im to da?

– Wszystko dziedziczy po mnie żona. Ale ona jest słaba i nie należy do tego świata. Pan najlepiej o tym wie.

– Pana nie tak łatwo zabić, prawda?

Wolny z powagą pokiwał głową.

– Nie tak łatwo – przyznał. – Ale da się zrobić. Obserwuje się człowieka, poznaje jego zwyczaje, miejsca, w które regularnie jeździ, ludzi, z którymi się spotyka. W końcu można podłożyć materiał wybuchowy w jednym z takich miejsc. Na przykład u jakiegoś psychiatry, którego tamten odwiedza. – Wolny popatrzył z groźbą. – Myślę o tym pana pomysle, żebym przepisał budynek na córkę.

Rudzki uniósł ręce w obronnym geście.

– To nie mój pomysł, on zdaje się być pański. Jestem psychiatrą, nie znam się na biznesie.

– Bez fałszywej skromności, doktorze. To dobry pomysł i coraz częściej się nad nim zastanawiam. Kinga od lat podróżuje po świecie, ma mocną ochronę, bez przerwy zmienia nazwiska. Nie dostaną jej, nawet jeśli dostaną mnie.

Rudzki poczuł ekscytację, którą natychmiast zdusił, aby Wolny tego nie zauważył.

– Mówiłem już panu o niej? – spytał Wolny. – To świetna dziewczyna... kobieta. Jest podobna do mnie, nie ma wad i słabości.

– Niebezpiecznie jest myśleć o kimś, że nie ma wad.

– Racja, doktorze. Mów tak dalej, a pewnego dnia zacznę ci płacić nie tylko za gadanie z moją żoną. – Chwilę się nad czymś zastanawiał. – Może i ma wady. Chyba o tym wspominałem.

– Mężczyźni.

Wolny skrzywił się z niechęcią. Wstał, zaczął spacerować po gabinecie. Jego wzrok zatrzymał się na książce, którą oglądał na początku wizyty. Tej, której Rudzki nie zgodził się mu sprzedać.

– Ma słabość do młodszych facetów. Kupuje ich sobie w barach, żeby ją zapewniali, jak bardzo ją kochają. – Wciąż wpatrywał się w książkę, jakby go hipnotyzowała. – Ale jest kobietą i marzy, żeby spotkać takiego, który nie będzie kłamał. Marzy o tym i boi się, że mogłaby się w takim zakochać. Głupie, nie sądzi pan?

– O to też mnie pan pytał.

– Pytam pana o wiele rzeczy, tylko nie wiem, czy odpowiedzi są coś warte.

Wolny wyjął tamtą książkę z regału, przekartkował i schował do kieszeni spodni.

Starzy mężczyźni o ogorzałych twarzach niedawno zeszli z podium dla orkiestry. Pod prowizorycznym dachem restauracji na świeżym powietrzu między stolikami zapadła cisza wczesnego poranka, zakłócana z rzadka przez pijacki okrzyk któregoś z ostatnich z gości.

Kinga Wolny przyglądała się młodemu mężczyźnie, który odprowadzał z parkietu towarzyszkę, odbywszy z nią popis samby bez muzyki. On był gorący, młody i zmęczony odchodzącą nocą. Ona mogłaby być jego matką i była tak pijana, że brak muzyki zupełnie jej nie przeszkadzał.

Kinga pociągnęła ze szklanki *caipirinhe*, do której tutaj dodawali niewiarygodnie dużo lodu.

Nie miała wesołych myśli. Nie miała wesołych myśli od dawna.

Wkrótce osiągnie trzydzieści osiem lat. Za dwa lata dobieje do czterdziestki. Ta myśl doprowadzała ją do szaleństwa. Usiłowała obliczyć, ile dokładnie dzieli ją od dnia urodzin i czy powinna obchodzić je według czasu polskiego, czy brazylijskiego, była jednak zbyt znużona na tego rodzaju rachunki. Dawno nie spędziła nocy na samotnym wysiadaniu w knajpie i obserwowaniu, jak bawią się inni. To ją jeszcze bardziej przygnębiło.

Tamten chłopak bardzo jej się podobał, choć nawet na nią nie spojrzął, zajęty nadskakiwaniem ubranej na biało kobiecie. Mówiła po angielsku z niemieckim akcentem i Kinga obstawiała dwie możliwości. Pierwsza była taka, że chłopak żył z tego, że dotrzymywał towarzystwa samotnym turystkom.

Druga możliwość – starsze od niego kobiety go podniecały.

Kinga westchnęła i napiła się drinka. Miewała takie fantazje. Młody przystojny mężczyzna zakochuje się, bo widzi w niej coś, czego brakuje mu w młodych dziewczynach...

Wielki facet w czarnym garniturze pojawił się nie wiadomo skąd i nachylił się do jej ucha.

- Przyszedł Tiro i jego ludzie.
- Przypadek?
- Dużo tych przypadków.

Mężczyzna w czarnym garniturze oddalił się. Był najwierniejszym psem jej ojca, zawsze blisko niej, zawsze z nią w drodze. Opiekował się nią, chronił, czujny i widzący rzeczy, które jej umykały. Nazywała go Wielkim Maciejem, bo był wielki, no i tak miał na imię.

Tiro właśnie pojawił się przy barze. Wysoki, zabójczo przystojny, czego nie niweczył strzaskany przez kulę prawy policzek, pamiątka po strzelaninie. Wołano na niego „Zastrzelony”, bo zdaniem niektórych miejscowych nie uniknął wtedy śmierci i wrócił jako upiór.

Rozejrzał się po sali, odchylił połę skórzanego płaszcza, odsłaniając pistolet przy pasku. Miał przy sobie dwóch przybocznych nieodstępujących go na krok. Jeden z nich, szczupły, z wątym wąsikiem, wyjął z rąk wychodzącego zza baru kelnera tacę z drinkami, przeznaczoną dla kilku przysypiających przy stolikach par. Kelner ani pisnął i wrócił za bar.

Tiro i jego ludzie wychylili drinki, żegnając w ten sposób noc lub witając dzień. Kinga, odkąd pamiętała, zwykle widziała ich pijanych. Tiro udał, że dopiero ją zauważył, skinął głową i przyglądał jej się spod przymkniętych powiek.

Skinęła na Wielkiego Macieja.

– Daję głowę, że przyszedli nas sobie pooglądać – powiedział Maciej.

Z Tiro pierwszy raz zetknęli się przed trzema tygodniami na targu, kiedy uchronił Kingę przed kradzieżą pieniędzy i dokumentów. Kieszonkowiec wyszarpnął jej torebkę i rzucił się do ucieczki, a wtedy wyrósł przed nim Tiro i potężnym uderzeniem pięści zwałił z nóg. Potem nad złodziejem pochylił się ten chudzielec z wąsikiem. Rękę miał uzbrojoną w kastet. Bił tym kastetem w twarz tamtego, a krew pryskała dookoła. Ludzie uciekali, krzyczeli, odwracali głowy. Jedyne Kinga patrzyła na to do momentu, aż złodziej przestał się ruszać.

– Później. Teraz – Kinga wskazała młodego mężczyznę u boku Niemki – zaprosz go do mojego stolika.

Stolik Kingi stał w rogu sali oddalony od reszty. Wiedziała, że Wielki Maciej specjalnie jej taki wybrał. Zapomniany stolik w zapomnianej przez Boga restauracji, w zapadłej mieścinie na prowincji, do której przenieśli się na jego nalegania z São Paulo, cudownego miasta, gdzie uczyła się nowych tańców i wspaniale się bawiła. Tłumaczył, że chodzi o względy bezpieczeństwa, ale ona wiedziała, że nie tylko o to. W São Paulo miała zbyt wielu młodych mężczyzn i Maciej zaczynał tracić nad nią kontrolę.

Stolik obok niej stał pusty, gdy tu przyszli, z tabliczką RESERVADO. A potem tabliczka zniknęła, za to zasiadł przy nim ten chłopak z Niemrą. Jeśli więc miała mieć daleko do innych, to tego akurat miała pod nosem.

– Zdaje się, że jest zajęty.

– Powiedz, że postawię mu droższego drinka.

Wielki Maciej stał nieruchomo, aby wyrazić dezaprobatę. Gdy to nie zadziało, podszedł do chłopaka, który usiłował wykrzesać uśmiech na twarzy kobiety w bieli.

Maciej klepnął go w ramię i skinięciem kazał iść za sobą. Nie żywił szacunku do zigołaków.

Tamten posłuchał i chwilę rozmawiali. Maciej nie wykonał żadnego gestu, ale chłopak odwrócił się, spojrzął na Kingę i uśmiechnął się.

Maciej chwycił go za twarz i powiedział coś ostro. Twarz chłopaka zrobiła się

zacięta, szarpnął się, Kinga wyczytała z jego ust kilka brazylijskich przekleństw. Pomyślała, że Maciej zrobił to specjalnie.

Ale chłopak znowu na nią spojrział i znowu się uśmiechnął, po czym ignorując Macieja, ruszył w jej stronę.

Bezceremonialnie wpakował się na krzesło obok i wyciągnął do niej rękę.

– Miło cię poznać, senhora – odezwał się łamaną angielszczyzną z wyraźnym akcentem. – Jestem Antonio.

Oczywiście, że jesteś Antonio i nie podajesz nazwiska, pomyślała. Jesteś Antonio, Valentin, Claudio... wszystko mi jedno, jak masz na imię, bo poznałam już wszystkie imiona, jakie noszą tacy jak ty.

On ją nazwał senhorą. Oby okazywał w ten sposób szacunek i nie chodziło mu o jej wiek.

– Czego się napijesz, Antonio?

– O nie, senhora, podszedłem się tylko przywitać. Jestem z tamtą senhorą. – Skierował wzrok na Niemkę, która spoglądała na nich spode łba, popijając piwo z wysokiej szklanki. Na jej twarzy malowało się znużenie, odejście Antonia raczej nie zepsuło jej humoru. Wydawała się za to mocno spięta ze swoim piwem.

– Zostaw tę pijaną zdzirę i bądź ze mną. Ze mną będzie ciekawiej.

– Och, senhora, chciałbym, ale dziś należę do tamtej senhory, choć mówi, że jestem nudny i nie potrafię zabawić kobiety.

– A nie potrafisz? – spytała Kinga. – Nie jesteś wart moich pieniędzy?

– Nie wiem, senhora, ale bardzo się staram. Tamta senhora lubi pić zmrożone piwo i lubi mówić, że jestem do niczego. Byłem z nią całą noc, a teraz muszę położyć ją spać i położyć się spać razem z nią.

Jego gadanie rozbawiło Kingę. Chłopak był przystojny, chciała zaryzykować. Wzrokiem przywołała Macieja.

Antonio potraktował to jako zakończenie rozmowy i podniósł się, żeby odejść.

– Zostań – powiedziała ostro. – Załatwimy tę sprawę.

Nie musiała nic tłumaczyć. Maciej podszedł do Niemki i zaczął mówić. Taksowała go wzrokiem, wydeła usta i skinęła głową. Maciej podał jej banknoty. Usiłowała wcisnąć je do torby wiszącej na oparciu krzesła, ale część banknotów wysypała się na podłogę. Nie dbała o to. Uwiesiła się na Macieju. Ledwie utrzymywała równowagę, lecz potrafiła włożyć mu język do gardła z zadziwiającą precyzją. Nie przeszkadzało jej, że jest stary, albo po prostu tego nie zauważyła.

Kinga parsknęła śmiechem. Ona też zaczynała czuć wypity alkohol.

– Kupiłam cię – powiedziała do Antonia, który obdarzył ją olśniewająco radosnym uśmiechem. – Dałam za ciebie dolary i sporo żywego towaru.

– Musisz być bardzo ważna, senhora, skoro masz ochroniarza.

– Jestem ważna, a ty jesteś mój. Lepiej, żebym była z ciebie zadowolona.

– Sim, senhora. – Pochylił głowę i skinął na kelnera. – To ja też się napiję.

– Pij, Antonio. Pij i bądź zabawny. – Włożyła mu rękę pod koszulę. Miał twarde mięśnie, takie, jakie lubiła. – Pij, Antonio – powtórzyła. – Potem połóż mnie spać

i połów się spać razem ze mną. Mam małe łóżko i będziesz musiał położyć się na mnie.

– Sim, senhora – zapewnił ją Antonio. – Położę się na tobie bardzo ładnie.

Kątem oka Kinga dostrzegła, że Tiro wciąż przygląda się jej z rogu sali. Bezcelnie wyszczerzył do niej lśniące białe zęby. Jak wtedy, na targu, kiedy zwrócił jej ukradzione pieniądze i dokumenty.

Pamiętała, jak ją sobie wtedy oglądał, kawałek po kawałku. Skrzywił się, widząc w jej uszach tanie plastikowe kolczyki, ale wzrok mu się rozjaśnił, gdy podała mu dłoń ciężką od złotych pierścionków. Wielki Maciej wiele razy przestrzegał ją przed obnoszeniem się z biżuterią, a ona zbyt często go ignorowała.

Tamtego dnia czuła od Tiro woń alkoholu, gdy pokazywał jej odznakę policji cywilnej i mówił, że zawsze jest do jej usług.

Dziś nie potrzebowała jego usług.

Zajmował ją Antonio.

20

Gdy Kruk dotarł na komendę miejską, Paczulski wyglądał na zadowolonego. Kruk zastanowił się, jak zetrzeć mu to zadowolenie z twarzy, ale w tym temacie nic konkretnego nie zaświtało mu w głowie.

– Miałeś dobry pomysł z tą obserwacją Rudzkiego – powiedział Paczulski.

Kruk polecił obserwatorowi, aby zwracał uwagę na ludzi, którzy będą naciskać najniższy przycisk domofonu. Widać zadziałało.

Przed Paczulskim leżała teczka z aktami. Pchnął ją przez stół do Kruka.

– Poznajesz?

Kruk rzucił okiem.

– No i co?

– Przyszedł do Rudzkiego z żoną. Ona po godzinie poszła, on pozostał kolejną godzinę. Może bawi się w Tony’ego Soprano.

Kruk patrzył w milczeniu. Jacek Wolny: haracze, wymuszenia, porwania, broń, narkotyki. Facet popełnił każde przestępstwo, jakie dało się popełnić. Nigdy za żadne nie odpowiadał, także dlatego, że większość popełnił rękami innych ludzi. Ta teczka była zaledwie drobną częścią materiałów, jakimi dysponowała policja. Archiwum pękało od akt na jego temat, choć na razie na nic się nikomu nie przydały.

– No i co? – powtórzył Kruk.

– Żartujesz? Po co założyłeś Rudzkiemu obserwację, jeśli nie dla takich rzeczy? Obserwator od razu poznał, z kim ma do czynienia.

– Więc obserwator musi być emerytem. Wolny dawno się wycofał.

– Mówią, że się zestarzał. – Paczulski powoli uniósł wzrok, w którym pojawiło się coś nieprzyjemnego. – Udajesz, że to nie ma znaczenia?

– Co?

– Żona psychiatry zostaje zabita. Psychiatra zadaje się z niebezpiecznym przestępcą.

– Z biznesmenem. Wolny to od dawna legalny biznesmen.

– Pewnie. Legalny. Chcesz pogadać z nim za moimi plecami?

Kruk lekko zacisnął szczęki.

– Po co z nim gadać? Po co za plecami?

– Nie wiem. A po co wróciłeś do Rudzkiego?

– Ty to masz o sobie mniemanie.

Paczulski zabrał teczkę, zamknął ją.

– Czyli co? Wolnego zostawiamy?

– Dalej obserwujmy Rudzkiego. Może zadaje się jeszcze z kimś ciekawym. Na spotkania z tymi, o których wiemy, przyjdzie czas.

Paczulski się zastanowił.

– Zrobimy, jak sobie życzysz.

Zaczął mówić o poszukiwaniach Majewskiego i jego samochodu, ale Kruk się wyłączył. Słyszał coś ostatnio w radio o Wolnym. Facet zainwestował swego czasu w zakłady chemiczne i wybudował je w uroczym zakątku na Kaszubach, przy okazji wycinając kawał lasu. Wtedy nie mówiło się o tym zbyt dużo, jakby nikomu to nie przeszkadzało, ale widać nagle zaczęło przeszkadzać i ekologowie koczowali pod bramą fabryki. Komisarz niespecjalnie śledził bieżące wiadomości, na nazwisko Wolny reagował jednak z czujnością.

Wolałby obchodzić tego faceta z daleka. Osobiście zetknął się z nim tylko raz, jeszcze jako młody policjant, gdy porwano Wolnemu syna. Jacek Wolny na pewno Kruka nie zapamiętał, bo Kruk nie był wtedy na tyle ważny, by choćby pozwolono mu odezwać się do świadka.

Ale zapadł Krukowi w pamięć. Dziwny to był człowiek. Odpychający. Młody Kruk miał wrażenie, że facet jest śliski, patrzy na ludzi, jakby wydawał wyroki, a w jego uśmiechu, na który pozwalał sobie rzadko, kryła się groźba.

Kruk uznał, że Wolny nie ma uczuć.

A on to udowodnił. Nie podjął rozmów o uwolnienie syna. Nie nagiął się do żądań. Nie zapłacił okupu.

Z policją, która zaoferowała pomoc, nie chciał rozmawiać, i wszystkie te spotkania, w których Kruk biernie uczestniczył, na nic się zdały.

Syn ostatecznie powrócił do Wolnego.

Odsyłano mu go przez kilka tygodni z sadystyczną regularnością.

Kawałek po kawałku.

Kruk był już pod swoim pokojem na komendzie, gdy zadzwoniła komórka.

– W poczekalni spotkałem kogoś, kto na ciebie czeka – usłyszał w aparacie głos Pawła Lalkarza.

– Dobra. – Kruk rozłączył się i cofnął do poczekalni.

Nikogo tam nie zastał, dyżurny był zajęty, więc Kruk oddzwonił do Pawła, który odparł:

– Nie dałeś mi dokończyć. Zabrałem panią do nas, żeby nie marzła.

W pokoju zastał Magdę Majnert. Siedziała na brzegu krzesła, ściskając w dłoniach torebkę, lekko zaczerwieniona słuchała opowieści Lalkarza o tym, jak Kruk świetnie się zna na obrazach Malczewskiego.

– Dlaczego Malczewski? Pani sprzedaje sztukę nowoczesną, Pawełku – mruknął, wchodząc. – Dzień dobry.

– Dzień dobry. – Nie wstając, podała mu rękę. – Malczewski to mój ulubiony malarz, nie wiedziałam, że także pański.

Ja też nie wiedziałem, pomyślał Kruk, ale tylko się uśmiechnął. I nie do niej, lecz do Pawła. Miał nadzieję, że wyszedł mu dość paskudny uśmiech.

Usiadł za biurkiem i spojrzał pytająco.

– Czy moglibyśmy... – Zaczerwieniła się trochę mocniej i spojrzała przeproszająco na Pawła. – Czy moglibyśmy porozmawiać w cztery oczy?

Na Pawle nie zrobiło to wrażenia, natomiast Kruk oznajmił:

– Sprawdzę, czy mamy wolny pokój.

– Nie trzeba. – Paweł wstał. – Mam coś do załatwienia. – I już go nie było.

– Pański kolega jest bardzo miły.

– O co chodzi, pani Magdo?

– Za to pan nie jest miły.

– Czemu pani przyszła?

Chwilę siedziała w milczeniu.

– Powiedzieć całą prawdę.

– Nie chcę tego słuchać.

Miała jasne oczy, które zrobiły się nagle ogromne, a ona nakryła je pięknymi rzęsami.

– Naprawdę chcę powiedzieć...

– Coś pani chce powiedzieć, w końcu po coś pani przyszła.

Bardziej czerwona być już nie mogła. Chwyciła torebkę, zbierając się do wyjścia.

Jednak nie wychodziła. Siedziała na tym biednym krześle, na którym siedziało przed nią tylu innych ludzi, i nikogo to nie uszczęśliwiło. Była ładną kobietą, lecz kształt bruzd policzkowych dowodził, że uroda nie oszczędziła jej smartwień.

– Przepraszam, ale ta sprawa z panem Szymańskim wytrąciła mnie wczoraj z równowagi. Nie mogłam zebrać myśli, a pan zachowywał się tak, że mi tego nie ułatwił.

Kruk wcale nie był pewien, czy chodziło o Szymańskiego. Z równowagi wytrąciły ją pytania o sprzedaż obrazu Rudzkiemu.

– Co pani wie?

– Dręczy mnie to, ale tak naprawdę nie wiem, czy to mógł być on – powiedziała.

– Kto? – Kruk starał się być cierpliwy.

– Niech pan posłucha. Chyba ostatnio pojawił się przy Lidii mężczyzna.

– Chyba?

– No dobrze, pojawił się. Dużo starszy od niej, ale coś w sobie miał, przystojny...

– Czemu pani zaprzeczyła, gdy pytaliśmy o to ostatnio?

– Nie zaprzeczyłam. Powiedziałam, że nie jestem jej powiernicą. I rzeczywiście nie jestem. Nie mówiła mi o nim.

– Zapytam inaczej: czemu pani odpowiedziała wymijająco?

– Ten mężczyzna nie mógł zrobić jej krzywdy. Nie wiem, jak się poznali, bo nie pojawiał się w galerii, ale podpatrzyłam kilka razy, jak czekał na nią, gdy wychodziła. Ciemnowłosa, szczupły, niewysoki, czarujący, delikatny...

– Ciemnowłosi nie robią krzywdy? – zainteresował się Kruk, a gdy spojrzała na niego z wyrzutem, spytał: – Wie pani, jak się nazywa?

– Nie. Ale nazywał ją swoją laleczką.

– Laleczką?

– Tak. Laleczką. I obsypywał komplementami.

– Pani też lubi, jak się panią nazywa laleczką?

– Ona lubiła. Mówił, że jest podobna do swojej lalki, choć tego na pierwszy rzut oka nie widać. Ma stronę piękną i brzydką, ale on kocha obie.

Kruk zastanowił się, o której lalce z pokoju Lidii Rudzkiej mogła być mowa.

– Co jeszcze do niej mówił?

– Użalał się nad nią, że musi pracować, choć jej mąż śpi na pieniądzech.

– Dbał o nią – pochwalił Kruk, ale nie odpowiedziała, nawet na niego nie spojrzała. – Co jeszcze pani o nim wie?

– Mam swoje słabości, byłam ciekawa. Ale nie aż tak ciekawa. To wszystko.

– Poznałaby go pani, gdyby go pani zobaczyła?

– Myślę, że tak. Na pewno.

– Dobrze – powiedział Kruk spokojnie jak do dziecka. – A teraz niech pani wydusi z siebie prawdziwy cel tej wizyty.

– Lidka mnie okradła.

Krukowi zachciało się ziewać. Nie w reakcji na jej słowa, tylko przez tę nieprzespaną noc. Z trudem się powstrzymał. Majnert mogła nie zrozumieć.

– Proszę mówić dalej.

– Pan miał rację, w piątek Tomek kupił u nas... u mnie obraz. Chciał ożywić swój gabinet. Zapłacił gotówką, a w Lidkę jakby piorun strzelił. Mamy szufladę zamykaną na klucz. W piątek było za późno, żeby wpłacać pieniądze do banku, a nie miałam ochoty jeździć z taką kwotą po wpłatomatach. Złożyłam pieniądze w tej szufladzie. Podebrała mi klucze i zabrała pieniądze.

– Ile?

– Czterdzieści tysięcy. Były tam jeszcze dwa tysiące od innego klienta. Tych nie ruszyła.

– Jak wyglądały pieniądze, które wzięła?

– Nie rozumiem.

– Jakie nominały? Upchała je pani do woreczka czy poskładała na kupkę?

Spojrzała na niego niepewnie.

– Cztery pliki banknotów stułotowych spiętych recepturkami. Tomek wypłacił je ze swojego konta tuż przed wizytą w galerii.

Kruk nie miał już ochoty ziewać. W sejfie Rudzkiej też leżało czterdzieści tysięcy. Także ozdobionych gumkami recepturkami.

Wypłacone z banku. Ale w bankach do spinania banknotów mają banderole.

– Zadzwoiłam do niej. Nie wypierała się. Powiedziała, że nie pozwoli, by Tomaszek – tak go nazywała – wydawał pieniądze na drogie obrazy, że nie odda pieniędzy i że bym sobie zabrała z powrotem obraz. Powinien wydawać pieniądze na nią.

– Co pani dalej zrobiła?

– Biłam się z myślami. Nie chciałam mówić Tomkowi, miałam nadzieję, że Lidka się opamięta. Rozmawialiśmy na przyjęciu. Nie miała zamiaru zwracać pieniędzy.

– Mówiła pani, że Rudzki niczego jej nie żałował.

– Tak mi się zawsze wydawało. Przepraszam, że nie powiedziałam o tym wszystkim wczoraj. Nie powinnam milczeć i wcale nie chciałam.

– Nie powinna pani.

– Dlatego zdecydowałam, że powiem o wszystkim pana koledze.

Kruk ruchem brody wskazał puste miejsce po Pawle Lalkarzu.

– Pawłowi?

– Podkomisarzowi Paczulskiemu. To człowiek, który budzi zaufanie.

Kruk wyciągnął z kieszeni legitymację służbową. Pobawił się nią, a Majnert mu się przyglądała. W końcu pstryknęła w nią palcami.

– Tu nic nie ma o Paczulskim – warknął. – Tu jest napisane: Kruk.

– Chciałam powiedzieć o tym tylko jednej osobie, jednemu policjantowi. Wydało mi się, że dzięki temu zrobię, co należy, i w jakiś pokrętny sposób zachowam dyskrecję. Może uzna mnie pan za głupią, ale rozmowa w cztery oczy zawsze ma inny

wymiar.

Kruk nie uznał jej za głupią, za to go zaciekała.

– A jednak przyszła pani do mnie.

– Zadzwoiłam do tamtego policjanta, a on... – Umilkła, jakby zapadła w zadumę.

– A on co?

– Umówiliśmy się za godzinę na spotkanie. – Spojrzała na mały zegarek na rękę. – Nie miałam co ze sobą zrobić, więc pojechałam do parku Reagana. Sopot jest piękny, ale mam tam za dużo znajomych. Zawsze jeżdżę na Przymorze, kiedy mi ciężko i chcę być sama. W poniedziałek, gdy nie mogłam dać sobie rady z tym, że Lidka nie żyje, też się tam udałam. Płakałam. W parku był pewien mężczyzna z kobietą. Kobieta była radosna, mężczyzna smutny. Uświadomiłam sobie nagle, że go nie poznałam, gdy go spotkałam ponownie.

Zapadła cisza.

– Ja poznałem panią od razu.

– Dziwne, że potrafił pan stać się z miejsca taki nieprzyjemny.

Wspomnienie spotkania w parku coś między nimi zmieniło. Nie byli już całkiem obcymi sobie ludźmi, którzy obsadzali rolę policjanta i świadka.

Widzieli się oboje w chwili słabości.

A ona właśnie uznała, że nie będzie udawać, że tego nie było.

Rozległ się dźwięk komórki Kruka. Sprawdził. Dzwonił Paczulski. Jeśli chciał poskarżyć się Krukowi, że Majnert go wystawiła, to mogło poczekać. Jeśli chciał czegoś innego, to też mogło poczekać.

Majnert usiadła wygodniej na tyle, na ile pozwalało to cholerne krzesło, nie trzymała już kurczowo torebki.

– Śmierć Lidii Rudzkiej poruszyła panią.

Na jej twarzy odbiły się uczucia, tylko że Kruk nie potrafił rozpoznać, jakie były. Za to rozpoznał coś innego. Aby się upewnić, nachylił się ku niej niby po to, by uważniej jej słuchać, i tak pozostał.

– Było mi jej strasznie żal. Taka młoda, na swój sposób piękna, myślę, że była też mądra, też na swój sposób, choć starała się, jak mogła, żeby nikt tego nie zauważył. Marzyła o wszystkim, ostatecznie nie dostała nic.

– Co to znaczy, że nie dostała nic?

– Nic, co ma znaczenie. Była nieszczęśliwa.

– A co ma znaczenie?

Leciutko pokręciła głową.

– Nie wiem, co miało znaczenie dla niej, ale najwidoczniej tego nie dostała.

Kruk zastanowił się, czy Majnert na pewno mówi o zmarłej. Ludzie rzadko dostawali to, co miało dla nich znaczenie, a nawet gdy tak się działo, nie uszczęśliwiała ich to, przynajmniej nie na długo.

Usiadł prosto. Zyskał pewność, którą chciał.

– Proszę powiedzieć mi o niej więcej.

– To straszne, co się stało. Znajomi, którzy byli na przyjęciu, dzwonią do siebie i dzielą się informacjami, podejrzeniami... Gubią się w domysłach, czyj to był samochód, kto ją zabrał... – Uniosła wzrok, szukając czegoś w twarzy Kruka. Może to znalazła, może nie. – Myślę o tym, co Lidka mi powiedziała, gdy ją zatrudniałam. Rozmawialiśmy, dlaczego w ogóle zamierza pracować. Odparła, że nie chce być dłużej maskotką potwora. Nie, użyła innego słowa, bardziej emocjonalnego, ale taki był wydźwięk.

– Mąż był tym potworem?

– Zaśmiała się, gdy ją zapytałam. Odparła, że nie, że jest jedynie żaloszny. – Zmarszczyła brwi. – Wciąż ucieka mi to właściwe słowo.

– O kim mówiła? – Wzruszyła ramionami, nic nie powiedziała.

– Znaleźliśmy pieniądze, które pani zgubiła – rzekł Kruk. – W sejfie Lidii

Rudzkiej.

Zamyśliła się. Potem podniosła głowę.

– Dobrze. Muszę zapłacić panu Szymańskiemu.

– Trochę potrwa, nim je pani odzyska. To nie są szybkie sprawy. Będzie pani musiała udowodnić, że należą do pani.

Zaakceptowała to. Właściwie niewiele ją to obeszło.

– Jeśli coś panu powiem w tajemnicy, czy jej pan dochowa?

– Niestety nie po to chcę informacji, by je zakopać pod ziemią.

– Więc sama nie wiem. Bo nie chodzi o informacje, bardziej o odczucia.

– Niech pani zaryzykuje szczerość.

– A co, jeśli nie podobają mi się własne myśli, a jednak wypowiem je na głos?

– To właśnie jest szczerość. Proszę mi wierzyć, nie ma w niej nic fajnego.

Twarz Magdy Majnert złagodniała.

– Napiałabym się czegoś mocniejszego. – Widząc reakcję Kruka, uśmiechnęła się z wysiłkiem. – Chciał pan szczerości.

– Możemy gdzieś wyjść.

Nie podjęła tematu.

– Krążą plotki... – Spojrzała na niego z wahaniem.

– Wiem, plotki są złe – powiedział. – Nie powinna pani ich powtarzać. Chyba że rozmawia pani z policją.

Na umęczoną twarz Majnert wypłynął cień uśmiechu.

– Tomasz Rudzki lubi otaczać się pięknymi kobietami. Ale jego żony miały wiele romansów. Bardzo wiele.

– Plotki bywają okrutne.

– Nie o to chodzi. To są fakty. Plotki mówią o tym, że on czasem sam je stręczył. – Po tym wyznaniu rozluźniła się trochę.

– Stręczył? – Kruk pomyślał, że nie bez powodu ledwie tolerował faceta.

– Ma dobre maniery, ale nie nazwałabym go dżentelmenem. Jeśli czegoś chce, nie bierze pod uwagę innych.

Kruk pokiwał głową, żeby zaznaczyć, że słucha.

– Uwielbia luksus, jest ambitny. Plotki mówią, że tak sobie zjednywał przychylność ludzi, na których mu zależało.

– Przyjaciół... Tylko co to za przyjaciele. No właśnie. – Spojrzała na nią.

Zapatrzyła się gdzieś przed siebie.

– Lidka je rozpuszczała. Te plotki o nim...

– Więc nie robiła wyjątków. Pani wspominała, że rozpuszczała plotki o wielu ludziach.

– Znam Tomka dziesięć lat. Ma swoje wady, ale to dobry psychiatra. Właśnie tak go poznałam: miewałam epizody depresji i szukałam wsparcia. Czasem wciąż szukam. Wielu psychiatrów odsyła znajomych, on nie. Chyba pomagał każdemu, kogo znam. Myślę, że przez to, że nie potrafi odmawiać.

– Teraz to pani go zdiagnozowała.

– Lidka nigdy nie czuła się do końca na swoim miejscu pośród znajomych Tomasza i rekompensowała to sobie w ten sposób.

– Czy Lidia zrobiła pani coś złego?

– Dlaczego pan tak sądzi?

– Mam wrażenie, że pani ją oskarża i broni zarazem.

W oczach Majnert pojawił się nieokreślony cień.

– Obiecałam prawdę – powiedziała. – Rok temu się rozwiodłam.

Kruk czekał.

– Wspomniały wieczór, dużo wina, przyjaciół męża, który też wypił za dużo. Oboje popełniliśmy wtedy największy błąd naszego życia. Nie umieliśmy potem z tym żyć, żadne z nas. Myślę, że było to po nas widać. A Lidia miała dobre oko, spostrzegła, że coś się między nami dzieje. Miała niezwykłą wrażliwość. Niewiarygodną intuicję.

– Pojawiły się plotki? – spytał Kruk.

Fikcyjna żona mojego znajomego, pomyślał.

– Tak, pojawiły się plotki.

– Zniszczyła pani małżeństwo, a pani ją zatrudniła w galerii?

– Małżeństwo to jeszcze nie życie, panie komisarzu. I to nie ona je zniszczyła.

Zapadła cisza.

– A więc tak wyglądał świat, gdy patrzyło się jej oczami – powiedział Kruk.

Spojrzała z namysłem na zegarek, jakby nie chodziło jej o godzinę, potem pytająco na niego.

– Dzień jeszcze długi – rzekł. – Muszę panią o coś poprosić.

Niechętnie się zgodziła. Kruk mógł jej okazać zdjęcia, ale wtedy załatwiliby to zbyt szybko, a nie chciał, żeby odchodziła. Wezwał telefonicznie grafika, czekali na niego dwadzieścia minut. Rozmawiali o obrazach Malczewskiego. Potem grafik według wskazówek Magdy Majnert sporządził portret pamięciowy ciemnowłosego człowieka, który przychodził po Lidie.

Siedzieli pochyleni nad ekranem komputera. Grafik w pewnej chwili spojrzał na Kruka i zmarszczył brwi. Kruk lekko pokręcił głową.

Gdy portret pamięciowy był gotowy, Kruk w końcu okazał jej zdjęcia. Po chwili wahania wskazała zdjęcie Majewskiego.

Magda Majnert była już wtedy bardzo zmęczona.

– Przypomniałam sobie – powiedziała, wstając. – To słowo, które mi wciąż umykało. Lidia mówiła, że ucieka od bestii.

23

Miała w ruchach coś miękkiego, coś, czemu nie mógł się oprzeć.

– Odprowadzę panią.

– Dlaczego? – Uniosła wzrok. Może już czuła podstęp.

– To komenda policji, osoby postronne nie mogą tu sobie urządzać samotnych spacerów.

Nie wiedział, czy mu uwierzyła, choć powinna. Sprowadził ją na dół, wyszli na zewnątrz, niemal nie rozmawiając. Pogoda była ładna. Idealna na spacer we dwoje.

– Jak pani tu przyjechała? – spytał.

– Mam samochód pod PZU. – Machnięciem ręki wskazała kierunek.

– Tak daleko?

– Nie wiedziałam, czy znajdę bliżej miejsce. Do widzenia.

– Podejdę z panią.

– Nie trzeba.

– Żaden problem.

W jej oczach przeczytał czujność i coś jakby wahanie.

– Po co pan to robi?

– Wyświadczam pani przysługę. Podejźmy pod auto, pani wsiądzie za kierownicę, odpali silnik i ruszy. Wtedy panią zatrzymam, wezwę patrol, poczekamy na badanie alkomatem... – Kruk zrobił nieokreślony ruch ręką.

Zmieniła się na twarzy, w jej oczach zamigotał gniew.

– Nie jestem pijana...

– Pewnie, że nie. Po prostu coś tam pani sobie chlapnęła na odwagę przed wizytą na komendzie.

Odgarnęła włosy z czoła gestem, który miał zająć ją na kilka sekund. Czasem każda sekunda się liczy, gdy człowiek myśli, co zrobić.

– Mam trudny czas... – zaczęła, ale urwała, a w jej oczach znów pojawił się gniew. – Pan to nazywa przysługą.

– Może nie zabije pani nikogo w drodze do domu.

Ruszyła chodnikiem, usiłując się od niego uwolnić.

– Pani Magdo – powiedział, a gdy nie zwróciła na to uwagi, powiedział głośniej: – Przecież nie będę za panią biegł jak szczeniak.

Zatrzymała się w pobliżu podziemnego przejścia dla pieszych, obejrzała się przez ramię.

Kruk zbliżył się bez pośpiechu, podczas gdy ona czekała.

– Chodźmy.

W tunelu straszły ich graffiti. Milczeli.

– Jak to się robi? – spytał Kruk, gdy znów wyszli na światło dzienne.

– Co?

– Jak pije się w trakcie dnia. W pracy.

– Służą do tego małe buteleczki kolorowej wódki. Sto mililitrów, idealne do torebki. Są wszędzie: w Żabce, Biedronce, Lidlu, w każdym spożywczym w mieście. To ważne, żeby nie kupować zbyt często w tym samym sklepie. Sprzedawcy i tak patrzą oskarżycielsko, gdy dorzucasz buteleczkę do bułek o ósmej rano.

– Małpki z Żabki – powiedział Kruk, patrząc przed siebie.

Tani dowcip, ale ją rozbawił. Minęli Bramę Wyzynną, wkrótce skręcili w prawo. Majnert podeszła do czerwonego renault clio. Samochód stał w cieniu rzucanym przez przeszklony budynek Zakładu Ubezpieczeń Społecznych. Kruk poczuł się staro, bo pamiętał czasy, gdy mieścił się tu Bank Gdański.

– Co teraz? – spytała, patrząc mu w twarz z wyzwaniem, a gdy wzruszył ramionami, dodała: – Zrobi pan to?

– Chce się pani założyć?

– Owszem. Chętnie bym pana sprawdziła.

Kruk uśmiechnął się i spojrzeli sobie w oczy.

Chciał coś powiedzieć, ale powstrzymała go niespodziewanym i gwałtownym gestem.

– Błagam, nie! – Jej wzrok stwardniał, usta zacięły się w kreskę. – Niech pan nie mówi, żebym wzięła taksówkę. Niech pan nie proponuje, że ostatecznie może mnie zawieźć do domu, żebym nie musiała zostawiać samochodu.

– Dlaczego nie? – spytał Kruk grzecznie. – Wróciłbym na piechotę. Lubię długie spacerować.

– Nie jestem zainteresowana.

– W porządku. – Kruk dzielnie przyjął odmowę. – Więc niech pani weźmie taksówkę.

– A może pożegnamy się i pan sobie pójdzie. Uznamy, że wiem, co robię, i nie potrzebuję opieki.

– Pani Magdo...

Z budynku PZU wyszły trzy kobiety. Jedna z nich wyciągnęła z torebki kluczyki z brelokiem renault, ściągnęła brwi i zatrzymała się przed stojącą przy samochodzie Majnert. Przeszła na chodnik i uśmiechnęła się do Kruka, a potem kobiety wsiadły do clio i odjechały.

– Do widzenia, komisarzu Kruk – powiedziała Magda Majnert.

Ruszyła w stronę Targu Drzewnego. Kruk może powinien czuć się jak głupiec, ale się tak nie czuł. Świat pełen jest nieinteresujących ludzi i przyjemnie jest dla odmiany spotkać kogoś interesującego. W dodatku gdy ten ktoś tak się wdzięcznie porusza.

Patrzył za nią i czuł, że się sam do siebie uśmiecha.

A potem przestał się uśmiechać. Do Majnert podszedł mężczyzna. Wziął ją pod łokieć w taki sposób, że było oczywiste, że robi to nie pierwszy raz. Rozmawiali. Ona wykonała lekki ruch głową, on poszedł za tym gestem i dostrzegł Kruka.

Patrzyli sobie w oczy. Facet był równie wyluzowany i spokojny jak podczas wizyty na komendzie.

Dość szybko Kruk przestał go interesować. Poprowadził Majnert do porsche na parkingu za budynkiem Teatru Wybrzeże. Ruszając, facet musiał jednak wciąż myśleć o Kruku, bo nie obyło się bez demonstracji: pisku opon i gwałtownego przyśpieszenia.

Kruk miał to w dupie.

Chciał mieć.

W oknie samochodu dojrzał rozświetloną twarz Magdy Majnert i poczuł smutek.

Majnert zatrudniła Lidię. Żal do dziewczyny minął, może zastąpiła go wdzięczność.

Majnert była wolna.

I widać, że z tej wolności korzystała.

Olivier Charon nałożył na głowę wysoki kapelusz i wszedł do pokoju, w którym leżała Alicja. Tym razem byli z nią rodzice. Pochyleni siedzieli przy łóżku, usiłując zasłonić dziecko przed cieniami, które na nie padały.

Alicja przywitała Charona słabym uśmiechem. Kątem oka zauważył, że działała pompa infuzyjna, dozująca do krwi dziewczynki morfinę.

– Pan Kapelusznik...

– Dzień dobry, Alicjo. Czy też masz wrażenie, że dzień jest dziś szalony?

– Bardzo mnie boli...

Podszedł cicho do łóżka. Matka Alicji, wysoka kobieta o twarzy, jaką mają czasem anioły na nagrobnych pomnikach, ścisnęła mu dłoń, witając się z nim i dziękując jednocześnie. Podobała mu się. Chętnie by ją przeleciał, gdyby się trochę otrząsnęła z żałoby nad żywą jeszcze dziewczynką.

Pogłaskał kciukiem wierzch jej dłoni i odrobinę zbyt długo nie puszczał palców, ale ból zbyt ogłuszał matkę, by to do niej dotarło.

– Suseł i Marcowy Zając znów nie przyszli... – odezwała się cicho Alicja.

– Przyjdą.

– Zawsze pan tak mówi. Nigdy nie przychodzą.

– Przyjdą, obiecuję. Może przyjdą... jutro?

Alicja się ożywiła. Zamglone oczy zaśniły.

– Jutro?

– Jeśli twoi rodzice się zgodzą.

Jej wzrok poszybował w stronę matki, która pokiwała głową, szczęśliwa, że jest coś, co może zrobić dla córki, choćby było to tylko skinięcie, a potem opadł na ojca. Jerzy Gambarski podniósł się ciężko z przysuniętego do łóżka krzesła. On też podał Charonowi rękę i poprosił, aby wyszli na korytarz.

– Co to będzie? – spytał głosem płynącym z podziemi, gdzie mieścił się jego świat.

– Niespodzianka.

– Jaka?

– Jeśli powiem, to już nie będzie niespodzianka.

– Niespodzianka ma być dla niej, nie dla mnie.

Charon pomyślał, że niespodzianka będzie dla wszystkich.

Gambarski pytał, jakby jeszcze się troszczył, ale cała jego postawa wskazywała na

to, że się poddał. Jakby zapadł w półsen i mechanicznie wypowiadał wyuczone słowa. Troszczył się, ale nie wierzył, że jest o co się troszczyć, bo wkrótce i tak miało się stać najgorsze.

Jeszcze cię obudzę, pomyślał Charon.

– Pana córka cierpi. Jeśli zaczniesz pana prosić, pan się złamie i wszystko zepsuje. Wiem, jak to jest. Wiem, jak reagowali moi rodzice.

– Pańscy rodzice?

– Miałem siostrę. Chorowała, byłem wtedy dzieckiem, i pamiętam, jak się zachowywali, zanim odeszła.

Gambarski podniósł na niego wzrok. Były w nim rozpacz i wyrzut, że Charon przypomina mu o tym, co musi się stać. Ale i tak się stanie, pomyślał Charon, i nic na to nie poradzisz.

– Dlatego został pan wolontariuszem?

Charon skinął głową. Ta śmierć cię zniszczy, pomyślał. Zniszczy twoją żonę. Nie będziesz już potrzebował tego, co wciąż jeszcze cenisz. Dlatego ci to zabierzemy. Nie, nie dlatego. Zabralibyśmy ci to i tak.

– Dobrze – odparł Gambarski. – Ale będę tutaj, żeby nad nią czuwać.

Musisz tu być, pomyślał Charon.

Bez ciebie nic się nie uda.

Znaleziono samochód Majewskiego. Jakiś grzybiarz zgłosił porzucone białe audi ze śladami krwi na masce stojące w lesie pod Gdańskiem, na drodze między Otominem a Sulminem. Przyjechała policja z Pruszcza, sprawdzono numery i od tego momentu nie odstępowano samochodu na krok.

Zwłaszcza że otworzono bagażnik.

Gdy nadjechali policjanci z Gdańska i była wreszcie możliwość, by rozejrzeć się w pobliżu, znaleziono wiszącego na gałęzi człowieka. Gałąź była nisko, człowiek częściowo leżał uwieszony na pasku od spodni.

Kruk przebiegał się przez miasto w stronę obwodnicy. Gdy oddzwonił do Paczulskiego, podkomisarz wyjaśnił mu dokładnie, gdzie należało przyjechać.

Paczulski miał czas. Opowiedział Krukowi, że otrzymali od operatorów sieci komórkowej dane o położeniu komórek Rudzkiej i Majewskiego w ostatnich dniach. W świetle logowań do masztów dało się ustalić, że obie komórki logowały się przy Uphagena wtedy, gdy audi podjechało po Rudzką. Razem przejechały miasto, zalogowały się przy zjeździe na obwodnicę, a od mniej więcej dwunastej trzydzieści pięć w nocy na trzy godziny znieruchomiały gdzieś w podotomińskim lesie. O trzeciej trzydzieści dziewięć ruszyły obwodnicą w kierunku Warszawy, po czym wróciły do lasu i tam zastygły na zawsze.

– Komórki to jeszcze nie ludzie – mruknął Kruk.

– Jasne, że nie. Komórki to komórki, żyją własnym życiem. Kochają, mają dzieci, myślą o przyszłości. Czasem żyją dłużej niż ludzie. Te akurat pojechały na grzyby, a potem dały się zwinąć w samochodzie Majewskiego.

Gdy Kruk dojechał, na miejscu byli wszyscy, którzy być powinni, łącznie z prokuratorem i technikami.

Mężczyzna został odcięty i położony przy samochodzie. Miał na sobie czarne dżinsy i kurtkę. Leżał spokojnie, obojętny na poruszenie, którego był przyczyną. Ciemnowłosa, szczupły, niewysoki, zapewne kiedyś także czarujący i delikatny.

Pętlę wisielczą wykonaną z paska do spodni obcięto zgodnie z zasadami. Kruk spojrział do bagażnika samochodu. Było tam trochę krwi, którą ktoś usiłował nieudolnie zetrzeć szmatą, była ta szmata, torebka Rudzkiej, była zakrwawiona lalka w tyle bagażnika. Wszystko tu było, co tylko prowadzący to śledztwo policjant mógł sobie wymarzyć, z wyjątkiem narzędzia zbrodni.

Kruk zwrócił uwagę na rękę mężczyzny. Podeszedł bliżej, przykucnął i oglądał ją sobie, ale jej nie dotykał.

– Prawa dłoń – usłyszał nad sobą głos Paczulskiego. – Bo lewa jest śliczna i dziewicza. Może znajdziemy na niej nie tylko jego krew.

Knykcie ręki mężczyzny były całkiem rozbite i zakrwawione. Jakby uczestniczył w walce na pięści i używał przy tym tylko tej jednej ręki. Albo jakby bił w coś długo i mocno. Na przykład w głowę kobiety.

Na prawym rękawie Kruk też dostrzegł ślady krwi. Poza tym kurtka była czysta. Komisarz podniósł się i spojrzął na drugą rękę. Bez obrażeń.

– Jak długo nie żyje?

– Szacujemy, że dwie, trzy doby. Czemu nie odbierałeś telefonu?

Kruk zastanowił się, jak to rozegrać. Uznał, że rozegra jak pensjonarka i postawi na szczerłość.

Powoli odwrócił się do Paczulskiego.

– Miałem spotkanie z Magdą Majnert, tą z galerii.

Zobaczył napiętą twarz, która na jego oczach zaczynała się odprężyć.

– Dzwoniła do mnie – rzekł Paczulski. – Mieliśmy się spotkać, ale wynikły te sprawy i zapomniałem o niej. Przyszła do ciebie?

– Aha.

– Czego chciała?

– Tego, czego chcą takie jak ona. Pokoju na świecie.

Gapili się na siebie. Potem Kruk grzecznie streścił Paczulskiemu rozmowę.

– Jakies ślady, że ktoś mu pomagał w podróży na tamten świat? – Kruk ruchem brody wskazał zwłoki.

– Nic nie wskazuje. Może miał wyrzuty sumienia.

Kruk odruchowo chciał zapytać, czy ktoś coś widział. Nie zapytał. Zadarł głowę, spojrzął na korony drzew ponad nimi. Las był kiepskim świadkiem.

Podszedł prokurator, przywitał się z Krukiem, wymienili uprzejmości. Komisarz dowiedział się, że w bagażniku znaleziono trochę czerwonych włókien, być może będą pasować do materiału, z jakiego wykonana była sukienka Lidii Rudzkiej. Prokurator poszedł.

Telefony komórkowe leżały w schowku samochodu. Rudzkiej pewnie zabrano telefon po tym, jak wsiadła. Kruk znowu spojrzął do bagażnika. Prawdopodobnie Lidia Rudzka zginęła właśnie tutaj.

Komórką zrobił kilka zdjęć wnętrza bagażnika. Upewnił się, że ma dobre ujęcia lalki. To była szmacianka, o ile się na tym znał, choć znał się słabo. Kruk drgnął, bo lalka miała przerażająco ludzką twarz, choć częściowo zniszczoną.

– Te pieniądze, które znaleźliśmy u Rudzkiego – odezwał się do Paczulskiego. – To się łączy. Chłopak w galerii był wściekły, bo Majnert mu nie zapłaciła. Nie zapłaciła, bo Lidia Rudzka ją okradła.

– Rudzki zaczął oszczędzać na żonie?

– Poszła do pracy wbrew jego woli, chciała mieć własne pieniądze. Potem okradła Majnert. Widocznie potrzebowała więcej pieniędzy i uważała, że ma prawo je sobie

wziąć, skoro płacił nimi jej mąż. Nie ruszyła dwóch tysięcy, które nie należały wcześniej do niego.

Dwóch techników podeszło do zwłok i zaczęło pakować je do czarnego plastikowego worka.

Patrząc na straszliwie zmienioną twarz martwego mężczyzny, Kruk zastanawiał się, czy naprawdę on ją zabił. Przez moment miał wrażenie, że skądś go zna. Ona była młoda i piękna, on czarnowłosa i delikatny. Dlaczego skończyli w ten sposób?

Mężczyzna nie rozwiązał jego dylematu. Technik zasunął zamek błyskawiczny worka, zasłaniając mu twarz.

Do wieczora pojawiły się nowe informacje.

Funkcjonariuszom, którzy analizowali zapisy kamer monitoringu miejskiego z nocy z soboty dziesiątego na niedzielę jedenastego września, udało się uchwycić na kilku kamerach audi Majewskiego. Samochód pojawił się na alei Zwycięstwa, potem na alei Armii Krajowej. Na obwodnicę wyjechał na węźle Karczemki, co zgadzało się z logowaniami telefonów Rudzkiej i Majewskiego.

Zakrojone jeszcze przed znalezieniem zwłok Majewskiego działania poszukiwawcze przyniosły rezultaty. Zgłosił się menedżer hotelu w Pruszczu Gdańskim, gdzie Majewski wynajmował pokój. Podczas przeszukania nie znaleziono nic interesującego, ale hotelowy monitoring potwierdził, że Lidia Rudzka była w tym pokoju dwa razy w ciągu ostatnich trzech tygodni. W piątek rano Majewski opuścił hotel, nie zwolnił jednak pokoju.

Kruk chciał prześledzić dalsze poczynania jego komórki w dokumentach uzyskanych od operatora sieci komórkowej, ale wkrótce po opuszczeniu hotelu telefon Majewskiego przestał logować się do nadajników.

Włączył się dwa razy w sobotę o dziesiątej pięć i trzynastej dwadzieścia pięć, aby wykonać kilkunastominutowe połączenia z komórką Lidii Rudzkiej. I wreszcie wrócił na stałe o dwudziestej pierwszej pięćdziesiąt gdzieś przy Hallera.

Tam, o godzinie dwudziestej trzeciej trzydzieści osiem, nawiązała z nim połączenie komórka Rudzkiej.

A więc Majewski czekał. Czekał na ten telefon, gotowy w ciągu kilku minut podjechać pod Remzo.

Kruk wrócił do domu późno i zjadł kolację. Ciało miał zdrętwiałe od ciągłego napięcia. Nie wiedział, co to powoduje. Może chodziło o to, że myślał nad sprawą, myślał o Paczulskim. Myślał o tym, że zajmuje się sprawami innych ludzi, bo nie ma własnych.

Myślał o tym wszystkim, nie mógł przestać. Wyjął notes i przeglądał notatki. Nie było ich wiele.

Myślał o tym, czy Rudzki mógł znać kod otwarcia sejfu żony albo czy wiedział o jego wadzie konstrukcyjnej. Może zainstalował taki marny sejf specjalnie, aby dać żonie poczucie prywatności, a jednocześnie mieć dostęp do jej tajemnic.

Facet był psychiatrą, różne psychologiczne sztuczki mogły mu przyjść do głowy. Możliwe jednak, że Kruk był nadmiernie podejrzliwy, bo nie polubił faceta. Rudzki wiedział o skradzionych pieniądzach? A jeśli wiedział, to co z tego?

Wreszcie Kruk miał dość. Należało jakoś zatrzymać potok myśli. Wyjął z zamrażalnika butelkę wódki Chopin. To ponoć niezła wódka i kupił ją niedawno, bo podobała mu się butelka. Trochę kosztowała, ale i tak ją kupił. Właściwie to kupił ją właśnie dlatego. Nie pił dużo, więc uznał, że kiedy już zapragnie się napić, powinien wypić coś dobrego.

Podaruj sobie odrobinę luksusu, zadźwięczała mu w głowie reklama mydełka Fa sprzed kilku wieków.

Usiadł, podziwiając skraplającą się butelkę, ale jej nie otwierał. Nagle dopadło go zmęczenie. Może w ogóle jej nie otworzył.

Przeniósł się na kanapę, wszedł w galerię telefonu i zaczął przeglądać fotografie. Przyglądał się zdjęciom lalek z pokoju Lidii Rudzkiej. I tej lalki z bagażnika samochodu. Niektóre młode kobiety tak mają. Śpią z pluszowymi zabawkami jeszcze po ślubie. Niektóre mają inaczej, bawią się lalkami i noszą je ze sobą w torebce.

Ewa, jego była, powiedziała kiedyś, że oczywiście czuje się dorosłą kobietą, ale wciąż jeszcze lubi kolor różowy.

Zamknął galerię. Było późno, to nic. Odnalazł wizytówkę zabraną z gabinetu Rudzkiego i wybrał numer.

– Kruk – powiedział. – Czy pańska żona miała jeszcze jakąś lalkę oprócz tych z jej pokoju?

Miał przed oczami wolne krzesło, w które wpatrywały się oczy innych lalek.

– Często nosiła jedną lalkę w torebce. Miała swoją ulubioną.

– Jak wyglądała?

Cisza w słuchawce, a potem słaby głos:

– Połowa twarzy zdeformowana, zniszczona.

– Przyglądał się pan – stwierdził Kruk i się pożegnał.

Przymknął oczy, przysypiał oparty o poduszki. Z pierwszego snu wyrwało go piknięcie telefonu. Przyszedł SMS. Krukowi przemknęło przez głowę, że nie powinien go otwierać.

Otworzył. Nie SMS. MMS. Zdjęcie z jego mieszkania. Zupełnie go to nie zdziwiło, jakby na to czekał. Na groźbę wyrażoną za jego pomocą.

Przeskanował w pamięci swoje rozmowy z Paczulskim. Która z nich mogła go rozwścieczyć?

Nie, pomyślał. Nie dlatego to przysłał.

Poczuł lekkie ukłucie, bo zrozumiał, że to Monika mu powiedziała o dzisiejszym spotkaniu z Krukiem. O tym, jak Kruk proponował jej pomoc. Spotkanie z nią za jego plecami – to było coś, co go musiało poruszyć.

Zdjęcie było takie, jakie już raz Kruk dostał, w czerwcu, kiedy pomocnik pewnego adwokata też użył go jako groźby. Monika naga na łóżku Kruka, w obscenicznej pozycji, z więzami na rękach i nogach uniemożliwiającymi ucieczkę. Przerażona twarz, te sine od bicia nogi całkiem odsłonięte przed fotografem.

Ale to zdjęcie różniło się – i to znacznie.

Ktoś, kto je przysłał, nie życzył sobie, by Kruk oglądał Monikę nagą. Intymne

miejsca były zasłonięte czarnymi prostokątami, niczym w jakiejś zajawce porno, gdzie trzeba podać numer karty kredytowej, żeby się pozbyć cenzury. Ktoś, kto przysłał to zdjęcie, chciał dać coś Krukowi do zrozumienia. Ale chronił te widoki, które należały tylko do niego.

Jeśli Kruk zastanawiał się, co się stało z tymi zdjęciami, to teraz już wiedział. Paczulski w jakiś sposób je zdobył. Kruk pewnie nigdy się nie dowie, jak to się stało. Może było to dla tamtego trudne, może nie.

Ale chciał, żeby Kruk się dowiedział, że je posiada.

„Nikt nie może mi pomóc”, powiedziała Monika.

Pokręcił głową, jakby ona tu siedziała, a on chciał ją do czegoś przekonać. Choć może miała rację.

Nie miała. Istniała osoba... jedna osoba na całym świecie, która mogła jej pomóc.

Jedna.

Jedyna.

Kruk wstał, zgarnął wódkę ze stołu i wyszedł z domu.

Salomon za młodu był bandziorem, ale z tym skończył. Czasem jest tak, że zły człowiek trafia na wkurwionego anioła, zmienia swoje życie i robi się dobry. Grzecznie kończy zarzuconą edukację, zdobywa wykształcenie i pływa na statkach jako oficer.

Czasem tak się zdarza, choć rzadko. Właściwie to Kruk nie znał drugiego takiego przypadku. Dawne czasy pozostały tylko na twarzy Salomona. Kilka blizn po nożu znaczyło jego szczękę i policzki.

Potężny facet mający w świetle naddrzwiowej lampy stał w progu domu, przyglądając się Krukowi spode łba. Nie ucieszył się na jego widok, ale też specjalnie nie zmartwił. Największa z blizn szła bokiem przez cały prawy policzek.

– Że też cię, kurwa, wpuszczają na statek z taką gębą – powitał go Kruk.

Salomon nieznacznie się uśmiechnął.

– Teraz jestem kapitanem.

– Na łajbie piratów?

Wzruszenie ramion.

– Znaczy, awansowałeś? – spytał Kruk. – Jak to się robi?

– Beczki potu, ciężka praca, takie tam.

– Tyle wystarczy?

– Przydaje się też znajomek, który ci trochę zawdzięcza. Czego chcesz, Kruk?

– Zrobić porządek z jednym facetem.

Oczy mu błysnęły. Od dawna był dobry, ale wciąż nie był dobry do końca.

– Przychodzisz z pustymi rękami?

Kruk wyciągnął butelkę Chopina. Salomon wyjął mu ją z rąk, obejrzał. Chwilę się zastanawiał, pijał wyłącznie wódki premium.

Przesunął się, robiąc Krukowi miejsce, by mógł przejść.

– Można pogadać.

Antonio leżał rozwalony na łóżku i cicho pochrapywał. Na plecach wytatuowane miał imię kobiety, mówił, że tak nazywała się jego matka. Kinga zdążyła go polubić. Miała w nocy wrażenie, że może to był ten, na którego zawsze czekała, i jak zawsze to wrażenie rozpierzchło się nad ranem.

Pozwalała sobie na chwile złudzeń, bo nic oprócz nich nie miała. Miała te chwile i ciągle zmiany miejsca zamieszkania, bo takie życie stworzył dla niej ojciec.

Zarzuciła szlafroczek na spocone ciało i wymknęła się z sypialni, przechodząc przez pokój w amfiladzie. Szła na palcach, aby nie zbudzić Macieja. Zbiegła po schodach i stanęła na tarasie posadowionej na wzgórzach willi, którą wynajęli na ten miesiąc. Jeden miesiąc, jeden dom, niekiedy w ciągu roku potrafiła kilkakrotnie zmieniać kraj pobytu. Ojciec miał obsesję.

Oparła się o balustradę i patrzyła na śpiące w dole miasteczko. Wielki Maciej oparł się obok niej.

– Nie chciałam cię budzić – powiedziała.

– Nigdy nie chcesz. A ja zawsze się budzę.

Uśmiechnęła się, bo to nie była prawda. Uciekała mu wiele razy podczas pobytu w São Paulo i wcześniej. Między innymi dlatego zabrał ją tutaj, do tego małego miasta, które mrugało do nich światłami.

– Myślisz, że kiedyś będę mogła sobie ot tak, po prostu wyjść na taras i pobyc sama?

– Nie, póki ja żyję. Albo póki twój ojciec nie zarządzi inaczej.

– Rozmawiałeś z nim ostatnio?

– Kazał cię uściskać. Pytał, jak spędzasz czas.

– Co mu powiedziałaś?

– Prawdę.

Wciągnęła do płuc chłodne powietrze i westchnęła.

– Nie możesz choć raz skłamać?

– Nie twojemu ojcu.

– Jak zareagował?

– Przewidywalnie.

– Nie kazał zastrzelić Antonia?

– Na pewno miał ochotę, ale wie, że to na nic.

– Chcę mieć coś z życia – szepnęła. – Nie wiesz, jak to jest.

Nie odezwał się. Całe życie poświęcił jej ojcu i jej. Oczywiście, że wiedział.

Przed nimi małe miasto migotało w mroku. Bliżej nich, w ogrodzie, grały świerszcze.

– Ten żigolak to twoje życie?

– W tej chwili.

Wielki Maciej się skrzywił. Dostrzegła to kątem oka, a potem spojrzała w jego twarz, którą tak kochała i która nigdy nie budziła w niej lęku, choć potrafiła wzbudzać przerażenie w innych.

Na zawsze zapamiętała skrzywioną twarz Macieja. Zdarzyło się to pewnego popołudnia na pustej podwarszawskiej drodze. Miała wtedy dwadzieścia trzy lata. Samochód, którym jechali, uderzył w drzewo, kierowca pochylał się nad kierownicą, jakby ją czule obejmował, a w głowie miał wielką dziurę. Maciej leżał nieruchomy na fotelu pasażera, ręce miał opuszczone, oczy otwarte. W piersi widniały cztery mniejsze dziury. Kinga siedziała z tyłu zapięta pasami bezpieczeństwa, czując strużkę krwi spływającą z rozciętej skóry na głowie. Była cicha, pragnęła zniknąć, bo słyszała głosy tych, którzy szli po nią. Krzyczeli do siebie, dodając sobie odwagi i trzymając w dłoniach pistolety maszynowe.

Przestali krzyczeć, gdy podeszli blisko. Mówili coś o niej, ale nie mówili do niej. Szydzili z kierowcy, że zrobili mu w czaszce wywietrznik. Nosili kominiarki, ale je zdjęli. Dopiero później zrozumiała, co to oznaczało, że nie chciało im się ukrywać przed nią twarzy.

Otworzyli drzwi samochodu, żeby ją zabrać, a wtedy Maciej ożył. W lewej dłoni trzymał pistolet, z którego oddał dwa szybkie strzały i dwóch napastników upadło. Trzeci usiłował podnieść broń, ale nie zdążył, gdy pocisk przestrzelił mu gardło.

Wielki Maciej wysiadł z samochodu i obejrzał ich sobie troskliwie, jakby miał nadzieję, że ktoś przeżył, bo mruczał niezadowolony, gdy stwierdził, że wszyscy nie żyją.

Kinga wciąż siedziała bez ruchu, ręce trzymała złożone na kolanach, wzrok spuściła, aby się nie gapić, jak mała dziewczynka, która bardzo chciała być grzeczna.

Maciej dotarł wreszcie do niej. Kazał na siebie spojrzeć i nachylić głowę, by mógł obejrzeć jej ranę. Miał wykrzywioną twarz, co dla innych oznaczało śmierć, a dla niej życie.

– Wszystko w porządku, Kingi – powiedział wtedy.

Nic nie było w porządku, choć jeszcze o tym nie wiedziała. Druga grupa porywaczy w tym samym czasie uderzyła w Gdańsku na samochód jej dużo młodszego brata. Był jeszcze chłopcem, chodził do szkoły podstawowej i wciąż lubił odrabiać lekcje.

– Wszystko w porządku, Kingi? – spytał Maciej teraz.

– Mam wrażenie, że już gdzieś widziałam Antonia. Chyba mignął mi w São Paulo.

– Jesteś pewna?

– Sama nie wiem.

– Pewnie bym go zapamiętał, choć z drugiej strony kłębili się tam wokół ciebie jak karaluchy.

Wielki Maciej. Wielka stara przyzwoitka o niewiarygodnej intuicji, która w zamyśleniu patrzyła na Kingę, usiłując ocenić sytuację.

– Pewnie się pomyliłam i to nie był on. A nawet jeśli był, co z tego?

Wiedziała, że mówi bzdury. Jeśli Antonio był w São Paulo i teraz niespodziewanie wypłynął w tej dziurze, byłby to wyjątkowy przypadek. Wielki Maciej był wyczulony na wszystkie przypadki, wietrzył w nich śmiertelne niebezpieczeństwo.

Ponieważ jednak pozostał spokojny, skinęła głową.

– Wszystko w porządku – powiedziała. – Bo jesteś przy mnie.

– Twój ojciec ma problemy, kazał nam zwiększyć ostrożność. Martwi mnie Tiro. To skorumpowany glina.

– Nasz ulubiony rodzaj policjanta, prawda? – Uśmiechnęła się.

Maciej się nie uśmiechnął.

– Zrobiłem rozeznanie. Tiro jest zamieszany w kilka porwań w Rio, podobno chronił przestępców. Zdołał się z tego wywinąć, ale i tak zesłano go tutaj. Źle, że cię przywiozłem do tego miasteczka, Kingi. – Popatrzył jej prosto w oczy. – Przed wjazdem parkuje cywilny radiowóz. Nie spuszczać nas z oczu.

– Na co czekają?

– Myślę, że nas sprawdzają. Ile jesteśmy wari i czy można nas ruszyć.

– Mogą odkryć, kim jestem?

– Nie wiem.

– Wynośmy się stąd.

Wielki Maciej spojrzał na nią smutno.

– Boję się, że gdybyśmy próbowali wyjechać, moglibyśmy mieć z tym kłopoty.

Kruk miał sen. Śniła mu się Lidia Rudzka. Leżała na stole sekcyjnym z tą swoją zmasakrowaną głową, a on stał nad nią i usiłował ją przesłuchać. Mówił do niej, żeby przestała kłamać. Opierała się jego głosowi przez jakiś czas, aż otworzyła oczy i pokazała mu język. Zupełnie jak na filmie z monitoringu.

Obudził się i leżał w oparach koszmaru.

Gdy dotarł na komendę miejską, Paczulski już tam był. Trzymał w dłoniach plik wydruków komputerowych.

– Zidentyfikowany po śladach linii papilarnych. Wystarczyło zdjąć trupowi paluchy i wrzucić do AFIS-a*. Pan Majewski ujawnił kryminalną przeszłość.

– Był karany?

– Mały, wredny typek. Rozkochiwał samotne kobiety systemem na smutnego misia, obiecywał złote góry, miłość po grób, ślub, wyciągał kasy, ile się da, po czym znikał. Żadnej nie udało się zaciągnąć go przed ołtarz.

Kruk wyjął mu z ręki wydruki. Szybko przejrzał.

Paczulski mógł tego nie pamiętać, może jeszcze wtedy zakuwał w szkole policyjnej, ale Kruk powitał starego znajomego. Śliczny Czarek. Kiedyś spore utrapienie, łamacz serc kobiecych. Miał w sobie coś takiego, że babki często nie chciały składać na niego doniesień nawet po tym, gdy je złupił i porzucił. Niektóre wносиły z tej znajomości też parę siniaków, bo Majewski miewał dla kobiet nie tylko zniewalający uśmiech, ale i ciężką rękę.

A one pragnęły tylko, by do nich wrócił.

Błyskotliwa kariera oszusta matrymonialnego została gwałtownie przerwana, gdy Majewski zadał się z niewłaściwą młodą kobietą. Kobieta zawsze miała pieniądze, chciała odciąć się od domu i nie opowiadała o rodzinie. A kiedy już coś jej się wymysknęło, kłamała, że ojciec jest piekarzem.

Majewski zajął się nią w swoim stylu. Sporo uśmiechów i trochę szarpania za włosy. Ale ojciec dziewczyny, która miała na imię Kinga, nie był piekarzem i obserwował jej życie nawet wtedy, gdy jej się wydawało, że potrafiła się przed nim ukryć.

Plotki głośiły, choć do akt nic nie trafiło, że pewnego dnia Śliczny Czarek został zapakowany do bagażnika samochodu i odbył krótką podróż do lasu. Tam spędził trzy dni, a gdy w końcu doczołgał się do jakiejś wsi, Śliczny Czarek nie był już śliczny. Kiedy wyszedł ze szpitala, odmówił składania zeznań i wyprowadził się do Warszawy, by rozpląnąć się w stołecznym tłumie. Plotki, których źródłem był

informator Kruka, głosiły, że ojciec dziewczyny tam też go odwiedził i Czarek próbował się powiesić.

Od tamtej pory informator, a wraz z nim Kruk stracili go z oczu.

Jak widać, do trzech razy sztuka. Czarek znów trochę śliczny, choć podstarzały, powrócił do Gdańska, ale tym razem już się nie podniesie.

– Czemu ją zabił...

– Może go czymś uraziła. Może chciał wyciągnąć z niej pieniądze, a ona się opierała.

Kruk zapamiętał Majewskiego ze względu na ojca dziewczyny. Kinga wkrótce po tych zdarzeniach na stałe wyprowadziła się z Polski.

Czemu Majewski wrócił? Gdańsk nie był dla niego szczęśliwy.

Oddał Paczulskiemu kartki.

– No to wszystko się ułożyło w zgrabną całość.

– Na to wygląda.

– Męczy mnie kwestia tej lalki, którą znaleźliśmy w bagażniku.

Podkomisarz popatrzył na niego bez zainteresowania.

– Bo co?

– Myślę o tym, że miała zniszczoną połowę twarzy, tak jak ofiara.

– Co z tego?

– Może jest jakiś związek. Inne lalki z pokoju Lidii były zwyczajne.

– Nie wiem – mruknął Paczulski. – Nie pamiętam tamtych lalek.

– Zrobiłem zdjęcia.

Kruk uruchomił galerię w telefonie i podstawił go Paczulskiemu pod nos. Na pierwszym zdjęciu widniały brzydkie lalki z pokoju Lidii Rudzkiej, na drugim tylko ta lalka z połową twarzy w bagażniku samochodu. Trzecie zdjęcie było tym, które Kruk otrzymał wczoraj MMS-em. Przedstawiało Monikę, żonę Paczulskiego, na łóżku Kruka. Kruk wyświetlał to zdjęcie przez chwilę, po czym pokazał ostatnie, trzecie zdjęcie lalek: inne ujęcie brzydkich lalek na krzesłach.

– Rzeczywiście – powiedział Paczulski. – Ta lalka z bagażnika ma zniszczoną część głowy. To ma znaczenie?

Ani jeden miesiąc nie drgnął mu na twarzy. Najdrobniejszym gestem nie zdradził się, że widział zdjęcie żony. W pewien sposób przeraziło to Kruka.

Przeraziło go, choć nie mieszkał z nim pod jednym dachem, nie czuł się od niego słabszy, w żaden sposób nie był od niego zależny...

Zupełnie inaczej niż Monika.

* AFIS – Automatyczny System Identyfikacji Daktyloskopijnej. (Przyp. red.).

Krystyna Bielińska skończyła opowiadać.

– Teraz pewnie posadzą mnie za biurkiem – dodała.

Uśmiechnęła się za szeroko ustami, które jeszcze się nie wygoiły, wyłożyła się wygodnie na krzesło i oparła nogi o biurko Moniki.

Za dużo niepotrzebnej demonstracji, pomyślała Monika. Za bardzo pewna siebie, silna i niezwyciężona.

Ale naprawdę była niezwyciężona. W aktach, które Monika miała rozłożone na biurku, była lista sukcesów Kriss, jej pracy pod przykrywką w środowisku dilerów narkotyków w różnych rejonach kraju. Wrażliwe dane utajniono, ale policyjna psycholog i tak była pod wrażeniem. Ludzi, których Kriss wsadziła za kratki, trudno by spakować do jednego wagonu.

No i ta opowieść Kriss o ostatniej akcji.

– Jesteś dumna ze swoich osiągnięć? – spytała Monika.

Kriss spodziewała się jakiegoś pytania, lecz nie takiego. Końcówka jej opowieści dotyczyła tego, jak wielokrotnie dźgnęła kuchennym nożem dilerą, nad którym pracowała. Monika wiedziała, że ją zaskoczyła, z samego wyrazu twarzy Kriss nie dało się tego jednak odgadnąć. Operacyjna umiała nad sobą panować, dlatego jeszcze żyła.

To tak jak ja, pomyślała Monika.

– Pękam z dumy – odparła Kriss.

– Czujesz, że twoje poświęcenie czemuś służy?

– Niczemu nie służy. Zamykamy jednych, zastępują ich inni. Za dużo tam można zarobić, za szybko.

– Dlaczego więc ryzykujesz życie?

– Głupia jestem.

Monika nie mogła się oswoić z twarzą Kriss. Ostatnie półtora roku Bielińska spędziła w dużej grupie przestępczej na Śląsku, mieli ją za swoją, i kiedy wyszło na jaw, że jest wtyczką, dostali furii. Bili ją tak, jakby mieli zamiar zabić. Wsparcie przyszło za późno, choć i tak na tyle wcześnie, że nikt nie zginął. Kriss broniąc się, omal nie uśmierciła kuchennym nożem jednego z nich. Miał wiele głębokich ran, jedną niepokojąco blisko serca.

Leżał w śpiączce w jakimś szpitalu setki kilometrów stąd.

Monika odpychała od siebie tę myśl, ale musiało chodzić o to, że w twarzy Kriss widziała swoją twarz. Swoją twarz sprzed lat, po gwałtownej kłótni z Damianem, od

której się wszystko zaczęło. Nieprawda, zaczęło się dużo wcześniej, ale tamta kłótnia uświadomiła Monice, czym jest jej związek.

Podniosła z biurka plik papierów.

– Przeanalizowałam testy, które wypełniłaś na naszym pierwszym spotkaniu. Nie widzę tu nic niepokojącego.

– Świetnie – odparła Kriss. – Ale chyba jeszcze mnie nie odeślesz? Miło mi z tobą, lepiej niż gdzie indziej.

– Nie mam takiego zamiaru.

– No to ulga.

Krzesło Moniki przesunęło się na kółkach, wioząc ją w stronę małej dostawki do biurka. Monika wsunęła dokumenty do niszczarki.

– Przeszkolono cię, żebyś potrafiła wniknąć w środowisko handlarzy narkotyków – powiedziała odrobinę mocniejszym głosem, żeby wybić się ponad zgrzyt niszczonego papieru. – Co tam dla ciebie nasze testy.

– Po co więc mi je dałaś?

– Musiałam. Takie są zasady.

– Czemu je niszczysz?

– Żeby ci pokazać, co o tym sędzę. Możesz to przekazać swoim przełożonym.

Krzesło wraz z Moniką płynnie wróciło na dawne miejsce.

– No to mi pokazałaś – powiedziała Kriss ostrożnie.

– Wiem, czego ode mnie oczekujesz i czego oczekują ci, którzy cię do mnie wysłali. – Lekko stuknęła palcem w leżące na stole akta. – Kilka spotkań, parę testów, niezależna opinia do akt, oczywiście pozytywna, pożegnalne uśmiechy, wszyscy zadowoleni.

– Tak, wszyscy zadowoleni – zgodziła się Kriss.

– Tak nie będzie.

– W czym problem?

Monika odszukała w leżących przed nią dokumentach kilka kartek zszytych pojedynczą zszywką. Bielińska wychyliła się, aby zobaczyć.

– Raport BSWP*? Co z tego?

– Daliście mi okrojoną dokumentację i ja to rozumiem. Tylko że trzeba było zatrzymać także i ten dokument.

– Raport jest pozytywny. Wewnętrzni prowadzili przez chwilę moją sprawę, ale niczego się nie dopatrzeli.

– To właśnie mnie martwi.

Kriss wywróciła oczami, demonstrując niezrozumienie.

– O mało nie zabiłaś człowieka, dźgając go wielokrotnie nożem.

– Działałam w obronie własnej.

– Pchnęłaś go siedemnaście razy.

– Złamał własne zasady, naćpał się. Był w trybie nieśmiertelności, żyłby nawet wtedy, gdybym go zabiła. Umarłby dopiero wtedy, gdyby mu się skończył

narkotykowy zjazd.

Monika przesunęła raport w stronę Kriss.

– Widzisz podpis?

– Dębiński.

– Wiem, kto to jest, i ty też wiesz.

– Każdy wie i każdy go nienawidzi. W mojej sprawie nie miał się o co zaczepić.

Mirosław Dębiński z Biura Spraw Wewnętrznych Policji był najzacieklejszym tropicielem przekraczania uprawnień przez funkcjonariuszy. Wielu dobrych policjantów straciło przez niego pracę za błahe sprawy. Był to jeden z tych ludzi, którzy zamiast serca noszą regulamin.

Monika uśmiechnęła się i pokręciła głową.

– On zawsze ma się o co zaczepić.

– Moją sprawę umorzył.

– Odpuścił.

– Właśnie.

– Ale ja ci nie odpuszczę.

Kriss spoważniała.

– A czegoż to mi nie odpuszczisz, śliczna laluniu?

– Nie napiszę ci opinii, dopóki nie będę miała pewności, że dostałaś taką pomoc psychologiczną, jakiej potrzebujesz. Nie chcę cię mieć na sumieniu.

– Co ty pleciesz, dziewczyno?

Monika Paczulska też była poważna.

– Opowiedziałaś mi piękną historię o tym, jak zdemaskowali cię handlarze narkotyków i omal nie zginęłaś. Pobili cię, ale nadeszła odsiecz, a ty trochę pokłutaś jednego handlarza, który wciąż walczy o życie.

– Taki sobie wybrał zawód.

– Śledztwo w sprawie zasadności twojej obrony prowadził najbardziej zniechęcony urzędnik w BSWP, który wywalał ludzi za rzucenie papierosa na chodnik, ale tobie jakoś odpuścił.

– Aha.

– Powiedz mi, Kriss, co ukrywasz? Co naprawdę się wydarzyło? – Monika zrobiła krótką przerwę, po czym dodała: – Co tam się stało? Co dilerzy ci zrobili... co naprawdę ci zrobili, że najbardziej zniechęcony człowiek w najbardziej zniechęconym wydziale policji ci odpuścił? I jak chcesz dalej z tym żyć?

* BSWP – Biuro Spraw Wewnętrznych Policji. (Przyp. red.).

W czwartek na dwunastą zaplanowano sekcję zwłok Lidii Rudzkiej, a Majewski miał dostać się na stół sekcyjny zaraz po niej, poza kolejnością.

Kruk zastanawiał się, czy iść na sekcję. Zwykle tego nie robił, ale wciąż miał przed oczami swój sen. Uznał, że jednak nie pójdzie. Gdy człowiek zaczyna coś robić pod wpływem snów, powinien iść do psychiatry.

Oby tylko nie do Tomasza Rudzkiego.

Spokojnie czekał, aż z Zakładu Medycyny Sądowej spłyną wstępne ustalenia, a w tym czasie otrzymał raport techników i laboratorium. Wszystko w tej sprawie dostało ekspres. Z jakiegoś powodu była to kwestia wizerunkowa, co podkreślał komendant Sarzyński w rozmowie z Paczulskim.

Krew ścierana szmatą z wnętrza bagażnika, jak również na knykciach i rękawie kurtki Majewskiego, była tej samej grupy co krew Lidii Rudzkiej. Próbki powędrowały na badania DNA.

Na komórcie Rudzkiej ślady linii papilarnych Majewskiego, podobnie jak na pokrywie bagażnika i wszędzie w kokpicie.

Znalezione czerwone włókna wstępnie oznaczono jako pasujące do sukienki Rudzkiej.

Na pasku, z którego wykonano pętlę wisielczą, wyłącznie ślady linii papilarnych Majewskiego. Żadnych istotnych śladów w pobliżu miejsca znalezienia samochodu i ujawnienia zwłok.

Niespodzianek nie było.

Sekcje Rudzkiej i Majewskiego opóźniały się, bo medyka wezwano na godzinę do żywych. Kruk uznał to za znak i jednak pojechał do Zakładu Medycyny Sądowej.

Ale wstępne ustalenia sekcyjne niewiele wniosły do śledztwa. Nie doszło do zgwałcenia Lidii Rudzkiej. Zgon nastąpił w wyniku urazu czaszkowo-mózgowego spowodowanego wielokrotnymi uderzeniami. Rany tłuczone, przerwanie ciągłości tkanek spowodowane działaniem tępego narzędzia o zaokrąglonych krawędziach.

Na części twarzy otarcia na skutek kontaktu skóry z szorstką powierzchnią. Na przedramionach i ramionach kilka siniaków powstałych prawdopodobnie wtedy, gdy pakowano Rudzką do bagażnika, albo gdy próbowała się bronić przed uderzeniami.

Kruk pomyślał o tym, że nie było śladów wiązania. Sprawca nie obawiał się Rudzkiej ani tego, że spróbuje uciec, ani jej fizycznego oporu.

Sekcja Majewskiego również nie przyniosła rewelacji. W chwili śmierci był pod wpływem alkoholu. Zmiany pośmiertne wskazywały, że zmarł rankiem w niedzielę

jedenastego września. Śmierć nastąpiła na skutek zaciśnięcia tętnic domózgowych, przerwania dopływu krwi do mózgu i jego niedotlenienia. Sprawiała to pętla pod wpływem ciężaru wisielca. Plamy opadowe widoczne na znacznym obszarze dolnej długości ciała, co zgadzało się z pólżącą pozycją znalezionych zwłok. Układ bruzdy wisielczej pozwalał oszacować, że Majewski stracił świadomość w ciągu kilku, najdalej kilkunastu sekund od powieszenia. Kruk widział już w swojej karierze takich nie do końca wiszących wisielców.

Brak wyraźnych śladów walki. Majewski miał kilka mniejszych zadrapań i siniaków, jednak u osoby nadużywającej alkoholu to nic niezwykłego i nie musiały być wynikiem udziału osób trzecich w jego śmierci.

Knykcie zbite, mógł najpierw uderzać w głowę Lidii pięściami, a gdy nie umierała, sięgnął po kamień. Niestety, narzędzia zbrodni nie znaleziono.

Kruk zastanawiał się nad tym przez jakiś czas.

Zabezpieczono wycinki do dalszych badań histopatologicznych i toksykologicznych, ale komisarz niewiele się spodziewał po tych badaniach.

Opuszczał GUMed* z przeświadczeniem, że sny i znaki są gównie warte.

* GUMed – Gdański Uniwersytet Medyczny. (Przyp. red.).

– Co ty wymyślasz, dziewczyno? – powiedziała Kriss, ale powiedziała to po długiej chwili ciszy.

Monika zamknęła akta i przesunęła je po stole.

– Proszę, jeśli zechcesz zmienić psychologa.

– Pewnie, że zechcę. Młode ładne lalunie zawsze odstawiają coś głupiego.

– Z takimi sprawami jest tak, że najpierw nam się zdaje, że nic się nie stało. Ale się stało. I gdy mija czas, zaczyna to do nas docierać. I z biegiem czasu nie jest lepiej, tylko gorzej, coraz gorzej, aż człowiek nie może już tego wytrzymać. Jeśli nie chcesz mnie, rozumiem, ale znajdź sobie kogoś dobrego.

– Co ty bredzisz – mruknęła Kriss, jednak nie sięgała po akta. Ręce trzymała pod stołem.

Boże, pomyślała Monika. Trafiłam. Nie chcę mieć racji, chciałabym się mylić, ale trafiłam.

Kriss wciąż nie tykała akt, a gdy w końcu to zrobiła, ręce jej drżały. Kiedyś była dobra, świadczyły o tym jej sukcesy, którymi wypchano papierowe okładki. To drżenie rąk dowodziło, że Kriss Bielińska się skończyła.

Ktoś kiedyś napisał, że człowieka można zniszczyć, ale nie pokonać. Och, pokonać człowieka można bardzo łatwo. Najpierw się go niszczy, a potem zostawia się go z jego własnymi myślami. I wtedy on pokonuje siebie sam.

– Niezależnie od tego, co zrobisz, jeśli tylko zechcesz, zawsze możesz do mnie wrócić.

– Chyba nie czuję takiej potrzeby. Jesteś bardzo pewna siebie, dziewczyno.

– Słuchaj, Kriss, możesz zawsze do mnie przyjść.

Bielińska otworzyła usta, żeby od razu odpowiedzieć. Zamknęła je i przez chwilę gapiła się na swoje dłonie. Monika także na nie spojrzała. Drżały, ale coraz mniej. Były ładne, paznokcie krótko obcięte i pomalowane na krwiste czerwony kolor.

– Zawsze? – spytała Kriss cicho.

– Zawsze, Kriss.

Bielińska nie odrywała wzroku od swoich paznokci.

– Zawsze – powtórzyła.

Olivier Charon, w surducie i wysokim kapeluszu, czekał na końcu korytarza. Towarzyszyły mu dwie kobiety w kostiumach Susła i Marcowego Zająca. Kostiumy były średnio przekonujące, ale Charon uznał, że wystarczą.

Doktor Wasilewska poszła dyskretnie wywołać Gambarskiego z pokoju córki. Ścisnęła wcześniej dłoń Charona, dziękując mu za to, co robił, a on ukłonił się jej dworsko, bawiac się chwilą. Gambarski pojawił się, skinął głową kobietom i przywitał się z Charonem.

– Spóźnił się pan – powiedział, ścisząc głos, jakby Alicja mogła go stąd usłyszeć. – Ala nie może się doczekać.

Charon spóźnił się specjalnie. Lepiej się rozmawia z ojcem, gdy dziecko czeka i się niepokoi.

– Niespodzianka jest taka – odparł.

Wyjął z kieszeni surduta telefon komórkowy, chwilę się nim bawił, po czym podał Gambarskiemu. Z głośnika aparatu dobiegał śmiech i szum dziecięcych rozmów. Na ekranie widać było długi stół i siedzące wokół niego dzieci przebrane za postaci z *Alicji w Krainie Czarów*. Byli Król i Królowa Kier, były pomniejsze karty, Kot z Cheshire, Pan Gąsienica. U szczytu stołu widniało wolne miejsce.

– Dla Alicji – wyjaśnił Charon. – Dziesięć minut drogi stąd jest przedszkole, mam tam znajomą dyrektorkę, zgodziła się wszystko zorganizować. Te panie – wskazał na Susła i Marcowego Zająca – to dyplomowane pielęgniarki z oddziału onkologicznego szpitala wojewódzkiego. Przyjaciółki mojej żony, otoczą Alicję opieką. Będą państwo mogli na bieżąco oglądać, jak córka reaguje, ale jeśli pańska żona chce z nimi jechać, proszę bardzo.

Gambarski przełknął ślinę. Był wzruszony, choć starał się tego nie okazać.

– Dziękuję – powiedział i oddał telefon.

– Obiecałem to Alicji.

– Moja żona źle się czuje. Ja z nią pojadę.

– Dobrze – skinął głową Charon, a potem się zawahał. – Choć wolałbym, żeby pan został. Rozmawiałem niedawno z Alicją, zastanawiałem się, czy powiedzieć panu o tej rozmowie, i doszedłem do wniosku, że tak. Może, póki Alicji nie będzie, spokojnie porozmawiamy.

– Co panu powiedziała?

Charon zmarszczył brwi. Chwilę milczał, otworzył usta, aby się odezwać.

– Proszę pana – powiedziała kobieta przebrana za Susła. – Tam wszyscy czekają.

Charon wyczekująco spojrział na Gambarskiego, który spytał:

– Pan nie jedzie?

– Będzie miała tyle atrakcji, że nie zauważy mojej nieobecności.

– Dobra – powiedział Gambarski. – Wanda musi sobie dać radę.

Weszli do pokoju Alicji. Na widok Susła i Marcowego Zająca dziewczynce oczy zabłyśły.

– Dzień dobry, Alicjo.

– Dzień dobry, Panie Kapeluszniku.

Rozmowa z Alicją, wygłupy Susła i Marcowego Zająca oraz pomrukiwanie Kapelusznika zajęły ponad dziesięć minut. Potem trzeba było uzgodnić szczegóły z doktor Wasilewską. Kapelusznik wyjaśnił Alicji, że nie zamieszczą się wszyscy do samochodu i będzie czekał na nią tutaj.

– Obłąkana herbatka u Szalonego Kapelusznika bez Kapelusznika? – spytała podejrzliwie.

– Prawda, że to szalone?

Uśmiechnęła się lekko.

Potem Gambarski i Charon przyglądali się z okna pokoju, jak Alicja z matką i dwie przebrane kobiety wsiadają do wesołego żółtego volkswagena garbusa.

Patrzyli, jak odjeżdżają.

– Nie wiem, jak mam panu dziękować – powiedział Gambarski. – O czym rozmawiał pan z Alicją?

Charon wciąż patrzył za okno, w to miejsce, gdzie przed chwilą stał samochód z dziewczynką, ale teraz niczego nie było.

– O śmierci. Ona wie, że umrze.

– Powiedzieliśmy jej. Uznaliśmy, że tak będzie lepiej.

– Dla kogo?

Zapadła cisza.

– Pokaże mi pan telefon? Chcę zobaczyć chwilę, gdy wejdzie do dzieci.

Charon wyjął aparat, znowu go włączył i podał.

– Nie rozumiem – powiedział Gambarski, wpatrując się w ekran. – Tam już przyszła dziewczynka przebrana za Alicję.

Charon wziął od niego komórkę, wyłączył i schował do kieszeni surduta.

– Nie ta impreza, nie ten czas.

– Nie rozumiem – powtórzył Gambarski zmienionym głosem.

– Nie mam żony – rzekł Charon.

Cisza, tylko Gambarski zaczął szybciej oddychać.

– A jeśli nie mam żony, to rzecz jasna, ona nie ma przyjaciółek.

– Te pielęgniarki...

– Jakie tam pielęgniarki. Dwie źdźry tak zimne, że wolałyby pan całować kostkę lodu niż dupę któregoś z nich.

– Gdzie pojechała moja córka?

Charon odwrócił się do niego i spojrzał mu prosto w oczy.

– Sześćset pięćdziesiąt trzy kroki. Bliżej się nie dało.

– Nie rozumiem – powtórzył Gambarski po raz trzeci.

– Wyjdzie pan stąd i wykona sześćset pięćdziesiąt trzy kroki tą uliczką, aby dojść do kancelarii notarialnej Jana Wilczerskiego. Tam czekają dokumenty. Wszystko jest przygotowane, wystarczy, że pan je podpisze. Proszę zachowywać się przyjaźnie i często uśmiechać. Wtedy wykona pan kolejne sześćset pięćdziesiąt trzy kroki i wróci tutaj.

Zapadła cisza. Gambarski nie wpadł w panikę, nie wypytywał, nie groził. Po prostu patrzył na Charona i milczał. Też był przestępcą i pewnych rzeczy nie trzeba mu było tłumaczyć.

– Co dalej?

– Wysłucha pan, jak bawiła się pańska córka.

– Jakie dokumenty podpiszę?

– Akt notarialny sprzedaży sąsiedniego budynku przy tej ulicy. Wiem, że jest pan wyłącznym właścicielem budynku, podpis pańskiej żony nie jest potrzebny. Bez obaw, cena jest atrakcyjna, a pieniądze wpłyną na pana konto natychmiast.

Znowu cisza.

– A jeśli się nie zgodzę?

– Alicja pozostanie w Krainie Czarów. Tylko że tam nie mają morfiny.

– Kim pan jest?

– Dla pana? Szalonym Kapelusznikiem.

– Zawiadomię policję.

– Dla pana to jakaś opcja. Dla niej nie najlepsza.

– Zatrzymam pana. Nie pozwolę panu stąd wyjść.

Charon spojrzał na niego z ciekawością. Odgarnął połę surduta, odsłaniając pistolet.

– Zaczną pana ścigać – szepnął Gambarski. Zdaje się, że dopiero w tej chwili całą prawdą o tym, co się dzieje, zaczęła do niego docierać. Czasem ludzie potrzebują czasu, Charon wiedział o tym z doświadczenia.

Gambarski nie mógł oderwać oczu od broni. Zdawała się go hipnotyzować. Nie odwrócił wzroku nawet wtedy, gdy dotarła do niego odpowiedź Charona.

– Jak policja w sześciu innych krajach.

Zapadła cisza.

– Ona i tak umiera. – Głos Gambarskiego był tak nikły, że niemal nie istniał. – Może nie zrobię nic.

– Chce pan zobaczyć jej palec? Całą dłoń? Jakies specjalne życzenia?

Cisza.

– Jak pan chce. Córka, żona... Jeśli do pana nie wrócą, będzie pan mógł zacząć życie od nowa. Ale do sprzedaży i tak pana zmusimy.

– Nie wie pan, z kim zadziera.

– Ze współnikiem Wolnego, facetem od finansów, jest pan pod jego ochroną, ale dzisiaj to nie wystarczy. Wie pan, czego chcę, i zna pan stawkę. Koniec rozmowy.

Charon zamierzał wyminąć Gambarskiego, ale ten wykonał gest, jakby chciał go zatrzymać. Nie było w tym prawdziwej groźby, ledwie jej zalążek, ale Charonowi wystarczyło. Wykręcił Gambarskiemu rękę, znalazł się za jego plecami i pchnął go na ścianę w taki sposób, że uderzył głową w mur.

Charon poprawił kapelusz.

– Pośpiesz się – mruknął i wyszedł.

Gambarski czekał przed budynkiem. O niczym nie myślał, niczego nie robił. Tylko czekał wpatrzony we wjazd.

Podjechała taksówka. Wysiadła z niej Wanda, jego żona. Taksówkarz też wysiadł i zaczął pomagać jej wydostać z tylnego siedzenia dziewczynkę.

Gambarski rzucił się do samochodu, odepchnął taksówkarza i nachylił się nad córką.

– Co jej jest?

– Jest bardzo zmęczona – odparła Wanda.

Ostrożnie wziął Alicję na ręce. Przytulił. Spojrzał na żonę.

Była śmiertelnie blada.

– Co się stało?

– Kim były te kobiety? – zapytała.

– Coś wam zrobiły?

Wanda pokręciła głową, ale była wstrząśnięta.

Gambarski zaniósł Alicję na górę, a ona została, by uregulować rachunek za taksówkę.

Położył dziewczynkę na łóżku. Usiadł przy niej.

Pielęgniarka weszła, uśmiechnęła się, po czym poszła po kroplówkę na wzmocnienie.

– Fajnie było? – spytał Gambarski.

Skinęła głową. Nadspodziewanie mocno chwyciła go za rękę.

– Lalka – powiedziała. – Chcę moją lalkę.

Długą chwilę nie mógł znaleźć zabawki. W końcu znalazł ją na samym dnie szuflady przy łóżku. Dziewczynka chwyciła lalkę i przytuliła.

Gambarski czuł, jak mocno bije mu serce. Był przerażony tamtym człowiekiem i tym wszystkim, co się stało. Był szczęśliwy, że wróciły, głaskał Alicję po głowie, ale nie mógł się uspokoić.

– Tatusiu – odezwała się cicho.

– Słucham?

– Wcale nie było fajnie.

Jego dłoń znieruchomiała na głowie córki.

– Mówiłaś, że było.

– Byliśmy w takim brzydkim mieszkaniu. Był tam stół, krzesła, mnóstwo

brudnych naczyń i stary czajnik na prąd. Marcowy Zając i Suseł zrobili mi herbatkę, ale nie odzywali się do mnie. Bałam się.

Nachylił się do niej i niezgrabnie przytulił.

– Już dobrze.

Przyszła Wanda. Podczas gdy pielęgniarka podłączała kroplówkę, wyszedł z żoną na korytarz, a ona przyciszonym głosem opowiedziała, co się działo. Rzeczywiście zaprowadzono je do małego mieszkania na Zaspie i kazano czekać. Gdy Wanda protestowała, jedna z kobiet przebranych za zwierzęta uderzyła ją w twarz.

– Alicja tego nie zauważyła – powiedziała Wanda. – Cieszyła się. Przynajmniej tyle. Potem zadzwonił telefon i kobiety pozwoliły nam wyjść. Wzięłam taksówkę.

Gambarski wrócił do córki. Przymknęła oczy. Znowu położył dłoń na jej łysej główce i pogładził.

– Mama mówi, że się śmiałaś.

– Nie chciałam rozdrażnić Marcowego Zająca i Pana Susła.

Gambarski z trudem przełknął ślinę.

– Dlaczego?

– Bałam się, że Szalony Kapelusznik zrobi krzywdę tobie i mamie.

Gambarski poczuł rozpacz.

– Myślisz, że Kapelusznik mógłby nas skrzywdzić?

Poruszenie skóry pod jego dłonią uświadomiło mu, że skinęła głową.

– On tylko mnie lubi i nikogo więcej. On tylko udaje, że lubi innych.

– Alicjo...

Odsunęła się lekko i spojrzała w górę, aby napotkać jego wzrok.

– Ja wiem, kim jest Charon. Mama czytała mi taką bajkę. On przewozi umarłych na drugą stronę. Dlatego mnie lubi, ale nie chcę, żeby tu więcej przychodził.

Gambarski zacisnął w pięść tę dłoń, którą przed chwilą gładził córkę po głowie.

– Nie wróci. Obiecuję.

Mocniej wtuliła się w lalkę. Zauważył, że lalka była przybrudzona.

– Nie przykładaj jej do twarzy – powiedział.

Chciał zabrać jej lalkę, a ona krzyknęła.

– Nie! On boi się mojej lalki.

– Co ty mówisz?

– Ale i tak wróci. Ma sekret i musi mi go wyjawić.

Galerię wypełniali mężczyźni w garniturach i elegancko ubrane kobiety. Było też kilka osób ubranych raczej nonszalancko, z artystą Florianem Szymańskim na czele, który wdział na siebie krótkie spodnie i T-shirt, ale on miał prawo. W końcu była to wystawa jego obrazów, a nie kolacja w ambasadzie, dzięki czemu Kruk w dżinsach i marynarce nie czuł się całkiem nieadekwatny.

Ledwo zdążył wrócić z trupiarni, wziąć prysznic i dojechać.

Majnert jeszcze go nie dostrzegła. Twarz miała spokojną, choć wiadomość o nowych zwłokach przebiła się do mediów. Każdy miał swoje życie i nie można się było przejmować zawsze i w każdym momencie tragediami obcych.

Obrazów było więcej niż podczas poprzedniej wizyty Kruka. Wisiały na ścianach i na drewnianych stelażach ustawionych tak, że chodziło się między nimi. Kolorowe pasy w różnych odcieniach, jak w sklepie z tapetami.

Zza jednego ze stelaży wyłonił się Emil Zasada.

– Dobry wieczór, komisarzu. Nie wiedziałem, że dostał pan zaproszenie. – Jego głos ociekał słodyczą, tylko oczy patrzyły zimno i nieprzyjaźnie.

– Mam stałą wejściówkę, facet przy wejściu nawet nie pisnął.

– Jakoś mi się nie wydaje.

– Służyć i chronić. I wchodzić, gdzie chcę.

Zasada uśmiechnął się niedbale.

– Ale nie jest pan mile widziany.

– To zaley. – Rozmowa się urwała i Kruk rozejrzał się po sali. – Dużo ludzi przyszło.

– Szymański ma wzięcie.

– Widzę.

– Podobają się panu jego obrazy?

– Im podlejszy i bardziej tandetny spektakl, tym głośnieiej klaszczę.

– Nie uważa pan, że dobrze maluje?

– Aż się nie mogę nasycić. Jak się wynajduje takie talenty? Zgarnia się ich z Długiej czy z Monciaka?

– Pan myśli, że zna się na sztuce.

Kruk się skrzywił.

– Myślę, że unika pan odpowiedzi na pytanie.

– Nie wiedziałem, że prowadzi pan przesłuchanie.

– Dwa pytania, dwa uniki. Ciekawe, co to może znaczyć.

– Ciekawe.

Kruk przymrużył oczy. Milczał.

– Sztuka to biznes, komisarzy – powiedział Zasada. – A odkryć artystę, który ma komercyjny potencjał, i spieniężyć jego prace, samo w sobie też jest sztuką, tylko innego rodzaju. Pan może tego nie rozumieć, ale nie mogę mieć o to do pana pretensji.

– Nazywanie tego sztuką...

– Powinienem być pod wrażeniem pańskiej ignorancji? Wygląda mi na to, że jest pan z niej dumny. – Pobłażliwy uśmiezek zabłąkał się w kąciki jego ust. – Dlatego tacy jak pan nie dostają zaproszenia.

Podeszła Magda Majnert.

– Pan komisarz – powiedziała. – Chyba powinnam się ucieszyć.

Zasada posłał Krukowi porozumiewawcze spojrzenie, jakby byli starymi kolegami i rozumieli się bez słów.

– Dziękuję za szczerość – odparł Kruk.

Jakiś znajomy podszedł do Zasady, który przeprosił i podjął z tamtym rozmowę. Majnert była wyraźnie skrępowana obecnością komisarza i poprowadziła go do najbliższego płótna. Kolejna porcja kolorowych pasów autorstwa Szymańskiego.

– Już sprzedane. – Wykorzystała sposobność, aby zdjąć tabliczkę z ceną. Kruk zdążył zobaczyć liczby. Pięćdziesiąt siedem tysięcy.

– Gratuluję. Kto jest szczęśliwym nabywcą?

– Kolekcjoner z Austrii. Przesłał swojego pełnomocnika. Pan Zasada już pogratulował malarzowi. Pan też może.

– Miły człowiek, ten Zasada. Lubię go.

– Ja też! – zareagowała entuzjastycznie i Kruk zacisnął szczęki. – Dziś już się nie spotyka takich mężczyzn.

– O! – zachwycił się Kruk.

– Ma niesamowite oko, zna aktualne trendy, uważa, że trafiłam z tym Szymańskim. – Była zbyt przejęta chwaleniem Zasady, aby zachwyty Kruka wzbudził w niej podejrzenia. – Emil to prawdziwy znawca, choć się z tym nie afiszuje.

Płynne przejście Majnert od pana Zasady do Emila nie uszło uwagi Kruka. Poczł rozczarowanie. Złość. Rzeczy, których nie chciał czuć.

– Pomaga pani?

– Chciałabym, żeby tak było. Gdyby zgodził się popracować nad wizerunkiem mojej galerii, może udałoby się stworzyć z tego poważną markę.

Kruk spojrział na płótno w rozpaczliwej próbie dostrzeżenia w nim tego, co widział tam Emil.

– Chyba nie było inspirowane Malczewskim – mruknął.

Musnęła dłonią skroń w zadumie.

– Każde czasy mają swoją sztukę.

– Co to mówi o naszych czasach?

– Pamiętam pana pierwszą wizytę tutaj. – Z uśmiechem podniosła na niego wzrok. – Nasz młody artysta nie zrobił na panu wrażenia.

Wykonała nieokreślony ruch ręką, jakby chciała tym coś udowodnić. Objąć wszystkich tych ludzi zgromadzonych w galerii z powodu obrazów Szymańskiego.

– Obawiam się, że wciąż nie robi – powiedział ze smutkiem Kruk.

– Martwi to pana.

– Ze względu na panią. Wolałbym nie robić pani przykrości.

– Każdy ma prawo do swojego zdania.

– Tylko tak się mówi – uśmiechnął się Kruk.

– Cóż, na szczęście podoba się innym.

– Fascynujące jest to obserwować.

Zmarszczyła czoło, po czym się roześmiała.

– Pan woli Malczewskiego, oczywiście.

– Nie o to chodzi. Są artyści, którzy próbują wzbić się wysoko i spadają z hukiem. Temu tutaj nawet niczego się nie chce.

– Rzeczywiście, robi mi pan przykrość.

– Myślę, że zasługuje pani, by zająć się kimś naprawdę wartym uwagi.

– Na przykład kim? – W jej oczach pojawiły się błyskawice. – Kto przyjdzie do mojej małej galerii, by wystawiać swoje obrazy? Muszę opłacać rachunki, brać artystów, na których mnie stać i którzy się sprzedają.

Kruk poczuł się głupio.

– Zastanawiam się – dodała, nagle zmieniając ton – co bardziej pana uwiera. Malarz czy obecność Emila. Wcale go pan nie lubi.

To było celne uderzenie. Kruk powiódł wzrokiem po sali. Szymański stał otoczony przez ludzi wyrażających swoje uwielbienie. Miał minę idioty, który nie rozumiał, skąd ten zachwyty. Kruk sympatyzował z nim w tej chwili, bo podzielał jego odczucia.

Wrócił Zasada, a Majnert to wykorzystała. Zostawiła ich samych i zniknęła w tłumie.

– Wyjątkowa kobieta – powiedział Zasada. – Nie sądzi pan?

– A ją jak pan podrywa?

– W sposób, w jaki pan nie potrafi. Może zechcę jej pomóc uczynić z tej nędznej firemki coś znaczącego. To panu przeszkadza?

Kruk nie pofatygował się, żeby odpowiedzieć.

– Chce pan się sprawdzić? – spytał Zasada.

– Niby jak?

– Założmy się, kto pierwszy ją przeleci. Nie chcę jej na wyłączność, zakładam, że przelecimy ją obaj, chodzi tylko o kolejność.

Kruk powoli zwrócił ku niemu twarz. Wyszczrzył zęby w uśmiechu.

– Wciąż pretendent z pana? A to ci dopiero...

W oczach Zasady pojawiło się coś jakby wściekłość.

– Jestem tu, bo mnie zaprosiła. Jeśli pan przyszedł dla niej, może się pan już zbierać do domu. Nie znajdzie dla pana czasu.

– Zadba pan o to?

Zasada spojrział mu prosto w oczy.

– Szybko się nudzę – mówił dalej. – Za tydzień, dwa ta nuda mnie dopadnie, a wtedy będzie pan mógł ją sobie brać. Poczuj się rozczarowana i smutna, więc przyda się pocieszyciel.

– Tydzień albo dwa – powiedział Kruk cicho. – Poczekam.

– Szybko zleci.

– Do tego czasu zajmę się czymś... na przykład przyjrzę się panu bliżej.

Na twarz Zasady powoli wypełznął uśmiech.

– Niech się pan przygląda. Jedyne, co może pan zrobić, to polizać szybę, za którą jest mój świat i ona.

Był w tym człowieku ten rodzaj chełpliwości, który pojawiał się zupełnie niespodziewanie i bez potrzeby. Kruk zostawił go i snuł się między płótnami, obserwując ludzi. Niektórzy rozmawiali po angielsku, doszło go kilka słów rosyjskich.

Szymański zaczął rozmawiać z kobietą, która jeszcze kilka operacji plastycznych temu miała twarz. Botoks w jej wargach usiłował wyrazić swój zachwyt. Chłopak promieniał.

Kurwa mać, pomyślał Kruk. Gdzie ja jestem?

Stojąca w pobliżu starsza dama obejrzała się z oburzeniem. Możliwe, że jakiś fragment myśli wydostał się przez usta Kruka.

Szymański zobaczył komisarza i zostawił kobietę.

– Nie spodziewałem się pana. – Podał mu rękę na powitanie. – Wybaczam to, jak mnie pan potraktował.

– Gratuluję. Wszyscy są pod wrażeniem.

– A pan?

– Patrząc na pana prace, a choćbym nie wiem jak się starał, wciąż muszę na nie patrzeć, zastanawiam się, kto był dla pana inspiracją.

– Nikt. Maluję z głowy.

– Oczywiście, ale nie istnieje pan w kulturowej próżni. Jakich malarzy pan ceni?

Szymański na moment się zawahał. Chyba już żałował, że podszedł.

– Picassa.

– Z którego okresu najbardziej?

Znowu wahanie.

– Z wczesnego.

– Z tego najbardziej realistycznego? Bardziej bym się spodziewał, że wybierze pan okres kubistyczny. Albo w ogóle że wymieni pan Pollocka, a najbardziej Newmana.

Kruk pomyślał, że odgrywa się na chłopaku bez powodu.

Szymański starał się wyglądać na lekko znudzonego.

– Newman może być.

– Co pan najbardziej jego lubi? *Anna's Light, Onement VI, Vir Heroicus Sublimis...* – Krukowi nagle wpadło coś do głowy. – A może to najgłośniejsze płótno: *Karlsson*?

– *Karlsson* nigdy mi się nie podobał.

Szymański wzruszył ramionami i odszedł. Miał dość tej rozmowy. Tak to już jest na tego rodzaju wydarzeniach. Można podejść i zaraz sobie odejść zupełnie naturalnie.

Kruk poczuł czyjaś bliską obecność za plecami. Obrócił się.

– Newman nie namalował żadnego *Karlssona* – powiedział Zasada, przyglądając się uważnie Krukowi.

– Pan to wie – uśmiechnął się Kruk. – Ja to wiem. A nasza gwiazda nie. Ale to słowo najłatwiej za kimś powtórzyć, bo jest proste w wymowie. *Karlsson z dachu*, tak jakoś mi się skojarzyło.

– Droczył się z panem. Ja zachowałbym się tak samo, gdyby ktoś chciał zrobić ze mnie idiotę.

Kruk kilkakrotnie skinął głową.

– Nasz malarz abstrakcjonista nie ma pojęcia o sztuce współczesnej. Ciekawe. A pan usiłuje go wytłumaczyć. Też ciekawe. – Najbardziej protekcjonalnie, jak tylko się dało, poklepał Zasadę po plecach. – No i zaczęło mi się tu podobać – dodał i zmienił ścianę, którą podpierał.

Kruk spędził tam jeszcze godzinę. Majnert więcej nie podeszła do niego, a on nie znalazł okazji, żeby podejść do niej. Zajęta była rozmową z Zasadą i potencjalnymi kupcami. Piła dużo szampana. Zasada dbał, aby wymieniać jej kieliszki, gdy je opróżniała, a opróżniała je odrobinę za szybko. Kruk mógł obserwować Majnert, jak się porusza, słuchać dźwięku jej głosu, choć w ogólnym szumie nie zawsze docierało do niego znaczenie słów.

W pewnej chwili Zasada coś powiedział, wszyscy się roześmieli, a on objął ją niby żartem, wesołość przeminęła, ale ręka została. Majnert nie zrobiła nic, aby się pozbyć tej ręki.

Kruk rozważał, co mógłby zrobić. Miał dzieciinną myśl, żeby przeprowadzić zatrzymanie Zasady i przewieźć go na dołek. Potem zdecydował, że powinien zachować się jak dorosły i po prostu faceta zastrzelić.

Nie zatrzymał ani nie zastrzelił nikogo. Uznał, że nic tu po nim.

Majnert nie zwróciła uwagi, gdy wychodził.

Zasada owszem.

Obudziło ją walenie do drzwi. Damian podniósł się z łóżka i sięgnął do szuflady po pistolet.

Jeszcze w czerwcu, przed nieudaną próbą uwolnienia się od męża, Monika zauważyła, że przed pójściem spać kładzie tam broń. Nigdy jej tego nie wyjaśnił, a ona nie ośmieliła się spytać, ale była to jedna z tych rzeczy, które wzmogły jej strach i które skłoniły ją do szukania pomocy u Kruka.

– Nie wstawaj – powiedział i wyszedł z sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Monika nasłuchiwała. Doszedł ją głos Damiana, który pytał przez drzwi, kto to. Potem usłyszała podniesiony głos kobiecy, Damian też coś mówił, a kobieta zaczęła mówić jeszcze głośniej i nagłoco.

Wrócił i zapalił światło. Patrzyła, mrużąc oczy, na stojącego w progu sypialni męża w piżamie w szare pasy. Miał tych piżam kilka, regularnie mu je prała i prasowała. Każdego wieczora wkładał świeżą, lubił czystość i porządek.

– Jakaś wariatka dobija się do drzwi i wydziera na całą klatkę, że musi się z tobą zobaczyć.

– Ze mną?

– Mówi, że nazywa się Kriss.

– To moja podopieczna, przysłali ją z operacyjnego na terapię. – Widząc jego zaskoczone spojrzenie, dodała: – Jest policjantką.

– Jak ma na nazwisko?

– Bielińska.

Znowu dobiegło ich walenie do drzwi.

– Ach, ta Bielińska. Czego chce?

– Nie wiem.

Patrzył na nią, oceniając, czy mówiła prawdę. Tym razem dał się słyszeć głos dzwonnka.

– Pozbądź się jej – polecił.

Wstała, sięgnęła po szlafrok. Rzuciła na Damiana szybkie spojrzenie, upewniając się, że robi to dostatecznie prędko i jest zadowolony. Jego zaszępiła twarz powiedziała jej, że nie powinna tracić czasu na włożenie kapci, i boso pobiegła do przedpokoju.

– Chwileczkę! – krzyknęła.

Dobijanie do drzwi wejściowych nie ustawało. Monika zwolniła zamek i otworzyła.

– Nareszcie – powiedziała ponuro Kriss. Opierała się jedną ręką o ścianę, drugą miała uniesioną do uderzenia w drzwi, choć przecież słyszała, że jej otwierają. A może wcale nie słyszała, może dopiero to do niej dotarło. Zdaje się, że była pijana.

– Kriss...

– Twój mąż nie chciał mnie wpuścić, a zaraz zacznie padać. – Wepchnęła się do mieszkania.

– Kriss, nie możesz...

Rzeczywiście była pijana, bo wraz z nią wszedł zapach alkoholu. Monika poczuła szarpnięcie paniki, bo Damian kazał się jej pozbyć...

Wciąż stał w progu sypialni, dłoń z pistoletem trzymał za sobą i nie było jej widać. On się czegoś boi, przemknęło jej przez głowę. To było tak oczywiste, ale gdy myślała o Damianie, jej umysł stawał się powolny i ciężki, jakby go coś hamowało, i ta myśl pojawiła się dopiero teraz, kilka miesięcy po tym, gdy po raz pierwszy wsunął wieczorem pistolet do szuflady.

– Kriss, wiesz, która jest godzina?

– A co to za różnica?

– Obudziłaś nas, spaliśmy...

– Powiedziałaś, że zawsze mogę do ciebie przyjść. Tak powiedziałaś.

Monika zrozumiała, że Damian może uznać tę nocną wizytę za jej winę, i zeszytniała.

– Miałam na myśli, że możesz przyjść do mnie do gabinetu. Kriss, zamówię ci taksówkę, pojedź do domu, wyśpij się i wytrzeźwiej.

Urwała, zdając sobie sprawę, że mówi coraz szybciej, bo strach przejmuje nad nią kontrolę. To się jej nigdy nie zdarzało poza domem. Ale w domu nikt jej nie odwiedzał. Monika nie miała przyjaciółek. W domu była zawsze tylko ona, a także Damian, no i czasem wpadał któryś z jego kolegów.

Bezszytecznie usiłowała się opanować. Zdała sobie sprawę, że jeśli straci nad sobą kontrolę przy obcej kobiecie, to rozczaruje Damiana.

– Czy coś się stało, że pani przyszła? – usłyszała za sobą jego głos.

– Tak – odparła Kriss i twarz jej się zmieniła. – Coś się stało.

Monika sama powinna zadać to pytanie. Spokojny głos Damiana sprawił, że odzyskała kontrolę.

– Co się stało, Kriss?

– Moniko, zaproś sierżant Bielińską do pokoju – powiedział Damian i zniknął w sypialni.

Kriss gwałtownie uniosła wzrok.

– Mówiłaś mu o mnie?

– Nie. Nie rozmawiam w domu o pracy.

– To skąd mnie zna?

– Możesz go zapytać. Pracuje w komendzie miejskiej.

– Nie mówiłaś, że twój mąż to glina.

– W ogóle nie mówiłyśmy o moim mężu.

– Szkoda. – Przelotny uśmiech zamigotał na twarzy Kriss. – Nieźle wygląda w tej piżamie.

Usiadły w salonie. Kriss jakby się zapadła. Patrzyła w podłogę.

– Dasz mi coś mocnego?

– Wydaje mi się, że masz dosyć.

– Ja pani należę – powiedział Damian, który znów się pojawił i otworzył barek. Nie miał już pistoletu. Nalał Kriss whisky na dno szklanki, drugą przygotował dla siebie. Nie zaproponował Monice. Nie pozwalał jej pić.

Bielińska załatwiła się ze swoją porcją na jeden raz.

– Jeszcze – powiedziała.

Damian nalał jej kolejną porcję. Cały czas dyskretnie ją obserwował.

Drugą whisky spotkał los pierwszej. Damian usiadł w pewnej odległości od nich obu, sącząc trunek ze szklanki.

– Dziękuję – powiedziała Kriss. – Fajnie, że dałeś mi się napić.

– Słyszałem o pani, to znaczy o pani sukcesach.

– A możesz już stąd iść? Przyszłam do niej.

Nie ruszył się.

Kriss chwyciła Monikę za rękę.

– Mogę u ciebie spać? Nie chcę wracać do domu.

– Co się stało?

– Sukinsyn umarł – powiedziała Kriss. – Facet, którego poraniłam. Zmarł dziś w szpitalu o dwudziestą trzydzieści siedem, nie odzyskując przytomności.

– Bardzo mi przykro.

– Pozwól mi u ciebie spać. Nie chcę być sama.

– A twój mąż?

– Nie ma go w domu.

Monika pogłaskała Kriss po dłoni i spojrzała jej w oczy ze współczuciem. Zrobiła to wszystko, aby zyskać na czasie.

– Może pościelisz pani w małym pokoju – odezwał się Damian.

– Monika, pościel tam sobie. – Kriss mocniej ścisnęła ją za rękę. – Ja będę spać na podłodze. Chcę, żebyś była przy mnie. – Zaczęła płakać.

Monika przytuliła tę starszą od siebie o kilka lat kobietę, którą widziała trzeci raz w życiu. Popatrzyła na Damiana.

Spojrzenie miał łagodne, w kącikach ust lekki uśmiech. Zawsze tak wyglądał, kiedy był wściekły.

– Możemy nadmuchać pani materac – zaproponował. – Ten, który kupiliśmy w Grecji. Jest wygodny.

Pół godziny później pogasili światła. Monika czuła się przerażona i w ekstazie jednocześnie. Leżała na małej sofie pod oknem, a Kriss na materacu obok. Damian też tu był, w tym samym mieszkaniu, ale w innym pokoju, nie spali razem. Był wściekły,

to się na niej odbija, ale nie musiała w tej chwili o tym myśleć, bo pomiędzy nią a nim była ta pijana kobieta.

Monika uświadomiła sobie, że cały czas myśli o sobie. Bliskość Damiana sprawiła, że prawie w ogóle nie myślała o Kriss i jej sytuacji.

Poczuła się winna.

– Wcale mi go nie żal – usłyszała szept Kriss.

– Nieprawda.

– Nie żałuję.

– Upiłeś się, przyszedłeś do mnie nocą. Przeżywasz to, Kriss. Bardzo to przeżywasz.

Mieszkanie było ciche, Monika słyszała jedynie oddech Kriss i rzadkie podmuchy wiatru za oknem, zwiastuny nadciągającej burzy. Kriss już się nie odzywała, zaczęła oddychać miarowo. Monika pomyślała, że zasnęła, gdy usłyszała jej stłumiony głos:

– Przeżywam to.

Pierwsze krople deszczu zaczęły uderzać o stalowy parapet. Okno było uchylone, jednak Monika nie ruszyła się, by je zamknąć.

– Przeżywam, ale nie żałuję. Gdy się dowiedział, że jestem z policji, zachował spokój. W życiu go nie widziałam tak spokojnego. Zapowiedział, że zniknę i nikt mnie nie znajdzie. Że mnie zabije, ale żebym się nie martwiła, bo śmierć przywitam z radością. Przez dwa dni on i jego kołesie gwałcili mnie w jakiejś ruderze. Miał rację, zapragnęłam umrzeć.

Monika przestała oddychać. Nie chciała splotać Kriss.

– Żałuję, że nie mogę zabić go drugi raz.

Monika chciała się odezwać, ale usłyszała, jak Kriss odwraca się plecami. Deszcz się wzmagił, do pokoju przenikał jego zapach.

Doszedł ją szept:

– Dobranoc, Moniko.

Kruk nie tylko przyjechał na poranną odprawę, ale w dodatku się nie spóźnił. Podkomisarz Damian Paczulski przedstawiał zgromadzonym najbardziej prawdopodobną wersję wydarzeń.

– Lidia Rudzka poznaje Cezarego Majewskiego. To oszust matrymonialny i jest dla niego idealnym celem. Młoda, naiwna, niezbyt szczęśliwa w małżeństwie, z dostępem do pieniędzy męża, choć nie aż takim, na jaki liczył. Rozkochuje ją w sobie, mają romans. Kochanek ma długi, potrzebuje pieniędzy, dlatego Lidia kradnie dla niego w galerii pieniądze, którymi Rudzki zapłacił za obraz. Jak przypuszczamy, liczyła na to, że mąż nie dopuści, by sprawa trafiła na policję.

Paczulski popatrzył na Kruka, jakby to Kruk tak z nim przypuszczał. Potem powiódł wzrokiem po reszcie zebranych. Byli tu wszyscy, komendant miejskiej, zastępca, naczelnik, każdy, kto uczestniczył do tej pory w śledztwie. I Baksi, chyba jedynie po to, żeby wkurwiać Kruka.

– Z informacji, jakie zebrał komisarz Kruk, wiemy, że Tomasz Rudzki nie wie o kradzieży, bo właścicielka galerii trzyma to przed nim w sekrecie. Magda Majnert ma nadzieję, że uda jej się przekonać Lidię Rudzką do zwrotu pieniędzy i zatuszuje incydent. Małżeństwo Rudzkich i tak znajduje powód, żeby się pokłócić, i mąż wychodzi wcześniej z przyjęcia. Lidię interesuje się Emil Zasada. Lidia broni się przed jego gruboskórnymi zalotami, dzwoniąc po Cezarego Majewskiego. Majewski przyjeżdża, ale jest pijany. Odpycha Zasadę, który usiłuje zabrać mu kluczyki do samochodu, i odjeżdża z Lidią.

Fakty i spekulacje układały się w całość. To była ładnie opowiedziana historia, przynajmniej do tego momentu. Omijała kilka mniej lub bardziej istotnych przesłanek, ale Krukowi się podobała. Wszystkim się podobała, choć jeszcze nikt nie bił braw.

– Nie wiemy, dlaczego dochodzi do zabójstwa. Możemy się jedynie domyślać, że w samochodzie ma miejsce sprzeczka, może nawet o te skradzione pieniądze, może Lidia Rudzka zorientowała się, na czym naprawdę zależy Majewskiemu. Majewski jest pijany i traci nad sobą panowanie. Wywozi ją z Gdańska do lasu, tam pakuje do bagażnika, być może chce ją zastraszyć. Biję w furii gołymi rękami. Szybko się okazuje, że ręce to za mało, nie jest zbyt silnym mężczyzną. Bierze do ręki kamień. Po zabójstwie wyjeżdża na obwodnicę, jest wciąż pijany i w szoku, prawdopodobnie nagle uświadamia sobie, że wiezie zwłoki w bagażniku, dlatego porzuca je na poboczu. Gdy w pełni wraca mu świadomość, nie może znieść swojego uczynku, wraca do lasu, może nawet w poblizkie miejsca, gdzie zabił, i wiedziony nagłym

impulsem, wiesz się na gałęzi.

– Majewski miał skłonności do agresji – powiedział Kruk – ale z tego, co mamy na jego temat, to nigdy nie zrobił poważniejszej krzywdy żadnej z oszukanych kobiet.

– Właśnie dlatego się powiesił. Przeraził się. Mamy ślady obcej krwi o grupie Rh plus na rozbitej ręce Majewskiego, a to jest grupa krwi Lidii Rudzkiej, włókna z jej sukienki w bagażniku, mamy też dokonaną przez świadków identyfikację Majewskiego zarówno jako osoby, która prowadziła samochód, do którego wsiadła Rudzka, jak i jako osoby, z którą się potajemnie spotykała, a także billingi oraz lokalizację komórek Rudzkiej i Majewskiego.

Kruk dostrzegł zniecierpliwione spojrzenie komendanta miejskiej i już wiedział, że różne subtelności nie będą nikogo obchodzić. Mniejsza z tym, co zaszło, skoro wszyscy uczestnicy tragedii nie żyją. Nie ma kogo stawiać przed sądem. Można odhaczyć rozwiązana sprawę i napawać się statystyką.

– Kiedy wyniki badania DNA? – spytał komendant.

– W ciągu tygodnia.

– Jeśli wyniki będą się zgadzać, zamykamy sprawę.

Paczulski spojrział na Kruka, oczekując dalszych pytań. Wszyscy na niego patrzyli. Kruk miał ochotę zapytać, dlaczego ten ogarnięty furią człowiek był tak precyzyjny, że uderzał tylko w jedną stronę twarzy, drugą zostawiając nietkniętą? Dlaczego kobieta wyglądała po tym jak swoja lalka? Dlaczego lalka została wyjęta z torebki i leżała luzem w bagażniku?

Zapytał. Starannie ominął tylko tę lalkę.

– Bagażnik – rzekł Paczulski. – Nie ma śladów walki, ofiara straciła przytomność po pierwszych uderzeniach, leżała bezwładnie na boku i sprawca uderzał tylko w jedną stronę twarzy.

– Tak – mruknął Kruk.

Paczulski miał rację. Krukowi się wydawało, że lalkę i śmierć kobiety coś łączy, ale być może szukał związków, które nie istniały. Albo te związki były inne, niż zakładał.

Miał jednak kolejne pytania. Dlaczego Majewski przyjechał aż z Zamościa, żeby się zacząć na Rudzką? Jak takie chuchro wyciągnęło na obwodnicy zakrwawione zwłoki z bagażnika i nie pobrudziło sobie nawet kurtki? Majewski był pijany, w szoku, działał spontanicznie, a zadbał o ubranie? Dlaczego wyłączył komórkę w piątek rano, a w sobotę ją strategicznie włączył?

Kruk miał te wszystkie pytania, ale nie zapytał o nic więcej.

Kruk zatrzymał samochód na zewnętrznym parkingu przed ogrodzeniem Zakładów Chemicznych Stewa i wysiadł. Budynki fabryczne były koloru nieba, niewielki biurowiec iskrzył szklanymi ścianami, między halami biegły wybrukowane alejki, wokół których rosła wciąż zielona trawa.

Kruk zbliżył się do ogrodzenia z eleganckiej stalowej siatki. Wszystko na terenie zakładów było zadziwiająco czyste, nigdzie choćby papierka, nawet samochody na biurowym parkingu odbijały popołudniowe słońce od wypolerowanych masek, jakby nic, co zaniedbane, nie miało prawa przekroczyć granic fabryki.

Zupełnie inny świat zaczynał się przed bramą wjazdową, gdzie właśnie podjechało duże volvo i oczekiwało, aż ktoś zechce je wpuścić. Było z tym trochę zachodu, bo okolice bramy roily się od młodych ludzi w pstrokatych ubraniach, z kartonowymi płachtami trzymanymi nad głową, gdzie wypisano hasła o TRUCICIELACH, MORDERCACH LASÓW i ZAGŁADZIE ZIEMI. Młodzi ludzie nie tylko blokowali przejazd samochodu, ale także sprawiali wrażenie, że gdy tylko wysoka stalowa brama się otworzy, gotowi są wtargnąć na teren zakładu.

Pewnie dlatego od strony budynków szła już w tę stronę grupa kilkunastu mężczyzn w ciemnogrnatowych mundurach ochrony. Kruk znał wiele firm ochroniarskich i pracujących tam ludzi, ale ci tutaj bili resztę na głowę. Każdy ponadprzeciętnie wysoki, silnie zbudowany, niektórzy ogoleni do gołej skóry. Bardziej przypominali bojówkę niż strażników, i Kruk pomyślał, że przyjechał w odpowiednim momencie.

Zbliżył się do bramy i stanął trochę z boku.

Ale wszyscy aktorzy tego spektaklu mieli już przeciwiczone role. Gdy ochroniarze podeszli i brama została otwarta, młodzi ludzie zaczęli krzyczeć. Ochroniarze przesunęli się bliżej, wychodząc poza zakład, a młodzi ludzie odpowiednio się cofnęli, odchodząc od czekającego cierpliwie volvo. Krzyczeli tym głośniejsz, im dalej się cofali, samochód przejechał, a jeden z ochroniarzy, blondyn ze słuchawką w uchu, powiedział coś do mikrofonu przy ustach.

Brama zaczęła się zamykać, ochroniarze cofać za ogrodzenie, młodzi ludzie krzyczeć coraz ciszej i powracać na uprzednio zajmowane pozycje.

Był w tym pewien porządek i harmonia. Kruk zbliżył się do furtki przy bramie i wyciągnął rękę, aby nacisnąć przycisk wideodomofonu. Wreszcie zwrócił uwagę młodych i ktoś do niego zawołał. Było to niezbyt grzeczne pytanie o to, czego Kruk tu szuka i czy uczestniczy w zabijaniu planety. Kruk naturalnie nie chciał zabijać planety, ale bezczelność chłopaka podziałała mu na nerwy.

Nie zdążył nacisnąć przycisku w urządzeniu, gdy furka się otworzyła i stanął w niej ten blondyn ze słuchawką w uchu i mikrofonem. Gestem zachęcił Kruka do wejścia.

Furka zamknęła się za komisarzem bezszelestnie, a ochroniarz wskazał mu gestem kierunek.

– Prezes czeka – powiedział.

Kruk zastanowił się chwilę, bo może czegoś nie pamiętał. Może umówił się wcześniej na spotkanie w tym zakładzie, tylko zapomniał. To by wyjaśniało, dlaczego był oczekiwany.

– Kto czeka? – spytał niezbyt bystro.

– Pan prezes Wolny. Proszę iść prosto, wychodzi panu na spotkanie.

Głos ochroniarza był bez wyrazu. Nie było w nim zniecierpliwienia, ale i sympatii. Kruk posłuchał i poszedł we wskazanym kierunku. Ze szklanego budynku wyszedł ubrany w garnitur męczyzna. Przywitał się z dwoma innymi męczyznanami, którzy wysiedli z volvo, poklepał każdego z nich po plecach, zaprosił do środka, a sam ruszył na spotkanie policjanta.

– Sławomir Kruk – powiedział, wyciągając rękę, a Kruk, chciał nie chciał, musiał ją uścisnąć. – W jakim jest pan stopniu?

– Komisarz. Znamy się?

– Zobaczyłem pana na monitoringu. Będzie pan udawał, że mnie nie pamięta?

Kruk wyjął legitymację.

Wolny nawet na nią nie spojrział, tylko powiedział:

– Piętnaście lat temu kręcił się pan przy sprawie mojego syna. Policja uznała, że nawet komuś takiemu jak ja należy się pomoc w sytuacji, w jakiej się znalazłem.

Na wspomnienie tamtych dni Kruk poczuł suchość w ustach.

– W jakiej znalazł się pański syn, bo to o niego chodziło.

– Usiłowaliście mnie nakłonić do współpracy. To znaczy pańscy koledzy usiłowali, pana równie dobrze mogłoby nie być.

– Mimo to mnie pan zapamiętał?

– Rozbawiło mnie, jak bardzo się pan mnie bał.

Kruk nic nie powiedział.

– Zaprzeczy pan? – Jacek Wolny uniósł wzrok.

– Więc to dlatego humor panu dopisywał.

– Co pan tu robi? – spytał Wolny.

– Martwię się o środowisko. Może przyłączę się do protestu.

– Zapraszam. Jeden oszołom więcej nie zrobi mi różnicy.

– Dla pana to oszołomy?

– Bywają uciążliwi, zwłaszcza gdy przyciągają uwagę mediów.

– Co pan z nimi zrobi?

Wolny spojrział na Kruka ciekawie.

– Koczują tu prawie miesiąc i nie zrobiłem nic. Czasami mam pod zakładem setkę

gówniarzy. Inni w ich wieku chodzą do pracy. Jak pan myśli, tych tutaj kto utrzymuje?

Wolny poprowadził Kruka z powrotem pod bramę. Zbliżanie się prezesa rozwścieczyło ludzi za ogrodzeniem. Rozległy się gwizdy, krzyki, nieregularne skandowanie haseł o brutalności wobec Matki Natury. Mimo wszystko Kruk miał wrażenie, że protestujący byli już swoim protestem znużeni.

– Matka Natura – roześmiał się Wolny. – Najważniejsze, to znaleźć metaforę. Nie ma nic okrutniejszego nad naturę i jej makabryczne prawa, ale jeśli nazwiemy ją matką, zapominamy o makabrze i zaczynamy ją kochać. Rysujemy kwiatki, sarenki, jelonki Bambi... – Wolny spostrzegł, że Kruk przestał go słuchać, i zmienił temat: – Słyszałem, że interesuje się pan malarstwem.

Krukowi nie spodobało się to, że Wolny tyle o nim wie.

– Zna pan *Le Roman de la Rose* Guillaume’a de Lorrisa i Jeana de Meunga? – spytał Wolny.

Kruk zdawał sobie sprawę, z kim ma do czynienia. Z facetem, który z manipulacji uczynił sztukę. Wolny nie ukończył nawet podstawówki, ale jego francuska wymowa zabrzmiała przekonująco.

– Czytał pan? – spytał Kruk, kontynuując tę dziwną rozmowę.

– Nie, ale niedawno książka wpadła mi w ręce i oglądałem ilustracje. To średniowieczne dzieło, jest tam między innymi obraz przedstawiający Naturę wykuwającą dziecko na kowadle.

– Nie widziałem.

– Poprosiłem wykształconego człowieka, by mi objaśnił ten obraz. Natura jest tam kowalem, który wykuwa życie z martwej materii. W każdym razie taka jest interpretacja tej ilustracji. Dobrze, że takie ilustracje są podpisane. I dobrze, że są wykształceni ludzie, którzy potrafią to interpretować. – Wolny na chwilę przerwał. – Bo tacy proszą ludzi jak ja to wie pan, co widzą?

Kruk był pewien, że Wolny i tak mu to powie, ale zapytał grzecznie:

– Co?

– Popierdoloną kurwę, która położyła dzieciaka na kowadle i wzięła zamach młotkiem, by rozwalić mu łeb. A inne bachory, jak porzucone lalki, leżą u jej stóp.

– Rozumiem – zgodził się Kruk. – Gdy tak się widzi naturę, można postawić fabrykę chemii w środku lasu.

Wolny nagle stracił zainteresowanie Krukiem. Odwrócił się na pięcie i ruszył w stronę zakładu.

Komisarz zastanowił się, a potem podążył za Wolnym jak jego wierny giermek.

Wolny się zatrzymał. Jego oczy były zimne.

– Pytałem, co pan tu robi.

– Prowadzimy śledztwo w sprawie zabójstwa Lidii Rudzkiej.

– Co mi do tego?

– Powiedziałem: Lidii Rudzkiej. Rudzki. Mam powtórzyć nazwisko?

– Ach tak. – Wolny skinął głową bez entuzjazmu. – Mam gości. Nie mam teraz

czasu.

– A znajdzie pan kiedyś czas?

– Dziś wieczorem. Zapraszam do siebie o dwudziestej. Wie pan, gdzie mieszkam?

Kruk poczuł się jak wtedy, piętnaście lat temu, kiedy asystował przy rozmowach z Wolnym. Poczuł ten sam chłód i niepokój.

– Zaprasza mnie pan do domu?

– Może pan wezwać mnie na oficjalne przesłuchanie, jeśli ma pan ku temu podstawy, albo to zaproszenie przyjąć.

Kriss w pokoju Moniki na komendzie była zupełnie inną Kriss niż ta, która ją odwiedziła nocą w mieszkaniu. Arogancko uśmiechnęta, rozparta na krześle. Oto Kriss, która mogła zdobywać świat.

– Dzięki, że nie wyrzuciłaś mnie za drzwi – powiedziała.

– Byłaś w trudnej sytuacji.

– Zawsze jestem w trudnej sytuacji. Taka uroda. Macie bardzo uporządkowane mieszkanie. Podziwiam, ja jestem straszną bałaganiarą.

Rozglądała się po małym gabinecie Moniki. Jej wzrok skakał pomiędzy rozrzuconymi na biurku bibelotami, narzucanymi bezładnie jedna na drugą teczkami z aktami, spomiędzy których wystawała filiżanka z poranną kawą...

Monika miała wrażenie, że Kriss demaskuje ją wzrokiem i sięga w głąb jej duszy, choć ani razu nie spojrzała bezpośrednio na nią. Nie zrobiła tego nawet wtedy, gdy rzekła:

– A twój mąż i jego piżama... – Aż cmoknęła. – Ten facet w niej śpi czy on i jego piżama wiszą całą noc na wieszaku, żeby się nie pognieść?

– To prezent ode mnie.

– Kupię taką swojemu staremu. Sypia bez niczego, jak jakieś zwierzę. – Wzruszyła ramionami. – Twój facet mi się spodobał.

– Damian.

– Może być. Damian. Spodobał mi się Damian.

– On też cię polubił.

– Mnie nie da się nie lubić. Taka już jestem. Bezpośrednia. Lubiana. A Damian jest taki spokojny, uprzejmy.

Monika uśmiechnęła się i pokiwała głową.

Kriss zrobiła się nagle ponura.

– Mój stary czasem się wydziera tak, że tego się nie da wytrzymać. Mówię mu, że drze ryja jak baba. W sumie mi to nie przeszkadza, oboje jesteśmy narwani, ale i tak powiem mu, żeby się uczył od Damiana. Facet powinien być spokojny, no nie?

Utopiła intensywne spojrzenie w oczach Moniki, która czuła się w obowiązku odpowiedzieć:

– Myślę, że tak. To wiele ułatwia, jeśli choć jedno z pary potrafi zachować zimną krew.

– Święte słowa. A co dopiero gdy dwoje potrafi. Ty też jesteś nadzwyczajnie spokojna, oboje jesteście opanowani i spokojni jak diabli. Pozazdrościć.

– Nie mamy dzieci, prowadzimy spokojne życie.

Błysk pojawił się w oczach Kriss.

– No, lepiej, żebyście nie mieli dzieci. Lepiej dla nich.

Monika z całą mocą odpowiedziała spojrzeniem na jej niekończące się gapienie.

– Co to miało znaczyć, Kriss?

– Za spokojni jesteście na dzieci. Dzieciaki nie potrzebują spokoju. Potrzebują, żeby w domu się śmiano.

Rozsiadła się wygodnie i zaczęła gapić na ścianę.

Zapadła cisza.

– Wybacz, Kriss, ale wyrwałeś nas ze snu. – Od razu pożałowała swoich słów. Zdała sobie sprawę, że się tłumaczy.

– Wiem, wiem, że mną nie ma lekko. Wbijam się nieproszona ludziom na chatę, robię zamieszanie. Wiesz, na czym polega moja praca? Zawodowo poznaję śmiertelnie niebezpiecznych ludzi, muszę dokonywać błyskawicznych ocen i lepiej dla mnie, żebym oceniła ich trzeźwo. Każda pomyłka może być moją ostatnią. Jedna prawie taką się okazała.

Monika poczuła, że musi się odprężyć. Usiąść wygodnie, przybrać odpowiedni wyraz twarzy i całkiem się zdystansować, jakby słowa Kriss nie były kierowane do niej.

– Jesteś w tym dobra – powiedziała.

Kriss szybko na nią spojrzała. Potem znowu patrzyła na ścianę.

– Też popełniam błędy. Największe robi się zawsze we własnym życiu, no nie? Pomagać innym to pikuś, ale zrobić coś z własnym...

– Jakie błędy popełniłaś, Kriss? Opowiesz mi o tym?

To płynne przejście z na w pół prywatnej rozmowy do relacji psycholog – klient sprawiło, że Kriss uniosła brwi.

– Jasne, pani psycholog. Pewnie, że ci opowiem. – Całym ciałem zwróciła się do Moniki. – Mój stary, kiedy go poznałam, był niezłą łachudrą. Włączył się z koleżkami, chlał jak smok i wyciągał łapy do każdej baby. Pobraliśmy się, bo myślałam, że go zmienię. My chyba wszystkie myślimy, że ich zmienimy, a raczej że to oni zmienią się dla nas.

Oczekiwała potwierdzenia, więc Monika skinęła głową.

– Tylko że on się nie zmieniał. Próbowалаm po dobroci, a jak się nie dało, zaczęłam robić awantury, a kumple zaczęli się z niego śmiać. Pewnego razu wrócił nawalony, a ja się za niego zabrałam. Może gdyby był mocniej nawalony, rozeszłoby się po kościach, jest wtedy łagodny jak cielak, ale on nie był nawalony do końca. Zaczęłam mu robić wyrzuty, krzyczałam, groziłam, że go zostawię, jeśli on nie zostawi koleżków... Popełnił wtedy największy błąd swego życia. Uznał, że może mnie uderzyć.

Kriss przechyliła głowę i uśmiechnęła się paskudnie. Jej pobita twarz nabrała przez to jeszcze bardziej cierpiącego wyrazu.

– Poszłam do kuchni. Na suszarce leżał nóż do chleba... Nóż do chleba, zawsze

pod ręką, moje przeznaczenie. Wróciłam i nie pamiętam, co było dalej. Weterynarz, po którego zadzwonił mój stary, powiedział mi potem, że założył mu sto dwadzieścia dwa szwy.

– Weterynarz?

– Kumpel od kieliszka mojego starego. Stary nie chciał dzwonić po pogotowie, bał się, że mnie wywalą z roboty i zamkną. Kocham drania. Jest narwany, ale nie z gruntu zły. Rozumiesz? Tu leży różnica.

– Wielokrotnie dźgnęłaś męża nożem? Mogłaś go zabić...

– Nie mam pewności, ale chyba tego właśnie chciałam. – Zamyśliła się. – W każdym razie nabrał do mnie szacunku. Nigdy więcej mnie nie uderzył i zaszło wiele dobrych zmian.

– Miałaś dużo szczęścia.

– On miał.

– Mieliście dużo szczęścia oboje.

Kriss wzruszyła ramionami.

– Pewnie zabrałam się do tego niewłaściwie. Skutecznie, ale niewłaściwie. Cała ja. – Zastanawiała się chwilę. – Przychodzą do ciebie takie, które potrzebują pomocy w tych sprawach?

– Jestem policyjnym psychologiem. Zmagamy się tu z innymi traumami.

– A jak by się zdarzyła taka ofiara losu, co byś jej poradziła?

– To zależy... Zawsze zależy od konkretnego przypadku.

– Gdyby przyszła do ciebie policjantka, która żyje w przemocowym związku. On uważa się za półboga, ona czuje się nikim. No, co byś jej poradziła?

Monika czuła się zupełnie odseparowana od swoich uczuć. Zaczęła rozważać, w jaki sposób najlepiej pomóc takiej kobiecie.

– Wiesz, co myślę? – Kriss zadała to pytanie cichym głosem, twarz miała udreńczoną i poważną. – Myślę, że sprawdziłabyś się u nas, w operacyjnym.

– W pracy jako przykrywkowiec?

– Sprawdziłabyś się. Byłabyś najlepsza. Lepsza ode mnie. Nawet ci z FBI, co czasem przyjeżdżają do nas się mądrzyć... nawet oni byliby zachwyceni.

Kruk zjechał z obwodnicy ulicą Spacerową i nadłożył drogi, by zjechać do parku Reagana. Przez całą godzinę nie wiadomo dlaczego włóczył się alejkami. Może miał jakąś nadzieję?

Kilka starszych kobiet z kijkami zatrzymało się przed figurami papieża Jana Pawła II i prezydenta Stanów Zjednoczonych Ronalda Reagana. Figury wydawały się pogrążone w przyjacielskiej rozmowie. Ludzie stawali się przy nich mali i nieistotni nie tylko z tego powodu, że były od nich większe, ale przede wszystkim dlatego, że figury nie zwracały na ludzi uwagi.

Nadzieja Kruka prysła.

Gdy wpakował się do swojego pokoju na komendzie, Paweł obejrzał go sobie od stóp do głów. Nie powiedział nic, gdy Kruk usiadł i zaczął gapić się w sufit.

Dopiero po długiej chwili Paweł odezwał się:

- Znam to tępe spojrzenie. Oznacza kłopoty.
- Czyje kłopoty?
- Zwykle twoje. Słyszałem, że ty i Paczulski pracujecie jak stare dobre małżeństwo. Śledztwo ma być wkrótce zamknięte.
- No – odburknął Kruk.
- Tylko ten tępy wzrok... Gdy tak siedzisz i się gapisz, boję się, że to miasto spłonie. Co jest grane?
- Nic.

Kruk wyprostował się, zamierzał uporządkować bałagan na biurku, by się czymś zająć i Paweł się odczepił, ale zrobił to tak nerwowo, że leżące na krawędzi papiery spadły na podłogę.

Kruk na razie ich nie podnosił, jak w tej piosence Elektrycznych Gitar.

- Widzę – rzekł Paweł.
 - O ósmej jadę na spotkanie z Wolnym. Coś jest w tym człowieku... – Co mnie przeraża, pomyślał, ale nie wypowiedział tego na głos. Pewne rzeczy lepiej zachować dla siebie.
 - Z Jackiem Wolnym? Tym przestępcą?
 - Z tym samym.
 - Skąd go wytrzasnąłeś?
 - Wypląnął w sprawie i zaprosił mnie na wieczór do domu.
- Wzrok Pawła się wyostrzył.

– Sprawa nie jest zamknięta?

– Nie wiem. Parę rzeczy mnie niepokoi.

– A powiedz mi, Sławeczku... – Paweł zawiesił głos – czy te parę rzeczy niepokoi jeszcze kogoś oprócz ciebie?

Kruk wreszcie dojrzał do tego, żeby podnieść papiery z podłogi. Nie odpowiedział.

– Będziesz robił problemy z zamknięciem śledztwa?

– Nie będę robił żadnych problemów. Pojadę wieczorem do Wolnego i tyle.

– Jechać z tobą?

Kruk się skrzywił.

– Chcesz mnie potrzymać za rękę?

– Facet nigdy nie chciał rozmawiać z policją.

– Zmienił się. To biznesmen.

– Co to znaczy, że wypłynął w sprawie?

– Za dużo wyjaśniać.

– Tacy jak on spotykają się tylko wtedy, gdy mają w tym interes. Myślisz, że poczęstuje cię koniakiem?

Kruk uniósł głowę i poczuł, że twarz sama wykrzywia mu się w uśmiechu.

– Oby tylko nie zżarły mnie świnię.

Olivier Charon stanął nad brzegiem stawu i obserwował kaczki. Wyciągnął z małej papierowej torby świeżą bułkę kupioną w pobliskim sklepie i rzucił kawałek ptakom. Patrzył, jak kolorowa kaczka tnie wodę niczym morski krążownik, pod pływa do kawałka bułki i porywa go precyzyjnie wymierzonym ruchem. Z uniesionego dzioba wypłynęła woda.

Charon dbał o to, aby robić coś dobrego przy każdej okazji. Mogły to być małe rzeczy, choćby takie jak karmienie kaczek, ale z małych rzeczy powstają rzeczy wielkie.

Czasem wyobrażał sobie spotkanie ze Stwórcą i sąd, który Wielki Sędzia nad nim odprawi. Sędzia wyliczy wszystkie grzechy i zbrodnie Charona, a było ich wiele. Charon słuchać będzie w milczeniu wyprostowany, pogodzony z losem oraz z wyrokiem, który musiał zostać wydany. Gdy Stwórca skończy i zapyta, co Charon ma na swoją obronę, odpowie:

– Czasem robiłem też dobre rzeczy. Karmiłem kaczki.

Charon uśmiechał się, gdy o tym myślał, bo taka wizja Sądu Ostatecznego bardzo go bawiła.

Od strony Palmiarni nadszedł mężczyzna.

– Nie karmi się ptaków chlebem – powiedział. – Wszędzie o tym trzeszczą.

Charon rzucił kaczkom kolejny kawałek bułki.

– Jak śledztwo, Damianie?

– Zakończone... – Głos Damiana Paczulskiego się zawiesił. – Prawie.

– Prawie?

– Kruk założył obserwację Rudzkiemu. Wie o Wolnym.

Charon zamachnął się i rzucił bułką w najbliższą kaczkę. Ptak zerwał się do lotu.

– Kruk – powtórzył. – Czy on nie jest z wojewódzkiej?

Milczenie. Sąsiednią alejką przeszła ognistowłosa kobieta, bujając komórką na smyczy.

– Czy nie ty go wciągnąłeś do śledztwa? Czy to nie ten, co kiedyś zawinął ci żonę?

Paczulski bez zainteresowania przyglądał się kaczkom.

– I tak by mi siedział na karku. Taki już jest.

– A ty mu to ułatwiłeś.

– Nie musiałem na wszystkie pomysły w śledztwie wpadać sam.

– Szkoda, że pozwoliłeś, by powiązał Wolnego ze sprawą.

Paczulski wzruszył ramionami, a Charon zaczął się zastanawiać, co się tamtemu wydawało. Cokolwiek to było, popełniał błąd.

– To dla nas problem – oznajmił.

– Możecie go łatwo rozwiązać.

– Nie wyeliminujemy ot tak sobie oficera policji, żeby ci zrobić przyjemność.

Ponowne niedbałe wzruszenie ramion. Charon widział już wielu takich, którym się wydawało, że są niezastąpieni, bo firma w nich zainwestowała.

– Co mam powiedzieć dyrekcji? – spytał.

– Że wszystko jest pod kontrolą.

– A jest?

– Zdejmijcie mi z pleców Kruka.

– Może zdejmujemy ciebie?

Paczulski uniósł wzrok i ich spojrzenia się spotkały.

– Sami zdecydujcie.

Paczulski wykonał gest, jakby miał zamiar odejść.

– Bądź grzeczny – powiedział Charon. – Łapy z dala od żony. Jak znowu będziesz musiał jechać na urlop, przestaniesz mieć dla nas wartość.

– Czasem potrzebuję odpoczynku.

– Odpoczywasz, kiedy ci pozwalamy.

Damian Paczulski skinął głową, ale nie była to zgoda, raczej przyjęcie do wiadomości. Charon patrzył za nim, jak odchodzi zacięciem alejką między drzewami.

Paczulski miał rację i wiedział o tym. Kruk może stać się problemem. Wspólnym problemem. Paczulski był cenny dla firmy, a Kruk mu zagrażał. W dodatku Paczulski poszedł na całość, wprowadzając go do śledztwa, a Kruk był sprytny i siedział w komendzie wojewódzkiej, co zagrażało całemu przedsięwzięciu.

Jeśli Kruk zacznie drażnić, nie będzie wyjścia, trzeba się będzie go pozbyć. Ale Charon zadba o to, żeby Paczulski nie stał wtedy z boku.

Jeśli trzeba będzie ubrudzić ręce, Paczulski też będzie je musiał ubrudzić.

A potem Charon zrozumiał, że Damian Paczulski nie będzie miał nic przeciwko temu.

Dom Wolnego był wielki, cichy i przywodził Krukowi na myśl grobowiec. Jacek Wolny powitał go w drzwiach i poprowadził za sobą przestronnym korytarzem. Gdy w drodze do salonu przechodzili koło zamkniętych drzwi, Wolny zatrzymał się i lekko zapukał. Nikt nie odpowiedział i Wolny te drzwi otworzył.

Był tam pokój dziecięcy. Urządzony skromnie, meble starego typu, poźółkły plakat jakiegoś zespołu na ścianie, wielki, zdalnie sterowany samochód na podłodze. Mógł być przedmiotem podziwu dzieciaków dawno temu, teraz wyglądał jak zabytek. To był pokój chłopca, pewnie w wieku szkolnym, o czym świadczył otwarty zeszyt na biurku i leżący na nim ołówek.

Wyglądało tu tak, jakby chłopiec wyszedł na chwilę i zaraz wróci, ale Kruk wiedział, że wyszedł dawno temu i nie wróci nigdy.

W rogu pokoju stał fotel na biegunach, niepasujący do reszty, a w nim siedziała ubrana na czarno kobieta. Powieki miała półprzymknięte, ręce złożone na kolanach.

– Mamy gościa, Bogno – powiedział Wolny, przyciszając głos.

Kobieta nie zareagowała. Wolny stał chwilę w progu, po czym cicho zamknął za sobą drzwi i zaprowadził Kruka do salonu.

To był przestrzenny pokój, urządony tak, jak można się spodziewać po byłym przestępcy, który zarobił nielegalnie dziesiątki milionów i włożył je w legalny interes, aby zarobić setki. Było tu wszystko, w dobrym i złym guście, nawet stół bilardowy i biblioteczka ze starymi wydaniem książek.

Na krześle przy wejściu siedział człowiek. Blondyn. Ten sam, który przewodził ochroniarzom w zakładach chemicznych. Pozostawał wyprostowany, nieruchomy, z oczami pozbawionymi wyrazu. Jeszcze jeden mebel w salonie.

– Napije się pan? – spytał Wolny Kruka, wskazując rzeźbiony barek.

W czasach przestępczej przeszłości Wolny załatwiał interesy przy koniaku. Pito koniak tak długo, aż Wolny dostawał, co chciał. Jeśli rozmówca był oporny, musiał gryźć kieliszek i połykać szkło, podczas gdy bito go po twarzy.

Chodziły słuchy, że na takich, którzy się nie złamali, Wolny miał inny patent: wywożono ich i zostawiano do zjedzenia świniom. Gdzieś w okolicach Gdańska istniała chlewnia, w której świnie kosztowały w tamtych czasach ludzkiego mięsa.

– Dziękuję, jestem na służbie.

Wolny zdawał się nie słyszeć odmowy, bo nalał Krukowi. Kieliszek był niski i pękaty, a trunek ciemny, jak to z koniakiem bywa.

Kruk zajął się oglądaniem obrazów na ścianach. Było ich pięć, niewielkie czarno-

białe atramentowe grafiki wykonane odręcznie, przedstawiające okaleczanych ludzi. Odcinanie rąk, nóg, rozpruwanie brzucha, wyłupywanie oczu. Artysta miał wyobraźnię.

Wolny podał gościowi kieliszek.

– Pan nie pije? – spytał Kruk.

– Ostatnio piję koniak tylko wtedy, kiedy zabijam.

Zostało to rzucone lekko, niczym żart. Kruk przypatrywał mu się spod opuszczonych powiek.

– A że nigdy pan nie zabija, nie pija pan koniak. – Wolny pokiwał głową z uznaniem i zamierzał coś powiedzieć, ale Kruk nie potrzebował pochwał od bandyty. – Nie sądziłem, że pan mnie zapamiętał.

– Pamięć to dziwna kurwa. W latach, które nastąpiły po zabójstwie mego syna, rzeczy ważne i nieważne zlewały mi się w jedno. Pan był tą rzeczą nieważną, a jednak zapamiętałem pana.

– Kto to malował?

– Ja. Mój syn poddany został torturom. Obcięto mu palce, potem ręce, pozbawiono oczu... Przeróżające sprawy. Zacząłem malować rzeczy, które zrobiłbym jego zabójcom, gdyby udało mi się dostać ich w ręce. – Mówił o emocjach, ale jego głos był ich zupełnie pozbawiony. – Podoba się panu?

Kruk obejrzał kreskę. Niezbyt wprawna, kontury postaci i przedmiotów były grubsze i ciemniejsze, niczym w dziecięcych kolorowankach.

Kolorowanka czy nie, coś w tym było. Jakaś nieuchwytna groza i autentyzm.

– Robi wrażenie.

Wolny wskazał kieliszek, który komisarz utrzymywał na koniuszkach palców. Kruk skinął głową i odstawił kieliszek na stół, nawet nie musnąwszy go ustami, po czym powiedział:

– Lidia Rudzka.

Twarz Wolnego zeszywniała, jakby Kruk go śmiertelnie obraził.

– Traktuję pana uprzejmie.

– Czym sobie zasłużyłem?

– Jest pan miłośnikiem sztuki, niech się pan rozejrzy po ścianach.

To była subtelna gra w zastraszanie. Kruk pomyślał o ludziach, którzy nawet teraz, gdy się podobno wycofał, zmuszeni byli prowadzić z Wolnym legalne negocjacje biznesowe. Jak wiele kontraktów zawarto dlatego, że zostali poczęstowani koniakiem, a wcześniej zadbano, by się dowiedzieli, co oznaczają niektóre rzeczy.

Kruk rzucił okiem na wysokiego blondyna przy drzwiach. Siedział zastygły w tej samej pozycji. Wydawało się, że przez ten czas nawet nie mrugnął.

– O co chciał mnie pan pytać? – zainteresował się Wolny.

– Rozmawiamy z osobami, które znają Rudzkich. Pytamy, czy mogą coś nam powiedzieć, co mogłoby mieć znaczenie w śledztwie.

– Bzdura. – Wolny skrzywił się. – Niech pan mnie nie zanudza.

– To może być cokolwiek. Na przykład coś, co wydaje się błahe i bez znaczenia, ale z jakiegoś powodu utkwiło panu w pamięci. Sam pan nie wie dlaczego.

Ewidentne kłamstwo zapadło ciężko między nimi. Przez chwilę trwało milczenie, które dla nikogo nie było przykre.

Kruk sięgnął po kieliszek i zajął się wdychaniem aromatu.

– Po co pan do niego chodzi? – odezwał się wreszcie.

– Chodzi tam moja żona. Ja tylko jej towarzyszę.

– Po co tam chodzi?

– Widział ją pan? – Przed oczami Kruka stanęła postać w czerni w głębi dziecięcego pokoju.

– Tragedia wydarzyła się piętnaście lat temu.

– Dla niej to jak wczoraj.

– Może pan znajdzie żonie dobrego psychiatrę? – zasugerował Kruk.

Wolny wpatrywał się w Kruka oczami, w których pojawiła się kpina.

– Może ma pan rację. Czy powinienem zażądać zwrotu pieniędzy? Prowadzi Bognę od siedmiu lat, trochę się uzbierało.

– Pytałem pana o Lidię Rudzką.

– Nic nie zwróciło mojej uwagi.

– W porządku – odparł Kruk, po raz drugi odstawiając nietknięty koniak. – Cezary Majewski.

– Cezary M. – powiedział Wolny. – Tak chyba piszą o nim w mediach.

– Zbytek formalności, w końcu facet nie żyje.

– Co w związku z nim?

– Pan go znał. Zwrócił kiedyś pana uwagę.

– Nie przypominam sobie.

– Szkoda. Myślałem, że pomoże mi pan zrozumieć, dlaczego wrócił do miasta. Wiedział pan, że wrócił?

– Pan się myli, nie znałem go.

– Wrócił i umarł. Tak się złożyło.

– Nic na ten temat nie wiem.

– To w jakim celu pan mnie zaprosił?

– Pokazać grafiki.

– Nic pan nie wie. Grafiki obejrzałem. Na mnie czas.

– Nie wypił pan koniak.

– Powąchałem. Może znakomity, a może to tani sikacz, nie znam się.

– Przyszedł pan tu, bo zamordowano kobietę, a ja znam jej męża. Oskarżano mnie kiedyś o różne rzeczy, czas minął i wciąż się mnie oskarża. Może powinienem poczuć się urażony.

– I co pan robi, jak się pana urazi? Namaluje pan kolejny obrazek?

Wolny nie spuszczał z Kruka wzroku.

– Pan zachowuje się, jakby nie miał nic do stracenia.

Kruk uśmiechnął się lekko.

– Taki Rudzki... On miał do stracenia żonę. Miał i ją stracił.

– Prowokuje mnie pan. Zmienił się pan, dorósł.

– Moje myśli biegną we wszystkich kierunkach. Nie mogę ich pozbierać.

– Myśli pan, że zabiłem mu żonę?

– Nic takiego nie powiedziałem.

– Ale pan pomyślał.

– Mógł też pana poprosić. Facet ma dobre maniery.

– Po co miałyby to robić?

– Tego nie wiem.

– Po co ja miałbym to robić?

– Tego też nie wiem.

– Nic pan nie wie.

– Właśnie. Dlatego chodzę i pytam. Może ktoś się zlituje i coś mi opowie.

– Czy już nie macie sprawcy? Wydawało mi się, że media...

– Piszą o Cezarym M. Piszą, co chcą.

– Otóż to. – Cień przebiegł po twarzy Wolnego. – A nie piszą, czego nie chcą. Pan ma wątpliwości, że to on?

Kruk nie miał ochoty dawać się przesłuchiwać Wolnemu. Zapadła cisza, bo gospodarz czekał na odpowiedź. Czekał, czekał, ale się nie doczekał.

Zadzwoił telefon. Był to ogromny aparat w stylu lat trzydziestych, ale w odróżnieniu od tamtych z bezprzewodową słuchawką. Wolny mruknął coś, że zaraz wraca, po czym wyszedł do gabinetu sąsiadującego z salonem, zamykając za sobą drzwi.

Zrobiło się bardzo cicho.

Po chwili coś szcęknęło i już przestało być cicho. Kruk spojrzął na drzwi. Szcęknięcie było wynikiem tego, że niedokładnie przymknięty zamek magnetyczny puścił i między skrzydłem a futryną zrobiła się szpara. Przez tę szparę dobiegał przytłumiony głos Wolnego. Kruk niewiele rozumiał. Zorientował się, że blondyna nie ma już przy drzwiach. Zniknął w najbardziej odpowiednim momencie tak samo bezszelestnie, jak siedział.

Kruk podszedł bliżej do uchylonych drzwi:

– Jak to, szantaż... Zmusił cię do sprzedaży? Skąd się wziął w hospicjum... Europejski nakaz... Pochwalił się? – Długa pauza. – Nie zrobił jej krzywdy? Przyjedź za pół godziny, muszę się wcześniej kogoś pozbyć.

Kruk bezszelestnie odszedł od drzwi i stanął przed ścianą, na której wisiały grafiki. Zadarł głowę. Wolny pchnął skrzydło i zaskoczony zatrzymał się na progu gabinetu. Spojrzął na zamek w drzwiach, potem na Kruka, mrużąc oczy. W tych oczach miał coś, jakby głęboki namysł.

– Więc to naprawdę pan namalował? – spytał Kruk.

– Musimy skończyć nasze pogaduchy – rzekł Wolny. – Interesy wzywają.

Damian był zasepiony. Siedział przy stole, czekając, aż Monika nasypie na spaghetti parmezanu i pietruszki, a potem postawi przed nim talerz. Dochodziła dziewiętnasta pięć, więc ten obiad był spóźniony o całe pięć minut. Kilka miesięcy wcześniej takie zaniedbanie spowodowałoby jego reakcję, ale ostatnio Damian zrobił się bardziej wyrozumiały.

Spłukała deskę do krojenia, wytarła nóż do warzyw i wsunęła go do stojaka między inne. Przygasiła światła w kuchni, usiadła naprzeciw wyprostowana, dłonie oparła o krawędź stołu wysłanego kremowym obrusem. Była głodna, cały dzień nic nie jadła, i z niecierpliwością czekała, kiedy posiłek się rozpocznie.

Damian zapomniał o niej. Trwał zastygły, przygarbiony, zapadnięty w swoich myślach. Makaron ładnie pachniał, Monika dobrze gotowała, smakowały jej dania, które przyrządzała, i smakowały Damianowi, chyba że miał zły humor. W takich chwilach najwykwintniejsza potrawa spadała ze stołu, czasem kazał Monice jeść z podłogi, a gdy się znudził, musiała gotować od nowa lub zamawiał dla siebie hamburgery z dowozem.

Ale to było tak dawno, że prawie o tym nie myślała. Teraz było inaczej. Stanowili normalną parę.

Przełknęła ślinę. Miała nadzieję, że on w końcu się ocknie i będą mogli jeść.

– Dziś też zaprosiłaś Bielińską na wspólne spanie?

Przestała czuć głód. Jej ciało się spięło, ramiona lekko uniosły, jakby się szykowały na atak.

– Nigdy jej do nas nie zapraszałam. Nie zrobiłabym czegoś takiego bez twojego pozwolenia. Kazano mi udzielić jej pomocy psychologicznej, nie wchodzę w towarzyskie relacje z osobami, którym pomagam...

Z nikim nie wchodzę! – chciała wykrzyknąć, ale mógłby to odebrać jako oskarżenie.

– Mam znajomego w operacyjnym – rzekł Damian tym samym beznamiętnym tonem. – Wysłali ją do ciebie, bo chcieli podpisu w papierach, ale zaczęłaś im robić pod górę.

– Spotkały ją straszne rzeczy, czułam się w obowiązku jej pomóc...

– Chciałaś jej pomóc – powtórzył głosem, który był jak wiatr w parny dzień. Tkwiła w nim tłumiona siła burzy, którą zwiastował. – Jak chciałaś pomóc?

– Po...trzeba terapii. Doświadczyła traumatycznych przeżyć...

– Chciałaś z nią rozmawiać o jej przeżyciach. Dlaczego nie możesz po prostu

odpowiedzialnie wykonywać swojej pracy?

– Wydawało mi się...

– Chciałaś z nią rozmawiać o przemocy, której doświadczyła? Może ja też źle cię traktuję?

Monika wciąż siedziała wyprostowana z dłońmi na blacie stołu, ale pragnęła być wszędzie indziej, tylko nie tu. Umysł Damiana zaczął wykonywać niebezpieczne asocjacyjne przeskoki. To zawsze się źle dla niej kończyło.

– Jestem z tobą szczęśliwa – powiedziała.

– Staram się dla ciebie. Tak mi się odwdzięczasz?

– Popeliłam błąd. Dzięki tobie to zrozumiałam. To już się nie powtórzy.

Przymknęła oczy, żeby nie mógł zajrzeć w jej duszę. Przyznanie się do błędu było nieuniknione. Dawno się nauczyła, że lepiej zrobić to wcześniej niż później. Byle nie za wcześnie, bo mógł nie uwierzyć w szczerą intencję. Miała nadzieję, że zbyt się nie pośpieszyła. Możliwe, że ostatnie miesiące spokoju uspiły jej czujność.

Ale przyznanie się do winy to tylko pierwszy krok. Po nim następowała kara.

– Powinnaś napisać jej opinię i niech wraca do pracy. Tego chcą jej przełożeni.

– To będzie pierwsza rzecz, jaką zrobię w poniedziałek.

– Nie chcemy, by budziła nas w nocy.

Potakiwała. Nie miała odwagi spojrzeć na niego. Gdy to w końcu uczyniła, przeraziła się. Przyglądał jej się z ironicznym uśmiechem na śmiertelnie białej i zimnej twarzy.

Potrafił ją przejrzeć na wylot. Był szalenie inteligentny.

– Pogoń Krystynę Bielińską.

– Dobrze.

Czekała na to, jak ją ukarze. Ją, głupią dziewczynę, która nic nie znaczyła.

– Włóż nasze talerze do piekarnika – powiedział. – Wystygły.

Podniosła się, jakby ją uruchomił niewidocznym pilotem. Wzięła jego talerz. Wciąż czekała na to, co się zdarzy.

Dotknął jej biodra. Było to ledwie muśnięcie, ale Monika odczuła je jak dotknięcie rozpalonego żelaza.

Wiedziała, że Damian chciał ją uderzyć. Z jakiegoś powodu tego nie robił, ale to w nim było. Uspione, drżące pragnienie, które prędzej czy później przebiję się na powierzchnię.

Zachwiała się.

Nie wytrzyma, jeśli wszystko zacznie się od nowa.

Kruk odjeżdżał sprzed domu Wolnego z poczuciem tylko częściowo straconego czasu. Chwilę krążył pobliskimi ulicami, po czym wrócił i zaparkował w tym samym miejscu co poprzednio, świetnie widocznym z okien budynku. Toyota Kruka nie była niewidzialna, ale komisarz się tym nie przejmował.

Włączył radio. Cicho, żeby nie naruszyć nastroju wieczoru, ale po chwili je wyłączył. Wolał słuchać własnych myśli, które dzisiaj obracały się wokół pięknej kobiety. Najciekawsza audycja ani kawałek muzyki nie mogły się z tym równać.

Kilka samochodów powoli przetoczyło się ulicą, ale żaden się nie zatrzymał. Kruk przymknął oczy i zaraz je otworzył. Dzwonił Paweł Lalkarz.

Kruk uśmiechnął się do siebie. Paweł się troszczył.

– Czego? – warknął Kruk do aparatu.

– Co tam u Wolnego?

– Ma dom jak zakład pogrzebowy.

– Coś w twojej sprawie?

– Właściwie nic.

– Co zrobisz?

– Podśledzałem przypadkiem rozmowę telefoniczną Wolnego.

– Przypadkiem?

– Właśnie. Siedzę pod jego domem i czekam na kogoś. Wolny będzie mi winien przysługę.

– A będzie wiedział, że jest ci winien?

– Nie jest głupi.

Z aparatu dobiegło go westchnienie.

– Uważaj na siebie.

– Caaały czas.

Cisza. Paweł się nie rozłączał.

– No? – mruknął Kruk. – Co jeszcze chcesz?

– Powiedziałem, uważaj na siebie. To hiena, ścierwojad. Narobił wiele zła ludziom. Nie wchodzi z nim w układy.

– Teraz to raczej grzechotnik. Nie zaatakuj, jak go nie nadepniesz.

Paweł wreszcie się odczepił.

Mijały kolejne minuty. U wylotu ulicy pojawił się biały mercedes, brama na podjazd Wolnego rozsunęła się bezszelestnie, a mercedes wjechał na posesję.

Kruk zanotował numery rejestracyjne i zadzwonił, gdzie trzeba. Po chwili miał już dane właściciela samochodu. Jerzy Gambarski, zamieszkały na Wiszących Ogrodach, sześć punktów karnych na koncie. Bez tej ostatniej informacji Kruk mógł się akurat obejść.

Nazwisko nie było mu obce. Przed laty Kruk miał na punkcie Wolnego małą obsesję i zbierał o nim wszystkie dostępne informacje. To przez to, jak Wolny postąpił w sprawie syna, bo Kruk nie potrafił tego pojąć. W każdym razie Gambarski był bliskim współpracownikiem Wolnego, prawą ręką, specjalistą od finansów. Po tym, gdy Wolny się wycofał, Kruk myślał, że cała ta wiedza, jaką posiadał o organizacji i powiązaniach Wolnego, została zebrana na próżno.

Ale może niekoniecznie.

Czekał kolejne pół godziny. Po tym czasie mercedes wyjechał z podjazdu, a Kruk bez pośpiechu ruszył za nim. Trzymał się w bezpiecznej odległości. Zastanawiał się, czy kierowca wie o nim, czy nie, w każdym razie nie próbował Kruka zgubić.

Pojechali na ulicę Leona Droszyńskiego. Mercedes zaparkował przy chodniku. Wysiadł z niego mężczyzna w średnim wieku, który wolnym krokiem skierował się do furtki, po czym wszedł do kamienicy. Kruk odczekał chwilę, zostawił toyotę przecnicę dalej i przespacerował się z powrotem. W budynku niewielkie światło paliło się jedynie w dwóch oknach. W jednym dostrzegł zarys postaci w białym fartuchu. Ten ktoś przestawiał ruchomy stojak. Kroplówka, pomyślał Kruk. Spojrzał na domofon przy furtce. Napis głosił: „Asnyk”. Sam budynek nie miał żadnego szyldu ani tabliczki.

Kruk odpalił smartfona, wbił w Google’a nazwę ulicy i budynku i znalazł stronę internetową domu hospicyjnego Asnyk. Wynikało z niej, że w kamienicy mieści się niewielkie prywatne hospicjum dla dzieci.

Kruk stanął w pewnym oddaleniu i obserwował kamienicę. Nic się nie działo, tylko korony drzew kołysały się miarowo. Wolny chyba nie liczył, że Kruk tam wejdzie. Do diabła z Wolnym. Kruk pogada sobie z panem Gambarskim, ale nie dziś i nie w tym miejscu.

Komisarz wsiadł do samochodu i odjechał.

– Kinguu – powiedział, miękko wymawiając jej imię. – Jesteś ze mnie zadowolona?

Siedzieli w Los Amigos, kolejnym lokalu na świeżym powietrzu. Kinga lubiła takie miejsca i korzystała z nich, ale głównie nocami, kiedy nie było gorąco.

– Bardzo. Wspaniale udajesz, że ci się podobam i mnie kochasz.

– Nie wiem, czym jest miłość, ale podobasz mi się naprawdę, Kinguu.

– Nie wiesz, czym jest miłość?

– Znam dużo kobiet i chyba się zagubiłem.

– Nigdy nikogo nie kochałeś?

– Kocham matkę.

– Och, to się nie liczy.

– Jeśli to się nie liczy, to nie, nikogo nie kochałem. A może kochałem wszystkie senhory, dla których pracowałem. Nie wiem, nie umiem odróżnić.

Podobała jej się jego szczerość. Miał w sobie ten rodzaj naiwnej łagodności, który go maskował, ale był inteligentniejszy od innych młodych mężczyzn żyjących z takich kobiet jak ona. Bogatych turystek szukających przygód. Podobały jej się jego szczerość, inteligencja i sposób, w jaki jej dotykał.

Było jej z nim przyjemnie.

– Posmutniałaś, Kinguu.

– Naprawdę?

– Nie tego szukasz. Nie chłopaczka takiego jak ja.

– Kogo więc szukam?

Antonio nachylił się nad stolikiem, przybliżył twarz do jej twarzy.

– Może nie musisz szukać. Może już znalazłaś?

Lekkim ruchem brody wskazał, gdzie Kinga ma spojrzeć. Dwa stoliki dalej siedział Wielki Maciej przyglądający się wchodzącym do restauracji ludziom.

– Maciej? – spytała.

– On cię kocha. Ty jego nie?

Czasem myślała o Macieju. O tym, dlaczego tyle z nią jest, jeździ z nią na krańce świata i z powrotem. Ojciec płacił mu za to potężne pieniądze, ale Maciej nigdy o nich nie mówił i nie widziała, by z nich korzystał.

– Jest stary.

– Tacy też kochają. Mocno, bo już nie mają nadziei.

– Kocha mnie jak córkę. Zna mnie od czasów, gdy byłam małą dziewczynką.

– Gdyby kochał cię jak córkę, to by się nie liczyło. Ale dla niego się liczy. Nienawidzi mnie, bo jestem z tobą, Kinguu. Czuję to w każdej chwili, gdy się do mnie zbliża. Brr... nawet gdy na mnie patrzy.

Antonio sam wpatrywał się w nią gorącymi, bystrymi oczami.

– Nie ufa ci. Wielki Maciej nie ufa nikomu, taką ma pracę.

– A ty mi ufasz, Kinguu?

– Ufam, że dopóki jesteś ze mną, to będzie mi dobrze.

– Więc muszę sprawić, że przestaniesz być smutna. Inaczej cię rozczaruję i pozbędziesz się mnie.

– Nie jestem smutna.

On jednak myślał inaczej. Zabrał ją na parkiet, gdzie przytuleni tańczyli *forro* do wolnych melodii, a potem melodie stały się szybsze, i też tańczyli, a jej kręciło się w głowie, aż zmęczeni i roześmiani usiedli.

– Chcesz, żebym cię kochał, Kinguu?

– Nie teraz.

– Ja bym chciał. Pójść do łóżka i cię zjeść.

– Miły jesteś.

Zaczął żywo gestykulować, usiłując wyrazić oburzenie.

– Nie jestem miły. Chcę ciebie, podobasz mi się bardzo, nawet jeśli nie wiem, czy cię kocham, bo nie znam, czym jest miłość.

Patrzyła na niego i słuchała jego paplania. Momentami wydawał jej się bystry, a zaraz potem głupi, kiedy tak bardzo usiłował się jej przypodobać.

Raz chwaliła go w myślach za inteligencję, zaraz potem wyczuwała w nim fałsz, który był inny od zawodowego fałszu, jaki znała u mężczyzn jego pokroju. To wtedy robiła się smutna.

– Zamów mi *cachacę* – powiedziała. – Całe wiadro czystej *cachaki*.

Pokiwał głową z rezygnacją.

– Biedny ja – powiedział. – Kinguu musi się napić, żeby ze mną być. Zaraz rozboli ją głowa, każe mi odejść i znajdzie sobie kogoś innego, żeby był zabawny.

– Przestań pleść i pij ze mną. Nie chcę pić sama.

– Będę pił z tobą dużo. Zupełnie się zalejemy.

Na ich stolik padł cień. Wielki Maciej ponuro patrzył na nich z góry.

– Idź po tę *cachacę*, chłopcze.

Antonio zerwał się z miejsca i już go nie było. Maciej usiadł na jego miejscu.

– Jeszcze nie masz go dość, Kingi?

– Bywa uroczy.

– Chłopaki Tiro też tu są. Chyba czas nam się kończy.

– Co zrobimy?

Antonio już wracał z tacą kieliszków napełnionych złocistym trunkiem. Kinga potrzebowała tego alkoholu, ale Antonio zatrzymał się w bezpiecznym oddaleniu

i czekał.

Wielki Maciej wzruszył ramionami.

– Zadzwoń do ojca i przygotuj nam ucieczkę – powiedziała.

– Jeśli wtajemniczę twojego ojca w sytuację – Wielki Maciej potrząsnął głową – to miejsce spłynie krwią, a ty nie lubisz krwi.

Skinęła na Antonia, który podbiegł z kieliszkami.

Naprawdę potrzebowała się napić.

Tomasz Rudzki skończył mówić i zamknął dokumentację pani Wolny. Powiedział właściwie to samo, co zesłłym razem i jeszcze wcześniej. Jedyne, o co musiał się starać, to żeby przekazywać te same informacje innymi słowami.

Wolny słuchał go wyjątkowo uważnie. Kilka razy skinął głową. Była sobota rano, jedynie dla nich Rudzki gotów był pracować w weekend.

Wolny chwilę siedział w milczeniu, po czym się odezwał:

– Mogę? – Wskazał dokumenty żony.

– To poufne dokumenty, panie Jacku. Przecież pan wie.

Wolny wstał i zabrał teczkę ze stołu. Rudzki nie odważył się mu przeciwstawić.

– Bzdura – warknął Wolny, zaglądając między okładki. – Gada mi pan o wszystkim, a nagle zawraca głowę jakimiś tajemnicami. No tak... – Przeglądał dokumenty dłuższą chwilę, po czym rzucił je na biurko Rudzkiego i powiedział: – Miał rację facet, który zasugerował, że powinien mi pan zwrócić pieniądze.

– Nie rozumiem...

– Co tu rozumieć? – Wolny wskazał teczkę. – Notuje pan tylko dni spotkań i kwoty. Od dawna żadnych notatek z terapii. Nic się nie dzieje.

– I nic się nowego nie zdarzy, miejmy nadzieję. Rozmawiamy, pańska żona chce tych spotkań, potrzebuje ich, oprócz mnie nie rozmawia niemal z nikim. I przepisuję jej leki.

– Nadal ubiera się jak śmierć. Nie sprawił pan, że została królową życia.

– Taki jest jej wybór: pozostać w żałobie. Obaj musimy go uszanować i nie traktować jak schorzenia, które można wyleczyć. Z kim pan o mnie rozmawiał?

– Z policjantem, komisarzem Krukiem. Komisarz nie ma o panu najlepszego zdania.

– Komisarz może jest świetnym śledczym, ale żaden z niego psychiatra. Czego od pana chciał?

– Mniejsza z tym. Bogna jest panu wdzięczna, że czasem wpada pan do hospicjum. – Wolny machnął ręką, jakby on nie był wdzięczny albo sprawa mało go obchodziła. – Wciąż mam ekologów pod zakładem. Zaczynam się do nich przyzwyczajać. Są jak smród z kibla: uciążliwy, ale nieszkodliwy.

Wiele kosztowało Rudzkiego, by nie pytać dalej o Kruka. Zainteresowanie komisarza Wolnym było informacją, która bardzo zainteresowała Rudzkiego.

– Czyli wszystko wraca do normy?

– Są drobne komplikacje, ale zdarzają się obcym ludziom. Ja, panie doktorze,

jestem nietykalny.

– To dobrze, nie będzie pan musiał przepisywać budynku hospicjum na córkę – rzucił na próbę.

– Może to zrobię. Wciąż biję się z myślami.

Wolny się zasepił. Rudzki obserwował go przez chwilę i spytał:

– Coś się stało?

– Pan powiedział, że to jej wybór. Dlaczego tak wybrała?

– Powinniście o tym ze sobą rozmawiać.

Wolny pokręcił głową, a Rudzki podpowiedział ostrożnie:

– Uznała, że skoro jej syn zginął, ona nie ma prawa do szczęścia.

– Myślałem, że przemówi jej pan do rozumu.

– Rozumu nie brakuje pańskiej małżonce. Jest bardzo silną osobą, podjęła decyzję i się jej trzyma. W ten sposób okazuje miłość.

– Miłość – warknął Wolny. – Też kochałem syna.

– Nie zapłacił pan okupu.

– Tak należało postąpić.

– Poddano go strasznym torturom, aby na pana wpłynąć.

– Nie ja go torturowałem.

– Ma pan córkę. A gdyby ludzie, którzy teraz pana naciskają, porwali ją? Zachowałby się pan tak samo? Nie uległby pan?

Wolny uniósł wzrok i patrzył spokojnie. Nie odpowiedział.

– Kocha pan ją? – spytał Rudzki.

– Do pewnego stopnia.

– Okrutne wyznanie...

– Kocham ją, dopóki nie przeszkadza to w interesach. To rozsądek, nie ma w tym nic okrutnego.

– Ona wie?

– O czym?

– Że w razie czego poświęci ją pan, tak jak poświęcił pan jej brata?

– Jest dorosła, zna mnie dobrze, umie wyciągać wnioski.

Zapadła cisza.

– Przepraszam – powiedział Rudzki. – Nie powinienem rozmawiać w taki sposób. Jestem psychiatrą i czasem wydaje mi się, że poznałem ludzką naturę na wylot. Zawsze wtedy spotykam kogoś, kto mi udowadnia, że jestem zaledwie dyletantem.

– Kruk też tak o panu myśli – warknął Wolny.

Rudzki obawiał się, czy nie posunął się za daleko.

– Zapewniłem córce dostatnie życie – odezwał się Wolny. – Żyje z dala ode mnie, od moich spraw, aby nikt mnie z nią nigdy nie łączył. Przenosi się z miejsca na miejsce, ale jest bezpieczna. Jeśli popełni błąd, trudno. Tak, doktoruku, ona o tym wie.

– Pogodziła się z tym?

– Przygotowała się na to.

– Nie rozumiem.

Wolny wahał się przez chwilę. W końcu powiedział:

– Coś panu powiem, żeby pan zrozumiał. Nie wie o tym nikt, tylko ona i ja. Nie wie jej ochroniarz ani jej matka, z którą pan tyle rozmawiał.

Rudzki ostrożnie skinął głową. Czekał.

– Zanim wyjechała, poprosiła mnie o coś i ja tę jej prośbę spełniłem. Jestem z niej dumny, bo naprawdę jest taka jak ja. Podarowałem jej kolczyki. Komplet tanich, plastikowych kolczyków, które nie zainteresują złodzieja ani nie zwrócą uwagi bandyty. Te kolczyki są szczególne.

– Co to znaczy?

Wolny popatrzył mu w oczy z mocą.

– W plastiku jest trucizna. Okruchy cykuty, każdy zdolny zabić człowieka wiele razy. To jej ostateczne zabezpieczenie.

Zapadła cisza.

– Zrobiłem, co mogłem w granicach rozsądku – rzekł Wolny. – Jeśli to nie wystarczy, wniosek jest jeden: że takie jest przeznaczenie. Rozumie pan?

– Nie, nie rozumiem tego.

– Jestem przede wszystkim biznesmenem, zawsze byłem. Biznesmeni robią pieniądze. Nie walczą z przeznaczeniem, bo wiedzą, że to się nie opłaca.

Park Oliwski przed południem był raczej pusty, jeśli nie liczyć tych kilku starszych ludzi przesiadujących na ławkach. Młodzi jeszcze nie wylegli tłumnie na sobotnie spacer. Charon stanął nad stawem, wyjął z kieszeni płaszcz bułkę, oderwał kawałek i zaczął układać w palcach kulkę.

Z pobliskiej ławki podniosła się zwinna staruszka i przycwałowała do Charona.

– Nie wolno karmić kaczek pieczywem – powiedziała. – To dla nich niezdrowe.

Rozdrażniła go, podważając wartość jego uczynku. Paczulski niedawno zrobił to samo. Charon nie spojrzał na nią. Zamiast tego rzucił kulką w stado kaczek. Zakotłowało się, gdy ptaki poderwały się do ucieczki, a potem wróciły i zaczęły bić się o zdobycz.

– Powiedziała, że nie wolno – zaskrzeczała.

Oderwał kolejny kawałek bułki, zakręcił w palcach i wyciągnął w stronę kobiety:

– Poczęstuje się pani?

Zatrzęsa się z oburzenia. Myślał, że powie coś niemiłego i odejdzie, ale ona dalej stała i dalej się oburzała w milczeniu. Skoro nie chciała, rzucił kulkę ciasta ptakom.

– Nienawidzę kaczek – wyznała niespodziewanie.

– To po co pani tu przychodzi i dba o ich zdrowie?

– Wolę kaczki od ludzi.

Charon się jej przyjrzał. Pomarszczona, zacięta twarz. Oczy, które wyglądały, jakby nigdy nie były młode, a już na pewno zawsze były zimne. Uraz i małostkowość wyzierające z każdego rozszerzonego pora skóry. Czasem ludzie stają się tacy, bo tak się układa ich życie. A czasem są tacy od samego początku.

Nie, zawsze są tacy od początku. Życie nie czyni ludzi takimi. Czasem tylko młodość maskuje brzydotę, która w nich tkwi od zawsze.

Staruszka stanowiła niezły okaz. Można by ją zatrudnić w branży.

– Ja też – powiedział.

Zadzwoiła komórka w kieszeni Charona. Staruszka spojrzała na niego groźnie.

– Nienawidzę tych nowoczesnych telefonów – mruknęła i od razu stanęła bliżej, nadstawiając uszu. – Wszędzie dzwonią.

Charon uśmiechnął się i oddalił. Zrobił to dla niej, choć miał ochotę pozwolić jej posłuchać rozmowy, po czym kazać jej za to zapłacić.

– Jestem – powiedział. Nie znał numeru, z którego dzwonił, ale tylko jedna osoba znała numer tej komórki.

– Dziś w nocy – usłyszał w aparacie.

– Co z ludźmi? – Milczenie. Przed oczami Charona pojawiła się wizja tego, co to milczenie oznaczało. Wizja ludzi płonących żywcem. – Tam są dzieciaki.

– Ostrzeż go, jak chcesz.

Połączenie zostało zakończone. Charon wrócił do starszej kobiety, która popatrzyła na niego z wyrzutem.

– Nienawidzę telefonów – powtórzyła na wszelki wypadek, gdyby zostały mu jakieś wątpliwości, patrząc z odrazą na aparat w jego ręku: huawei ze średniej półki cenowej.

Pokiwał głową. Jedna rozmowa, jeden telefon. Zamachnął się i rzucił komórką ponad wodę. Aparat wzbił się wysoko, niczym startująca kaczka, potem – niczym kaczka trafiona pociskiem – z cichym pluskiem spadł do stawu.

Kręgi rozeszły się po wodzie.

Oczyrna wyobraźni ujrzał tę starą kobietę z głową zanurzoną w stawie, jak tapla rękami niczym kaczka, a potem nieruchomieje.

Przyjrzał jej się z uśmiechem. Pomyślał, że opowie o niej Alicji. Bajkę o czarownicy, która nie lubiła ludzi, nie lubiła zwierząt, nie lubiła niczego. Istniała tylko po to, by świat był gorszy, aż spotkał ją koniec.

Szkoda, że nie byli tu tylko we dwoje. On i okropna jędza z bajek.

– Nazywam się Olivier Charon – powiedział. – A pani?

Nachmurzyła się jeszcze bardziej i patrzyła na niego z nieufnością.

– Jak dla ciebie może być Jadzia. Mogłam kupić od ciebie ten telefon. Dałabym dobrą cenę.

Jadzia. Jaga. Oczywiście, że tak.

– Handluje pani?

– Bo co?

– Hurtowo skupuję rzeczy, gdy mają dobrą cenę. Ale jak pani nie handluje...

Zrobił gest, jakby miał zamiar odejść, ale ona chwyciła go za rękaw. Podejrzliwość walczyła w niej z chciwością.

– Hurtowo? Co kupujesz?

– Wszystko.

Zmarszczki poruszyły się na jej twarzy, za to oczy pozostały oceniające i nieruchome.

– Wszystko? – powtórzyła za nim i roześmiała się nieprzyjemnie. – Dobrze trafiłeś, bo ja mam wszystko.

Kruk nie lubił składać pustych obietnic. A ostatnio obiecał coś facetowi i chciał dotrzymać słowa. Dlatego zaparkował toyotę pod biurowcem w Oliwie, choć ze względu na trwający weekend niewiele sobie obiecywał. Przynajmniej znajdzie biuro, obejrzy je sobie, a jeśli trzeba, wróci w poniedziałek.

Wjechał windą na jedenaste piętro, poszedł korytarzem, stanął przed szklanymi drzwiami częściowo przesłoniętymi żaluzjami i rzucił okiem. Coś tam płonęło w środku. Coś, co miało świetną figurę.

Pchnął szklane drzwi, które przesunęły się bezszelestnie, i stanął z nią twarzą w twarz. Była ruda. Była najbardziej rudą, ognistowłosą kobietą, jaką Kruk kiedykolwiek spotkał, choć nie tak bladą, jak rude zwykle są. Oprócz włosów ruda była jej bluzka i ruda obcisła spódnica. Kruk znał kiedyś jedną rudą, nie aż tak bardzo, ale wystarczająco rudą, żeby ją zapamiętać na resztę życia. Miała temperament i poruszała się jak rudy kot.

– Jest sobota – powiedziała kobieta oschle i z pewną pretensją w głosie. – Pana prezesa nie ma.

Ta ruda nie miała w sobie nic z kota. Była raczej sztywna, patrzyła surowo zza wielkich okularów jak z poradnika dla idealnych asystentek szefów. Być może cała zabawa zaczynała się, gdy zdejmowała te okulary. Miała znaczek z imieniem i nazwiskiem przypięty do bluzki: Julia Rosa. Zgodnie z tym, co zeznał Zasada, była dla niego dostępna także w nocy.

Wyraźnie oczekiwała, że Kruk sobie pójdzie. Gdy to nie nastąpiło, spytała:

– W czym mogę pomóc?

– Zastanawiam się nad tym – odparł.

– Był pan umówiony?

– Pani by o tym wiedziała.

– Nie przyjmujemy zleceń od osób z ulicy. Nie widzi pan, że nie ma godzin otwarcia?

– A od kogo przyjmujecie?

Stała nieprzyjemnie wyprostowana, zaporą, którą pan prezes ustawił, aby odgradzała go od ludzi, którzy chcieliby marnować jego czas.

– Czy mogę zrobić dla pana coś jeszcze? – spytała po chwili ciszy.

– A co pani zrobiła do tej pory?

– Poświęciłam panu swoją uwagę.

Kruk wyciągnął legitymację służbową. Ledwie rzuciła okiem.

Odwróciła się i usiadła za swoim biurkiem. Zdjęła okulary i rzeczywiście, wtedy się zaczęło.

Odrzuciła do tyłu włosy, wyduła usta w lekkim uśmiechu i spojrzała mu w oczy trochę kpiąco, trochę z wyzwaniem.

– Komisarz Kruk – powiedziała miękko.

– Ma pani świetny wzrok.

– Ach, po co wzrok. Pan prezes uprzedził mnie, że jeśli tu przyjdzie policja, z pewnością będzie to pan.

Założyła nogę na nogę, przyglądając się jej z przyjemnością i eksponując kształtną łydkę.

– I kazał pani mnie uwieść?

– Mam być niemiła. – Roześmiała się dźwięcznie. – Prezes pana nie lubi.

Kruk przespacerował się po gabinecie. Zatrzymał się przy drzwiach do drugiego pokoju, nacisnął klamkę i zajrzał tam. Taki tam dyrektorski gabinet, trochę skóry, trochę egzotycznego drewna, ale w gruncie rzeczy nic nadzwyczajnego. Nie próbowała go powstrzymać, tylko obserwowwała z ostrożnym rozbawieniem. Zatrzymał się przy niej.

– Ma pani być niemiła czy miła, bo nie zrozumiałem.

– Sama nie wiem, jaka chcę być. Umiem być miła albo niemiła z taką samą łatwością. Kawy?

Pokręcił głową, ale usiadł na małej kanapce. Wstała, wygładziła spódnicę na biodrach, poświęcając tej czynności za dużo uwagi, podeszła i zajęła miejsce obok. Tym razem wyeksponowała drugą nogę.

– A więc? – zamruczała, zgrabnie przeistaczając się w kota.

– Czym się tu zajmujecie?

– Po to pan przyszedł? Ogólnie pojętym konsultingiem. W tej chwili najczęściej tworzeniem wizerunku.

– Co to właściwie znaczy?

Przeciągnęła się, jakby znajdowała rozkosz w każdym usłyszonym i wypowiedzianym słowie.

– Ubieramy chciwość w maskę altruizmu, z małych świństw robimy akty wielkiego heroizmu.

Rozgadała się, miała bogate słownictwo. Kruk rozglądał się po gabinecie, słuchając o nieładnych sprawach, które mają ładnie wyglądać. Dzieliła się chętnie mnóstwem ogólnych i bezużytecznych informacji. Mówiła przyciszonym głosem, jakby zdradzała sekrety.

– Dużo ludzi zatrudniacie? – przerwał jej, gdy zaczerpnęła tchu na oddech.

Wydawała się zaskoczona.

– Niedużo, zupełnie niedużo. Dokładnie tylu, ilu potrzeba.

– A konkretnie?

– Nie wiem, czy mam prawo mówić.

– Bez problemu to sprawdzę, więc niech mi pani oszczędzi fatygi.

Zastanowiła się, po czym skinęła głową.

– Nie chcę panu oszczędzać niczego.

– No tak, ma pani być niemiała.

Jej śmiech był perlisty:

– Jest prezes, jestem ja i księgowa.

Kruk pomyślał o porsche Zasady. Niezłe dochody jak na tak oszczędne zatrudnienie.

– Wykorzystujemy podwykonawców – dodała. – Tak jest lepiej.

Kruk posłał jej swój uśmiech numer trzy. Zagadkowy.

– Zadowolona pani z pracy?

– Z pracy? Tak. – Zawahała się, nachyliła mu się do ucha. Poczł łaskotanie jej oddechu. – Za to szef to skurwysyn.

– Ma wady?

– Mnóstwo. I jedną największą.

– Jaką?

– Mówiłam, że jest skurwysynem.

– Co pani zrobił?

Usiadła prosto. Przez moment znów była oschłą, nieprzystępną kobietą, brakowało jej tylko okularów.

Nie odpowiedziała.

– Jak mógłbym mu zaszkodzić? – spytał Kruk grzecznie.

– Co za rozkosz – wyszeptła. – Tak przyjemnie się z panem rozmawia.

– Do usług.

Przypatrywała mu się z powagą, która pojawiła się równie nagle, jak niedawna kokieteria.

– Mogę jednak zobaczyć pana legitymację?

Pokazał jej. Pozwolił dotknąć. Wciąż nie była przekonana, więc odchylił marynarkę i pokazał broń w kaburze pod pachą. Klasnęła w ręce. Kruk miał z niej niezły ubaw.

– Wiedziałam, że to się tak skończy, policjantem w cywilu.

– Co?

– To, co wyprawia. To musi być coś nielegalnego i nie chcę brać w tym udziału. Ja, panie komisarzu, nie mam z tym nic wspólnego.

– Z czym?

– On tu kogoś szuka.

Kruk postanowił być cierpliwy.

– Tu, czyli gdzie?

– W Gdańsku. Bardziej go to pochłania niż praca. Spotyka się z ludźmi, którzy nigdy nie byli naszymi klientami. Nie podobają mi się ci ludzie.

Kruk skinął głową.

– A co to za ludzie?

– Ludzie. Niczym się nie wyróżniają. Tylko tym, że on się zawsze zamyka, gdy z nimi rozmawia. Bywa, że ja też coś usłyszę. Człowiek, którego szuka, jest niebezpieczny, nazywa go świrem, mówi, że jest zły, ale wie pan, co ja myślę?

Kruk nie wiedział.

– Myślę, że to Emil Zasada jest złym człowiekiem. Mam czasem wrażenie, że nie jest tym, za kogo się podaje.

– Skąd to podejrzenie?

– Jeden z jego gości kiedyś go nazwał Arminem. Taka dziewczyna jak ja, i w co ja się pakuję?

– Emil i Armin, podobne, może się pani przesłyszała?

Pokręciła głową.

– Co pan na to?

Kruk tego także nie wiedział. Popytał ją trochę, usiłując wyciągnąć coś konkretnego, ale dostawał w kółko te same ogólniki: niebezpiecznych ludzi, świra i coś nielegalnego.

– To wszystko mówię panu w sekrecie – powiedziała zmęczona jego pytaniami i wyraźnie zawiedziona. – Jak pan zapyta jeszcze raz, wszystkiego się wyprę.

Dał spokój. Miał do swojej rudej przyjaciółki kilka innych pytań.

– Słyszała pani o zabójstwie? – Gdy skinęła głową, dodał: – To było tydzień temu w sobotę.

– Wiem.

– Tamtej nocy szef widział się z panią?

– Wpakował mi się do domu jakoś tak przed drugą – powiedziała, a potem się zawahała. – A jak pan woli? Żeby się ze mną widział czy nie widział?

Kruk nachylił się do niej i szepnął konspiracyjnie:

– Możemy razem knuć, ale nie może mi pani kłamać.

Nachmurzyła się.

– Skurwysyn został do rana.

– Może mi pani wreszcie zdradzić, dlaczego skurwysyn.

– Niech pan na mnie spojrzy. – Wypięła piersi, uniosła podbródek, wyduła wargi. – I co?

– Jest pani diabelnie atrakcyjna – powiedział ostrożnie Kruk.

– Oczywiście. Dlatego nie lubię być tak traktowana.

– Jak?

– Jak kurwa na godziny.

– Ta rola pani nie przystoi.

Westchnęła, nachylając się w jego stronę.

– Kazał mi skłamać, że pracowaliśmy.

– A co robiliście naprawdę?

– Brzydkie rzeczy, które czasem robi mężczyzna z kobietą, aby czuła, kto tu

rządzi. Nie chcę opowiadać, żeby pana nie zawstydzić.

- Dziękuję – powiedział. – Bardzo pani subtelna.
- Czasem chcę go posłać do diabła. Nie mogę pozwalać się tak traktować.
- Czemu pani pozwala?
- Z powodu pieniędzy, oczywiście.
- Jak go zamknę, straci pani robotę, a z nią pieniądze.

Zastanowiła się nad tym. Myślała ciężko, o czym świadczyły bruzdy, które wyłobiły jej gładkie dotąd czoło. Aż czoło znów się wygładziło.

– Niech więc go pan nie zamyka – powiedziała, zbliżając swoje wargi do jego. – Niech pan go tylko nastraszy, żeby przestał i nie mieszał mnie w ciemne sprawki.

- Ale żeby nadal pani płacił?

Jej wargi wciąż się zbliżały. Kruk wstał, zanim nastąpiło nieuchronne zderzenie. Nie miał ochoty jej całować. Był zły i wolałby dać jej parę pasów na goły tyłek.

- Dla pani wszystko – powiedział, uśmiechnął się i wyszedł.

Obudził go dźwięk telefonu. Jacek Wolny posiadał kilka aparatów telefonicznych o różnym przeznaczeniu. Wyłączał je na noc i zostawiał w szufladzie biurka. Wszystkie oprócz jednego.

Numer tego aparatu znali jedynie najbliżsi współpracownicy oraz jego córka. Ona by nie dzwoniła, tylko napisała by wiadomość na komunikatorze. Wiadomości od niej odbierał również w tej komórce.

Spojrzał na wyświetlacz. Dochodziło wpół do drugiej w nocy, a on nie znał numeru. Skoro ktoś dzwonił na ten telefon o takiej porze, nie chodziło o darmowe badanie serca ani pokaz garnków.

Włączył lampkę nocną, odebrał, ale się nie odezwał. Siedział z aparatem przy uchu, wsłuchując się w ciszę po drugiej stronie. Cisza panowała też w jego domu. Od dawna sypiał sam. Żona spała w osobnym pokoju, tak było lepiej i dla niego, i dla niej.

– Twoja mała fabryczka aniołków spłonie – rozległ się szept po drugiej stronie. – Damy ci kilka minut, aby aniołki zdążyły odlecieć.

Rozmowa się skończyła.

Jacek Wolny odłożył aparat na szafkę nocną. Sięgnął po butelkę z wodą mineralną i się napił.

Znali jego numer, a to znaczyło, że groźbę należy traktować poważnie. Spojrzał na telefon. Nie powinien reagować nerwowo. Nerwowość to słabość. Jeśli zadzwoni do ośrodka i każe się ludziom ewakuować, a nic się nie stanie, tamci uznają, że wystarczy byle co, by zaczął ich słuchać.

Podpalenie budynku z dziećmi w środku... Nie sądził, by ktoś się na coś takiego poważny.

Nie zamierzał im niczego ułatwiać. Wykonując ich polecenia, przegra.

Usiadł wygodniej.

Jeśli nie odważą się podpalić budynku z dziećmi w środku, wtedy oni okażą słabość. Jeśli się odważą, będą potępieni przed Bogiem i ludźmi.

W jednym i drugim przypadku Wolny wygra.

Zastanowił się, po czym wyłączył telefon.

Zgasił światło.

Minęły trzy minuty i nic się nie stało. Minęła czwarta minuta i Charon uznał, że to zbyt długo. Sięgnął po komórkę.

- Cisza – powiedział do aparatu.
- Testuje nas.
- Co mam robić?
- Swoje.
- Co z dziećmi?
- Widać się o nie nie troszczy.
- Spłoną żywcem.
- Możesz je wcześniej podusić.

Charon siedział w bezruchu. Dotknął pistoletu pod ramieniem. Popatrzył na siedzące z nim w czarnym saabie Czarne Siostrzyczki. Tę obok niego i tę, którą mógł obserwować w lusterku wstecznym, bo siedziała z tyłu. Czytał kiedyś taką bajkę. Te kobiety miały jakieś imiona, ale nie chciało mu się ich spamiętać.

– Czekajcie tu – powiedział.

– Kazał odpalać – powiedziała Siostrzyczka z siedzenia obok i sięgnęła po mały nadajnik leżący przy drążku skrzyni biegów.

– Ja każę czekać.

Znowu na nie popatrzył. Równie dobrze mógł gapić się w piwniczne okna, w ich oczach była tylko ciemność.

– Kazał odpalać – powtórzyła i jej oczy były jeszcze jak piwniczne okna, ale coś się w nich zapaliło.

Jej palce delikatnie przesuwają się po nadajniku.

– Daj mi to – powiedział.

Spojrzała mu w oczy z wyzwaniem. Odpowiedział spokojem. Podała mu nadajnik.

Wyciągnął rękę, by go wziąć, a wtedy ona zaśmiała się i nacisnęła przycisk.

– Kazał odpalać – powiedziała.

Uderzył ją w twarz. Zaśmiała się głośniejszym głosem, nie zrobiło to na niej wrażenia. Za to Siostrzyczka z tylnego siedzenia nachyliła się i Charon poczuł lufę pistoletu na tyle głowy.

Niewiele go to obeszło. Oczyma wyobraźni zobaczył, jak impuls radiowy otwiera małe naczynie i na wiązkę elektrycznych przewodów wycieka pierwsza niewielka kropla kwasu. Cały mechanizm wzbudzenia ognia był prosty, wręcz prostacki, ale

chodziło o to, by ta prostacka instalacja uległa całkowitej autodestrukcji w pożarze.

Spojrzał na zegarek. Dochodziła pierwsza trzydzieści sześć w nocy. Miał około czternastu minut. Od razu odjął minutę dla bezpieczeństwa. Wykonał dużo podobnych zleceń i wiedział, jak wiele może pójść nie tak.

– Zabierz to – warknął i lufa pistoletu się cofnęła. Wysiadł z samochodu.

Momentalnie znalazł się przy furtce. Wbił kod i już był przy drzwiach. Za sobą usłyszał wzbudzony silnik samochodu. Gdy otwierał drzwi kluczem, który dorobił podczas wolontariatu, kątem oka widział jeszcze, jak saab się oddala.

Olivier Charon znalazł się w korytarzu. W hospicjum było ciemno, pielęgniarka musiała spać. Z siedmiu miejsc tylko dwa były zajęte. Alicja i ten chłopiec na piętrze. Miejsce po innym chłopcu, które sprzątał Charon, wciąż stało puste.

W kamienicy przebywało więc jakieś pięć osób. Dzieci, pewnie po jednym z rodziców oraz pielęgniarka. Niska frekwencja nie oznaczała, że świat nie obfitował w dramaty, dla których stworzono to miejsce. Dyrekcja Charona nie chciała, by Wolny robił za filantropa i bohatera, stąd większość ludzi, którzy chcieli tu przyjść, skutecznie odstraszano.

Charon wciągnął głęboko powietrze, wężąc, choć wiedział, że wybuch wyprzedzi swąd ognia. Rzut oka na zegarek. Dwanaście minut dziesięć sekund.

Bezszelestnie przeszedł korytarzem. Drzwi do pokoju pielęgniarek były uchylone. Siostra Pamela drzemała na kanapie z otwartą książką na piersi. Jakiś romans. Lekki i bezpieczny, odrywający umysł od świata, w którym umierają dzieci. Drzwi do pokoju Alicji również uchylone. Pchnął je lekko, oczekując widoku ojca lub matki siedzących przy łóżku córki. Wiedział, że się wymieniają.

Zobaczył jedynie Alicję.

Nikogo przy niej nie było. Był tylko koc rzucony na pobliski fotel. Ktoś jeszcze przed chwilą pod tym kocem siedział, ale zostawił go i wyszedł.

Charon usłyszał cichy szcęk naczyń dobiegający z kuchni. Wszedł do pokoju.

Możesz je wcześniej podusić, brzmiało mu w uszach dalekie przyzwolenie.

Korporacja może mu nie wybaczyć samowoli, ale dawno przestał być małym chłopcem i nie pytał innych o pozwolenie. Przed oczami stanęła mu twarz umierającej siostry. Już jako mały chłopiec samodzielnie podjął pierwszą trudną decyzję.

W Grecji Monika pływała z Damianem w morzu tak przejrzystym, że dało się dostrzec rozkołysane przy dnie zwłoki. Były to zwłoki kobiet, które patrzyły na nich szeroko otwartymi oczami. Na brzegu stało kilkoro znajomych. Nie rozpoznawała ich, ale mimo to wiedziała, że dobrze ich zna. Damian podpływał do niej i co jakiś czas wciągał jej głowę pod wodę. Trzymał ją tak, a kobiety z dna wyciągały do niej martwe ręce. Szarpała się, ale on był silniejszy. Gdy zaczynała tracić przytomność, puszczał ją i pozwalał zaczerpnąć powietrza. Wypływała na powierzchnię, łapiąc oddech, usiłując wezwać na pomoc ludzi na brzegu, ale oni się tylko śmiali i machali im obojgu.

– Nie jesteś nic warta – mówił Damian, wynurzając się blisko niej. – Widzisz, do czego mnie zmuszasz? Czemu nie możesz być jak inne kobiety?

Znowu wciągał jej głowę pod wodę, aby mogła na nie patrzeć. Na te inne kobiety przy morskim dnie. A potem poczuła szarpnięcie za ramię.

Usiadła na łóżku. Wciąż była noc, a w pokoju paliło się światło. Damian pochylał się nad nią:

– Wstawaj – powiedział. – Czeka na ciebie w pokoju.

– Kto? – Patrzyła na niego z przerażeniem, bo bała się, że znowu zacznie się topić.

– Kriss, twoja przyjaciółka.

Wyprostował się. Wreszcie dotarło do niej, gdzie jest i co się dzieje. Wyskoczyła z łóżka. Zdała sobie sprawę, że jest naga. Przed zaśnięciem Damian uprawiał z nią seks.

Podał jej szlafrok. Chciała go wyjąć z jego dłoni, ale trzymał mocno. Spojrzeli sobie w oczy. Monika natychmiast spuściła wzrok.

W każdej chwili ich życia musiał mieć nad nią kontrolę.

Gdy jej pozwolił, narzuciła szlafrok. Zawiązując pasek, uniosła wzrok, szukając pozwolenia na wyjście z sypialni.

Damian włożył jej dłoń pod szlafrok, dwa palce wsunął w pochwę, kciuk pozostał na sklepieniu łonowym. Ścisnął mocno, poczuła ból, ale nie odważyła się jęknąć.

– Pozbądź się jej raz na zawsze – szepnął.

Utkwił w niej wzrok i nie zwalniał nacisku. Oczy zaszyły jej łzami. Kilkakrotnie skinęła głową.

Gdy wyjął rękę spod szlafroka, wybiegła z pokoju.

Kriss patrzyła na nią oskarżycielsko z kanapy. Rozpierała się tam ubrana w stare dresy.

Monika pomyślała, jak głęboko musiała spać, skoro nie usłyszała pukania Bielińskiej, jej rozmowy z Damianem i wejścia do gościnnego pokoju.

– Kriss, tego już za wiele – powiedziała ze złością, którą naprawdę czuła. Przez tę kobietę Damian się zmieniał. Mógł znowu stać się tym, kim kiedyś był. – Nie możesz nachodzić mnie w domu. Jutro powiadomię o tym przełożonych.

– Jutro rób, co chcesz, tylko pozwól mi dziś zostać u siebie.

– Kriss...

– Nie mogę być sama.

– Masz dom, męża...

– Nie mogę być z nim po tym, co mu zrobiłam.

Monika poczuła się bezsilna.

– To, co się stało, nie było twoją winą. Idź do męża, u niego szukaj opieki. Proszę cię, nie może tak być, że przychodzisz tu, kiedy chcesz, i robisz, co ci się podoba. Chcę ci pomóc, ale nie w taki sposób.

– Nie chcesz mi pomóc.

Monika westchnęła.

– Może masz rację, może po prostu nie umiem. W poniedziałek dam ci opinię, po którą do mnie przyszedłeś. Nic więcej nie mogę dla ciebie zrobić.

– Tak? – Kriss wstała. – Co się zmieniło? Dlaczego najpierw sprawiasz wrażenie, że ci na człowieku zależy, a potem wyrzucasz go jak śmiecia?

– Słyszałaś. – Damian stanął między Moniką a Kriss. – Nie chce z tobą gadać. Chciałaś to sama usłyszeć. Usłyszałaś. Teraz wyjdź.

Zapadła cisza. Wydawało się, że Kriss da za wygraną. Ale podeszła do niego tak blisko, że dzielili ich milimetry.

– No. – Uniosła pokancerowaną twarz, której potrzebne będą operacje plastyczne, aby wróciła do dawnego wyglądu. – Co mi zrobisz, jak nie wyjdę? Będziemy się szarpać? Uderzysz mnie?

– Nie biję kobiet.

Była dużo niższa, ale gdy parsknęła mu w twarz, obryzgała go drobinkami śliny. Zaśmiała się na całe gardło. Damian przetarł twarz dłonią.

– Coś cię śmieszy?

– Cała ta sytuacja. Może wezwiesz patrol, żeby mnie wyrzucili? Chłopaki będą mieli o czym plotkować.

– Kriss – powiedziała błagalnie Monika.

Bielińska podeszła i chwyciła ją za rękę.

– Nie wyrzucaj mnie. – W jej oczach było coś takiego, czego Monika w nich wcześniej nie widziała. – Nie masz racji, to moja wina, przeze mnie to się stało.

– Często ofiary przemocy szukają winy w sobie. Proszę cię, nie będziemy w ten sposób rozmawiać. Wyjdź, a dam ci skierowanie do najlepszego psychiatry. Pomoże ci.

– Nie chcę żadnego psychiatry. Zaufałam tobie. Mówię ci, że to moja wina. –

Zawahała się. – Nie powiedziałam ci wszystkiego.

– Do jasnej cholery – warknął Damian. – Zabierz ją do małego pokoju i dajcie mi spać. Pogadaj z nią, skoro musi się wygadać, i niech mi zejdzie z oczu. A ty, sierżant Bielińska – pogroził jej palcem – jeśli jeszcze raz najdziesz nas w nocy, będziesz stała na klatce i możesz pobudzić cały blok. I tak, wezwę patrol, niech sobie chłopaki plotkują.

Bielińska wciąż nie puszczała ręki Moniki.

– Dziękuję – powiedziała do niego.

Lalka siedziała na szafce przy łóżku i patrzyła przed siebie niewidzącym spojrzeniem. Charon odwrócił wzrok. Musiał dać sobie z tym radę, nie mógł sobie pozwolić na słabość. Nie tym razem.

Alicja za to oczy miała zamknięte. Przyglądał się jej, stojąc u wezłowania łóżka. Oddech dziecka był płytki, urywany, czoło mokre od potu. Do żyły w ręce podpięta była cienka przezroczysta rurka, którą sączyła się morfina.

Charon podsunął sobie krzesło i usiadł przy łóżku.

Po co się męczyć, skoro czeka cię tylko ból, pomyślał.

Popatrzył na panel sterujący pompy infuzyjnej. Podczas swoich licznych wizyt w hospicjum podpatrzył kod, którym zabezpieczano dozowanie morfiny. Znał obsługę urządzenia, potrafił przyspieszyć wlew. Więcej dobrego, więcej znieczulenia. Morfina zabijała cierpienie i wraz z nim człowieka, bo nie ma człowieka bez cierpienia. Czasem tylko jest go więcej, niż da się znieść.

Wstał i wyciągnął dłoń, aby wbić cyfry. Spojrzał na swoją rękę i zastygł. Była to silna ręka dorosłego mężczyzny, nad którą mężczyzna miał pełną kontrolę. Nie chuda ręka chłopca, która omdlewała, a mimo to znalazła w sobie siłę, by wielokrotnie naciskać guzik.

Czasy były inne, pompy infuzyjne bardziej prymitywne.

Znów był w tamtym pokoju, z siostrą, która cicho jęczała. Też miała lalkę, która siedziała na jej łóżku. Potem Iza umilkła. Patrzył, jak twarz siostry staje się sinoblada, ciało nieruchomieje, otwarte oczy gasną, teraz bardziej martwe niż oczy jej lalki.

Siedział przy niej, a gdy się upewnił, że jest po wszystkim, przywrócił poprzednie ustawienia pompy.

Nikt się nie zorientował. Lekarze uznali, że przyszedł na nią czas. Pocieszali, że to dobrze, że nie cierpiała dłużej. Nie zarządzono sekcji, bo i po co: stało się to, co miało się stać. Rodzice wpadli w rozpacz, ale była też w tym jakby odległa radość, że to się wreszcie skończyło.

Wtedy zrozumiał, że śmierć rozwiązuje problemy. I bliscy, choć cierpią, czują także ulgę.

On ulgi nie poczuł.

Zapamiętał lalkę, bo im dalej odchodziła Iza, tym wzrok lalki stawał się bardziej ludzki, jakby wstępowało w nią odchodzące życie.

Przechowywał zdjęcia Izy. Po tych wszystkich latach siostra pozostała dla niego twarzą ze zdjęć, za to lalkę zapamiętał wyraźnie. Stała mu przed oczami tak żywo

i czysto, jak jawią się tylko upiory.

Zapatrzony w swoją dłoń przy pompie, nie zauważył, że Alicja otworzyła oczy. Patrzyła na niego w milczeniu. Cofnął rękę.

Uśmiechnął się do niej, ale nie odwzajemniła uśmiechu.

– Przyszedłem zdradzić ci swój sekret – szepnął.

Odwróciła głowę. Bała się go. Mądre dziecko.

Z korytarza dobiegły go kroki, ktoś się zbliżał. Charon wstał, stanął przy drzwiach i czekał. Mężczyzna wszedł do pokoju, niosąc kubek z herbatą. Postawił go na stoliku przy fotelu, sięgnął po koc i spojrzał na Alicję.

– Nie śpisz? – W tej chwili zobaczył Charona. – Jezu Chryste – powiedział Gambarski i zrobił dwa kroki, stając między nim a dziewczynką.

– Ciii – powiedział uspokajająco Charon, odsłaniając połą kurtki i sięgając po pistolet. Lubił uspokajać ludzi, zanim ich zabił. Człowiek spokojny ładniej umierał.

– Zrobiłem, co chciałeś. Miałeś tu nie wracać.

– Twój szef wie, że to miejsce się pali, ale chyba cię nie powiadomił.

Charon spojrzał z wyrzutem na kubek parującej herbaty. Usta Gambarskiego poruszyły się, ale nie wydobył się z nich dźwięk.

Charon podszedł bliżej.

– Na twoim miejscu miałbym do niego żal.

– Co się pali?

Charon spojrzał na zegarek. Zostało cztery i pół minuty.

– Nieważne. Nie upieraj się przy swoim, bo będzie ci potem wstyd.

– Czego jeszcze chcesz?

– Zrobiłeś, co chciałem, ale twój szef nie. Powiem ci, co teraz zrobisz. – Uzbrojona ręka Charona niedbale bujała się przy boku. – Sprowadzisz z piętra dzieciaka i tego, kto tam z nim jest. Wyprowadzisz ich z budynku. Możesz obudzić pielęgniarkę.

– Alicja... – powiedział Gambarski, ale Charon mu przerwał.

– Ja ją wyniosę. Będzie czekała na ulicy.

Twarz Gambarskiego nagle się zmieniła.

– Nie pozwolę ci jej dotknąć.

Charon podniósł broń i przytknął mu do czoła.

– Więc cię jednak zabiję, a potem i tak zrobię, co chcę.

Gambarski pokręcił głową. Nie ruszył się z miejsca. Trzy minuty pięćdziesiąt. Nie było czasu. Facet sam się prosił o śmierć, ale słowa Charona były pustą groźbą. Nie mógł zostawić za sobą trupa z kulą w głowie.

– Tatusiu... – Alicja stanęła obok ojca. Była blada, zadziwiająco spokojna i ledwo trzymała się na nogach. – Uratuj tę panią.

Widok córki wstrząsnął nim. Charona zaciekawiał. Schował broń. Trzy minuty trzydzieści.

– Nie zostawię cię.

Chciał ją wziąć na ręce, ale Alicja podeszła do Charona i wyciągnęła ramiona. dzielnie zniosła, gdy ją podnosił, choć czuł, jak drży. Mała bohaterska dziewczynka, która próbowała ratować ojcu życie.

– Trzy minuty – powiedział Charon. – Pielęgniarkę obudzisz na końcu, nie powinna mnie widzieć.

Gambarski nie przeciwstawił się dłużej. Charon ruszył do drzwi, a jego wzrok padł na pozostawioną lalkę. Dziewczynka nie próbowała wziąć jej ze sobą, nawet jej nie dotknęła.

Wyniósł Alicję z budynku. Opuścił posesję, ruszając chodnikiem w dół ulicy. Gambarski miał czas, ale Charon nie wiedział, jak go wykorzysta. Liczył, że właściwie.

Ogarnęła go złość. Wysadzenie budynku to jedno, ale wysadzenie go z chorymi dziećmi to głupie posunięcie. Takie rzeczy zdarzało im się robić w Trzecim Świecie, ale nie było na nie miejsca w europejskim państwie w środku Europy. Dyrekcja zbyt dużo czasu spędziła w Afryce i chyba nie widziała różnicy.

Zastanowi się, co z tym zrobić.

Ulica była cicha, jasna od światła latarni przesączającego się przez nisko zwieszony korony drzew. Zatrzymali się w miejscu, z którego nie było widać budynku hospicjum, ale skąd usłyszą wybuch. Trzy minuty minęły.

Alicja milczała.

– Teraz poznasz mój sekret – szepnął jej do ucha.

– Co chciałaś mi powiedzieć?

Monika zadała to pytanie, wiedząc dobrze, że zdradza Kriss. Nagła zgoda Damiana na jej pozostanie w mieszkaniu nie była niczym innym, jak poleceniem dla Moniki. Damian chciał wiedzieć, z czym Kriss przyszła i wykorzysta to przeciw niej. Miał jej dosyć i załatwi sprawę w taki lub inny sposób. Każe Monice zdać dokładną relację z rozmowy, może nawet stoi pod drzwiami i podsłuchuje, i od razu się zorientuje, gdyby próbowała kłamać.

Były zamknięte w pokoju, ale nie gasiły światła. Kriss siedziała na łóżku, zdjęła buty i obejmowała kolana rękami.

– Nie jestem nic warta – szepnęła.

– Bardzo wiele przeszłaś.

– Co ty możesz wiedzieć.

– Tyle, ile mi powiesz.

– Właśnie. – Kriss zacięła usta. – Nie wiesz, jak to jest, kiedy trzeba zostawić rodzinę i wejść między obcych, poznawać ich, żyć pośród nich i przez cały ten czas kłamać. Uśmiechać się, pracować, pić, kłócić się i pomagać, zaprzyjaźniać się, zdobywać zaufanie ze świadomością, że robisz to po to, żeby pewnego dnia ich wystawić. – Kriss ciężko westchnęła. – Nie tylko jesteś pośród nich. Stajesz się jedną z nich. Należysz do nich. Masz legendę, w którą wierzysz bardziej niż w prawdziwą przeszłość. Tyle się dzieje, rodzina jest daleko, wydaje ci się, że tamto inne życie nie istnieje, a prawdziwe jest przebranie, prawdziwsze niż wszystko inne.

– Musiało ci być ciężko.

– Ciężko? Facet, z którym się zadałam, szalał na moim punkcie. Kwiaty, restauracje, nocne kluby, ciuchy, fryzjer, kosmetyczka, spanie do południa, prywatny instruktor jogi... Doszło do tego, że zaczęłam myśleć o operacji plastycznej podbródka. Jeździłam autem za pół miliona. Gówniana torebka była warta dziesięć tysięcy... – Kriss ucichła na moment. – Ciężko. Może i tak. Są takie chwile... wydaje ci się, że jesteś sama na świecie i bardzo, bardzo, bardzo potrzebujesz kogoś, kto zapełni tę pustkę. – Popatrzyła na Monikę oczami pełnymi bólu.

Monika zrozumiała.

– Zakochałaś się – powiedziała cicho, bardzo cicho, żeby Damian, jeśli tam gdzieś stoi, nie zrozumiał. I nawet jeśli jutro mu wszystko opowie, bo ją zmusi, na razie to pozostanie sekretem.

– Zakochałam się w facecie, nad którym pracowałam – powiedziała Kriss, nie

zniżając głosu. – Zakochałam się i zaczęłam z nim sypiać.

– Czy to był ten sam człowiek...

– Zupełnie straciłam rozum. – Kriss potrząsnęła głową. – Przestałam rozróżniać, co dobre, a co złe. Zapomniałam, że jest inne życie, kim jestem, po co tam jestem. Obsesyjnie myślałam tylko o tym, żeby z nim być. A skoro chciałam z nim być, to musiałam go ochronić. Przed sobą, przed ludźmi, którzy stali za mną. Kochałam tak mocno, że nie widziałam różnicy między sobą a nim. Byłam absolutnie pewna, że skoro ja go kocham, to on tak samo kocha mnie.

– Powiedziałas mi – odezwała się Monika po długiej chwili milczenia.

– Sama się zdekonspirowałam. Powiedziałam mu coś takiego: jestem z policji, ale to nic, bo cię kocham.

– Co było dalej?

– Wiesz, co było dalej. Bańka pękła. Zabiłam człowieka, którego kochałam. Zrobiłabym to drugi raz.

– Twój mąż wie?

– Wie, co mi zrobiono. Nie wie, co ja zrobiłam.

– Kochasz go jeszcze?

– Wrócił mi rozum. Tamto się skończyło.

– To nie rozum kocha.

– Tamto było jak cudzy sen, który przemienił się w mój koszmar. Masz czasem koszmary? Budzisz się i świat jest inny, bo do tego świata należysz.

Monika pomyślała o swoim dzisiejszym koszmarze. Obudziła się, ale to niewiele zmieniło.

– Kocham mojego starego... to znaczy jestem do tego gotowa. Jest wart dziesięć takich jak ja.

– Jesteś gotowa?

– Mogłabym go pokochać na nowo, ale nie mam śmiałości. Nie wiem, czy mi wolno, czy zasługuję, boję się, że skrzywdzę go taką miłością. Rozumiesz?

Siedziały w milczeniu. Zapalona lampa oświetlała ich twarze, choć może dawno należało ją zgasić.

– Dlaczego przyszedł mi to powiedzieć? Dzisiaj, tutaj, w środku nocy?

– Naszło mnie i tyle. Musiałam to z siebie wyrzucić. Do kogo miałam iść? Do niego?

– Tak, jeśli cię kocha.

Kriss mocniej objęła kolana rękami.

– Chcę, żeby wiedział, ale nigdy nie będę w stanie mu powiedzieć.

Gambarski w panice patrzył na tarczę zegarka. Minęły trzy minuty i pięć sekund, a oni wciąż byli w budynku. Kobieta z piętra zareagowała histerycznie, zarzuciła go pytaniami, niemal siłą zwałókl chłopca z łóżka i pociągnął matkę za sobą. Ich krzyki obudziły pielęgniarkę, która wbiegła na górę i nie pomagała. Gambarski powtarzał, że się pali, a one rozkładały ręce i mówiły, że nigdzie nie ma ognia.

Zaczął na nie krzyczeć, częściowo dlatego, żeby zagłuszyć wątpliwości i strach:

– Pali się! Czułem dym na dole! Musimy natychmiast uciekać!

Pielęgniarka chciała gdzieś dzwonić, musiał ją szarpać, żeby od tego powstrzymać:

– Później, zadzwoni pani później, gdy już będziemy na dworze!

Pognał schodami z chłopcem na rękach, a one biegły za nim, rozglądając się, wciąż niczego nie widząc, nie czując, nie rozumiejąc. Były tylko przerażone jego zachowaniem.

Gdy pielęgniarka zapytała, gdzie jest Alicja, kazał jej się zamknąć. Chciał znaleźć się na zewnątrz. Oddać dziecko matce, odszukać swoje. Alicja, gdzie zabrał ją tamten facet? Jeśli kłamał, aby go odciągnąć od córki... Nie musiał tego robić. Był uzbrojony, kontrolował sytuację. Alicja, jeśli ją straci...

Wybiegli z domu, a Gambarski pociągnął ich za furtkę i przebiegł na drugą stronę ulicy. Tam zatrzymał się zdyszany i zaczął się rozglądać. Alicji nigdzie nie było. Kobieta wyrwała mu dziecko z rąk. Pielęgniarka mówiła coś, że nie zabrała telefonu. Chciała wracać, ale przytrzymał ją, używając w tym celu stanowczo zbyt wiele siły.

Opanował się na tyle, że podał jej swoją komórkę.

Powoli wracał mu oddech. Noc była pogodna, ulicą przejechał samochód, a kierowca nie zwrócił na nich uwagi. Było cicho, spokojnie, budynek hospicjum stał ciemny i nieruchomy, tak jak zwykle stoją budynki. Gambarski spojrział na zegarek. Minęło cztery i pół minuty.

Zaczynała docierać do niego prawda. Charon go oszukał. Nie wiadomo, po co to zrobił, po co kazał mu wyprowadzić kobiety, ale go po prostu oszukał. Zabrał Alicję. Po coś mu była potrzebna.

Przerażenie chwyciło go za gardło. Wybiegł na środek ulicy i pobiegł kawałek, ale nic się nie działo, nigdzie nie było Alicji.

Gdy wrócił, kobiety patrzyły na niego ze zgrozą. Chłopiec płakał, a Gambarskiego opanowało poczucie takiej rozpacz, jakiej nie czuł nigdy w życiu. Podszedł do nich złamany i bezsilny.

– Gdzie on ją zabrał? – powiedział, słysząc, jak jego głos się łamie.

– Panie Gambarski, gdzie jest Alicja? – spytała ostrożnie pielęgniarka, jakby się bała, że znowu zacznie ją szarpać.

Za jego plecami huknęło. Rozległ się brzęk tłuczonego szkła, dotarł do nich ciepły podmuch, coś ukłuło go w ramię. Kobiety skuliły się, Gambarski się odwrócił, a w pozbawionych szyb oknach ukazały się pierwsze płomienie. Nagle zrobiło się jaśniej, miał wrażenie, że w jego kierunku z hukiem i szumem pędzi wielka morska fala, ale nie był to szum morza, tylko budzący się ogień.

Stojąca za nim kobieta zaczęła cicho płakać. Z jej twarzy spływała strużka krwi, bo skaleczył ją kawałek szkła. On też sięgnął do ramienia i wyjął odłamek. Nie czuł bólu, oprócz rozpaczony nie czuł niczego.

Płomienie potężniały. Chwycił ranną kobietę za ramię i poprowadził wzdłuż ulicy, byle dalej od zajmującego się ogniem domu. Co tak błyskawicznie płonie? – pomyślał. Pielęgniarka szła za nimi, usiłując drżącymi palcami wybrać numer telefonu.

Nagle puścił ramię kobiety. Dalej, przy zakręcie ulicy, dostrzegł małą postać. Rzucił się pędem. Postać była biała, z chustką na głowie. Szła w jego stronę.

Dopał ją i pochwycił na ręce.

Charona nigdzie nie było widać.

– Zrobił ci coś? – Patrzył na nią, ale Alicja była spokojna jak wtedy, w pokoju, kiedy podeszła do Charona. Nie odpowiedziała, wpatrzona w odległe płomienie.

On też się obrócił, by spojrzeć. Płomienie szalały nad dachem budynku. Wyglądało to tak, jakby ziemia pękła i piekielne ognie wystrzeliły z niej pod niebo. Zaczęły się już zajmować pobliskie drzewa, pierwsze płomienie zatańczyły nad dachem sąsiedniej kamienicy, która jeszcze niedawno należała do Gambarskiego.

Przytulał do siebie dziecko i nie wiadomo jak długo stał tak zszokowany. Pielęgniarka podeszła i oddała mu komórkę, a on wziął ją automatycznie, nie myśląc o tym, co robi.

Gdy się ocknął, w uszach miał trzask ognia, krzyki ludzi i narastające wycie syren. Co tak szaleńczo płonie? – wracało pytanie. Ponad płomienie wzbijał się słup czarnego dymu. Ten dym gryzł w oczy, dusił i śmierdział.

Alicja, którą trzymał na rękach, patrzyła na płonący budynek bez emocji, jakby ciekawość i strach dawno w niej umarły. Gdy na ulicę wjechały pierwsze wozy straży pożarnej, Gambarski zaczął się cofać, a potem ruszył ulicą. Dziecko, obejmując go za szyję, wciąż patrzyło w ogień.

– Pan Charon wyznał mi swój sekret – odezwała się nagle, gdy byli już tak daleko, że nie słyszeli ognia, a o tym, że nie jest to zwykła noc, świadczyła jedynie odległa luna.

Gambarski rozejrzał się za taksówką, ale żadnej nie było w pobliżu, więc sięgnął do kieszeni po telefon.

– Nie może mnie zabrać ze sobą. Powiedział, że ma moc i że wyzdrowieję.

Gambarski wezwał taksówkę. Miała dojechać w ciągu pięciu minut.

– Co mówisz? – powiedział do Alicji. Jej słowa ledwo do niego docierały, był cały rozedrgany.

– Kłamał. Wiem, że kłamał, żeby się nie bała.

Taksówka przyjechała. Gdy wsiadali, kierowca wyszedł z samochodu, by popatrzeć na łunę.

– On czasem kłamie – powiedziała dziewczynka.

Leżała na plecach odprężona, spokojna. Antonio opierał się na łokciu obok niej, muskał dłonią jej twarz.

– Jakaś ty piękna, senhora. Jak jakaś bogini...

– Uroczo kłamiesz, Antonio. Jak prawdziwy sukinsyn. – Powiedziała ostatnie słowo po polsku.

– Kim jest ten suksyn? – spytał Antonio, próbując to słowo powtórzyć i niemal fizycznie kalecząc sobie język.

– To jeden z naszych dawnych bogów.

– Wasi bogowie uroczo kłamią? – Zastanowił się, a w tym czasie jego dłoń zsunęła się na jej pierś. Potem uniosła się, musnęła jej brodę, ucho. Dotknął płatka jej ucha z wklutym w niego kolczykiem. Na moment na jego twarzy pojawił się wyraz irytacji, który zniknął, gdy znowu spojrzał na jej twarz. – Ja nie kłamię. Jesteś piękna, tak piękna, że aż boli. O, tutaj mnie boli.

Dotknął swojej klatki piersiowej na wysokości serca.

– A więc nie jesteś zwykłym sukinsynem, Antonio. Jesteś sukinsynem wrażliwym.

– Tak, taki właśnie jestem. Suksyn wrażliwy. Chciałbym cię upić, senhora. Upić tak, żebyś nie wiedziała, gdzie jesteś i co się z tobą dzieje. I wtedy ja posiadałbym cię na własność i robiłbym ci złe rzeczy.

– Nie musisz mnie upijać, Antonio, żeby mi robić złe rzeczy. Wiesz, że to lubię.

– Och, senhora, to nie to samo. Upiję cię kiedyś i wtedy naprawdę poznasz, jaki jest Antonio. Nie mały chłopak do kupienia, ale wielki król miłości.

– Antonio! – Roześmiała się. – Ja się nie upijam.

– Ja cię upiję, senhora.

– Nie upijesz mnie. Nie pozwolę na to.

– Więc po cichu podam ci narkotyk.

Przesunęła się i też wsparła na łokciu. Drugą ręką potargała jego policzek.

– Antonio – powiedziała bardzo cicho.

– Tak, senhora?

– Gdybyś zrobił coś takiego, byłby to twój największy błąd w życiu. A wiesz, skąd mam pewność, że największy?

W jego oczach coś się pojawiło. Pojawiło się i zgasło szybciej, niż Kinga potrafiła to rozpoznać.

– Stałaby ci się wielka krzywda.

Patrzył na nią z wyrzutem.

– Masz pod poduszką pistolet, senhora. Zastrzelisz Antonia?

Zapominała o pistolecie. Wczoraj wolała spędzić noc sama i odprawiła Antonia. Ale nad ranem miała atak paniki i zabrała do łóżka broń.

Antonio wyglądał jak skarcony psiak.

– Ja tylko chciałem dobrze, senhora. Chciałem, żeby było ostro między nami.

Dla odmiany poklepała go po policzku.

– Jesteś moim pieskiem, Antonio. Pieskiem, którego karmię. Rób, co ci każę, i nie rozmyślaj za dużo, bo to się dla ciebie źle skończy. – Westchnęła. – Rozumiesz?

– Rozumiem, senhora. – Odwrócił wzrok, ale tylko na chwilę. Gdy powrócił spojrzeniem, była w nim determinacja. – Źle mnie traktujesz, senhora, bez szacunku. A Antonio ciągle myśli o senhorze i kupił ci drogi prezent.

Wstał i zaczął przetrząsać swoje rzeczy rzucone na fotel pod oknem. Obserwowała go z rozbawieniem, ciekawa, co jej przyniesie. Odpustowy pierścienek, barwną magiczną wstążkę *fita do Bonfim*, która spełnia życzenia, kolorowy grzebień? Znalazł i odwrócił się do niej, nagi i uroczysty. W dłoni trzymał pudełeczko zawinięte w srebrzysty papier i przewiązane wstążką.

Usiadł na łóżku i podał jej pakunek.

– Proszę, senhora. – W oczach miał wahanie.

Też usiadła. Była naga i zaciekawiona. Szarpnęła za wstążkę, która rozplątała się lekko, jakby była utkana ze snu.

W pudełku lśnił komplet kolczyków. Były chyba ze złota, o czym świadczyła wepchnięta za ozdobną gąbkę karteczka z numerem próby.

– Kupiłeś mi złoto? – powiedziała. – Za pieniądze, które ci płacę?

– To moje pieniądze i mogę je wydawać, jak chcę. Mógłbym kupić za nie błyskotkę dla mojej kobiety, ale ja nie mam kobiety poza senhorą. Więc kupiłem błyskotkę dla senhory.

Wpatrywała się w kolczyki, ale nie wyjmowała ich z pudełka.

– Dlaczego? – spytała.

– Jesteś prawie idealna, senhora. Wyglądasz jak milion dolarów, a nosisz tanie kolczyki z plastiku. Antonio nie chce prawie idealnej senhory. Chce, żebyś była całkiem idealna. Podobają ci się?

Nie miała odwagi spojrzeć mu w oczy. Czowała, jak mocno bije jej serce. Bała się, że jeśli spróbuje coś powiedzieć, jej głos zabrmi nienaturalnie, więc czekała.

– Nie podobają ci się – powiedział z rozpaczą. – Antonio kupił brzydkie błyskotki. A te z plastiku są ładniejsze?

– To pamiątka. Prezent od ojca.

– Jakże to? Ojciec cię nie kocha, że kupił ci takie brzydkie coś? Może się nie przyjrzałaś, senhora, jaka piękna jest pamiątka od Antonia.

– Dał mi je w szczególnych okolicznościach. Nigdy, całe moje życie, nie nosiłam innych.

– Dorosłe kobiety nie noszą pamiątek od ojców, wolą pamiątki od swoich mężczyzn.

– Jesteś moim mężczyzną, Antonio?

– Och, chciałbym tak się czuć, senhora.

Opanowała się. Wyjęła kolczyki z pudełka, zadziwiona, że nie drżą jej ręce. Białe złoto, bardzo ładne, delikatne. Pomyślała, że pięknie by w nich wyglądała.

Serce wciąż biło jej mocno, ale teraz z podniecenia.

Zapagnęła je założyć na przekór wszystkiemu.

Popatrzyła na Antonia z uśmiechem.

Jacek Wolny był zdziwiony, że o pożarze budynku poinformowano go dopiero w niedzielę o dziesiątej piętnaście. Do tego czasu zdążył już wstać, wziąć prysznic, zjeść śniadanie i włączyć wszystkie telefony.

Policjantów, którzy przynieśli informację, nie wpuścił do domu. Rozmawiał z nimi na dworze przez siedem minut. Wrócił do kuchni, nasypał do szklanki kawy i zalał wrzątkiem. Stary nawyk, nigdy nie przyzwyczyił się do tych nowych ekspresów.

Piknięcie w najważniejszym telefonie powiadomiło go o nadejściu wiadomości. Jacek Wolny spojrzał na wyświetlacz: komunikator. Wiadomość od Kingi. Przeczytał pierwsze słowo:

Tato.

Przyniósł kawę do stołu i usiadł. Tak się komunikowali. Wiadomość przysłała szyfrowanym połączeniem, a Kinga w swoim życiu posiadała kilka pożytecznych umiejętności. Na przykład umiała zidentyfikować i zawiesić oprogramowanie szpiegowskie na telefonie. Ostatnio zmuszona była zrobić użytek z tej umiejętności.

Odpisał:

Jestem.

Dostałam dziś kolczyki od Antonia. Miales racje.

Napił się, parząc kawą usta. Miał jedynie podejrzenia, ale podejrzenia a pewność to dwie różne rzeczy.

Co Maciej mówi o tym chłopaku?

Toleruje go. Jest skupiony na Tiro.

Jacek Wolny miał przed sobą wielkie lustro, które odbijało jego postać. Zobaczył w nim starego człowieka na inkrustowanym krześle z aparatem w dłoni. Krzesło było olbrzymie, a stary człowiek jakby do niego zbyt mały.

Starzy są nieszkodliwi i bezradni. Przynajmniej za takich uchodzą.

Napisał:

Tak, miałem racje. A ty musisz rozwiązać wielki problem.

Dziewczynka siedziała na łóżku podłączona do szpitalnego sprzętu. Na kolanach miała książkę z bajkami, ale na nią nie patrzyła.

Rodzice siedzieli po obu stronach łóżka. Matka trzymała w dłoniach plastikowy kubek z kawą, z którego od dawna nie unosiła się para. Ojciec pochylił się nad łóżkiem, wyjął kubek z jej palców i odstawił na szafkę. Kruk nie wiedział, czy w ogóle to zauważyła.

Nie zwracała uwagi na jego pytania. Komisarz usiłował coś wyciągnąć z jej męża.

– Porozmawiajmy na korytarzu – zaproponował, onieśmielony obecnością chorego dziecka.

Gamberski potrząsnął głową. Nie miał na to sił. Nie rozumiał, czemu wydział dochodzeniowo-śledczy komendy wojewódzkiej interesuje się sprawą pożaru.

– Zrobił pan niesamowitą rzecz – powiedział Kruk.

Od rana gdańskie radio podawało informację o pożarze ośrodka dla dzieci Asnyk przy ulicy Droszyńskiego. Kruk przyjechał na miejsce i wypytał strażaków oraz policjantów z patrolówki. Udało mu się porozmawiać z pielęgniarką dyżurną. Ani Wolny, ani żona Wolnego nie pojawili się na miejscu pożaru, choć zostali zawiadomieni.

Dziewczynka spojrzała na Kruka ciężkim spojrzeniem.

– Twój tata jest bohaterem.

Nie odezwała się, tylko powoli odwróciła twarz.

– Powiedziałem policji wszystko – odezwał się Gamberski. Pił wodę mineralną z półtoralitrowej butelki. Pociągał łyk za łykiem, jakby wysechł w pożarze i musiał się na nowo nawodnić. Butelka była już niemal pusta.

– Zna pan najnowsze wiadomości?

Przez jego twarz przebiegł cień. Niechętnie skinął głową.

– Wiedział pan o baniakach w piwnicy?

– Nie.

– Skąd mogły się tam wziąć?

– Nie wiem.

– Czy ktoś obcy miał dostęp do budynku?

– Dłaczego pan mnie o to pyta? Nie jestem właścicielem.

– Przepraszam, ale państwo tam cały czas byli. Może rzucił się panu w oczy ktoś, nazwijmy go, podejrzany, kto się kręcił w pobliżu?

– Z baniakami pełnymi łatwopalnych substancji?

Kruk cicho chrząknął. Chwilę siedział w milczeniu. Nie chciał zrobić czegoś, co mogłoby zdenerwować dziewczynkę.

– Niekoniecznie. Po prostu ktoś niepokojący.

– Nie – odparł Gambarski.

– Skąd pan wiedział, że się pali? – zmienił temat Kruk. – Obecne w budynku kobiety nie widziały płomieni.

– To też już mówiłem policji.

Mówił. Oczywiście, że tak. Poczł swąd, zaniepokoił się i na wszelki wypadek wyprowadził wszystkich z budynku. Musiał mieć nos jak pies gończy, bo żadna z przebywających tam osób niczego nie czuła.

Atmosfera szpitalnego pokoju nie sprzyjała rozmowie.

Dziewczynka znowu spojrzała na Kruka. Miała smutne oczy, a jej ojciec niczego nie wiedział, tylko wciąż pił wodę. Kruk przez chwilę przyglądał się butelce.

– Nie będę państwa dłużej męczył. Gdyby pan sobie coś przypomniał, proszę do mnie zadzwonić.

Wstał.

Nie zaproponował wizytówki i nikt o nią nie poprosił. Powiedział:

– Do widzenia – ale nikt na to nie zareagował.

Gambarski wszedł do szpitalnej łazienki. Były tam tylko dwie kabiny i obie zajęte. Stał przed umywalką, studiując swoją twarz. Był zamyślony, na nic nie zwracał uwagi. Na to, że mężczyzna przy sąsiedniej umywalce nie myje rąk. Ani na to, że ten mężczyzna to Kruk.

– Ma pan pęcherz jak beczka – powiedział komisarz, który czekał już od dwudziestu minut i był znużony tym miejscem i jego bywalcami.

Zaskoczony Gambarski zamrugał. Dał się słyszeć szum spuszczonej wody i z kabiny po lewej wyszedł starszy mężczyzna. Kruk zwolnił mu miejsce przy umywalce. Gambarski chciał wyminąć ich obu i przejść do kabiny, ale Kruk chwycił go za ramię i pchnął pod okno.

– Siku będzie później – warknął. – Musimy pogadać.

Starszy mężczyzna uniósł przestraszony wzrok. Z przedramienia wystawał wenflon. Kruk nie chciał go za bardzo przestraszyć, bo może był sercowcem. Dziadek z kibla nie był niczemu winien. Mignął mu przed oczami policyjną odznaką.

– Pan robi swoje i stąd idzie.

Poczekali, aż wyjdzie. Poczekali, aż zwolni się druga kabina i kolejny spłoszony gość opuści przybytek. Ten nawet nie umył rąk, co zniesmaczyło Kruka. Wreszcie mieli to miejsce dla siebie.

– Czego pan jeszcze ode mnie chce, komisarzu Kruk?

– Do rzeczy. Wczoraj około dwudziestej trzydzieści Jacek Wolny rozmawiał z panem przez telefon o sprzedaży, do której pan został zmuszony. Pół godziny później przyjechał pan do niego do domu.

Gambarski przymrużył oczy. Patrzył na Kruka wyczekująco.

Komisarz się uśmiechnął.

– Pan myśli, że się mylę. Nie rozmawiał pan z nim o tej godzinie. Rozmawiał pan z nim kiedy indziej i opowiedział o swoich kłopotach. Problem w tym, że ja i tak usłyszałem tę rozmowę, której nie było, bo akurat siedziałem w sąsiednim pokoju zajęty odmawianiem picia koniaku.

Twarz Gambarskiego zdradzała, że już to sobie wszystko składa w głowie. Nie był głupi. Głupcy nie piorą brudnej forsy.

– No to jak, siusiu i pójdziemy pogadać?

Kilka minut później stali pod drzewem w szpitalnym parku.

– Co musiał pan sprzedać? – spytał Kruk.

– Kamienicę graniczącą ze spalonym hospicjum.

– Dlaczego jest taka ważna?

– Komuś na niej zależy.

– Komu?

– To skomplikowane. W tej okolicy w ciągu ostatnich dwóch lat właściciele zmieniała większość nieruchomości. Różni nabywcy, zwykle Polacy mieszkający za granicą lub obcokrajowcy, najczęściej przeprowadzający transakcję przez pełnomocników. W ciągu ostatnich dwóch lat okoliczne budynki po cichu przeszły z rąk do rąk, a po tym, gdy ja sprzedałem swój, pośród nowych właścicieli nieruchomości pozostał tylko jeden stary.

– Wolny?

– Na Jacka też są naciski.

Dzień był ciepły i szpitalnymi alejkami spacerowali pacjenci w szlafrokach. Krukowi szpitalne parki przypominały cmentarze.

– Trochę się pan od tych nacisków osmalił. Interesuje mnie to spalone hospicjum i człowiek, który pana zmusił do sprzedaży budynku. Szczegóły transakcji, szantażu...

Gambariski stał nieruchomo wpatrzony w gmach szpitala, a potem zaczął opowiadać. Kruk słuchał o wolontariuszu, który był Szalonym Kapelusznikiem, o wizycie Marcowego Zająca i Susła, o obłąkanej herbatce, kiedy czas się zatrzymał.

Było to, kurwa, dziwaczne.

Potem Gambariski przeszedł do bardziej przyziemnych spraw. U notariusza czekał na niego pełnomocnik kupującego, Chilijczyka. Cena była rynkowa, Gambariski nie stracił na transakcji.

Skończył i dalej się gapił na szpital.

– Jak weszliście w posiadanie tych budynków?

– Kupiliśmy je dwa lata temu. Legalnie.

– Obaj?

– Chodziły słuchy, że to może być dobra inwestycja w dłuższym terminie. Wyjątkowo obiecująca.

– Bo?

– Bo na tych terenach ma powstać kompleks biurowców.

– To dobre miejsce na inwestycję?

– Kompleks ma ciągnąć się od Grunwaldzkiej, pod torami mają zostać zbudowane tunele. Inwestycja jest olbrzymia.

No dobra. Kruk nie znał się na biurowcach ani na tym, gdzie mogłyby, a gdzie nie mogłyby powstać.

– A wczorajsza noc?

– Co ma pan na myśli?

– Co się wtedy stało.

– Już mówiłem.

– Co się naprawdę stało.

– Przebieg wydarzeń pan zna. Powinienem wracać do dziecka.

Kruk pokiwał głową.

– Ma pan łatwość oceny sytuacji. Oceniał pan, co Wolny chce, żebym się od pana dowiedział, i te informacje mi pan wyrecytował grzecznie jak przedszkolak. Już zamierza się pan zwijać?

– Nie wiem, co jeszcze mógłbym dodać.

– Coś nowego. Coś, czego pan jeszcze nie mówił. Inną odpowiedź na postawione wcześniej pytania. Skąd pan wiedział, że budynek stanie w płomieniach tuż przed tym, gdy to się stało? Gdzie była pańska córka, gdy robił pan za bohatera, ratując innych? Czemu miotał się pan po ulicy, szukając jej, i gdzie się w końcu znalazła?

– Na wszystkie pytania odpowiedziałem. Czułem swąd, zareagowałem profilaktycznie, kazałem Alicji uciekać na dwór, potem nie mogłem jej znaleźć.

Kruk wzruszył ramionami.

– Może to z nią powinniśmy porozmawiać.

Gambarski się wściekł.

– Nie zna pan świętości. Nie ma pan szacunku dla cierpienia dziecka.

– Niech pan nie zasłania się dzieckiem. Nie mam szacunku wyłącznie dla pana.

– Dlaczego? Co ja panu zrobiłem?

– Jeździ pan zbyt ładnym samochodem. Sam chciałbym taki mieć.

– Już nie jeżdżę. Spalił się.

– Żaden problem, wyciągnie pan inny z garażu.

Gambarski wyglądał, jakby nie potrafił zrozumieć.

– Naprawdę chodzi o samochód?

– A o cóż innego?

– Dziwny z pana człowiek.

– Zwykła zazdrość. A pan ciężko pracował, by zdobyć to, co pan ma.

Gambarski się wyprostował.

– Odmawiam dalszej rozmowy z panem.

– Mam się nad panem rozczulać? Jesteś gnojem od prania pieniędzy.

Gambarski ruszył w stronę szpitala, usiłując wyminąć Kruka, który chwycił go za ramię.

– Facet od bajek wrócił, tak? Zatrudnił się w hospicjum, żeby załatwić sprawę z panem, ale ponieważ pojawiły się tam łatwopalne substancje, musiał mieć też i inne plany. Powiedział panu, że budynek spłonie, i dał czas, aby wyprowadził pan ludzi. Może nawet pan nie chciał, bo co tam dla pana ludzie. Może zmusił pana do tego, zabierając Alicję na spacer. To jego pan szukał po wyjściu, prawda? Bo kogoś pan szukał, rozmawiałem z pielęgniarką.

Gambarski był błądy. Wyszarpnęła ramię z dłoni Kruka. Może chciał zaprzeczyć, oburzyć się, rzucić coś mocnego, choć bez znaczenia, ale nagle opadł z sił. Otworzył usta, zamknął je.

Dwukrotnie skinął głową, kapitulując.

- Jak dziewczynka to zniosła? – spytał Kruk.
- Nie bała się za bardzo. Uwierzyła, że chce ją ratować. Dlatego zostawiła lalkę.
- Co ma do tego jakaś lalka?
- Alicja uważa, że on się boi jej lalki.
- Serio? – warknął Kruk.

Gambariski się zmieszał.

- Dziecięca fantazja.

Kruk przyglądał mu się podejrzliwie.

- Jestem roztrzęsiony. – Gambariski wyciągnął chusteczkę i wytarł nią twarz.
- Wolny stworzył ten ośrodek na prośbę żony? – spytał komisarz, aby zakończyć rozmowę o lalkach, których boją się bandziory.
- Pan w to wierzy?
- Nie. Z grzeczności zakładam najczystsze intencje.
- Jacek stworzył ten ośrodek dla Alicji.

Kruk popatrzył ponad dachami szpitala, aby się upewnić, że świat nie kończy się na tym miejscu i na ludziach, którzy tu cierpieli. Chciał zobaczyć choćby skrawek nieba.

- Ciekawe.

– Gdy zachorowała, zaczęliśmy walkę o jej zdrowie i życie. Byliśmy przerażeni, ale i pełni nadziei. On już wtedy wpadł na pomysł... – Gambariski zacisnął pięści. – Powiedział, że gdy nadejdzie jej czas, zapewni jej ładne miejsce.

- Jak mu się udało pozatlatwiać formalności?

– Jeszcze wtedy był bardzo silny, a ludzie, którzy nas dziś prześladowają, dopiero zaplatali się. Ale on zrobił rozpoznanie i zrozumiał, kim są.

- A kim są?

– Nazywają siebie inwestorami, ale to pośrednicy. Międzynarodowa korporacja.

- Ta korporacja ma jakąś nazwę?

– Nie ma. Nie ma nazwy.

- Bez nazwy, mówi pan?

– Bez nazwy albo z tysiącem nazw. Co to ma za znaczenie? Ludzie, którzy tym kręcą, kryją się za pajęczyną setek większych i małych firm. Wykupują trudne do pozyskania nieruchomości na całym świecie, aby odsprzedać je z ustalonym wcześniej zyskiem innym korporacjom, od których dostają zlecenia. Jeśli czegoś chcą, są nie do powstrzymania. Nie cofną się przed niczym.

Kruk ziewnął. Te kilka chwil na świeżym powietrzu sprawiło, że zrobił się senny.

- I Wolny się im postawił?

– Uznał, że jeśli zrobi z budynku hospicjum dla dzieci, nie tak łatwo będzie się go stamtąd pozbyć. – Głos Gambarskiego się załamał. – Szlachetne przedsięwzięcie... Hospicjum... Dzieci...

– Zapomniał się pan – rzekł Kruk. – Za udzielenie policji akurat tych informacji Wolny nie będzie panu wdzięczny.

Gambarski posłał mu puste spojrzenie.

– Jacek został ostrzeżony, że budynek się spali. Nie zrobił nic.

Kruk przyjrzał mu się bliżej. To siedziało w facecie: poczucie krzywdy.

– Skąd pan wie?

– Od tamtego. Jacek skazał nas na śmierć. – Głos Gambarskiego zgasł.

Już się nie stawiał. Nic z niego nie zostało.

– A czego się spodziewałeś? – warknął Kruk. – Przez te wszystkie lata nie wiedziałeś, dla kogo pierzesz forszę? – Zostawił go w przyszpitalnym parku i ruszył do samochodu. Na odchodnym rzucił: – Myślałeś, że z kim się zadajesz, przygłupie?

W poniedziałek rano naczelnik Marcin Zych przyglądał się Krukowi rozpartemu na krześle w jego gabinecie. Nie był zadowolony.

– Paczulski ci nie mówił, że z Zasadą trzeba ostrożnie?

– Mamy być dla niego mili. O ile pamiętam, jesteśmy ogromnie mili. Jesteśmy kurewsko mili dla Emila Zasady.

– Mam informować komendanta o wszystkim, co dotyczy tego człowieka.

– Jest pod ochroną?

– Tak.

– Dlaczego? – Gdy Marcin wzruszył ramionami, Kruk dodał: – Sarzyński nie musi wiedzieć.

– Mam z Wojtkiem dobre układy, ty też na tym korzystasz. Nie wystawię Sarzyńskiego, bo pogadałeś z jakąś rudą seksbombą.

– Przynajmniej zachowaj dla siebie, co ci powiedziałem.

– Wybadam go delikatnie, dowiem się, o co chodzi. Coś jeszcze?

– Wyślij kogoś w teren – poprosił Kruk. – Niech sprawdzi dla mnie Floriana Szymańskiego.

– Kto to i co przeskrobał?

– Maluje kiepskie obrazy.

– To grzech?

– Grzech, że ludzie je kupują.

Marcin Zych uśmiechnął się miękko.

– Powiedz mi więcej, Sławciu, bo cię spuszcze na drzewo.

– Jest tak. Robię spokojnie z Paczulskim sprawę skatowanej na śmierć kobiety, przy czym wyskakuje mi w sprawie Wolny. Sprawa jest ponura, ale i tak jestem rozbawiony, bo Wolny nie ma ze sprawą nic wspólnego.

– Faktycznie, kupa śmiechu – powiedział Marcin Zych.

– Jest jeden trup, drugi, zwłaszcza drugi, który już raz się przez Wolnego wieszał, a ten wciąż tylko stoi z boku i nadal nie ma z tym nic wspólnego.

– Zdarza się.

– Chodzę trochę wokół Wolnego i trafiam na spalone hospicjum. Budynek przypadkowo należy do Wolnego, a w pobliżu kręci się ponury żniwiarz, który opowiada ciężko chorym dzieciom bajki. Gazety krzyczą, że Wolny skitrał jakieś chemikalia w budynku, dlatego dochodzi do pożaru. I teraz to z kolei żniwiarz nie ma

ze sprawą nic wspólnego.

– Jeśli chcesz oczyścić Wolnego, to szlachetne, ale ja odwołuję cię do prawdziwej policyjnej roboty. Wolny niech zdycha.

– Może należy sprawdzić księgi wieczyste nieruchomości w rejonie, gdzie się mieści hospicjum. Podobno cała okolica przeszła niedawno z rąk do rąk. Niby nic, nieruchomości się kupuje i sprzedaje, ale to wygląda na planowany wykup i na przykład ostatni sprzedający został do transakcji brzydko zmuszony.

– Zgubiłem watek. Konkretnie zgubił mi się w tym Wolny.

– Hospicjum to jedyna nieruchomość w okolicy, która nie zmieniła ostatnio właściciela. Tak mówią.

– Kto mówi?

– Facet, który prał Wolnemu pieniądze. Przypadkiem właściciel ostatnio sprzedanej działki.

Zych się zamyślił.

– Zatoczmy krąg i wróćmy do początku twojej opowieści. Do tego malarza. Co on ma do rzeczy?

– Nieruchomości kupują nabywcy z zagranicy poprzez pełnomocników. Obrazy kupują kolekcjonerzy z zagranicy też poprzez pełnomocników.

– To ci sami ludzie?

– Wątpię.

– Więc co z tego?

– Nie wiem, dlatego chcę sprawdzić.

– Świetnie. Masz parę różnych spraw, których nic nie łączy.

Kruk tępo zagapił się w blat biurka. Właśnie się dowiedział, że to różne sprawy.

– Nie załamuj mnie – odparł.

Marcin swoim zwyczajem popukał piórem w biurko.

– Więc?

– Wszystkie drogi prowadzą do Rzymu – rzekł Kruk.

– A co jest Rzymem?

– Tomasz Rudzki.

Marcin aż sapnął.

– Czegoś nie dosłyszałem, niedowidzę? A ten skąd się tu wziął?

– Ty nie widzisz, ja widzę. Analizuję to na wszystkie strony i wychodzi mi, że jest jeszcze ktoś, kto widzi.

– Kto?

Kruk się uśmiechnął.

– Nasz Tony Soprano. Wolny.

Paweł Lalkarz przerwał pisanie na klawiaturze komputera. Dźwięk naciskanych klawiszy tworzył Krukowi tło, więc gdy się skończył, Kruk opuścił gazetę i podniósł wzrok.

– Będziesz dziś jeszcze pracował? – spytał Paweł. – Czy wpadłeś prasę poczytać?

Na biurku Kruka leżało kilka innych gazet lokalnych albo takich, które miały wkładki z lokalnymi wydarzeniami.

– Ciekawe rzeczy piszą – odparł Kruk.

– No myślę, bo po co byś to tykał.

– Posłuchaj: „W należącym do żony Jacka W. budynku hospicjum składowano wytwarzany w zakładach chemicznych Jacka W. półprodukt znajdujący zastosowanie w produkcji kleju o handlowej nazwie DRW-KT 80. Zawiera aceton, heksan, benzynę lekką, węglowodory lekkie i tlenek cynku. W przypadku rozszczelnienia pojemników opary produktu mogą tworzyć z powietrzem mieszaniny wybuchowe. Są cięższe od powietrza, przy niedostatecznej wentylacji mogły gromadzić się na poziomie posadzki. Prawdopodobnie niewielka awaria instalacji elektrycznej w pomieszczeniu będącym tykającą bombą spowodowała wybuch”.

– Co z tego?

– Skąd prasa wie takie rzeczy na tak wczesnym etapie?

– Są dobrzy.

– Piszą, że baniaki mogły także zawierać zabronione prawem substancje i zostały wywiezione z zakładów, ponieważ spodziewano się kontroli, na które nalegali ekolodzy. Skąd biorą się takie teorie? Facet, który ma zakłady wielkie jak rafineria, ładuje parę baniaków gdzie? Do budynku hospicjum. Po co? Aby mogły się spalić.

– Jak to w gazetach. Dlatego ty nie czytasz gazet.

– Dzisiaj czytam.

Kruk wrócił do artykułu. Paweł dalej siedział nieruchomo.

– Mógłbyś znowu popykać w klawisze? – mruknął Kruk. – Lepiej mi się przy tym czyta.

– Ale po co to dalej czytasz?

– Strasznie jadą po Wolnym. Cokolwiek wykaże śledztwo, miną miesiące, a może i lata, zanim dowiemy się prawdy, o ile w ogóle się jej dowiemy, a on już dziś jest grillowany na ostro. Chłop zajął się chorymi dziećmi, zbudował hospicjum, żeby go kochano, a tu hospicjum diabli wzięli, a tym diabłem znowu okazał się on.

– To dobrze – rzekł Paweł. – Bo to jest diabeł. Mówiłem ci, żebyś się z nim nie

zaprzyjaźniał.

– Nie da rady. Żaden z nas tego nie chciał, ale zostaliśmy kolegami.

Kruk rzucił gazetę na biurko. To był Dziennik, a artykuł, który właśnie przeczytał, napisał facet, którego numer Kruk miał w komórce.

Przesunął listę kontaktów na „R”. Wybrał: Rybiński Andrzej.

– Witam, komisarzu. – Facet zgłosił się, zanim wybrzmiał pierwszy sygnał.

– Przeczytałem pana tekst o Wolnym. Skąd pan ma te wszystkie rewelacje?

– Latają sobie w powietrzu. Nagle wszyscy chcą gadać z dziennikarzami. Nic, tylko zapisywać i udostępniać za pieniądze.

– Jacy wszyscy?

– Wszyscy to wszyscy. Pan też do mnie dzwoni.

Kruk westchnął.

– Powie mi pan coś ciekawego?

– Niby co?

– Odwdzięczę się.

– Proszę pytać.

– Słyszał pan o skupie nieruchomości w tych rejonach, gdzie doszło do pożaru?

– Coś słyszałem. To akurat ciekawa historia, która nikogo nie ciekawi.

– Dlaczego?

– Są tematy, które wszystkim się podobają, i takie, które nikomu się nie podobają. Zanedbania i przekręty Jacka W. to w tej chwili gorący temat. Jakies tam transakcje w nieruchomościach nikogo nie obchodzą.

– Kogo nie obchodzą?

– Polityka naszej gazety jest inna niż na filmach. Wie pan, to nie tak, że potajemnie docieramy do zakopanych spraw, zbieramy materiały i odpalamy bombę. To się nie sprawdza w rzeczywistości, a na pewno nie w naszej redakcji.

– A co się sprawdza u was?

– Jak mamy temat, piszemy testowy artykuł i czekamy. Mam pana uczyć życia?

– Naucz mnie pan. Na co czekacie?

– Czy ktoś gdzieś zmarszczy brwi. Potem naczelny się przygląda, do kogo te brwi należą i co może ugrać.

– Kto marszczy brwi?

– Różni marszczą. Choćby jakiś radny.

– Jaki?

– Taki nieładny, niepozorny, który nie przypomina Świętego Mikołaja, bo prezenty rozdaje nie tylko w Wigilię. Facet ma wpływy, jak wyrobi sobie zdanie, choćby w temacie jakiejś inwestycji, wielu ważnych ludzi chce mieć takie samo.

– Nazwisko.

– Och, komisarzu. Za dużo pan chce, za mało pan znaczy.

– Dobra, co to za inwestycja?

– Miasto wciąż potrzebuje przestrzeni biurowej, może szykuje się coś naprawdę

wielkiego, a może się nie szykuje i to tylko plotka. Zdrowia życzę.

Andrzej Rybiński rozłączył się.

Kruk odłożył aparat i siedział zamyślony.

– Co powiedział ten dziennikarzyna? – spytał Paweł.

– Nic, czego byś od dawna nie wiedział.

Na resztę poniedziałku Marcin zapędził Kruka do „prawdziwej policyjnej roboty”. Dostał delikatny sygnał od Sarzyńskiego, że Kruk jest zbędny w śledztwie o zabójstwo Lidii Rudzkiej, które zmierzało do szczęśliwego końca.

Kruk zamierzał rozpracowywać wolontariusza z hospicjum, ale póki co udało mu się wykonać jedynie kilka telefonów. Mógł mieć swoje wątpliwości i je roztrząsać, tyle że dopiero wieczorem.

W nocy znowu miał sen. Śniło mu się, że pod komendę ludzie przynieśli trumny dzieci. Zebrał się mały tłum, Kruk nie znał nikogo z tych ludzi, nie wiedział, co to za dzieci, ale wyszedł do nich i uklęknął, by się pomodlić przy trumnach. Wtedy z tyłu skoczyła na niego młoda dziewczyna. Mignęły mu przed oczami jej dłonie z długimi pomalowanymi na rudo paznokciami, które szykowała się wbić mu w policzek.

We wtorek od rana znowu była policyjna robota, jednak na koniec dnia Marcin wezwał Kruka do siebie. W jego gabinecie siedział młody mężczyzna w cywilu, który na widok komisarza wstał, a Kruk podał mu rękę.

Znał tego chłopaka. Młodszy aspirant Leszek Damiencki. Wywiadowca.

– Co masz? – spytał.

Damiencki zajrzał do notesu.

– Florian Szymański, syn Tadeusza i Wandy, urodzony w Poznaniu w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym dziewiątym roku...

– Dobra – przerwał mu Kruk. – Masz coś dla mnie czy będziesz nudził?

– Wykształcenie średnie, nieżonaty, adres zamieszkania: Poznań, ulica...

– Dalej nudno.

– Spędziłem dziś kilka godzin z Florianem. Przeszliśmy na ty. Byłem w jego pracowni, zaprosiłem na obiad do restauracji. Udawałem blogera, który chce napisać o nim na swoim blogu. Mamy kilka takich blogów, prowadzą je nasi ludzie, pod które podkładamy legendy. W trakcie obiadu zadzwoniła jego matka. Powiedziała jej o mnie i się zaczęło. Zaczął zadawać pytania, które kazała mi zadać. Coś jej się we mnie nie spodobało i chłopak aż się skulił. Nie dokończył tego, co było na talerzu, szybko się pożegnał i wyszedł.

– Artysta – skwitował Kruk.

– Śledziłem go. Pojechał prosto do matki. Sprawdziłem matkę, ma małe biuro podatkowe na obrzeżach Poznania. Spędziłem w Poznaniu dwa dni, ale chyba nic ciekawego się nie dowiedziałem. Bo czego powinienem szukać?

Kruk wzruszył ramionami. Wskazał notes i zapytał, czy może zajrzeć. Damiencki

nie oponował. Kruk przeglądał niewyraźne zapiski wywiadowcy.

Rzeczywiście, nic tam nie było.

Przerzucił jeszcze kartki do początku. Damiencki był skrupulatny. Zapisał pełne dane matki.

– Kurwa – powiedział Kruk. – Najważniejszego mi nie podałeś. – Wskazał palcem nazwisko panięskie matki.

– Pan nie chciał, żebym podawał dane osobowe. Pana to nudziło, komisarzu.

Marcin spojrział Krukowi przez ramię.

Wanda Szymańska z domu Łaszewska.

– Co z tego, że Łaszewska? – zapytał Marcin.

Kruk odpowiedział na pytanie dopiero po wyjściu Damienckiego.

– Masz cokolwiek na poparcie podejrzeń? – spytał Marcin z głębokim westchnieniem, jakby nagle się zmęczył.

– Moje podejrzania ledwie nabierają kształtów. Co miałbym mieć?

– Chcesz za tym chodzić? Bo wiesz, na sprawy korupcyjne jesteś za mało subtelny.

– Mam za czym chodzić, nie mogę zajmować się wszystkim.

– Sprzedam twoje podejrzania CBA.

– Zrobią coś? – spytał Kruk.

– Ich sprawa. My pozostaniemy przy swojej robocie.

– A jeśli to, co zamierzam zrobić, utrudni im robotę, zanim ją zaczną?

Marcin kilkakrotnie stuknął końcami palców w blat biurka. Uderzenia były mocne, rytmiczne, przywodziły na myśl marsz pogrzebowy.

– To wciąż sprawa Rudzkiej?

– Tak.

– Majewski jej nie zabił?

– Nie.

Marcin przestał uderzać palcami i zrobiło się cicho.

– Nie naprawiaj całego świata za jednym podejściem. Po prostu znajdź zabójcę.

Głos, który odezwał się z domofonu, należał do kobiety, ale osoba, która podeszła do ogrodzenia, była mężczyzną w średnim wieku. Facet zarzucił sobie na ramiona płaszcz i wykorzystał spacer do furtki, aby zapalić papierosa.

– O co chodzi?

Wiedział, że rozmawia z policjantem, bo Kruk przedstawił się kobiecie.

– Prościej było nacisnąć przycisk w domofonie, niż robić za odźwiernego – zauważył Kruk, pokazując legitymację.

Ale mężczyzna wcale nie zamierzał go wpuszczać. Patrzył spokojnie zza ogrodzenia i raz po raz zaciągał się dymem.

Ulica była pusta, cicha. To akurat dobrze, że cicha.

– Florian Szymański – powiedział Kruk podniesionym głosem, jakby chciał przekrzyczeć wiatr, którego nie było. – Malarz. To pański siostrzeniec?

Głos Kruka poniósł się wzdłuż ulicy, odbił echem od ścian sąsiednich domów.

– Ciszej! – Facet dopadł furtki, otworzył ją, spojrzał Krukowi w oczy z wściekłością.

– Dlaczego ciszej? – Kruk bynajmniej nie zniżył głosu. – To tajemnica?

Facet rzucił papierosa na kostkę brukową. Mógł sobie rzucać. Jego kostka.

– Wejdźmy do domu.

Kruk dał się zaprosić. W przedpokoju przywitał się z panią Łaszewską, przyjemną kobietą pod czterdziestkę. Zza jej spódnicy podpatrywał ciekawie kilkuletni chłopiec. Gdy przechodzili koło kuchni, Kruk dostrzegł nastoletnią dziewczynkę z nosem w olbrzymim telefonie. Na szczęście urodę odziedziczyła po matce, bo Łaszewski był wyjątkowo brzydki.

Zaciągnął komisarza do pokoju, który chyba robił za gabinet. Wskazał krzesło, ale nie zaproponował nic do picia.

– Słucham – powiedział niecierpliwie.

Kruk odczekał chwilę, żeby dać odpór presji pośpiechu wywieranej przez faceta. Wcale nie był pewny, czy ta wizyta cokolwiek mu da. Z człowiekiem pokroju Łaszewskiego należało postępować ostrożnie, a ostrożność nie była mocną stroną Kruka.

– Nie widziałem pana w czwartek na wernisażu. W sumie to się nie dziwię, ale czy ktoś z pańskich znajomych wie, że to pański siostrzeniec?

– O co panu chodzi?

– Chodzi mi o to, że sztuka współczesna jest szczególnie. Nie wymaga talentu, nie

wymaga warsztatu. W każdym razie pewien jej odłam nie wymaga. Wiele współczesnych słynnych obrazów nie budzi w nas zachwyty ani nawet poczucia, że artysta ma indywidualność czy jakiegokolwiek umiejętności...

Łaszewski się nie odezwał. Siedział i patrzył na Kruka, który nie przejmował się jego milczeniem, bo lubił rozmawiać o sztuce, a rzadko miał okazję.

Mimo wszystko nie przeszkadzał Krukowi. Oficer policji wchodzi do jego domu i gada o sztuce współczesnej, dzień jak co dzień.

– Wyobraża pan sobie zachwyt szesnastowiecznego kmiotka, który wchodzi do Kaplicy Sykstyńskiej i widzi freski Michała Anioła? Oto doświadczenie mistyczne materializuje się na jego oczach, wyobrażenie Boga, jakie kmiotek zabierze ze sobą do domu, stanie się odtąd nierozzerwalnie związane z wizją artysty. Za to obrazy pańskiego siostrzeńca nadają się do powieszenia w kiblu.

– Pan bez przerwy podkreśla, że malarz, którego wystawę pan zdaje się oglądał, jest moim siostrzeńcem.

– To ważne.

Kruk umilkł. Chciał dać Łaszewskiemu szansę na zadanie pytania, aby podtrzymać kontakt.

– Dlaczego to ważne?

– W dzisiejszych czasach ponad artyzm stawia się znaczenie. Kreska na białym tle może symbolizować rozdarcie wewnętrzne człowieka, o ile znajdzie się jeden z drugim, którzy zapomną o kresce i będą jedynie gadać o rozdarciu. Wątpliwy intelektualizm dominuje nad artyzmem. Dążenie do doskonałości, mistrzostwo pędzla czy choćby podstawowa umiejętność rysunku przestały być warunkiem *sine qua non* sukcesu.

Łaszewski wciąż siedział. Trzeba powiedzieć, że faceta niełatwo było zmusić do reakcji.

– A tak zwani zwykli odbiorcy? – mówił dalej Kruk. – Przestali wierzyć własnym oczom. Sugeruje się im, co mają widzieć, i oni posłusznie zobaczą, a w każdym razie zaprzeczą, gdy im zarzucić, że cesarz jest nagi. Wystarczy ubrać cokolwiek w ramki, powiesić w ładnej galerii, opatrzyć imponującą kwotą, wygłosić na cześć tego czegoś kilka ładnych słów, choć oczywiście wygłaszać je musi ktoś ważny, aby ważność spłynęła z niego na cokolwiek, i proszę... Bum! Stało się. Cokolwiek przemieniło się w sztukę, przynajmniej dla części audytorium. – Kruk westchnął. – W zetknięciu z taką sztuką odbiorca, który tęskni za pięknem, zostaje z niczym.

– Sugeruje pan, że obrazy Floriana to oszustwo?

– Skądże znowu – oburzył się Kruk. – Raczej że to układ. Ci, którzy je kupują, nie kupują obrazów. – Spojrzeli na siebie i zapadło ciężkie milczenie. – To znaczy – dodał po chwili – zawsze znajdzie się kilku naiwnych, którzy kupią dzieło dla niego samego. Pamięta pan *Ranczo*, jak wójt kupił płótno Kusego? O to mi właśnie chodzi. Ale oni to raczej margines i skuszają się na tańsze płótna. Gdy nikt nie zna wartości czegoś, można to wycenić, jak się chce.

– A co ja mam wspólnego z całym tym wywodem?

– Moim zdaniem Szymański to słup.

– Pana zdaniem...

– Tak, moim zdaniem. Ciekawe, gdzie trafiają pieniądze.

– Gdzie trafiają?

– Tego nie wiem. Ale to pański siostrzeniec. Miałem nadzieję, że pan i ja, razem, jakoś się domyślimy.

– Dość. – Łaszewski wstał. – Pańskie insynuacje mnie brzydzą.

Wskazał Krukowi drzwi. Kruk spojrział tam, gdzie Łaszewski wskazywał. Przynajmniej w jednym się zgadzali. Tak, ten pokój miał drzwi.

– Może to błąd, że przyszedłem do pana. Może powinienem wziąć w obroty chłopaka, nie wygląda na bystrzaka.

Łaszewski zawahał się i spytał:

– O co panu naprawdę chodzi? Tylko już bez tego gadania o niczym.

– Niech pan mi pomoże w śledztwie o zabójstwo.

– O jakie zabójstwo?

– Podwójne. Chyba że ma pan z tym coś wspólnego. Wtedy niech pan nie pomaga.

– O czym pan mówi?

– Lidia Rudzka, żona znanego psychiatry, i Cezary Majewski, oszust matrymonialny.

Łaszewski zbladł.

– Majewski zabił Lidie i popełnił samobójstwo – powiedział ostrożnie. – Tak podawały media.

– Dlatego nie czytam gazet, nie oglądam telewizji, nie zaglądam na portale. Żadnej odpowiedzialności za słowa.

Ostatnio Kruk trochę nagiął zasady, ale nie sądził, by Łaszewskiego to zainteresowało.

– Dlaczego ja miałbym mieć z tym coś wspólnego?

– Towarzyszył pan Tomaszowi Rudzkiemu w noc zabójstwa, a on kłamał w sprawie swojego alibi.

– Byliśmy razem w jego mieszkaniu na Morenie. Czy nie tak powiedział? Nie sprawdziliście monitoringu budynku?

– To się zgadza. Ale przecież nie pojechaliście rozmawiać o interesach.

To było jedynie niejasne podejrzenie Kruka. Takie macanie w ciemno. Kruk nie widział sensu w tym, żeby wychodzić z restauracji w środku nocy i jechać do pustego mieszkania ot tak, bez wyraźniejszej zachęty.

Łaszewski z powrotem usiadł. Chwilę się zastanawiał.

– Dlaczego przyszedł pan, a nie inspektor Paczulski?

Paczulski był póki co podkomisarzem, ale widać czekała go świetlana przyszłość. Kruka zaciekawiło, skąd pomysł, że to Paczulski ma przyjść.

– W policji pracuje wielu policjantów.

– Wolalbym rozmawiać z inspektorem, był kompetentny, gdy rozpytywał mnie po zabójstwie Lidii. Przecież on prowadzi to śledztwo. Powiedział mi o tym, gdy rozmawialiśmy pierwszy raz.

Krukowi wydało się interesujące, że Paczulski przyszedł do Łaszewskiego osobiście.

– Widzi pan, tylko że śledztwo to nie koncert życzeń.

– Nie muszę z panem rozmawiać.

– Ale pan chce. Ma pan dobry powód.

– Nic podobnego.

– Trzeba powstrzymać chłopaka przed malowaniem.

– I to jest ten powód?

– Nie. – Kruk nachylił się nad biurkiem i spojrzał Łaszewskiemu prosto w oczy. – Jeśli zrobi się wokół pana gorąco – powiedział cicho – najsłabszym ogniwem jest chłopak. Działa mi na nerwy, ale nie chcę jego krzywdy. Może zainwestuje pan w jego edukację i wyśle za granicę? Niech się nauczy malować. Ludzie, którzy finansują pański interes, mogą nie mieć takich skrupułów jak ja.

– O czym pan mówi?

– Lidia Rudzka w każdym razie nie żyje. – Widział, jak Łaszewski z ogromnym wysiłkiem przełyka ślinę. – Ciekawi mnie – mówił dalej Kruk – czy chłopak zdaje sobie sprawę, w czym uczestniczy, czy też odkrył w sobie geniusza. Ulega matce, a to, zdaje się, twarda sztuka. Jest księgową, to dobrze dla pana, gdy legalne i czyściutkie pieniądze spływają na konto pańskiej rodziny.

– Podła prowokacja – powiedział ostro, choć trochę bez przekonania.

– Spokojnie, nie przemawia pan na wiecu. Podoba mi się, że siedzimy tu sobie i gaworzymy, jak pan twierdzi, o niczym, a pan wciąż nie wyrzucił mnie za drzwi.

Łaszewski zacisnął szczęki.

– Co pan zamierza? – spytał.

– Nie kopię się z koniem. Ja bym tylko chciał, żeby się ludzie nie zabijali.

– Czego pan się po mnie spodziewa?

– Informacji dotyczących zabójstwa Lidii Rudzkiej.

– Nic o tym nie wiem.

– Może panu się tylko tak wydaje. Zacznijmy od prawdziwego przebiegu wydarzeń w nocy, kiedy ją zamordowano.

Łaszewski pokiwał głową, a potem nagle się odprężył.

– Nie mam nic do ukrycia. – Uśmiechnął się nieszczercze. – O ile nie wejdzie tu moja żona.

– Kobiety – powiedział Łaszewski. – Rzeczywiście nie rozmawialiśmy o interesach, ale spędziliśmy ten czas z kobietami. Czy to coś zmienia?

– Nie wiem.

– Proszę, aby ta informacja nie wydostała się poza ten pokój. Rozumie pan.

Kruk rozumiał. Czekał z twarzą spokojną, poważną, skupioną. Zachęcającą do zwierzeń.

Wyglądało jednak na to, że Łaszewski już skończył. Siedział zamyślony. Kruk wciąż czekał na dalszy ciąg. Wolno dziś myślał. Dopiero po kilku minutach dotarło do komisarza, że facet go bierze na przeczekanie.

Naprawdę wyjątkowo brzydki typ. Nie uroczy brzydkał w rodzaju Belmonda. Po prostu brzydki człowiek, na którego patrzenie sprawiało przykrość.

– Co to były za kobiety?

– To nie ma znaczenia. Całą resztę moich zeznań mogę jedynie potwierdzić: miejsce, czas...

– A jednak kobiety są ciekawsze od interesów – powiedział Kruk. – Porozmawiajmy o nich. Co to były za kobiety?

– Już pan o to pytał.

– Skąd się wzięły?

– Nie mogę powiedzieć.

– Może pan. Niech pan wymieni takie, które potwierdzą pana wersję wydarzeń.

Łaszewski z rezygnacją potrząsnął głową.

– Nie wiem. Tomasz je naraił.

– Czyli nie znał ich pan?

– Komisarzu, wyjaśniłem pana wątpliwości. O całej reszcie nie będę mówił.

– Niech pan zmieni zdanie i powie.

– Nie znałem ich.

– Dziwki?

Łaszewski wykonał dłonią gest, jakby strząsał z niej nieistniejące krople śmierdzącej cieczy. Westchnął, wzruszył ramionami.

Cała gama drobnych niepotrzebnych zachowań zamiast krótkiej odpowiedzi.

– Więc nie dziwki? – upewnił się Kruk.

– Dwie fajne czarnule. Nie pytałem: jesteś dziwką?

– Czyli pan zajął się tylko jedną z nich?

Łaszewski znowu westchnął. Skinął głową.

– Tomasz Rudzki często zabawia się na boku? – spytał Kruk.

– Czasami.

– Jak zostaliście współnikami w grzechu?

– O co pan pyta?

– Czyj był pomysł? Rudzki zaproponował: „Romek, chodźmy na kobiety, które nie są dziwkami”, czy może pan zarzucił: „Załatw mi jakąś panienkę, Tomek”?

Łaszewski pokręcił głową.

– Chciałem, żeby pan znał prawdziwy powód, dla którego wyszliśmy z przyjęcia. Nie powinienem tego zatajać przed policją. Tomek złożył propozycję, ja nie odmówiłem. Reszta to moje prywatne sprawy.

– Jasne – zgodził się Kruk. – Porozmawiajmy o Rudzkim. Czy był z wami cały czas, czy może gdzieś wychodził?

– Był cały czas.

– Czyli urządziliście sobie orgietkę?

– Był cały czas, ale to nie znaczy, że widziałem go cały czas. Ja z jedną z kobiet zostałem w pokoju, on z drugą zamknął się w łazience, a jakby się pan zastanawiał, czy mógł stamtąd zniknąć, to mieszkanie jest na dziesiątym czy jedenastym piętrze i w łazience nie ma okien. Ona wzięła ze sobą whisky, częstowała go. Siedzieli w łazience bez końca, a gdy wreszcie wyszli, Tomaszek był już nieźle zrobiony. Wie pan, on nie umie pić.

Popatrzył na Kruka z miną zwycięzcy. Widocznie tacy ludzie oczekują nagrody za każdym razem, kiedy mówią prawdę. O ile to była prawda.

– Niepotrzebnie wyszli – dodał Łaszewski, popatrując w dal. – Tomaszek miał młodości, chciał dopaść do okna, ale nie zdążył i zwymiotował na dywan.

Kruk pomyślał o rozmowie z Rudzkim na temat tego, dlaczego nie niepokoił się o żonę po powrocie do domu. Najbardziej wiarygodna odpowiedź, z której Rudzki nie skorzystał, brzmiała: „Bo byłem pijany”. Może nie powiedział o tym, bo to kłóciło się z wersją biznesowego charakteru spotkania, choć czy na pewno? Można robić interesy i pić, jedno drugiemu nie przeszkadza.

A jednak Rudzki wolał o tym zamilczeć.

Chyba że Łaszewski kłamał.

Po co miałyby kłamać?

Każdy powód był dobry.

W każdym razie wreszcie coś opowiedział sam z siebie.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi, które uchyliły się i zajrzała do nich pani Łaszewska.

– Może napije się pan herbaty? – zapytała.

Kruk podziękował.

– A ty, kochanie?

Kochanie też podziękowało. Drzwi bezszelestnie się zamknęły. Kruk podniósł

wzrok, przechylił głowę i przypatrywał się Łaszewskiemu z coraz szerszym uśmiechem. Łaszewski przez chwilę czekał, po czym podszedł do drzwi, otworzył je i uspokoił się, dopiero gdy się upewnił, że za nimi nikogo nie ma.

– Ona nie może się dowiedzieć – powiedział, siadając z powrotem.

– A gdyby tam stała? – spytał Kruk. – Skarciłby ją pan, że podsłuchuje, podczas gdy pan opowiada o tym, jak bardzo nie ma do niej szacunku?

– Chyba powiedziałem już wszystko – uciął Łaszewski.

Kruk pokiwał głową i pomyślał, że trzeba się stąd zbierać. Miał poczucie klęski, bo wiele zepsuł, a niewiele dostał w zamian.

– Brzydał z pana – powiedział, wstając. – Brzydki człowiek, brzydkie uczynki.

– Chce mi pan prawić kazania?

– Przeciwnie. Tego akurat mi się nie chce.

– Są rzeczy ważne, jak rodzina. I są obok tego rzeczy mniej ważne. Maskotki, przerywniki bez znaczenia.

Kruk znieruchomiał. Wpatrywał się w Łaszewskiego i nie mógł przestać.

– Co się stało? – spytał facet, który tutaj robił za gospodarza, a poza tym miejscem był radnym. Poruszył się niespokojnie.

Maskotki. Maskotka potwora. Nie, nie potwora. Bestii. Piękna i bestia. Bestia jest zła, a przede wszystkim brzydka.

– Nic – uśmiechnął się Kruk i usiadł z powrotem.

– Miałem wrażenie, że pan skończył.

Kruk siedział, gapił się na Łaszewskiego i myślał.

– Starłem się być szczery – odezwał się radny. – Naprawić swój początkowy błąd. Ale jeśli cokolwiek z naszej rozmowy wydostanie się poza ten pokój, nie chciałbym być w pana skórze.

Trzeba zacząć drążyć, pomyślał Kruk. Ludzie to nie duchy, gdy się gdzieś pojawiają, zostawiają za sobą ślady. Wystarczy iść tymi śladami.

Łaszewski gdzieś musiał się z nią spotykać. Może Rudzki użyczał mu tego mieszkania na wynajem, może w hotelach, może w swoim domu pod nieobecność żony. Ktoś na pewno coś widział czy słyszał. Trzeba się tylko uprzeć i poszukać.

Kruk czuł obrzydzenie. Podszedł i łagodnie trzepnął Łaszewskiego otwartą dłonią w twarz.

Łaszewski odchylił się na krześle. Otworzył szeroko oczy, usta...

– W porządku – powiedział Kruk. – Wszystko, co w tym pokoju, zostaje między nami.

Mężczyzna był zaspany, ogromnej postury, patrzył spode łba i nie udawał przyjacielskich uczuć o drugiej w nocy. Wpuścił Paczulskiego do domu, gdy ten się przedstawił, podał stopień w policji i wspomniał, że Monika jest psychologiem Krystyny, ale sam nie wypowiedział jeszcze słowa. Wolał, żeby mówił Paczulski, który spytał:

– Czy pan wie, gdzie jest teraz pańska żona?

– Coś jej się stało?

– Krystyna czasami u nas śpi. Przychodzi pijana w środku nocy, dobija się do drzwi, budzi sąsiadów. Moja żona nie ma serca jej wypraszać, proponuje nocleg, a ja się na to godziłem, ale mam dość. – Paczulski spojrział Bielińskiemu w twarz. – Znowu jest u nas. Kolejny raz, a kobieta powinna sypiać we własnym domu.

Bieliński się nie poruszył. Całe jego zwaliste ciało pozostało absolutnie nieruchome, podobnie jak i twarz.

– Krystyna zwierza się Monice – rzekł Paczulski. – Nie umie mówić cicho i mimowolnie wszystko słyszę. Przykro mi z powodu tego, co was spotkało... jak ją skrzywdzono.

Cień przebiegł po twarzy Bielińskiego, a Paczulski udał, że tego nie zauważył. Przerzucił wzrok na zaskakująco przytulnie urządzonego pokój. Wygodne meble, zgaszone kolory, dużo kwiatów, które sprawiały, że pokój żył. Ten tępo wyglądający wielkolud nie do końca tutaj pasował. Jego żonę Paczulski też z trudem skojarzyłby z takim wnętrzem.

– Cieszę się, że możemy porozmawiać sami. – Paczulski lekko się nachylił i głos mu stwardniał. – Wiem, że jest wam ciężko, że trudno wam rozmawiać po tym, co panu zrobiła. Ale załatwiajcie sami swoje sprawy i nie mieszajcie w to mojej rodziny. Moja żona nie pracuje nocami.

– Niby co mi zrobiła? – spytał mężczyzna.

– Krystyna powinna dostać fachową opiekę. To gruba sprawa: zakochać się w handlarzu narkotyków, zdekonspirować się, położyć ustawianą miesiącami akcję, przeżyć zawód miłosny, dwa dni zbiorowych gwałtów, a potem zadźgać kochanka. Moja żona to tylko średnio zdolny policyjny psycholog, niezbyt skuteczna, zwłaszcza wyrwana ze snu. Na taką sprawę potrzeba kogoś z doświadczeniem.

Niby nic się nie zmieniło. Facet patrzył na Paczulskiego i się nie ruszał. Ale w jego twarzy zaczęły zachodzić zmiany. Mięśnie szczęki uwidoczniły się pod policzkami.

- O czym pan mówi?
- O tym, co słyszę przez ściany.
- I policja przyszła mi to powiedzieć?
- Zajmij się żoną, żeby nie siedziała u mnie po nocach.

Facet wyglądał, jakby miał się rzucić do bicia. Bieliński był wielki, ale Paczulski niespecjalnie się tym przejmował.

Bieliński się opanował.

- Co to znaczy, że się zdekonspirowała?
- Nie przyznała się? Zakochała się i wyznała handlarzowi, że nad nim pracuje.
- Wystarczy. Wynocha z mojego domu!
- Grzeczniej. – Paczulski nie ruszył się z miejsca.
- Wynoś się, sukinsynu!

– Mówisz do policjanta, głąbie. Mam znajomości, popytałem, jak było. Spieprzyła operację, w którą nasza żebracza instytucja wpakowała wielkie pieniądze.

Zapadło milczenie. Bieliński po prostu siedział, gapił się gdzieś przed siebie, ale już nic nie mówił.

W panującym tutaj półmroku Paczulski przyglądał się licznym bliznom na twarzy faceta. Zwłaszcza tej jednej, wielkiej, zajmującej cały policzek.

Gdy kilka minut później Damian Paczulski wyszedł z domu Bielińskich, usiadł w samochodzie, ale nie odjeżdżał.

Uznał, że posiedzi tu sobie trochę. Czasem, gdy ludzie dostają przykre wieści, nieruchomieją. Stać ich najwyżej na wyciągnięcie ręki, aby dosięgnąć butelki. Czasem jednak gdzieś ich niesie.

Jeśli Salomona Bielińskiego poniesie, Paczulski chciał wiedzieć dokąd.

Kinga poszła wzdłuż ściany domu, ostrożnie stawiając stopy, zanurzyła się między drzewa, uciekając od świateł w mrok wieczoru. Żaden człowiek nie upilnuje drugiego przez całą dobę, jeśli ten drugi nie będzie tego chciał. Kinga nie zawsze chciała. Jako młoda dziewczyna uciekała z domu, nie mogli jej upilnować najbardziej zacięci ochroniarze ojca. Zdarzało jej się wtedy robić mnóstwo głupich rzeczy, których potem żałowała, ale to było silniejsze od niej.

Ojciec, potem Wielki Maciej, a ostatnio nawet Antonio, który domagał się ciągłych spotkań, aby z nią być... Mężczyźni, którym na niej zależało, bez przerwy usiłowali ją kontrolować. W imię jej dobra, w imię rozsądku, w imię miłości za pieniądze.

Żadnego z tych powodów nie uważała za wystarczający.

W mroku majaczyła sylwetka i tliła się pomarańczowa kropka żaru. Szła właśnie tam, bo dostrzegła tego człowieka z okna pokoju i miała nadzieję, że nie odejdzie, póki nie skończy palić papierosa.

Zaciągnął się, wypuścił dym. Była już na tyle blisko, że widziała jego majaczącą w mroku twarz ze zniekształconym policzkiem. Na jej widok wyszczerzył zęby w bezczelnym uśmiechu.

– Senhora Kinga – powiedział Tiro. – Tylko ty i ja. Cóż za nieostrożność.

Piekielne ryzyko, pomyślała. I pomyślała jeszcze o Wielkim Macieju, którego zostawiła w domu. Serce jej się ścisnęło.

– Chyba że to randka. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej, rzucił nie do końca spalonego papierosa na ziemię i podszedł do niej.

Poczuła, że serce bije jej jak oszalałe.

– Chcę cię zatrudnić.

Zakołysał głową, uniósł brwi.

– Myślałem, że już pracuję dla ciebie. Jesteśmy zawsze blisko, chronimy cię.

– Chcę, żebyś pracował dla mnie naprawdę. Żebyś był moim psem.

Niedbale trzasnęła ją w twarz otwartą ręką. Zatoczyła się.

– Wiesz, kim jest mój ojciec? – spytała cicho.

– Kimś, kto mi zapłaci, żeby cię odzyskać.

– A więc nie wiesz, kim jest mój ojciec. Nie zapłaci ani reala, choćbyś mnie obdzierał ze skóry.

Roześmiał się.

– Zrobimy parę filmów. Będziesz gwiazdą, senhora. Twój ojciec zapłaci.

– Nie zapłacił, gdy porwano mu syna. Mojego brata przysyłano mu w kawałkach, a on cierpliwie składał te kawałki w chłodni jak puzzle, aby móc go w końcu pogrzebać. – Nawet mimo mroku dostrzegła cień zainteresowania w poharatanej twarzy Tiro. – Potem zaczął szukać porywaczy po całym świecie, gdzie się rozpierzchli jak robactwo. Nasi ludzie dopadli każdego z nich. Każdego żywcem ćwiartowali. Odcinali im nogi, ręce, nosy, wyłupiali oczy. Wysyłali ojcu zdjęcia, a on na ich podstawie tworzył grafiki, które wieszał w domu. Mój ojciec poświęcił na to trzy lata, ale dokonał egzekucji każdego zamieszanego w porwanie. Zrób lepszy wywiad, Tiro, dowiedz się więcej o moim ojcu.

Myślała, że znowu ją uderzy, ale on wyjął papierosa.

– Daj mi też zapalić – powiedziała.

Podał jej papierosa i ogień. Palili, patrzyli sobie w oczy i milczeli.

– Ludzie wyłupujący oczy. Masz bujną wyobraźnię, senhora. Po coś tu przysłała?

– Konto Lueza – powiedziała.

Uniósł głowę i dmuchnął dymem w górę. Mięśnie jego twarzy stężyły.

– Na pewno pamiętasz. Luez miał płacić ci za ochronę, ale raz spóźnił się z ratą i zginął.

– Spóźnił się drugi raz.

– Zajrzyj na to konto. Ojciec przesłał tam mały prezent. Za to, że mnie uderzyłeś, wynagrodzenie powinno być mniejsze, ale może się zrehabilitujesz.

Spoważniał.

– Jesteś odważna, senhora. Bardzo odważna.

– Mam kłopoty. To nie będą łatwo zarobione pieniądze.

– Nie wierzę w twoją bajeczkę.

– Sprawdź konto, a nie skończysz w kawałkach.

Znowu odrzucił niedokończony papierosa. Widać miał taki styl. Stał, patrzył na nią i Kinga wiedziała, że właśnie wazą się jej losy.

Czuła palenie uszu, w które wpięła plastikowe kolczyki pełne trucizny. Świadomość tego dodawała jej odwagi. Bała się bólu, śmierci mniej. Znacznie mniej.

Świadomość śmierci towarzyszyła jej od dnia, gdy porwano jej brata.

Zrobiła krok i zamachnęła się, zamierzając uderzyć go w twarz. Oddać uderzenie, które otrzymała.

Bez wysiłku przechwycił jej rękę. Spojrzał, wciąż poważnie, i bardzo delikatnie odsunął jej rękę od siebie.

– Sprawdź konto, senhora.

Sięgnął po kolejnego papierosa. Kinga miała nadzieję, że tym razem wypali go do końca. Właściwie to nie rozumiała, dlaczego miała taką nadzieję.

– Tak, ojciec zna w Brazylii wielu ludzi i zaczął ci się przyglądać.

Poczuła się bardzo zmęczona.

Wielki mężczyzna na kanapie zaciskał zęby.

– Może to wymyśliła na użytek Paczulskiego? – mruknął Kruk. – Albo Paczulski wymyślił. Rozmawiałaś z nią?

Salomon potrząsnął głową. Przygarbiony rozczapierzał dłonie, patrzył na nie, a potem zwijał je w pięści. Mógł tak robić bez końca.

– Po co przyjechałeś? – spytał Kruk.

– Bałem się, że wróci do domu. Nie chcę jej widzieć.

Kruk spojrział na zegarek w komórce. Było po trzeciej w nocy.

– Jest u Moniki? O tej porze?

Salomon wzruszył ramionami.

– Mówi, że tego potrzebuje.

– Czego?

– Czasu, żeby wrócić do normalnego życia.

– Daj spokój. – Kruk machnął ręką. – Napijesz się?

– Nie.

Kruk poszedł do kuchni. Z zamrażalnika wyjął butelkę wyborowej, z szafki kieliszki. Wrócił do pokoju i nalał.

– Nie mam nic innego – powiedział.

– Skąd mogłeś wiedzieć, że przyjdę.

Wypili od razu po dwa. Kruk nie mógł więcej, jeśli chciał rano pracować, ale nalał jeszcze Salomonowi. Wychylił od razu, nawet nie zauważył, że pije sam.

– Gdybyś nie przyszedł wtedy z prośbą o pomoc, może bym się nigdy nie dowiedział – wyszeptał.

– Nie masz pewności, że to prawda.

– Tak byłoby lepiej, żebym nie wiedział – rzekł Salomon. – Miałem aż nadto tego, co już wiedziałem.

– Może to nie jest prawda. A jeśli jest i ty o tym wiesz, znaczy, że tego chciała.

– Zwierzyła się psychologowi...

– Monice, w jej mieszkaniu. Monika zmuszana jest mówić o wszystkim Damianowi, a twoja żona o tym wie. To świetny operator, może jeden z najlepszych w kraju.

– Kiedyś.

Kruk z trudem mógł na niego patrzeć. Czuł się winny.

– Salomon – powiedział z wysiłkiem.

– Za co chcesz się kajać?

– Kiedy do ciebie przyszedłem, nie wiedziałem o tym, co się stało Kryśce. Zawsze mi się wydawało, że jest strasznie silna. Myślałem o Monice, chciałem dostać Paczulskiego, ale nie pomyślałem o niej.

– Ja się zgodziłem. – Podniósł wzrok i blady cień uśmiechu rozjaśnił jego twarz. – Z tobą nie chciałaby gadać.

– Nie bez powodu. – Kruk usiłował oddać słaby uśmiech. – A teraz będzie miała kolejny.

– Jaki?

– Właśnie taki.

Salomon podniósł ciężką rękę. Przetarł nią twarz.

– Wiesz, kim byłem, Kruk, zanim ją spotkałem.

– Sam cię wsadzałem do pudła.

– Byłem złym człowiekiem, a ona moim aniołem. Chyba muszę pogodzić się... że nawet anioły...

– Pierdolisz.

Salomon zacisnął w pięść prawą dłoń i położył ją ostrożnie na stole.

– Tak?

– Wciskaj to gównu sobie. Ja stawiam ci wódkę.

Salomon uniósł wzrok. Można mu było zajrzeć w głąb duszy. Można było zajrzeć i się przerazić.

– Mam ochotę ją zabić. Udusić tymi rękami. Ale muszę pomóc jej żyć.

– Wiem.

– Mogę nie dać rady.

Kruk lekko się uśmiechnął.

– Wiesz co? – powiedział. – Może to tak chodzi między wami.

– Co?

– Może teraz ty okażesz się aniołem. – Nalał mu i mimo wszystko nalał też sobie. Wypili, a Kruk spochmurniał. – Będzie z ciebie, kurwa, okropnie brzydki anioł.

Milczeli. Salomon, który wypił zaledwie tyle, że w normalnych warunkach by tego nie poczuł, wyglądał jak całkiem pijany.

– A jednak wcisnąłem ci gównu – rzekł. – To całe pierdolenie o aniołach...

– Co gadasz?

Salomon wpatrywał się w podłogę i kręcił głową.

– To się nie uda. O tym gadam.

Kruk miał nadzieję, że Salomon nie mówi poważnie.

– Chcesz ją ukarać? Po tym, co jej zrobiono?

– Nie chcę jej karać. Chcę od niej odejść.

– Mówię ci, może to w ogóle nieprawda. Pogadaj z nią.

– Cały czas powtarzasz, że to może nieprawda. A ja uważam, że to pierdolona

prawda – z uporem stwierdził Salomon.

– Skąd możesz wiedzieć?

– Widziałem satysfakcję w oczach faceta.

– Słuchaj, chcieliśmy, żeby się zaprzyjaźniły, żeby do Moniki dotarło, że nie jest osamotniona. Może Kryśka wycina Paczulskiemu numer. Musisz z nią pogadać.

– Nie ma o czym.

Salomon sięgnął po wódkę, ale Kruk był szybszy. Jednym krótkim ruchem ściągnął butelkę ze stołu.

– To po prostu zwykła wódka, ale i tak mi jej na ciebie szkoda.

– Bo co? Co sobie myślisz?

– Myślę, że to nie ma znaczenia, że poszła z innym i zapomniała o tobie. Może chodzi o to, że zostawiłbyś ją i tak po tym, co jej zrobiono.

– To sobie myślisz?

– Po prostu taki jesteś.

Patrzyli sobie w oczy. Kruk mógł tak się gapić do końca świata, ale Salomon wstał.

– Może masz rację – powiedział. – Może masz. A może wszystko ułożyłoby się inaczej, gdybyś wtedy nie przyszedł po pomoc. – Ruszył do drzwi, ale się jeszcze odwrócił. – Co z tamtymi, którzy jej to zrobili? Tymi, co przeżyli?

– Pójdą siedzieć albo nie.

– A jeśli pójdą siedzieć, to do końca życia?

Kruk spojrzał mu w oczy.

– Wyjdą. Jak będą grzeczni, szybciej, niżbyśmy chcieli.

– Pozwalam im żyć, póki siedzą.

– Zostawiasz ją, ale będziesz się za nią mścił, tak? Jesteś, kurwa, wzruszający.

– Wiem, że już się nie lubimy, ale i tak będę miał do ciebie prośbę.

Kruk nic nie odpowiedział.

– Bo jeśli oni wyjdą, ja będę na nich czekał. Proszę cię, żebyś wtedy patrzył gdzie indziej.

Kruk dalej się nie odzywał. Salomon wpatrywał się w niego intensywnie, a Kruk w końcu odwrócił wzrok i spojrzał za okno.

Za oknem była noc.

– Właśnie tak – powiedział Salomon.

Wielki Maciej siedział przy stole, głowę miał zwieszoną. Kinga stała w bezruchu, wstrzymując oddech, ale on i tak wiedział, że ona tu jest. W końcu na nią spojrział.

– Nie chciałam przeszkadzać – powiedziała.

– Nigdy nie przeszkadzasz.

Usiadła przy nim. Twarz miał zmęczoną, wyłobioną przez lata czuwania i troski o nią. Zdała sobie sprawę, że dawno nie patrzyła na niego jak na bliskiego człowieka. Dostrzegła, jak bardzo się postarzał.

– Martwi cię Tiro – szepnęła.

– Myślę, jak to rozegrać.

Nie myśl, skwitowała w duchu. Sprawy ułożą się same. Już się wszystkim zajęłam. Tiro, Antoniem... poczuła dławienie w gardle... wszystkim.

Delikatnie dotknęła jego dłoni. Nie chciała, żeby się martwił. Odkąd pamiętała, był dla niej najbliższym człowiekiem, którego dobry cień towarzyszył jej na każdym etapie dorastania i kolejnych etapach dorosłości.

Był jej zbyt drogi.

Rano Kruk zadzwonił do Krystyny Bielińskiej, ale nie odbierała. Ponowił próbę kilka razy. Około dziewiątej pojechał do apartamentu Rudzkiego, ale go tam nie było. No to się udał na Piwną. Po policyjnym obserwatorze od wielu dni nie było już śladu. Stał przed domofonem i nacisnął przycisk, póki nie usłyszał w głośniku głosu psychiatry.

- Kruk.
- Mam pacjenta, komisarzu.
- Zaczekam.

Psychiatry już nie było w głośniku i Kruk czekał na brzęczek otwierający drzwi. Nic takiego nie nastąpiło. Widocznie Rudzki uznał, że komisarz chce czekać na dworze.

Kruk nie lubił się narzucać, więc przestał bawić się domofonem. Czekał piętnaście minut, a gdy z kamienicy wyszła jakaś kobieta, wykorzystał okazję i wszedł na klatkę schodową. Pokonał schody, zdyszany stanął przed drzwiami psychiatry i zaczął walić w nie pięścią.

Rudzki pojawił się niemal natychmiast, a Kruk wepchnął go do środka i z głośnym westchnieniem ulgi opadł na krzesło w holu.

- Zaczekam.

Rudzki nie powiedział nic, choć długo spoglądał na Kruka z góry. W oczach miał niechęć i trochę pogardy.

Zniknął za drzwiami gabinetu, starannie je zamykając za sobą. Była to pusta demonstracja, bo chwilę później pojawił się w holu, odprowadzając do wyjścia szczupłego małego człowieczka, który z ciekawością łypał na Kruka spod krzaczastych brwi, i mrużąc przeprosiny.

- Czego pan chce, komisarzu?
- Namiaru na kobiety, z którymi pan i Łaszewski się zabawialiście, gdy zabijano pańską żonę.

Rudzki zbladł.

- Odmawiam składania wyjaśnień.
- A nie zeznań? Spokojnie, wciąż jest pan świadkiem, jeszcze nie oskarżonym. Chcę tylko jakiś namiar: adres, telefon, zadowolę się byle czym.

Rudzki wyciągnął przed siebie dłonie.

- Chce mnie pan zatrzymać, proszę. – Czekał. Kruk się nie poruszył, a on ściszył głos. – A jeśli nie, proszę wyjść.

Obraz w rozdartym papierze wciąż leżał w tym samym miejscu, co podczas pierwszej wizyty Kruka. Komisarz wstał, zajrzał do środka, rozerwał mocniej papier i rozpakował obraz.

– Kazałem panu wyjść – powiedział Rudzki.

– A ja nie wyszedłem.

Kruk oglądał sobie obraz ze wszystkich stron.

– Proszę to zostawić.

– Nie.

– Co pan chce osiągnąć przez takie zachowanie?

– Ciekawi mnie, do czego się pan posunie, żeby mnie wyrzucić. Na razie jestem rozczarowany.

Rudzki sięgnął do kieszeni marynarki po komórkę.

– Ile pan dał za to płótno?

Ruch palców na klawiaturze telefonu. Trzy cyfry, znaczy się, jakiś numer alarmowy.

– Słusznie, niech pan nie odpowiada. Obaj wiemy, że czterdzieści tysięcy. Dlaczego nie przyznał się pan, że poznaje pieniądze z sejfów żony?

Ręka z telefonem powędrowała na spotkanie z uchem Rudzkiego. Chwilę tam została, opadła.

– Nie byłem pewien.

– Był pan.

– Nie byłem. Byłem za to ogromnie zaskoczony, bo podejrzewałem, co to są za pieniądze, ale nie wiedziałem, jak się tam dostały.

– To panu podpowiem. Żona przyniosła je w torebce w piątek wieczorem. Dlaczego zapłacił pan gotówką za obraz?

Wzruszył ramionami. Wciąż trzymał telefon w opuszczonej ręce, ale Kruk nie wiedział, czy coś tam się dzieje.

– Nie wygodniej było przelewem?

– Nie sądzę.

– Skąd pan ją wziął?

– Co?

– Gotówkę.

– Nie rozumiem, do czego pan zmierza.

– Nic nie szkodzi. Wypłacił ją pan z konta w oddziale banku czy w bankomacie?

– Powiedzmy, że w oddziale. Co z tego?

– Tak pan oświadczył Magdzie Majnert, ale lepiej tak nie powiedzmy. Bo wtedy zapytam, który bank używa recepturek zamiast banderol.

Rudzki unikał kontaktu wzrokowego z Krukiem. Nie miał pomysłu na jego obecność.

– Oczywiście, że wypłaciłem w bankomacie. Nie wiem, dlaczego powiedziałem o oddziale.

– Proszę się nie przejmować, zestresowałem pana. A wie pan lepiej ode mnie, że w stresie wymyśla się kiepskie kłamstwa. Niestety, bankomat też da się łatwo sprawdzić.

– Dobrze – rzekł Rudzki.

– Co dobrze?

– Miałem trochę gotówki w sejfie.

– Skąd się tam wzięła?

– Pacjenci tak właśnie mi płacą. Gotówką.

– A pan mówił podczas przeszukania, że używa sejfu na akta pacjentów.

– Na pieniądze też.

– Zabawne. Sejf przede wszystkim kojarzy się z pieniędzmi, a pan powiedział o aktach. O pieniądzach nawet pan nie wspomniał.

– Panie komisarzu – Rudzki usiłował grać zniecierpliwionego, ale strach wybijał się ponad to udawanie – jeśli nie powiedziałem tego wcześniej, mówię w tej chwili. W sejfie trzymam też pieniądze.

– Opodatkowane?

Rudzki zacisnął szczęki.

– Słucham?

– Kiedy pacjenci panu płacą, czy skrupulatnie notuje pan wpływy i wykazuje przed urzędem skarbowym?

– Tak.

– Cieszę się. Bo wie pan, policja jest utrzymywana z podatków.

– Mam nadzieję, że nie z moich.

– Dlaczego ma pan taką nadzieję?

– Nie podoba mi się pańskie zachowanie.

– Mnie się nie podoba, że chciał mi pan wcisnąć, że wypłacił pan pieniądze z banku, a potem że z bankomatu.

– Niech pan już idzie.

– Zabiorę pana ze sobą. Tak ładnie pan składa ręce do kajdanek. Pan będzie musiał odpowiedzieć na to pytanie. Przede mną lub przed sądem.

– Co to ma wspólnego ze sprawą mojej żony?

– Pan to już wie najlepiej.

– Poddaję się. – Rudzki westchnął. – Powiedzmy, że czasem, przez nieuwagę, zdarza mi się nie wykazać pełnych przychodów. Jestem gotowy ponieść konsekwencje. Wyrażę czynny żal.

– Gromadzi pan łupy w sejfie?

– Kupiłem ten obraz jako lokatę kapitału. Doniesie pan na mnie do urzędu?

Kruk miał ważniejsze sprawy na głowie.

– Na pytanie o kobiety również będzie pan musiał odpowiedzieć.

– Wyraziłem już swoje zdanie.

– Rozumiem. Dlatego zawrzyjmy umowę. Wejdziemy do pana gabinetu,

siądziemy na trzy minuty i będę miał do pana drobną prośbę. Jeśli pan ją spełni, ja spełnię pana marzenie.

– Jakie?

– Wyjdę.

Rudzki się zawahał. Bez słowa skierował się do gabinetu i tam zniknął. Usiadł na swoim wielkim krześle, co Krukowi bardzo odpowiadało. Komisarz zajął miejsce tam, gdzie pewnie niedawno siedział mały ciekawy człowieczek.

– Udajmy, że jestem pana pacjentem – rzekł Kruk. – Wypłakałem się panu w mankiet, dostałem receptę na xanax, stos cennych rad na życie i zbliża się czas płacenia.

Rudzki przyglądał się Krukowi, usiłując go zrozumieć.

– Możemy odegrać tę scenkę? – spytał komisarz.

– Po co?

– Żeby się rozerwać. Pan jest smutny, bo w żałobie. Ja nudzę się jak diabli. Znudzily mnie pańskie kłamstwa.

– Pański styl bycia...

– Tak, wiem. – Kruk wyciągnął portfel z kieszeni marynarki. – Ile płacę, panie doktorze?

Rudzki się nie poruszył. Siedział, patrzył, myślał.

– Ile płacę?

– Moja stawka to czterysta złotych za godzinę.

– Wiem – powiedział Kruk. – Muszę to wiedzieć, skoro zostałem pańskim pacjentem. A ile trwa zwykle spotkanie?

– Sesja. Półtorej godziny.

Kruk pokiwał głową.

– To będzie sześć stów.

Twarz Rudzkiego nie wyrażała żadnych uczuć, gdy powiedział:

– Ma pan tyle w portfelu?

Kruk posmutniał, ale nie dał tego po sobie poznać. Nie miał. Miał jedynie pięć setek, ale tego też nie dał po sobie poznać. Wyciągnął je z portfela i podał Rudzkiemu, który przeliczył pieniądze.

– Brakuje stu złotych.

– Wiem.

– Co pan chciał osiągnąć w tej scenie?

– Zawsze pan liczy pieniądze?

– Taki odruch.

– Zdarza się, że pacjenci się mylą?

– Czasem. Niezbyt często.

– Ale się zdarza, bo są roztrzęsieni, rozkojarzeni, skupieni na sobie. Tak właśnie myślałem, że pewnie pan je liczy. Dziękuję panu.

Rudzki ponownie przeliczył pieniądze Kruka. Włożył je sobie do kieszeni.

- Szybko się pan zaprzyjaźnia z kasą – zauważył Kruk.
- Myślałem, że dalej się bawimy.
- Już nie. Skończyliśmy.

Rudzki przyjął to do wiadomości, ale nie oddał banknotów. Spojrzał za to na Kruka z wyzwaniem.

Było to spojrzenie typu: „No i co mi zrobisz?”.

Kruk wiedział, co mu robi. Ale dawał mu jeszcze czas.

Rudzki wykorzystał ten czas.

Położył pieniądze na blacie biurka.

Paczulski nadszedł od strony katedry oliwskiej. Pochylony, ręce w kieszeniach płaszcza. Charon czekał wpatrzony w wodę i odbijające się w niej poranne słońce.

– Nie karmisz kaczek? – spytał Paczulski.

– Znudziło mi się. Wciąż prowadzicie śledztwo?

Paczulski wzruszył ramionami.

– Jeszcze przez chwilę.

Wielki kolorowy kaczor kilkakrotnie uderzył skrzydłami i wzbił się do lotu.

– Trzeba zająć się Krukiem – powiedział Charon.

– Długo się namyślaliście.

– Przyprowadzisz go. Pomożesz mi.

– Ostatnio często potrzebujesz pomocy.

– Wciągnąłeś Kruka do śledztwa. Następnym razem zapytaj.

Paczulski splunął do wody.

– To polecenie dyrekcji? – spytał.

– To moje polecenie.

– Może powinienem sam zapytać.

– Dyrekcja właśnie ląduje w Kopenhadze, nie zwracaj głowy. Usuwamy Kruka, zamykasz śledztwo, będziesz pławić się w chwale.

– Zamknę śledztwo – powiedział Paczulski.

– Zrób to. Może awansujesz.

Charon odwrócił się, ale Paczulski nie odchodził.

– Kruk ma przyjaciół – powiedział podkomisarz.

– Nikt ci niczego nie udowodni.

– Oni nie będą szukać dowodów.

Dwa kaczory zaczęły się dziobać w stawie. Charon żałował, że dyrekcja nie zezwala na pozbycie się Paczulskiego. Głupiec wciągnął do sprawy człowieka z poparciem.

Może więc trzeba pozbyć się dyrekcji. Ta myśl kiełkowała w nim od kilku dni. Charon zawiódł, a potem nie wykonał polecenia. Miał silną pozycję, ale coś takiego oznaczało otwarty konflikt, a tego typu konflikty niosły poważne konsekwencje.

Zajmie się tym później. Najpierw usuną Kruka.

– Poradzisz sobie – powiedział Charon. – Ściągniesz go na adres, który ci podam.

– Gdzie?

– Niedawno poznałem pewną kobietę.

Kruk miał na biurku raport techników. Na banknotach zabranych z sejfu Lidii Rudzkiej znaleziono ślady linii papilarnych zarówno jej, jak i jej męża.

Żadne odkrycie, skoro Rudzki płacił tymi banknotami Majnert, a Rudzka je ukradła.

Na raporcie widniał zamaszysty podpis Jacka Żyry. Fajnie, bo Kruk go znał.

Zadzwoił do laboratorium i poprosił o niego.

– Potrzebuję paluchów z banknotów Rudzkiej.

– Nie dostał pan raportu?

– Zrobiliście paluchy z tych, które były na wierzchu. Ja potrzebuję paluchów z wewnątrz.

– Wszystkich?

– Nie. Wystarczy reprezentatywna próbka.

– Ile to jest dla pana, panie komisarzu? Jestem prostym laborantem, nie rozumiem trudnych wyrazów.

– Potrzebuję wiedzieć, czy na tych banknotach z wewnątrz też są ślady linii papilarnych Rudzkiego.

– Czy pan wie, jaka to praca? Mówimy o banknotach, gdzie są niezliczone ślady linii papilarnych. I tak pracuję po godzinach.

Kruk westchnął do telefonu.

– Panie Jacku... Zginęła kobieta. Ktoś wbił jej kawałki czaszki w mózg. Czym pan mnie chce wzruszyć?

W odpowiedzi też dostał westchnięcie.

– Porozmawiam z kierowniczką laboratorium. Zobaczmy, co da się zrobić.

Po rozmowie Kruk ponownie próbował dodzwonić się do Bielińskiej, ale odrzuciła połączenie. Wrócił myślami do rozmowy z Gambarskim.

Przejrzał raport jeszcze raz. Kończył, gdy ktoś cicho zapukał i uchyliły się drzwi.

Wszedł Damian Paczulski.

Uśmiechnął się do Kruka, obrzucił spojrzeniem pokój, puste krzesło Pawła Lalkarza, biurko komisarza i leżący na nim raport.

– Tego szukam – odezwał się. – Powiedziano mi, że ty zabrałeś, choć słyszałem, że już cię odwołano od sprawy.

Pofatygował się ze swojej komendy na komendę wojewódzką, bo potrzebował raportu techników.

– Coś ciekawego? – spytał Paczulski ostrożnie, z delikatnym uśmiechem, gdy Kruk podał mu teczkę.

– Wszystko po twojemu. – Kruk oddał mu spóźniony uśmiech. Był niemal tak samo szczerzy, jak ten Paczulskiego.

Damian Paczulski stał z raportem w ręce i nie odchodził.

– Słyszałem też, że interesowałeś się pożarem.

– Dużo słyszysz.

– Tak. Jak chcesz nowości w sprawie, poczytaj lokalne newsy. Wszystko tam jest, wszystko poszło do mediów.

– Awaria instalacji elektrycznej plus zbiorniki z łatwopalną substancją?

– Karygodne zaniedbanie. Idzie na konto Wolnego.

– Już teraz żadnych wątpliwości?

– Jakich?

– Że to podpalenie?

– Ktoś miałby podpalić hospicjum? W głowie się nie mieści.

Paczulski pokręcił głową, w której nie mieściły się takie potworności. Tylko oczy patrzyły wyzywająco.

– Czemu mówisz o podpaleniu?

– Tak sobie.

– Szkoda.

Paczulski odwrócił się. Kruk chętnie by go tam zostawił, takiego odwróconego plecami, ale to nie była właściwa strategia na dzisiaj.

– Czemu szkoda?

– Nie jesteś jedyny.

– A więc są wątpliwości?

– Nic podobnego. Tylko jeden uchol chciał mi opchnąć faceta, który rzekomo podpalił ten dom. Olałem uchola. Nie warto ruszać gówna. Wszystkim pasuje, że Wolny ma kłopoty.

– Kłopoty będzie mieć jego żona, ona zarządza hospicjum.

– Wystarczy. To samo nazwisko.

– Uchol jest wiarygodny?

– Tak. Sprzedał mi – wzruszył ramionami – a raczej sprzedała parę dobrych informacji.

– To kobieta?

– I to jaka.

– Daj mi ją.

Paczulski odwrócił się z uprzejmym uśmiechem na twarzy.

– Mam dać ci swojego uchola?

– Nie bądź skąpy, bądź hojny. Ludzie będą cię lubili.

Paczulski uśmiechnął się lekko.

– Ty?

– Ja akurat nie.

– Tak myślałem.

– Dobra – warknął Kruk. – Słyszałeś, że się interesuję. Przyszedłeś tu. Czego chcesz?

– Czemu interesuje cię ten pożar. Ze względu na Wolnego?

– Jestem z natury ciekawski. Mów, czego chcesz za uchola.

Paczulski pokręcił głową.

– Zaraz wracam.

Wrócił po pięciu minutach.

– Pojedziesz do domu pani Jadzi na Orunię Dolną. Ma mały interes, do którego zaglądną chłopcy z fantami. Pani Jadzia twierdzi, że są bezczelni. Wołają ogromne pieniądze za rzeczy bez wartości, a ona je bierze, bo ma dobre serce. Pani Jadzi trudno związać koniec z końcem, potrzebuje innych źródeł dochodu.

– Jakiś prezent dla pani Jadzi?

– Pani Jadzia nie będzie rozmawiać o prezentach. Jak jej informacja się sprawdzi, wynagrodzenie odbierze ode mnie, a ja się od ciebie upomnę. Teraz warunki.

– No.

– Pójdiesz wieczorem do niej do domu. – Dostrzegł zaskoczenie na twarzy Kruka i wyjaśnił: – Pani Jadzia jest leniwa, nie wychodzi, jak nie musi. Nie będziesz cuchnął gliniarzem. Nikt się nie dowie o waszym spotkaniu, żadnych notatek służbowych, żadnych zwierzeń.

Kruk skinął głową. Paczulski nie chciał nic w zamian, brał na siebie koszt pani Jadzi, choć może się o coś upomni. Prawdziwy przyjaciel.

– Pogadacie, wyjdiesz z jej domu i od razu o nim zapomnisz. Jak kiedyś spotkasz ją na ulicy, pomyślisz: nie znam kobiety.

– Tak właśnie pomyślę – odparł spokojnie Kruk.

W gabinecie Rudzkiego było cicho. Jedynie zegar tykał miarowo. Jacek Wolny przyglądał się psychiatrze, który nie wyglądał dobrze. Zastanawiał się, co Rudzki sobie myśli.

– Dziwi się pan, że mnie widzi? – odezwał się Wolny.

– Wygląda, że jest pan w dobrej formie.

– Po tym wszystkim, co piszą o mnie w mediach, można by sądzić, że już mnie zamknięto. Zły człowiek, nawet gdy zrobi coś dobrego, obróci to w nicość. A ja, panie doktorze, jestem złym człowiekiem.

Wolny miał na sobie sweter z półokrągłym wycięciem, spod którego wystawał kołnierzyk koszuli. Siedział na brzegu krzesła, pochylony, z równolegle ustawionymi nogami w płóciennych spodniach i rękami na kolanach. Wiedział, że wygląda jak emeryt w przychodni oczekujący na receptę.

Rudzki oparł się wygodniej, założył ręce na brzuchu.

– O czym pan zapomniał – dodał cicho Wolny, a Rudzki natychmiast się wyprostował. – Osaczyli mnie. – Ze zniechęceniem pokręcił głową. – Mam kontrolę w zakładzie, hospicjum mojej żony nie istnieje, jestem w centrum uwagi mediów, może będę miał zarzuty. Ironią losu jest to, że zrobiłem wiele złego, ale mogę pójść siedzieć za coś, czego nie zrobiłem.

– Co pan zamierza?

Wolny gwałtownie uniósł głowę. Poprawił kołnierzyk koszuli wystający spod swetra. Kołnierzyk nie potrzebował poprawy. Chciał zapytać psychiatrę, co go to obchodzi, ale na to pytanie było jeszcze za wcześnie.

– Nie złamię mnie.

– Zabezpieczył się pan?

– Jak?

– Zmianą własności.

– Pyta pan, czy posłuchałem pańskiej rady i przepisałem budynek na córkę?

– Przypominam, że to był pański pomysł.

Wolny wstał i zaczął spacerować po gabinecie.

– Starzeję się – powiedział. – Ale pamięć mam dobrą. Pomysł był pański, doktorze, dlaczego wciąż usiłuje mi pan wmówić, że było inaczej? – Stawiał kroki powoli i ociężale. Przy każdym miał ochotę się zatrzymać, po czym stawiał kolejny.

– Nie chcę się z panem spierać. To zresztą nie ma znaczenia.

– Otóż ma.

– Dlaczego?

Wolny dostrzegł, że Rudzki poczuł pragnienie pomajstrowania przy kołnierzu swojej koszuli, ale się powstrzymał.

– Nieruchomość pozostanie moja. Nie będę wciągał w to córki.

Widział, jakie wrażenie sprawiła ta deklaracja. Rudzki się przestraszył i szybko zasugerował:

– Może to błąd.

Wolny pomyślał, że ziemia musi się palić psychiatrze pod nogami. Lubił fundować ludziom to uczucie.

– Tak pan sądzi? A mówił pan, że się nie zna na tych sprawach.

– Jestem przerażony tym, co się wokół pana dzieje.

– Dlatego, po zastanowieniu, odrzucam pańską sugestię. Nie przepiszę budynku na Kingę. Ona musi pozostać z daleka od tego wszystkiego.

Rudzki spuścił głowę. Wyglądał na zrezygnowanego. Po takim znawcy serc i umysłów Wolny oczekiwał czegoś więcej, ale ludzie często go rozczarowywali.

– Nie przepiszę własności na córkę. Nie sprzedam nieruchomości ludziom, którzy chcą mnie zniszczyć – powtórzył dla samej przyjemności wypowiedzienia tych słów od nowa.

Chciał dodać, żeby Rudzki przekazał to swoim zleceniodawcom, ale przecież nie musiał tego dodawać. Tamci przyjdą i zapytają.

A Rudzki ich zawiedzie.

Znowu.

Wolny wstał i wyszedł bez dalszych słów. Gdy wsiadł do limuzyny, odebrał wiadomość z Brazylii. Kinga napisała jedynie dwa słowa.

Boję się.

Patrzył przez przyciemniane szyby na przesuwane się budynki.

Słusznie, pomyślał. Nie mają już na co czekać. Wkrótce się zaczniesz.

Kruk zaparkował samochód kilka ulic od adresu, który podał mu Paczulski. Pod kurtkę włożył bluzę od dresów i narzucił na głowę kaptur. Wszystko dla komfortu pani Jadzi.

Był ciekawy tej kobiety. Paczulski zapewniał, że była niezwykła, ale parterowy dom wyglądał na podupadły, a przez poszarzałe firanki w oknach przesączało się przymglone światło.

Zapukał.

Po chwili ponowił pukanie.

Nikt mu nie otworzył.

Kruk nacisnął klamkę i drzwi ustąpiły. Z wnętrza nozdrza komisarza zaatakował zapach stęchlizny. Kruk wszedł, ale zatrzymał się na progu. Pozwolił, by drzwi zamknęły się za nim dość głośno. Znalazł się w brzydkim przedsionku skąpo oświetlonym odbiciem światła z głębi domu. Panowała tu absolutna cisza.

Te otwarte drzwi, ta cisza i światło nie spodobały się Krukowi. Może dlatego, że mało co mu się ostatnio podobało. A może nie pasowały do obrazu pani Jadzi, kobiety ostrożnej, choć leniwej, który Kruk wytworzył sobie na podstawie słów Paczulskiego.

Sięgnął pod kurtkę i rozpiął kciukiem kaburę, w której nosił broń.

Chciał zawołać, aby dać kobiecie znać, że wchodzi, ale nie zrobił tego. Jeśli ją zaskoczy, grzecznie przeprosi, a póki co nie będzie robił hałasu. Już pożałował, że pozwolił drzwiom zamknąć się tak głośno. Panująca tu cisza dziwnie go nastroiła.

Z ręką pod kurtką, jakby szukał w kieszeni portfela, wszedł do przedpokoju wyściełanego wyblakłym dywanem. Zajrzał do pokoju, z którego płynęło światło. Brało swoje źródło z lampy stojącej z brudnym ażurowym kloszem, brudna była stara kanapa i stare sosnowe meble. Pani Jadzia wiele straciła w oczach Kruka. Przestał być jej ciekawy jako kobiety, zaczął być ciekawy, czy ona w ogóle tu jest.

Kolejny pokój był skąpany w mroku. Kruk włączył górne światło. Sypialnia z rozbebeszonym łóżkiem i rzuconymi byle jak ubraniami, których komisarz nie chciałby widzieć na żadnej kobiecie. Po fasonie i rozrzuconych tu drobiazgach zorientował się, że pani Jadzia musi mieć swoje lata. Paczulski zrobił sobie z Kruka jaja, ale to najmniej go zmartwiło.

Szybko i ostrożnie zajrzał do ostatniego pokoju pełnego starych gratów i do kuchni. Nic. Tylko cisza.

Bardzo się to wszystko Krukowi nie spodobało. Stał w korytarzu i słuchał tej ciszy.

Usłyszał szmer.

Dochodził zza półprzymkniętych drzwi, które prowadziły do piwnicy. Kruk zdziwił się, że taki barak ma piwnicę, ale otworzył je szerzej. W środku panowała ciemność, więc przekręcił przełącznik. W dole zapłonęła pojedyncza żarówka wisząca na kablu. Do surowego pomieszczenia prowadziło kilka niskich schodów. Z miejsca, gdzie Kruk stał, niewiele mógł zobaczyć, jakieś skrzynki i starą komodę. Możliwe, że pani Jadzia tam aktualnie bawiła. Kruk zszedł trzy stopnie i zobaczył ją.

Kłęcząca przy metalowym wiadrze pełnym wody, której sporo rozchlapało się po podłodze, tworząc kałuże. Ręce miała opuszczone wzdłuż tułowia, głowę zanurzoną w wodzie, a siwe włosy okalały brzegi wiadra.

Kruk miał już w dłoni pistolet. Ze swojego miejsca i tak widział większość piwnicy, więc zszedł ostatnie dwa stopnie, mierząc w niewidoczny do tej pory obszar. Zobaczył tylko pozostałą część piwnicy. Odrapany żółty taboret. Pusto.

Obejrzał się za siebie. Cisza, nic się nie działo. A jednak w tej piwnicy jeszcze przed chwilą coś się ruszało. Nie miał ochoty łądować się do środka, ale możliwe, że kobieta przed chwilą żyła. Coś musiało wydawać szmer, który słyszał. Podeszedł bliżej i tuż spod jego nóg, ukryty do tej pory za wiadrem, poderwał się czarny kot. Poszeleścił w rozrzuconych gazetach, smyrgnął między nogami Kruka i uciekł na górę.

Kruk zaklął. Kobieta się nie ruszała. Mimo to pociągnął ją za włosy i wyjął głowę z wody. Spojrzały na niego otwarte oczy pełne śmierci. Pozwolił, żeby głowa wróciła do pozycji, w jakiej była przed chwilą. Jeszcze mokrą ręką sięgnął po komórkę. Nie było zasięgu.

Wyprostował się i rzucił się w bok na ścianę, przewracając żółty taboret. Padając, usłyszał dwa strzały jeden po drugim. Kątem oka dostrzegł, że ze ściany nad wiadrem odłupał się tynk. Leżąc na plecach, Kruk wymierzył w stronę schodów, strzelec stał jednak wyżej. Miejsce, w którym znalazł się Kruk, chroniło go przed jego wzrokiem, ale sam też nie widział strzelca.

Całe ciało miał napięte, gotowe do natychmiastowej reakcji.

Z podłogi widział jedynie ostatni, najniższy stopień schodów. Leżał i wciąż tam mierzył. Znowu zapadła cisza. A w takiej ciszy, w takim napięciu zmysłów, czas się zatrzymuje. Przez ułamek sekundy Kruk poczuł żal za czymś, czego nie potrafił uchwycić, może za innym życiem. I znowu wrócił do tu i teraz, z wizją zawężoną do widocznego kawałka schodów, świadomy, że jeśli pozwoli umysłowi na próbę odklejenia się od rzeczywistości, choćby krótką jak mgnienie, straci nawet to marne życie, które ma.

Leżał wpatrzony w schody, w jednej ręce trzymając broń, w drugiej miażdżąc komórkę. Nie mógł sobie pozwolić na luksus sprawdzenia, czy zasięg w jakiś magiczny sposób pojawił.

Zgasło światło i świat pogąrzył się w absolutnej ciemności.

Tiro wpadł na posterunek policji cywilnej. Przemierzył korytarz i z hukiem otworzył drzwi swojego gabinetu. Siedzący tam mężczyzna nie podniósł głowy. Czytał miejscową gazetę, poruszając ustami. Był wysoki i chudy, a niedbale zarzucone pozostałości włosów połyskiwały tłuszczem.

– Siadaj – mruknął, nie odrywając wzroku od gazety.

Tiro usiadł. Nie miał czasu, żeby tu siedzieć, ale wolał nie popędzać faceta. Nie warto zadzierać z politykami, zwłaszcza z tymi, którzy grywają w karty z gubernatorem.

Mężczyzna rzucił gazetę na biurko i powiedział:

– Jest skarga na ciebie.

– Że co?

– Za mało pijesz, za dużo cię na mieście, straszysz bandytów.

– Poprawię się.

– Popraw się, Tiro.

Tiro czekał. Skoro polityk tej rangi osobiście pofatygował się do niego, musiał mieć ważny interes.

– Kręcisz się przy pewnej turystce z Europy. Czego od niej chcesz?

Tiro uśmiechnął się szeroko.

– Podoba mi się.

– Żadnych takich. Kobieta jest nie do ruszenia.

– Rozumiem.

– Dobrze. Zabierz od niej chłopaków.

Tiro przestał się śmiać.

– Miałem wobec niej plany. Włożyłem w nią dużo pracy.

Chudy mężczyzna sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął długopis, nabazgrał coś na marginesie gazety i rzucił ją policjantowi. Tiro chwycił gazetę i przeczytał.

Dziesięć tysięcy.

– Reali? – spytał.

– Dolarów. Ludzie, których ta kobieta interesuje, chcą zapłacić za twój trud, zrekompensować stracone zyski i przeprosić za kłopot.

Tiro rozparł się na krześle. Lubił, gdy ludzie są grzeczni i umieją się znaleźć.

– Co mam zrobić?

– Ma cię nie być. Masz nie przeszkadzać. Oni też mają wobec niej plany.

Chwilę się zastanawiał. Pokręcił głową.

– Zrobione. Ale mam z nią porachunki. Wczoraj próbowała mnie kupić, obiecała wielkie pieniądze, a przesłała tysiąc reali. – Tiro pochylił się i utopił wzrok w twarzy chudego faceta. – Może się przydam i zarobię więcej?

Czas upływał, a ciemność wciąż otaczała Kruka tak głęboka, że przed oczami zaczęły mu tańczyć cienie i pozostałe na tęczęwce odblaski. Cisza tak obezwładniająca, że słyszał szum krwi w uszach.

Zamknął oczy. Mogły przestać się starać. Kruk skupił się na nasłuchiowaniu, próbując wyłowić z otoczenia dźwięk, który go ostrzeże, gdyby w mroku zmaterializowała się groźba.

Ale nic się nie działo.

Bał się poruszyć. Ręka z bronią wciąż tkwiła wyciągnięta, druga przestała miażdżyć komórkę, za to palce na telefonie zaczęły się poruszać, szukając właściwego uchwytu. Poruszały się wolno, aby ich ruch pozostał bezszelestny. Musiały zrobić swoje, ale nie wolno im było się zdradzić.

Czas mijał, a palce zakończyły swoją misję, ręka z bronią zaczynała ciążyć, a mózg tworzyć obrazy. W nieprzeniknionej ciemności Kruk wyobraził sobie człowieka, który schodzi do piwnicy. Ten człowiek jest bezszelestny, tak jak palce Kruka na telefonie. Zdeterminowany musi zrobić swoje. Pewny siebie, bo wie, że mrok spowija go tak doskonale, że ludzkie oko go nie wypatrzy. Podchodzi świadomy wymierzonej w niego broni, mierząc do komisarza ze swojej. Nic nie widzi, ale i jego nie widać. Staje tak blisko, że nozdrza Kruka mogłyby już uchwycić jego zapach, gdyby nie zabijała go piwniczna stęchlizna.

Przez ułamek sekundy Kruk uwierzył w istnienie tego niewidzialnego człowieka. Niemal nacisnął spust, by go zabić.

Szelest. Usłyszał szelest.

Kruk otworzył oczy. Gęsta i lepka ciemność nadal tu była. I nic poza nią.

Nasłuchiwał. Może to kot.

Serce biło mu tak mocno, że bał się, że może go zdradzić. Ale przecież nie było dostatecznie blisko nikogo, kto mógłby usłyszeć ten dźwięk.

Szelest się nie powtórzył. Nie uspokoiło to Kruka, jego serce wybijało nierówny, mocny rytm. Człowiek, który stał nad Krukiem i w niego celował, musiał go słyszeć.

Nie, nikt tu nie stał. Ktoś, kto przed wiekami strzelał do Kruka w tej piwnicy, wciąż pozostawał na górze. Nikt nie zdołałby wejść w mrok, nie generując żadnego dźwięku.

Oczywiście, że nie, zabrzmiał mu w głowie jego własny głos, spokojny i wyraźny. Słyszałeś szelest.

Palec Kruka dwukrotnie drgnął.

Palec wskazujący oparty na przycisku głośności smartfona. Dwukrotne naciśnięcie uruchomiło latarkę.

Strumień białego światła trafił w próżnię. Nikt nie stał nad Krukiem.

Bo mężczyzna, którego światło wyłowiło z ciemności, stał dwa kroki z boku, nachylał się, mierzył z broni w żółty taboret, ale z chwilą, gdy to do niego dotarło, broń mężczyzny zdążyła już się przesunąć i Kruk ujrzał wymierzony w siebie wylot lufy pistoletu.

Czekał na strzał, który nie nastąpił.

Kruk z opóźnieniem zrozumiał czemu.

Jego własna ręka również się przesunęła i pistolet Kruka celował w mężczyznę.

Kruk nie rozumiał tylko, czemu jego pistolet nie strzela.

Bo nie nacisnąłeś spustu, pomyślał.

Tak jak i on.

Jeśli od razu nie rozwalisz mu łba, nawet jeśli go trafisz, on może zdążyć wystrzelić. Może nawet jak rozwalisz mu łeb, coś mu się w mózgu przełączy i wciąż wystrzeli. Nie wiesz tego, nigdy nie byłeś w takiej sytuacji.

Mężczyzna, który celował do Kruka, też nie wiedział. Obaj mrużyli oczy osłepieni światłem. Ale Kruk miał przewagę, bo latarka oslepiła mężczyznę. On miał innego rodzaju przewagę, stał, a Kruk celował w niego z poziomu posadzki.

– Zbyt późno zacząłem je słyszeć – powiedział mężczyzna.

Miał głęboki, uspokajający tembr głosu, ale w samym głosie było coś nieprzyjemnego: obcy akcent, chyba niemiecki.

– Twoje serce.

Próbuje mnie rozproszyć, pomyślał Kruk.

– Policja – warknął. – Rzuć broń.

– Ty mnie nie słyszałeś. Ja jestem ciemnością.

Szalony, przemknęło Krukowi przez głowę. Mężczyzna powoli wykonał krok w tył. Szalony czy takiego udawał, wszystko jedno. Zamierzał się wycofać. Albo udawał, że zamierza.

– Nie ruszaj się!

– Strzelisz? – W jego głosie Kruk słyszał zaniepokojenie. – To źle się skończy dla nas obu.

Wykonał następny krok w tył. Jeśli facet wyjdzie z piwnicy, Kruk pozostanie tu uwięziony, a mężczyzna pozostanie zagrożeniem. Nie pozwoli Krukowi wyjść. Komórka nie będzie świecić bez końca, gdy światło zgaśnie, wróci. Porusza się bezszelestnie, Krukowi może się drugi raz nie udać. Jeśli nie wróci, może bez końca czekać u wejścia.

Albo strzelać na ślepo zza ściany.

– Stój, kurwa. – Broń drgnęła w dłoni Kruka. Mężczyzna się zatrzymał. Kruk mógł mu się przyjrzeć: średniego wzrostu, dobrze zbudowany.

Trzeci krok w tył.

– Jesteś zaczarowany. Uciekłeś przed kulami.

Kruk zdecydował. Jeśli będzie musiał, strzeli. Zanim tamten zniknie na schodach, wyłączy latarkę i strzeli w tej samej chwili. Nie mógł pozwolić mu odejść.

Wybór był ryzykowny, ale rozwiązywał sytuację, i to natychmiast.

– Jestem pełen podziwu dla ciebie.

I jeszcze krok w tył. Ostatni. Tamten za plecami miał ścianę. Aby wejść na schody, musiał przesunąć się w bok. Kruk celował mu w głowę. Mężczyzna powoli obrócił się plecami do schodów.

Teraz, pomyślał Kruk.

Huk wystrzału. Drugi.

Kruk nie zdążył strzelić. Nie zdążył też strzelić mężczyzna. Broń wypadła mu z ręki. Zwalił się na posadzkę.

Kruk natychmiast zgasił latarkę.

– Kruk, jesteś tam?

Zapaliła się żarówka pod sufitem.

Patrzył na leżącego przed nim faceta, na jego roztrzaskaną głowę, pod którą rozlewała się coraz szerzej kałuża krwi.

– Kruk, żyjesz?

– Żyję.

– Dobra. Schodzę do ciebie.

– Powoli. Łapy nad głową.

– Jasne. Tylko spokojnie, jest po wszystkim.

Leżał, celował w schody napięty i wciąż gotowy do strzału. Na schodach pojawiła się postać. Mężczyzna trzymał ręce wysoko, w jednej z nich miał pistolet.

– W porządku? – spytał.

Kruk opuścił broń. Usiadł, ale wciąż nie wstawał, oparł się za to o ścianę.

Damian Paczulski opuścił ręce. Schował broń do kabury.

– Miałem złe przecucia – powiedział.

Przecucia. Ta piwnica była ich pełna. Może gdyby nie przecucia, Kruk leżałby obok tej kobiety, tak jak i ona bardzo martwy.

– Wezwałem wsparcie – powiedział Paczulski.

Ostrożnie, aby nie wdepnąć w krew mężczyzny, zbliżył się do wiadra.

– Pani Jadzia miała smutny koniec – powiedział.

Kruk przymknął oczy. Biedny, zasmucony Damian Paczulski.

Być może uratował Krukowi życie.

Olivier Charon słyszał, jak dwaj mężczyźni rozmawiają. Mówili o starej kobiecie, mówili o nim, że nie żyje. Uwierzył im i w krótkim przeblysku świadomości zrozumiał, że za chwilę spotka Wielkiego Sędziego.

Nie rozśmieszyło go to, chciał rzucić się do ucieczki.

Robiłem też dobre rzeczy, kołatało mu w głowie.

A więc nie żył, wokół niego rozbłyskiwały eksplozje światła i wydawało mu się, że widzi, jak Wielki Sędzia nadchodzi. Usłyszał słowa ciężkie jak oskarżenie:

– Karmiłeś kaczkę.

Charon stanął obok martwego ciała, które kiedyś należało do niego, i patrzył, jak wokół roztrzaskanej głowy rozlewa się kałuża krwi.

Tamto martwe ciało zaczęło zanikać. Wszystko zaczynało...

– Nie tylko... – zdołał wyszeptać, a może jedynie wydawało mu się, że zdołał.

Ulica zaroїła się od radiowozów, karettek, straży pożarnej i samochodów cywilnych. Przyjechali wszyscy, którzy powinni, i wielu takich, bez których byłoby łatwiej. Pojawił się prokurator dyżurny, później przyjechał jego przełożony, dwóch funkcjonariuszy Biura Spraw Wewnętrznych Policji, komendant komendy wojewódzkiej i komendant miejskiej, naczelnik wojewódzkiej Marcin Zych, Paweł Lalkarz, policjanci z patrolówki.

Kruk opowiedział, co się wydarzyło, poważnemu funkcjonariuszowi BSWP, podczas gdy drugi w tym samym czasie rozmawiał z Paczulskim. Kruk z Paczulskim musieli zdać broń.

Marcin i Paweł nie odstępowali Kruka na krok.

– Niewiarygodne. Paczulski uratował ci życie – kręcił głową Marcin.

– Więc dlaczego nie jestem mu wdzięczny?

– Ty nam powiedz.

Kruk im nie powiedział.

Była prawie trzecia w nocy, gdy Kruk mógł wreszcie zacząć się zbierać do domu.

– Nie możesz zostać dziś sam – powiedział Paweł. – Przenocujesz u nas.

– Nigdzie nie jadę – odparł Kruk.

Pojechał. Z Pawłem nie było łatwo.

W otwartych drzwiach mieszkania czekała na nich Alicja, długonogie blond bóstwo Pawła, którą telefon wyrwał ze snu. W jej oczach Kruk przeczytał ostrożność i zakłopotanie, gdy skanowała go spojrzeniem, szukając dziur po kulach, ale wciąż było to spojrzenie nieustraszone. Zaprowadziła ich do przytulnego salonu, w którym cicho zagrała muzyka, a przytłumione światła dwóch stojących lamp i cienie z oczu ludzi zmieszały się ze sobą.

Alicja chciała im robić kolację.

– Daj spokój – powiedział Kruk.

– Macie ochotę się napić? – spytała.

Nie mieli.

Obudziły się dzieci. Wyskoczyły w piżamach przywitać się z wujkiem Sławkiem. Wujek Sławek. Rany.

Paweł zapędził je z powrotem do łóżek.

Kruk dostał dla siebie mały pokój z czystą pościelą i szklanek wody na szafkę. Alicja wyciągnęła dla niego ręcznik i położyła na pralce w łazience.

Kruk nie poszedł pod prysznic.

Usiadł na krawędzi łóżka, sięgnął po szklanę i nie znalazł siły na to, aby ją unieść do ust.

W takiej pozycji go znaleźli, gdy zajrzeli do niego rano.

Paweł Lalkarz zmusił Kruka, by zostawił swój samochód, i pojechali jego mazdą.

– Jesteś jak stara ciotka – narzekał Kruk. – Przesadzasz.

– Spędziłeś noc na siedząco.

– Nie chciałem brudzić pościeli.

– Brałeś udział w strzelaninie.

– Tylko sobie pottrzymałem pistolet. Strzelali się inni.

Paweł prowadził, a Kruk siedział obok z głową opartą o boczną szybę. Sunęli powoli w porannym korku, wstawał ładny dzień, przyjemnie było myśleć o tym, że wciąż się żyje.

– Masz pomysł, czemu do ciebie strzelano?

– Zastanawiam się.

– Pomyśl, komu ostatnio zalazłeś za skórę.

Zatrzymali się przed światłami. Na jezdnię wtargnęli ludzie. Cała gromada ludzi śpieszących się do pracy.

– Paczulskiemu.

– On akurat uratował ci życie.

Ruszyli znowu, ale po chwili musieli zwalniać. Krukowi podobała się taka jazda. Dzisiaj wszystko mu się podobało i wydawało ciekawe.

– Dałem po pysku radnemu i zestresowałem psychiatrę – rzekł Kruk.

Paweł odwrócił wzrok od jezdni i popatrzył na Kruka.

– Dałeś w pysk radnemu. – Pokiwał głową. – Jak zasłużył?

– Obłeśny cap posuwał żonę psychiatry i jakoś nie wierzę, że jej się to podobało. Ale była pogubiona, wsparcia mogła szukać jedynie u swoich lalek. To psychiatra wpychał ją do łóżka capa, aż wpadła w depresję i obstawiam, że zaczęła się stawiać. Wtedy odciął ją od forsy. Ładnie ją ubierał, gdy szli między ludzi, ale co działo się za zamkniętymi drzwiami? Poszła do pracy, żeby mieć własne pieniądze, znalazła sobie faceta na boku, a raczej to on ją znalazł, w końcu ukradła większą sumę. Potem ktoś ją zatłukł. Dosłownie.

Paweł odwrócił do niego głowę.

– Strzeliłeś w pysk właściwego człowieka?

– Był pod ręką.

– Po co psychiatra miałby podsuwać żonę radnemu?

– Dobre pytanie.

Kruk usiadł prosto, zbliżali się do komendy.

– Może byłem blisko czegoś – rzekł. – Może mu zagrażałem.

– Psychiatrze?

– Facetowi, który zginął. Albo dostał na mnie zlecenie.

Zaparkowali pod komendą i od razu na wejściu Kruk dostał informację, że ma zgłosić się do konferencyjnego. Zidentyfikowano człowieka, którego postrzelił Paczulski.

W pokoju konferencyjnym znajdowało się całkiem sporo ludzi. Przy długim stole siedział komendant Wojciech Sarzyński, dalej Marcin Zych, w pewnym oddaleniu Damian Paczulski, kilku wyższych stopniem oficerów z komendy miejskiej oraz prokurator Igor Zwoliński, z którym Kruk kilka razy pracował.

I jeszcze jeden facet. Zajęty był przeglądaniem leżących przed nim papierów i nie podniósł głowy, gdy Kruk wszedł.

– Proszę, komisarzy – zachęcił komendant.

Było wolne miejsce obok Marcina. Kruk je zajął. Nie spuszczał wzroku z Emila Zasady, który wreszcie spojrzął na Kruka, skinął mu głową, po czym wrócił do swoich papierów.

– Agent Armina Glasera znasz. – Marcin wskazał go gestem. – Choć pewnie pod innym nazwiskiem.

Kruk skinął głową. Czuł się ogłupiały.

– Agent Glaser jest z Interpolu. Wyznaczony przez biuro w Londynie ze względu na znajomość języka i wysłany z misją zebrania informacji w sprawie człowieka, który cię wczoraj zaatakował.

– Kiedy miał zamiar się przedstawić?

– Przedstawił się komendantowi, gdy tylko przyjechał.

Kruk znowu skinął głową. Glaser zostawił papiery, rozsiadł się wygodnie i obojętnie popatrzył na Kruka.

– Moja misja to pomoc dla lokalnej policji w zneutralizowaniu poszukiwanego listami gończymi przestępcy. Przepraszam za maskaradę, komisarzy Kruk. Miałem swoje powody. – Położył rękę na dokumentach. – Olivier Charon vel Martin Schultz, vel siedem innych tożsamości, pod którymi dał się poznać i pewnie dwa razy tyle takich, pod którymi poznać się nie dał. Prawdziwe imię i nazwisko: Józef Gołąbek. – Glaser uniósł brwi. – Zabawne?

Nikt się nie roześmiał, a Glaser zajrzał do papierów.

– Urodzony w Bydgoszczy siódmego grudnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego roku. Siostra zmarła na raka, gdy miał dziesięć lat. Wkrótce po jej śmierci rodzice przenieśli się do Berlina. Uczył się w jakichś tam szkołach, studiował na Uniwersytecie Humboldtów, ekspert od broni palnej, materiałów wybuchowych, BJJ, białej broni, bla bla bla. – Glaser odwrócił kartkę. – Podejrzewany o zabójstwa na zlecenie, porwania i wymuszenia. Listy gończe z Niemiec, Francji, Hiszpanii, Portugalii, Danii i Rumunii.

– Wrócił umrzeć do kraju – odezwał się komendant. – Patriotyczne.

Przed oczami Kruka pojawiła się postać w ciemności. Człowiek z bronią, bezszelestny jak zwierzę, który zbyt późno usłyszał bicie serca Kruka. Kruk zobaczył wymierzony w siebie pistolet. Ta wizja szybko ustąpiła miejsca wizji starej kobiety z głową w wiadrze.

– Mogę? – Kruk wyciągnął rękę, wskazując akta.

Glaser się nie poruszył.

– Po co to panu? Są po angielsku.

Kruk czekał z wyciągniętą ręką. W końcu ją zabrał.

– A czy ja mogę? – odezwał się Marcin Zych.

W oczach Glasera błysnęło. Popatrzył na naczelnika dochodzeniówki, niechętnie się uśmiechnął i podał teczkę.

Zych rzucił ją Krukowi.

– Panowie... – powiedział komendant. Chrząknął, odetchnął i na tym poprzestał.

Kruk przeglądał akta z logo Interpolu.

– *One of his nicknames: Grimm* – przeczytał. – *Golabek was fond of fairy tales.*

– Grimm. – Glaser uśmiechnął się. – Pozwólcie więc, panowie, że będę go tak nazywał. Grimm dwukrotnie spotkał się w Gdańsku z byłym przestępcą Jackiem Wolnym. Próbuje ustalić, na czym polegała ich współpraca.

– Nonsens – powiedział Kruk.

– Dlaczego, komisarzu?

– Facet, który opowiadał dzieciom bajki, spalił Wolnemu hospicjum.

– Uważa pan, że to był Grimm?

– Ten facet pracował jako wolontariusz. Rozmawiałem z Jerzym Gambarskim. Wolontariusz go uprzedził, że budynek spłonie. Okazał pan zdjęcie Grimma personelowi i pacjentom?

– Zrobimy to – rzekł Glaser zimno. – Nie miałem tych informacji.

– To gdzie pan szukał Grimma przez cały ten czas?

Glaser wyciągnął rękę i Kruk oddał mu akta.

– Rozmawiał pan z Gambarskim? – Glaser spojrzał znacząco na komendanta. Krukowi nie spodobało się to spojrzenie. – Pan wie, że to też człowiek Wolnego? Z nami nie chciał rozmawiać. Dlaczego rozmawiał z panem?

– Przekonałem go, że Wolny chce, żeby ze mną rozmawiał.

Kruk zwrócił uwagę na Marcina i jego nagle zeszywniałą twarz. Momentalnie pożałował, że otworzył usta.

– A on po prostu się przed panem otworzył?

Kruk wzruszył ramionami. W tej chwili nie miał zamiaru nic więcej gadać.

– Dlaczego Jacek Wolny chciał, żeby jego człowiek rozmawiał z panem? Znany jest z tego, że nie rozmawia z policją.

– Zapytajcie Wolnego – warknął Kruk.

– Zapytam pana, ale o co innego. Wiemy, że pan także dwukrotnie spotkał się z Wolnym. Zajechał pan do jego zakładów, gdzie odbyliście rozmowę na powietrzu,

a potem podjął pana w domu. Jacek Wolny nie rozmawiał z policją, nawet gdy porwano jego syna.

– Śledziliście mnie?

– Podkomisarz Paczulski nabrał podejrzeń. Początkowo nawet nie życzył pan sobie obserwacji Wolnego, gdy natrafił pan na niego w śledztwie w sprawie zabójstwa Lidii Rudzkiej. Trochę trwało, zanim pan zlecił obserwację. A potem jedzie pan do niego do domu.

Kruk uważnie spojrzał na Paczulskiego, który przepaszająco rozłożył ręce.

Nieźle zagrane.

Glaser z trzaskiem zamknął leżącą na stole teczkę.

– Komisarzu Kruk?

– Do czego pan zmierza, panie Glaser, Zasada czy jak się tam pan nazywa?

– Glaser jest dobrze. Znowu zapytam o co innego. Skąd pan wiedział, gdzie znajdzie pan Grimma?

– Nie wiedziałem. Jechałem na spotkanie z informatorką pod adres podany przez podkomisarza Paczulskiego.

Paczulski wyprostował się. Spojrzał na Kruka, potem na Glasera. Kolejne znaczące spojrzenie. Bardzo dużo dziś było znaczących spojrzeń i żadne się Krukowi nie spodobało.

– Czy to prawda, panie komisarzu? – odezwał się Sarzyński. Na potrzeby tego spotkania komendant nie zwracał się do Damiana per ty.

– Nie rozumiem, dlaczego komisarz Kruk mówi takie rzeczy. Ta kobieta nigdy nie była moim informatorem, panie komendancie. Nawet jej nie znałem.

Kruk poczuł palące pragnienie, żeby zaprzeczyć, zażądać, żeby sprawdzili jego informatorów, ale zdał sobie sprawę, że jeśli to zrobią, niczego nie znajdą. Paczulski elegancko go wrabiał.

– A jak się tam znalazłeś? – spytał Kruk.

Odpowiedział Glaser:

– Podkomisarz śledził pana, komisarzu. Na pana szczęście.

– Dlaczego mnie śledził? – Kruk zaczynał rozumieć, że będzie miał kłopoty, i chciał zebrać jak najwięcej informacji.

– Nie pierwszy raz.

Zapadła cisza. Glaser nie zamierzał Krukowi niczego ułatwiać.

– A wracając do przerwane wątku. – Puknął palcem w swoją teczkę. – Jeśli to prawda, że Grimm zatrudnił się w należącym do Wolnego hospicjum, czy mógł to zrobić bez wiedzy Wolnego?

Oczywiście, że mógł, pomyślał Kruk. Wolny miał w dupie hospicjum i kto się tam zatrudniał, zarządzała nim jego żona.

Nie powiedział nic. Komendant siedział w milczeniu, ale co jakiś czas podnosił głowę i zamyślony patrzył na Kruka.

– Po co Jacek Wolny miałby puszczać z dymem własny budynek? – odezwał się

Marcin Zych.

To było właściwe pytanie. Wolny zaprasza Kruka do siebie, robi małe przedstawienie z telefonem, kierując jego uwagę na hospicjum i Gambarskiego. Nie po to zwraca się uwagę policji, aby policja oglądała, jak ładnie się pali.

– A po co ktoś taki jak Wolny zakłada hospicjum? – rzekł Glaser. – Może, jak znajdziemy odpowiedź na moje pytanie, poznamy odpowiedź na pańskie, panie naczelniku.

Kruk całkowicie się z nim zgadzał. Jeśli Wolny stworzył hospicjum po to, aby trudniej go było pozbawić nieruchomości, mógł się spodziewać, że odpowiednio zmotywowani ludzie zechcą je zniszczyć. Zainteresowanie Kruka hospicjum mogło być kolejną próbą ochrony przedsięwzięcia.

Tylko że Kruk nie poszedł po okruszkach rozsypanych dla niego przez Wolnego. Być może był to błąd.

Komendant przyglądał się mu w milczeniu.

– Komisarzu Kruk – odezwał się głosem całkowicie wypranym z sympatii. Wyraz twarzy Marcina niepokoił Kruka coraz bardziej. – Powinniście wymienić się posiadanymi informacjami z agentem Glaserem.

– Tak jest.

– Na razie to wszystko.

Po uldze, jaka pojawiła się na twarzy Marcina, Kruk odgadł, że stoi na skraju przepaści, ale uśmiechnęło się do niego szczęście i jeszcze nie został zepchnięty w dół.

Marcin chwycił Kruka za ramię i wyprowadził z sali.

– Zrobili to poza mną. Nikt nawet słowa nie pisnął – powiedziała. – Siedzieli całą noc.

– Co się dzieje? Podejrzewają mnie o coś?

– Nie chodzi jedynie o tę bzdurę z Wolnym. Zdaje się, że Paczulski poszedł do komendanta z jakąś inną swoją historią. U komendanta była też o szóstej rano Wiśniewska z prokuratury.

– Kurwa.

– Historia, którą opowiedziałeś BSWP, nie zgadza się z historią Paczulskiego. Tak się zaczęło.

– I przyjęli, że jego wersja jest prawdziwa?

Marcin usta miał zacięte.

– Uratował ci życie.

– Dopiero gdy Grimmowi dwa razy nie udało się mnie zabić.

– Byli pod wrażeniem, że obrabiasz mu żonę, a on jest taki szlachetny.

– Nie pomyśleli, że to może być zemsta?

– Głuchy jesteś? Właśnie uratował ci życie. Zemsta nie wchodzi w grę.

Stali w milczeniu. Kruk intensywnie myślał. Ten atak chwilę po strzelaninie. Dlaczego teraz?

Bo wydarzenia potoczyły się nie tak, jak powinny. Kruk powinien leżeć martwy, zastrzelony przez Charona. A Charon obok Kruka, zastrzelony przez Paczulskiego.

Pani Jadzia nie była informatorem podkomisarza, on sam pojawił się tam nie wiadomo skąd. Wszystko to ledwie się zszywało w jedną jaką taką opowieść, ale na szwach trzeszczało. Paczulski wiedział, że Kruk będzie drażył. I zaatakował pierwszy, wykorzystując chwilową przewagę i demolując wiarygodność Kruka.

– Skurwysyn z Interpolu! – wybuchnął Marcin. – Co on tak na ciebie zawziął?

– Podoba nam się ta sama kobieta.

– Wszędzie musisz narobić sobie wrogów?

– Mam też przyjaciół.

– Pierdol się, Sławek. Mamy problem.

Zaczęli wychodzić inni. Paczulski w towarzystwie komendanta i prokuratora. Nie patrzył na Kruka. Komendant zabrał Marcina i wszyscy weszli na schody. Kruk czekał.

Wreszcie pojawił się Glaser.

– Nie wierzysz w to, co gadałeś – powiedział Kruk.

Glaser wzruszył ramionami.

– Może i nie, ale to niczego nie zmienia.

– Czemu to robisz?

– Mam dosyć policjantów na usługach gangsterów.

– Nie jestem na niczyich usługach.

– Nie jestem pewien.

– Przeciwnie, jesteś.

– Nie mówię, że jesteś jak kurwa i się sprzedajesz. Mówię, że pomagasz Wolnemu w jego grze, co na jedno wychodzi.

– Jaka gra?

– Nie masz pojęcia, o co chodzi.

– To mi powiedz.

– O ogromny kompleks biurowy, jakiego w Gdańsku jeszcze nie było. Poważni inwestorzy mają plany, a Wolny chce wejść do biznesu i negocjuje. A z ciebie zrobił pomagiera.

– Myślałem, że ktoś chce go siłą zmusić do sprzedaży, a on się broni, podsuwając tropy policji.

– Wolny blokuje całą inwestycję, nie chce sprzedać swojej nieruchomości.

– Jego prawo.

– Stoisz na straży tego prawa?

– Na straży prawa i porządku publicznego. Zawsze. Do śmierci.

Glaser się uśmiechnął.

– Chyba nie aż tak długo. Zresztą o tym zadecyduje wasze BSWP.

Kruk oglądał go sobie. Tego skurwysyna.

– Jesteś zorientowany. I uwierzyłeś Paczulskiemu.

Glaser wzruszył ramionami.

– Powiedzmy.

– Nie uwierzyłeś?

– Grimm miał pomagiera w policji.

– Pomagiera... Lubisz to słowo?

– Nie przyjechałem do Polski sam. Mam współpracowników, którzy krążą po mieście. Grimm spotykał się także z Paczulskim.

– A więc masz na haku Paczulskiego, ale postępowanie będę miał ja?

– Nie ja cię oskarżam, tylko Paczulski.

– Może mu powiem o twoich wątpliwościach?

– Nie zrobisz tego. Jestem po twojej stronie, tylko nikt się o tym nie dowie.

– Świetnie.

– Pocierpisz trochę, może nawet trafisz pod celę, ale potem wszystko się wyjaśni.

- Będiesz przeciwko mnie, aby się dostać do Paczulskiego?
- Cel uświęca środki.
- W porządku.

Glaser się skrzywił.

- Nie musisz się zgadzać. Nie obchodzi mnie, czy ci się to podoba.
- Patrzył z powagą, a potem na jego twarz wypłynął dobrotliwy uśmiech.
- Przy okazji, ona cię lubi.
 - Kto?
 - Magda.
 - Co ty powiesz.
 - Uważa, że dobrze ci z oczu patrzy.
 - I powiedziała ci o tym?
 - Tak. Mamy sporo wspólnych tematów. Gadaliśmy o tobie. W łóżku.

Kruk przymrużył oczy, żeby skurwiel niczego w nich nie wypatrzył. Uśmiechnął się.

Monika Paczulska wróciła do domu, a Damiana jeszcze nie było. Wyszedł wściekły dwie noce temu, gdy znów pojawiła się Kriss, i nie wrócił. Takie nieobecności czasem mu się zdarzały, ale było to przed przemianą. Wracał po kilku dniach, pachnący kobiecymi perfumami, zbywając nieobecność jednym słowem: służba.

Było coś, co różniło tę nieobecność od tamtych. Wtedy Damian dzwonił do niej co kilka godzin. Cokolwiek robił, a świetnie wiedziała, co robił, upewniał się, że ona siedzi w domu i nie robi tego samego. Dawał jej wskazówki co do tego, czym powinna się zająć, co zjeść, jaki serial obejrzeć w telewizji. Tym razem nie rozmawiali nawet telefonicznie przez półtorej doby, a Monika uświadomiła sobie, że najpewniej była to najdłuższa przerwa w ich kontaktach od czasu, gdy się związali.

Szybko ogarnęła mieszkanie i zajęła się gotowaniem. Punktualnie o dziewiętnastej obiad stał na stole, aby Damian, gdy nagle wróci, nie mógł jej zarzucić lenistwa. O dziewiętnastej trzydzieści wciąż siedziała nad wystygłym duszonym kurczakiem z warzywami. Chciała zadzwonić do męża i zapytać, czy może jeść bez niego, ale Damian nie lubił, gdy dzwoniła bez pozwolenia. O dwudziestej wstała od stołu i przełożyła nietknięte dania do garnków. Kiedy wróci, będzie mogła je odgrzać.

Aby zabić głód, sięgnęła po wafle ryżowe. Przygryzając je, siedziała w salonie i czekała. Zegar ścienny wskazywał dwudziestą drugą, gdy podniosła się z miejsca, czując nadciągający napad paniki. Nie wiedziała, co ze sobą zrobić.

Poszła do łazienki i wzięła kąpiel.

Przebrała się w dresy, usiadła w salonie na kanapie, podkurczając nogi, i patrzyła na ich zdjęcie ślubne w ramce przy telewizorze. Miała wrażenie, że dziewczyna, która powiedziała wtedy „tak”, to jakaś obca osoba, z którą nie ma nic wspólnego. Nienawidziła tamtej dziewczyny, ale tylko czasami. Damian bardzo lubił to zdjęcie, chwalił, że pięknie na nim wygląda.

Obudził się w niej gniew. Dochodziła jedenasta, pora, w której należało iść do łóżka, ale została w salonie. Włączyła telewizor, choć Damian nie lubił, gdy zbyt dużo oglądała. Twierdził, że telewizja ogłupia. Patrzyła w ekran i nie miała pojęcia, co ogląda. Wiedziała, że czeka. Coś się stało lub coś się stanie, co odmieni jej życie.

Ponownie.

Wróciła myślami do tej historii, kiedy wybrała Sławka Kruka, by zwrócić się do niego o pomoc. Ostatecznie nie zebrała się na odwagę, ale żywione, choć niewyrażone intencje odbiły się w jej zachowaniu i Kruk się domyślił. Sprawa skończyła się

katastrofą, jej ucieczka z domu trwała tylko chwilę, jednak potem stało się coś, co ją zaskoczyło. Damian udał, że nic się nie wydarzyło i zamiast ją ukarać, zabrał w podróż, podczas której był dla niej miły.

Przeczuwała tłumioną wściekłość, która się za tym kryła, ale z jakiegoś powodu nie pozwalał tej wściekłości wydostać się na zewnątrz. Myśląc o tym, Monika zsunęła stopy na podłogę. Boso przeszła do kuchni i wyciągnęła garnki z lodówki. Zdjęła pokrywki i zaczęła wybierać zimne jedzenie palcami. Była głodna, tak bardzo głodna.

Co ja robię? – przebiegło jej przez głowę. I odpowiedziała sobie: jem.

Zostawiła garnki na stole, wróciła do salonu i pozostała tam, wpatrując się w telewizor.

Nie wiedziała, ile minęło czasu, gdy usłyszała zgrzyt klucza w zamku drzwi wejściowych. Słuchała, jak ktoś wchodzi do mieszkania. Znajome kroki, ciężki oddech Damiana.

Opanowała ją rozpacz, że on tu jest, jakby przez te godziny, podczas których go nie widziała i nie dzwonił do niej, miała nadzieję, że nigdy nie wróci.

Słyszała, że zagląda do kuchni, w której paliło się światło. Dobiegł ją dźwięk nakładanych pokrywek, otwieranej i zamykanej lodówki, drzwiczek zmywarki, szum wody w kranie. Sprząta, pomyślała, i ta myśl ją zmroziła. Nie znosił bałaganu, ale nigdy sam nie sprzątał. Drgnęła, gdy rozległo się ciche kliknięcie wyłącznika światła w kuchni.

Słyszała kroki Damiana w przedpokoju, kątem oka zobaczyła jego sylwetkę, gdy stanął w progu. Spojrzał na nią, na włączony telewizor, znowu na nią. Na palce jej dłoni ze śladami jedzenia.

– Nie śpisz – powiedział cicho.

Jego twarz... Malował się na niej tak zimny spokój, że niemal ją zemdlilo. Spuściła głowę, objęła kolana rękami, zaczęła kołysać się w przód i w tył.

Cokolwiek się stało od momentu, gdy Damian wyszedł z domu w nocy z wtorku na środę, Monika już wiedziała: wyszedł nowy, a wrócił dawny Damian. Ten, który budził w niej czarny strach.

Ogarnęło ją nagłe znużenie, poczuła się całkiem bez sił.

Pomyślała o Kriss Bielińskiej. Co Kriss by zrobiła na jej miejscu?

Zalała ją fala obrazów. Obrazy pojawiły się – i zgasły.

Monika powoli uniosła głowę. Miała wrażenie, że jest poza swoim ciałem i przygląda się Damianowi i sobie z daleka. Dostrzegła, że kobieta, która była nią, uśmiecha się.

– Tęskniłam – powiedziała kobieta.

Wreszcie Bielińska oddzwoniła do Kruka. Co z tego, że była noc. Siedziała w małym barze blisko komendy wojewódzkiej, gdzie właściciel robił biznes, dając zniżki funkcjonariuszom.

Bar był przyjemny, czysty, czynny do ostatniego gościa, a z głośników sączyła się spokojna jazzująca muzyka. Za kontuarem nudził się młody barman, którego Kruk wcześniej nie widział. Lokal pustoszał. Przy stoliku pod oknem siedziało trzech gliniarzy po cywilnemu, ale nie byli z wojewódzkiej.

Bielińska garbiła się przy barze. Wpatrywała się jak urzeczona w stojący przed nią kieliszek wódki.

Kruk zajął stołek obok i zamówił sok porzeczkowy.

– Nie spisałam się, co? Ostatnio wszystko pieprzę.

– Kryśka...

Roześmiała się.

– Wiesz, że jesteś jedynym, który tak do mnie mówi? Ostatnio wszyscy nazywają mnie Kriss.

– Masz ładne imię. Bądź z niego dumna.

– Zawiodłam cię.

– Nie wiedziałem, z czym się zmagasz. Nigdy bym nie poprosił was o pomoc.

Ruchem głowy wskazała trzech policjantów przy stoliku.

– Wszyscy już wiedzą.

– Skąd?

Uśmiechnęła się smutno. Kruk zagapił się na jej podbite oczy. Miała na koncie stacjonarne studia prawnicze i informatyczne zrobione w tym samym czasie, podyplomowo finanse, znała pięć języków, dwa lata spędziła w jakimś londyńskim banku na praktykach. A wszystko po to, żeby zostać policjantką i wyglądać jak meliniara po randce.

Potrząsnęła włosami, zsuwając je na twarz, aby ją zasłonić.

– Przepraszam – powiedział.

– Nie twoja wina. Piękna nie jestem.

– I tu się mylisz.

– Bez jaj, Kruk. Nigdy nie prawileś mi komplementów, więc nie zaczynaj dzisiaj.

Mówiła poważnie. Nie chciał się z nią spierać.

– Zostaw komplementy na później, jak się wygoi i zobaczę, co mi zostało

z twarzy. – Podniosła do ust kieliszek wódki. Wykonała taki gest, jakby chciała wychylić go na raz, ale ledwie upiła z krawędzi. – Polubiłam ją.

– Monikę?

– Co z nią będzie?

Kruk sam chciałby wiedzieć.

– Przychodzisz tu i mnie przepraszasz – mówiła dalej. – A ja tego nie potrzebuję. Chcę tylko wiedzieć, jak pomóc tej dziewczynie.

– Coś wymyślę.

– Ty? O tym też się mówi. Podobno to ty ją tłukłeś. Aż zaniemówiłam, gdy usłyszałam.

– Uwierzyłaś?

– Nie zadawaj głupich pytań. Daj za to dobrą odpowiedź, taką, która mnie uspokoi. Co się z nią stanie, gdy ty będziesz siedział pod celą?

– Nigdzie się nie wybieram.

– Dużo masz do gadania. Z nią to jest praca u podstaw, a nie ma na to czasu.

Kruk przykrył jej dłoń swoją dłonią.

– Zajmij się sobą. Ta sprawa już cię nie dotyczy.

– Bo co? – warknęła, ale nie zabrała dłoni. – Boisz się, że się rozpuszczę? Nie wiem, jak sobie pomóc, ale może wiem, jak pomóc jej. – Kruk w milczeniu napił się soku, a Bielińska coraz bardziej się nakręcała. – Ona myśli, że ten jej facet jest pieprzonym bożkiem, którego nic i nikt nie ruszy. A ja jej udowodnię, że też może narobić w gacie.

– Co chcesz zrobić?

– Coś głupiego. Nie powiem.

– Nie lekceważ go – powtórzył słowa Marcina. Tylko że sam też zlekceważył przestrożę.

Bielińska wychyliła kieliszek do dna.

– Pamiętasz, co powiedziałeś Salomonowi, gdy przyszedłeś do nas w jej sprawie? Że jest tylko jeden człowiek, który może jej pomóc.

Pamiętał. Miał wrażenie, że od tamtej wizyty upłynęły całe wieki.

– To wciąż aktualne – dodała Bielińska.

– Nie rób głupstw.

– Przykro mi. Zamierzam.

Barman zaproponował jej kolejną wódkę. Pokręciła głową.

Jeden z trzech siedzących przy stoliku policjantów podniósł się z miejsca i pożegnał z resztą. W rękę trzymał kluczyki do opla. Przechodząc obok, mrugnął do Bielińskiej i rzucił:

– Nasza mała romantyczka.

Patrząc na zmiany, jakie zaszły na twarzy Krystyny, Kruk pomyślał, że gość będzie trupem.

Ale nie odpowiedziała na zaczepkę, tylko zapytała faceta:

- Podwieziesz mnie?
- Gdzie?
- Daleko.
- Ja cię zabiorę – powiedział Kruk.
- On mnie podwiezie. Przyjemniaczek o subtelnym dowcipie.

Policjant skinął głową.

- Dobra, nie chciałem urazić. Pakuj się, Kriss.

Kruk uświadomił sobie, że wciąż trzymał dłoń na jej dłoni, dopiero gdy swoją zabrała. Patrzył za nimi, jak wychodzą.

Został w barze. Był samochodem, nie mógł pić, ale chciał jeszcze posiedzieć. Mógł równie dobrze zabijać czas tutaj, a nie w domu, póki leciał jazz. Jazz się skończył, zaśpiewała Ania Dąbrowska i dalej było przyjemnie. A potem nowemu barmanowi odbiło i włączył disco polo.

To podziałało na Kruka trzeźwiąco.

Dlaczego wołała jechać z tym baranem, który ją uraził? – pomyślał. Dlaczego nie zabrała się ze mną?

Kruk podszedł do tych dwóch, co zostali. Podali mu numer telefonu. Facet odezwał się po drugim sygnale.

- Mówi Kruk. Widzieliśmy się w barze. Jest jeszcze z tobą Bielińska?
- Wysiadła.
- Gdzie?
- A ty co? Zazdrosny?
- To ważne. Gdzie ją zawiozłeś?
- Na Kołobrzeską.
- W pobliżu PEKAO?
- Tak, tam wysiadła. Czemu nie dzwonisz do niej?

Kruk nie odpowiedział, bo już biegł do drzwi.

Bielińska kazała się zawieźć pod mieszkanie Paczulskich.

Na dworze było ciemno i parno, a okno uchylone. Kinga przekręciła się na brzuch i wyciągnęła rękę, szukając Antonia. Nie znalazła. Otworzyła oczy. Stał przy oknie i wkładał spodnie.

– Gdzie się wybierasz?

Nie odpowiedział. Ubrany do pasa, spojrzał na nią wzrokiem tak beznamiętnym, jakby nigdy ich nic nie łączyło.

Podszedł, nachylił się nad nią i pocałował w kark. Gdy się prostował, Kinga zorientowała się, że sprawdzał, czy pod poduszką nie ma pistoletu. Mógł zrobić to wcześniej. Odnotowała w myślach, że Antonio to w gruncie rzeczy amator.

– Co robisz? – spytała.

Stał nad nią i po prostu się jej przyglądał. Usiadła, opierając się o wezglowie łóżka i podciągając kolana pod brodę. Jego oczy tak ją zahipnotyzowały, że nie zauważyła, gdy w jego ręce pojawił się nóż.

– Antonio... – wyszeptała.

Włożył nóż w zęby, żeby mieć wolne ręce. Chwycił ją za włosy, szarpnął, obracając na brzuch, rozciągnął na łóżku i przycisnął jej twarz do prześcieradła. Nacisnął kolanem w kręgosłup tak bezwzględnie, że straciła dech. Chwycił ją za płatek ucha, a potem poczuła tam palenie i ból, coś ciepłego spłynęło po szyi, ale dopiero gdy zrozumiała, że odciął jej część ucha, z gardła wydobył się krzyk.

Słaby krzyk. Usta miała przyciśnięte do łóżka, usiłowała się szarpać, ale jego palce już błędziły po drugiej stronie jej głowy. Wiedziała, co się stanie. Rwanie, dotyk stali, ból, znowu zduszony krzyk.

Antonio zszedł z niej, a ona rzuciła się do ucieczki. Zagradzał jej drogę do drzwi, więc skuliła się w rogu pokoju.

Na palcach miał krew. Położył na stole skrawki jej uszu z wpiętymi tam kolczykami.

– Mogłaś przyjąć mój prezent – powiedział. – Tak byłoby łatwiej.

Patrzył na nią tym beznamiętnym wzrokiem, którego u niego nie znała. Zaciskała zęby, bo nagle przeszło ją straszne zimno mimo parnej nocy. Jak zawsze w chwilach przerażenia pomyślała o Wielkim Macieju za drzwiami i po policzkach popłynęły jej łzy.

– Nie płacz – odezwał się Antonio. Nie miał już w rękach noża. – Łzy przydadzą się później. Dopiero zaczynamy.

Antonio, jej paplający kochanek. Spełnienie marzeń. Jej piękny. Wyjął komórkę

i zrobił zdjęcie odciętym kolczykom. Skierował obiektyw na Kingę i kazał w niego spojrzeć.

Przez chwilę zajęty był komórką. Kinga wiedziała, że wysyła gdzieś te zdjęcia, a gdy skończył, rzucił komórkę na stół.

Cicho otworzyły się drzwi. Stał w nich Wielki Maciej. Nieśpiesznie ogarnął wzrokiem całą scenę, popatrzył na Antonia i Kingę. Jego wzrok był pusty, nie wyrażał niczego. Maciej cofnął się i zamknął za sobą drzwi.

Antonio podszedł powoli, znów chwycił Kingę za włosy i wyciągnął na środek pokoju. Tam zaserwował jej mocne kopnięcie w żebra.

Zwinęła się w pozycję embriona, tak jak embrion naga i bezbronna. Z dworu zaczęły dochodzić jakieś głosy. Mężczyźni głośno rozmawiali. Antonio wrócił do okna. Głosy się przybliżyły. Rozpoznała beczelny śmiech Tiro.

Ból i strach minęły. Serce zaczęło jej się tłuc w piersi z podniecenia.

– Chciałaś go kupić, senhora. – Głos Antonia był zimny, szeleszczący, radosny. – Kupić Tiro. – Znieruchomiała, a Antonio wybuchnął śmiechem. – Tiro. Kupić za marne centavos.

Nie chciała więcej na niego patrzeć. Usiadła na podłodze, pozostała tak chwilę, potem na czworakach ruszyła w stronę krzesła, na którym zostawiła ubrania, gdy szli po południu do łóżka.

Antonio pozwolił jej na to przez chwilę, po czym zastąpił drogę.

– Papierosa – wyszeptła.

Oczekiwała, że znowu ją szarpnie za włosy, kopnie, skrzywdzi w inny sposób. Ale on zdjął z oparcia krzesła swoją kurtkę i wyjął paczkę papierosów. Rzucił jej jednego na podłogę. Papierosa i zapalniczkę.

Wolał dać jej swojego. Może bał się, że w jej paczce była trucizna. Głupiec, Kinga nie miała zamiaru umierać. Przypaliła sobie i nie drżały jej ręce. Zaciągnęła się dymem.

Antonio przypatrywał się jej z ciekawością.

Dobiegło ich przytłumione pukanie do drzwi wejściowych. Głosy Tiro i innych ludzi zabrzmiały trochę wyraźniej, potem ucichły.

Kinga mocniej zaciągnęła się dymem. Siedziała na podłodze i paliła.

Usiadł na fotelu. Wciąż miał na sobie płaszcz, jakby nie mógł się zdecydować, czy zostaje.

– Skoro nie śpisz – powiedział – to może warto, żebyś od razu się dowiedziała.

Czekała.

– Byłem w prokuraturze i złożyłem zawiadomienie o możliwości popełnienia przestępstwa przez Kruka. Długo nad tym myślałem. Wczoraj doszło do strzelaniny, uratowałem mu życie, ale nie będę go dłużej chronił twoim kosztem. Skrzywdził cię i wciąż stanowi zagrożenie. Złożyłem zeznania, Baksi i Lewiatan zeznawali, co widzieli tamtej nocy w czerwcu w jego mieszkaniu. Jutro twoja kolej.

Przełknęła ślinę. Nie rozumiała, dlaczego to robił. Była posłuszna, tak jak mu obiecała. Jeśli będzie mu całkowicie posłuszna, Kruk będzie bezpieczny.

Twarz mu się ściągnęła.

– Nie chcesz? Po tym, jak cię skrzywdził?

Skuliła się i spojrzała błagalnie. Nie była w stanie wydusić z siebie słowa. Błagała oczami. Po co ja to robię, odezwał się głos w jej głowie. Nigdy nie zmienił zdania, gdy go błagałam.

– Pomogę ci przez to przejść. Zaczekam na korytarzu, gdy zaczniesz zeznawać. Prokurator Wiśniewska wie, jakie to dla ciebie trudne, i obiecała, że nie wypuści cię, dopóki się nie dowie wszystkiego. Jedno konkretne przesłuchanie i nikt nie będzie cię więcej ciągał. Wiśniewska zna się na robocie, jesteśmy zaprzyjaźnieni, zrobiliśmy kilka trudnych spraw.

Była jego kobietą, pomyślała Monika. Zawsze to podejrzewała.

– A może prokurator zrobi dla mnie wyjątek i pozwoli trzymać cię za rękę w trakcie przesłuchania...

– Nie wiem, czy potrafię – szepnęła.

– Po prostu opowiesz, jak było. Jak zmuszał cię, byś do niego przychodziła, jak cię wykorzystywał i się znęcał. – Wziął ją za rękę. – Nie martw się, będziemy dziś w nocy ćwiczyć. Musisz opowiedzieć całą prawdę.

– Myślisz, że podołam?

– Porozmawiamy o tym rano. Jeśli rzeczywiście nie będziesz w stanie i trzeba będzie dalej ćwiczyć, zadzwonię do Wiśniewskiej i przesuniemy przesłuchanie o dzień lub dwa. Ty jesteś najważniejsza, kochanie.

Zadrzała. Powiedział do niej: kochanie. Dawno nie słyszała od niego tego słowa. Wolałaby nigdy już nie słyszeć. Lubował się w tym słowie podczas

najgwałtowniejszych ataków furii.

– Tylko nie próbuj go wybielać. To byłby błąd. Wiśniewska wie, co Kruk potrafił zrobić kobiecie. Kiedyś chyba coś ich łączyło i nie zakończyło się to najlepiej.

Jeszcze i to. Oczywiście, że Damian strategicznie wybrał prokuratora. Poczula śmiertelne zniechęcenie.

Wiedziała, co nastąpi. Nie pozwoli jej spać. Będzie dręczył ją całą noc i złamie w niej wszelki opór, by jutro była tak bardzo wyczerpana, żeby było jej wszystko jedno. Zaciągnie ją do prokuratury, a ona wypowie swoją kwestię zobojętniała na konsekwencje, marząc jedynie o tym, by zostawiono ją w spokoju, by w końcu pozwolono jej odejść i ukryć się gdzieś, gdzie będzie mogła nic nie mówić i nic nie robić.

– Przynies mi piwo z kuchni.

Weszła do kuchni i zapaliła światło.

Stała bez ruchu i patrzyła na stół i szafki, na które ktoś wylał zawartość garnków. Na podłogę, gdzie to wszystko ściekło. Zupa, makaron, ryż i kawałki kurczaka były na blatach, na kaflach, nawet na ścianach. Damian rzeczywiście schował naczynia, ale je najpierw opróżnił.

– Posprzątaj – usłyszała jego głos tuż za sobą. – Albo zjedz, jeśli jesteś głodna. Kobiecie, która je z garnków palcami, smakować też będzie z podłogi.

Przymknęła oczy. Wszystko wracało. Ostatnie tygodnie były zaledwie przerwą w koszmarze. Nie czuła się przez ten czas bezpieczna, miała poczucie, że to tylko złudzenie, ale i tak nie była gotowa do tego wracać.

– Dlaczego? – wyszeptwała.

Chwycił ją za twarz otwartą ręką i przyciągnął jej głowę do swojej piersi. Poczula gorący oddech przy uchu.

– Ona pyta dlaczego. Przyjmuje w domu sukę, którą przysłał Kruk, i pyta, jakby nic nie wiedziała.

– Kruk nie przysłał Kriss. Przysłali ją z operacyjnego.

– Ona udaje, że nic nie rozumie. No to wykorzystał, że ją do ciebie przysłali. Sprawdziłem, umorzył kiedyś sprawę przeciw jej mężowi, oboje byli mu coś winni.

Dzień, kiedy poznała Bielińską. Kruk szedł wtedy za Moniką pod jej gabinet, ona nie chciała z nim rozmawiać. Ogarnęła ją złość na niego, na Kriss, i rozpacz, bo Damian był ponad nimi wszystkimi. Monika należała do niego i nikt mu jej nie odbierze. Będzie robił z nią wszystko, co chce, aż pewnego dnia ją zabije.

– To nie moja wina. – Poglaskała go po rękę, którą przyciskał jej głowę. – Nie wiedziałam.

Pocałował ją w ucho. Wdychał jej zapach, węsząc jak pies.

Puścił jej głowę, ale nie pozwolił się odwrócić. Uderzył ją kantem dłoni w plecy na wysokości nerek. Ból spłynął wraz ze świadomością, że dziś będzie bił ją tak, by nie zostawiać śladów. Odepchnął ją. Upadła na podłogę w rozlane jedzenie.

Gdzieś nad nią rozległ się głos:

– Kłamiesz.

– Przepraszam. – Instynkt kazał jej od razu prosić o wybaczenie. I tak będzie musiała przyznać się do winy, a potem przepraszać. Może uda jej się ominąć jeden etap.

– Kombinujesz. Często widuję takie jak ty. Niektóre martwe.

Nie bała się aż tak bardzo. Była mu potrzebna. Musiała odegrać swoją rolę w prokuraturze. Jej stan psychiczny wytłumaczy przeżytą traumą i tym, że zdecydowała się zeznawać. Ale nie miałyby jak wytłumaczyć, gdyby zjawiała się pobita.

Przeszła pod kuchenny stół na czworakach. Traktując go jako osłonę, zaczęła ścierać rękami rozlaną zupę. Jako sprzątanie nie miało to sensu, ale chciała, żeby zobaczył ją upokorzona i posłuszną. Kiedyś to go uspokajało.

Poszedł za nią i oparł się o jedno z czterech krzeseł okalających stół. To najbliżej jej głowy.

Uderzenie zostawiłoby ślad, kalkulowała. Mimo to zaczęła uważać na palce. Mógł przygwoździć jej dłoń nogą od krzesła, a jutro rozkazać, by założyła rękawiczki.

– Do czego namawiała cię Bielińska? – spytał, a gdy tylko potrząsnęła głową, dodał nagłaco: – Odpowiedz.

– Do niczego.

– Nie jesteś szczerą. Po coś ją na ciebie napuścił.

– Rozmawialiśmy tylko o niej.

– Tylko? – Potrafił wychwycić najdrobniejsze wahanie w jej głosie.

A ona rzeczywiście się zawahała.

– Rozmawialiśmy o niej... O jej problemach.

Zapadła cisza. Monika ze zdwojoną siłą zaczęła przesuwać rękami po podłodze. Rękawy bluzy miała całkiem przesiąknięte, ale ogarnęła ją panika i już nawet nie wiedziała, po co to robi.

– Przestań – powiedział.

Przestała. Skuliła się pod stołem.

– Wyjdź stamtąd.

Powoli wstała, oparła się o stół, żeby nie stracić równowagi. Nie odważyła się na niego spojrzeć.

– Czeka nas długa noc – powiedział. – Sprzątnij kuchnię, masz na to pół godziny. Przyłóż się zwłaszcza do tej ściany, spędzisz pod nią trochę czasu, bo wrócimy do rozmowy. Daj mi to piwo.

Po chwili z salonu dobiegły ją przytłumione rozmowy z uruchomionego telewizora.

Zabrała się do pracy. Najpierw z grubsza podłoga, żeby stąpać po czystym. Zdjęła kaptcie i chodziła boso. Następnie blaty i szafki. Kiedy przecierała blat przy zlewie, jej wzrok zatrzymał się na stojaku z nożami.

Przyszła jej na myśl Kriss. Czy to możliwe, że Damian miał rację? Że Kruk wtajemniczył Bielińską, która miała jej pomóc? W jaki sposób?

Musnęła dłonią jeden z noży. Miał długie i wąskie ostrze, służył do filetowania.

Wróciła do pracy. Dokończyła szafki, umyła stół, wytarła zachlapaną ścianę. Wiedziała, co Damian miał na myśli, gdy powiedział, że spędzi pod tą ścianą trochę czasu. Studiował metody tortur stosowanych przez Amerykanów w więzieniach dla terrorystów. Jedną z nich było stanie pod ścianą. Niby nic... na początku. Kiedyś już testował tę metodę. Pamiętała, że po kilku godzinach straciła przytomność.

Ponownie umyła podłogę. Kuchnia lśniła, mogła widzieć zarys swojej postaci w laminowanych frontach szafek. Tylko ona sama wyglądała jak nieszczęście. Przez chwilę patrzyła na siebie z nienawiścią. Ze stojaka z nożami wyciągnęła nóż do filetowania i ukryła pod bluzą od dresów.

Przeszła na przeciwległą ścianę kuchni. Stała tam i czekała w milczeniu. Zostały jej jeszcze trzy minuty do wyznaczonego przez Damiana czasu, a on był punktualny. Dźwięk telewizora umilkł, za to rozległy się kroki na korytarzu.

Stojąc na progu, Damian zlustrował wzrokiem kuchnię. Nie spodobała mu się mokra ściana, na której pozostały tłuste plamy. Westchnął i wykonał gest, który mówił, że sama jest sobie winna. Nie miał zastrzeżeń do stołu, szafek i podłogi.

Zainteresował go stojak z nożami. Jeszcze raz rozejrzał się po kuchni. Nachylił się, patrząc pod światło, czy fronty odpowiednio lśnią.

A potem znowu spojrzął na noże i jego wzrok tam się zatrzymał.

Wstrzymała oddech. W tym stojaku tak bardzo brakowało jednego noża, że to aż krzyczało. Powoli wykrzywając rysy, Damian łagodnie uśmiechnął się i zrobił krok w jej stronę. Dzielili ich cała kuchnia, ale Monika i tak się szarpnęła w tył, uderzając plecami w kuchenne szafki. Wróciło dobrze znajome uczucie. Nie miała gdzie uciekać.

Rozległ się dźwięk dzwonka do drzwi.

Zaskoczyło to ich oboje.

– Jeśli to znowu ona – powiedział – spuszczę ją ze schodów.

Zniknął na korytarzu.

Monika tak szybko, jak tylko mogła, wyjęła nóż spod bluzy i wsunęła z powrotem do stojaka. Damian zauważył, że nóż wrócił. Nie szkodzi, ona zaprzeczy z całych sił.

Co sobie właściwie myślała? Po co to zrobiła?

Uniosła wzrok i wbiła go w wejście do kuchni. Dziwne, poszedł otworzyć drzwi wejściowe, słyszała przekręcanie klucza w zamku, moment poruszenia, ale potem zapadła cisza. Po chwili go zobaczyła. Szedł tyłem, cofał się przed czymś, czego Monika jeszcze nie widziała. Wzrok miał wbity w jeden punkt przed sobą, sprawiał wrażenie zamyszonego.

Wkrótce pojawił się pistolet wymierzony w jego głowę. Potem wyprostowana ręka z krwistoczerwonymi paznokciami.

Aż wreszcie drobny człowiek na końcu tej ręki, tak pijany, że ledwo się trzymał na nogach.

To była ona i nie dała się spuścić ze schodów.

Kriss Bielińska.

Jacek Wolny wyłączył telewizor i sięgnął po pilota do sprzętu audio. Wybrał stację, w której puszczano barokową muzykę poważną. Kiedyś nie rozumiał tego rodzaju muzyki, ale pewnego dnia uznał, że chciałby się na tym znać, i zaczął jej słuchać na siłę.

Upłynęły dwa długie lata wymuszonego słuchania, zanim zaczął rozpoznawać schematy i polubił taką muzykę. Zawsze osiągał cele, które sobie postawił. Z radia popłynęła sonata op.1, 6 Mvx Xi 6 F Minor Johanna Melchiora Moltera, a on siedział i słuchał.

W przedpokoju pojawiła się Bogna. Przeszła cicho i zniknęła w łazience, nie zamieniwszy z nim słowa, nie spojrzawszy nawet na niego. Była duchem, który nawiedzał ten dom. Zaprzagnął zostawić ją razem z tym domem i wyjechać.

Leżąca na oparciu fotela komórka dała znać o nadejściu SMS-a. Jacek Wolny nie odebrał go od razu. Począł, aż sonata się skończy.

W SMS-ie był link do pliku wideo w Dropboksie. Wolny włączył Wi-Fi, poczekał, aż plik się pobierze. Trwało to kilka minut, a Wolny nie wiedział, czy plik był tak obszerny, czy chodzi o przepustowość połączenia.

Nacisnął przycisk odtwarzania.

Zobaczył wewnątrz bagażnika samochodu, a w nim młodą kobietę. Była ciężko pobita, twarz zakrwawiona, ale napuchnięte usta wciąż drżały. Kobieta ścisnęła w dłoni szmacianą lalkę. Kamera oddaliła się lekko. W kadr wszedł mężczyzna w przyciasnym żółtym przeciwdeszczowym płaszczu z kapturem na głowie. Widać było jego plecy, gdy pochylił się nad kobietą i wykonał pierwsze uderzenie. Przez moment dało się zauważyć, że w palcach okrytych lateksową rękawiczką trzymał kamień, który od razu spłynął krwią. Dłoń unosiła się i opadała. Film pozbawiony był dźwięku, lecz Wolny i tak słyszał w umyśle głuchy dźwięk uderzeń. Uderzenie opadało za uderzeniem. Wydawało się, że nie będzie to miało końca.

Ale takie rzeczy zawsze się kończą. Mężczyzna wsunął kamień do kieszeni płaszcza, a martwa kobieta wciąż ścisnęła lalkę. To go rozwścieczyło, nie bez trudu rozprostował jej palce, wyszarpnął lalkę i wrzucił głębiej na tył bagażnika.

Film się w tym miejscu urwał.

W radio rozbrzmiewał kolejny utwór Moltera. Może cała audycja była mu poświęcona. Wolny się zasłuchał i nie przerwał, kiedy otrzymał kolejnego SMS-a.

Tym razem były to dwa zdjęcia. Gdy wreszcie zdecydował się je obejrzeć, zobaczył stół i coś, czego nie rozpoznał od razu. Właściwie w ogóle by nie rozpoznał,

gdyby nie drugie zdjęcie. Skulona Kinga na podłodze. Strużki krwi spływające po jej ramionach z pokaleczonych uszu.

Jacek Wolny odłożył komórkę. Zwiększył głośność muzyki. Nie zdejmował palca z przycisku pilota audio, dopóki muzyka nie osiągnęła maksymalnego poziomu. Dźwięki biły w niego, czuł wibracje na skórze.

Z barku wyciągnął kieliszek i butelkę koniaku. Nalał ostrożnie, aby nie uronić kropli. Z kieliszkiem w dłoni chodził po pokoju, sącząc koniak, podczas gdy muzyka szalała.

Nadszedł kolejny SMS.

Bielińska kątem oka spojrzała na Monikę i jej brudne dresy.

– Ależ ty wyglądasz – mruknęła. – Miałaś musztrę? – Cmoknęła dwa razy i pistoletem dała znak Damianowi. – No dalej, twardzielu. Zaproś damę do pokoju.

Poszli, zostawiając Monikę samą. Kriss nie zamierzała zwracać sobie nią głowy.

Monika chwilę stała nieruchomo, ogłuszona nagłym odwróceniem sytuacji, a potem pobiegła za nimi.

Kriss bywa niezrównowazona, przemknęło jej przez głowę. Jest zdolna do skrajnej agresji. Jeśli Damian nie będzie ostrożny, może zrobić mu krzywdę.

W salonie Damian siedział już na kanapie, a Kriss na krześle przy stole. Cały czas do niego mierzyła. Monika spojrzała na twarz męża. Trudno było z niej cokolwiek wyczytać poza odrobiną zdumienia.

– Kriss – zaczęła spokojnym głosem policyjnego psychologa. – Po co ci ten pistolet.

Kriss aż gwizdnęła przez zęby, gdy zobaczyła Monikę z bliska. Damian poruszył się. Palec Bielińskiej na spuście broni drgnął i Damian znieruchomiał.

– Spokojnie, panie plotkarzu – powiedziała Kriss odrobinę bełkotliwym głosem. – Bo się w panu dziura robi.

– Czego chcesz? – powiedział.

– Czego chcę? – powtórzyła. – Czego chcę... Chyba chcę zrobić ci krzywdę. – Zaśmiała się skrzekliwym, pijackim śmiechem. – Spójrz na niego. – Wskazała Damiana. – Grzeczny jak baranek. Ty widzisz wielkiego, nieśmiertelnego potwora. Ja małego gnojka, który zasłużył na prztyczka w nos.

Monika panicznie się bała podnieść wzrok. Damian był groźny, a Kriss go nie doceniała.

– Złóżysz na niego zawiadomienie i możesz zamieszkać ze mną. Mój stary się wyprowadza. Mam cały dom dla siebie.

Powiedziała to wesołym głosem, ale Monika nie dała się zwieść.

– Rozstajesz się z mężem?

– Damian poszedł i opowiedział mu wszystko. Wszystko to, co powiedziałam tobie w sekrecie.

– Kriss...

– Krystyna. Wiesz, ja cię rozumiem, Monika, ale Kriss jest dla przyjaciół.

– Dobrze, Krysiu. Myśl o mnie, co chcesz, ale jestem twoim wielkim przyjacielem. A Kriss nazywał cię ten, który cię bardzo skrzywdził, pamiętasz?

– Pamiętam, oczywiście. Za to czy ty pamiętasz, że tłucze cię mąż?

– Co ty wygadujesz?

Kriss opadła głowa. Podniosła ją natychmiast. Pistolet niebezpiecznie falował w jej dłoni.

– Poszłam do policji, bo nie mogę znieść tego całego dziadostwa. Dilerów, alfonsów, stręczycieli nieletnich, tatusiów z łapami w majtkach córek, matek pijaczek, co ich dzieciaki latają głodne po ulicach, ćpunów wsadzających niemowlęta do reklamówek, żeby nie płakały. – Kriss spojrzała na Monikę twardo. – Przemitych mężów, którzy tłuką żony, zwłaszcza jeśli też są policjantami.

Monika zdała sobie sprawę, że nie panuje nad twarzą.

– Zostaw nas w spokoju.

– Nic z tego.

Monika spojrzała na nią z gniewem.

– Co powiedziałaś?

– Mówię, że mam porachunki z Damianem. Każdy policjant w mieście już wie, co mi się stało. Mówią, że załatwili mnie, ale sama im się nadstawiłam. Głupia jestem, że ci zaufałam, Moniko. – Kriss zaśmiała się histerycznie.

Monika nabrała głęboko powietrza w płuca.

– Nie jesteś głupia, Krysiu.

– Możesz mnie nazwać naiwną, jeśli wolisz.

– Naiwna też nie jesteś. Wszystko jest tak, jak chciałaś. Chciałaś, żeby twój mąż się dowiedział. Dlatego do mnie przyszałaś.

Bielińska znów się roześmiała, ale nic już nie odparła.

– Powinnaś oddać broń – powiedziała Monika. – Porozmawiajmy.

Głowa Kriss znowu opadła. Siedziała nieruchomo, broń nie falowała już w jej dłoni. Była nieruchoma jak ona sama. Wymierzona w Damiana.

Monika zobaczyła coś w jego twarzy. Ten wyraz, kiedy oceniał i zaczynał być czegoś pewny.

– Szczerść za szczerść – szepnęła Kriss i uniosła twarz. – Przyznaj, że twój stary cię bije. Robi to od lat, prawda?

– Nieprawda.

Kriss wyduła wargi.

– Ale cię wytresował. – Posłała Paczulskiemu pełne uznania spojrzenie. – Ty jakiś utalentowany jesteś.

– Wystarczy, sierżant Bielińska. – Damian podniósł się z kanapy.

– Siedź, skurwielu.

Pokręcił głową.

– Dosyć się nagadałaś. Oddasz broń i będziesz grzeczna.

– Chyba cię pojebało.

Zrobił dwa kroki w jej stronę. Bielińska poderwała się i chwyciła pistolet w obie dłonie. Przyjęła postawę strzelecką z lufą wymierzoną prosto w jego głowę.

Damian zastygł. Nie podchodził, ale i nie usiadł z powrotem.

– Moja żona nie będzie kłamać dlatego, że wymachujesz bronią.

– Zasługujesz, żeby rozwalić ci łeb.

– Bo twój gówno wart facet poznał prawdę o tobie? Monika ma rację, chciałaś, żeby się dowiedział i ci przebaczył. – Damian zrobił krok w jej stronę. – A on ci nie przebaczył.

– Nie podchodź – warknęła. – Dla swojego dobra.

Uśmiechnął się.

– Co zrobisz? Strzelisz? Wiele przeszłaś, straciłaś cnotę i mężczyznę swego serca. – Teatralnie udał zastanowienie. – A może dwóch mężczyzn, kto cię tam wie, jak pojemne jest twoje serce.

Zrobił kolejny krok. Palec Kriss na spuście drgnął.

– Jest ci wszystko jedno. – Potrząsnęła głową. – Widać to po tobie. Jesteś nieobliczalna, pijana, możesz strzelić. – Przymrużył oczy. – Choć może wcale nie tak pijana, jak ma to wyglądać.

– Mówię ci, sukinsynu, stój.

Damian zrobił kolejny krok. Dzieliło ich już nie więcej niż metr lub półtora.

– Sierżant Krystyna Bielińska. – Pokiwał głową ze zrozumieniem. – Policyjny as w rękawie. Zawsze dzielna, zawsze na służbie. Ostatnio narobiła głupot, ale nikt nie chce jej robić pod górę. Cała instytucja usiłowała ją chronić, a ona i to spieprzyła. Mimo wszystko będzie mogła dalej żyć swoim życiem, dobrym lub złym. Chyba że strzeli do policjanta.

Kolejny krok w przód. Kriss się cofnęła.

– Nie uciekaj, sierżant Bielińska – rzekł Damian. – Nic ci nie zrobię. Tylko zabiorę broń, żebyś nie zrobiła sobie krzywdy. Koniec przedstawienia.

Nie uciekała. Damian spokojnie pokonał resztę odległości, jaka ich dzieliła. Bardzo powoli uniósł rękę i chwycił pistolet, przekierowując wylot lufy na bok, a Bielińska nie zrobiła nic, żeby mu przeszkodzić.

– Teatryk był przyjemny, ale mimo wszystko wyciągnęłaś broń na oficera policji – powiedział Damian. – Mam świadka.

– Gnojek.

Uderzył ją pięścią w twarz. Uderzenie było tak mocne, że Kriss poleciała na ścianę i tam osunęła się na podłogę, skręcając jak liść w płomieniu. Pistolet pozostał w dłoni Damiana, który wyjął z niego magazynek, usunął nabój z komory i rzucił broń na stół.

Monika patrzyła na Damiana pochylającego się nad bezbronną Kriss. Nad tą samą Kriss, która mówiła, że można go pokonać. Ona to mówiła, Kruk tak mówił, ale prawda była inna i tylko Monika ją знаła. Damian jest od nich wszystkich potężniejszy. Zawsze sobie poradzi.

A ona, Monika, będzie do śmierci należała do niego.

Poczuła, jak coś w niej umiera. Jeszcze przed chwilą usiłowała skłonić Kriss do odłożenia broni. Teraz, kiedy leżała rozbrojona, Monika poczuła się strasznie

samotna.

Podeszła do stołu. Wzięła broń i złożyła ją kilkoma szybkimi ruchami. Ruchy miała pewne, spokojne, automatyczne, jakby całe życie nie robiła nic innego. Damian usłyszał metaliczne kliknięcia i odwrócił się do niej. Brwi miał ściągnięte, nie rozumiał. A potem twarz mu się rozjaśniła. Monika była policjantką i przeszła szkolenie strzeleckie.

Nagle źrenice mu się skurczyły. Uniósł rękę, jakby chciał ją powstrzymać.

Monika uniosła broń i wycelowała mu w korpus. Wolałaby w głowę, ale pamiętała instrukcje, które wpajał jej instruktor na strzelnicy. Celujemy w korpus, bo to największa powierzchnia i najłatwiej trafić. Dostosowała się do tych instrukcji.

– Co ty – zaczął Damian, ale nie dokończył, zahipnotyzowany ruchem palca na spuście broni.

W ciągu krótkiej chwili między początkiem ruchu a jego końcem pewność siebie zaczęła opuszczać Monikę. Zamknęła oczy, nie widziała już Damiana, za to zobaczyła tę kobietę, która miała jej twarz i trzymała broń. Chciała powiedzieć tej kobiecie, żeby tego nie robiła.

Ale kobieta jej nie słuchała. Była zbyt przerażona.

Strzeliła.

Gdy otworzyła oczy, Damian wciąż stał. Pocisk trafił go w lewe ramię.

Nie udało się, pomyślała.

– Już dobrze – powiedział Damian. Głos miał zmieniony, był w szoku. Ona też była. – Opuść rękę.

Nie chciała go słuchać, ale jej ręka posłuchała.

Damian dotknął postrzelonego ramienia, między palcami sączyła się krew. Monice było wstyd, ale cieszyła ją ta krew.

– Połóż pistolet na podłodze – powiedział łagodnie.

Kolana się lekko ugięły, pochyliła się. Napotkała wzrok Kriss, która usiłowała się podnieść. Tam też zobaczyła krew, ciekła z ust Kriss, ale to nie cieszyło Moniki.

Kriss była oszołomiona, Monika nie wiedziała, czy rozumie, co się wokół niej dzieje. Pożałowała, że musi odłożyć broń. Bała się tego, co Damian może jeszcze zrobić Bielińskiej.

Pod wpływem tej myśli wyprostowała się.

– Połóż pistolet – znów powiedział Damian uspokajającym głosem.

Nie mogę sobie ufać, pomyślała Monika. Jestem nic niewarta. Kriss przyszła do mnie i straciła rodzinę. Teraz straci wolność. Jutro w prokuraturze oskarżę Sławka, bo odważył się mi pomóc. Moimi rękami Damian usunie każdego, kogo obchodzi mój los.

Zachciało jej się płakać nad nimi i nad sobą. Ale nie mogła nic na to poradzić: znowu ugięła kolana, wygodniej jej będzie obniżyć się i upuścić broń, żeby nie narobić hałasu. Damian mógłby ją ukarać, że nie zrobiła tego cicho. Jej palce zaczęły się rozchyłać, zwalniając uchwyt pistoletu.

– Dobrze, kochanie.

Monika zobaczyła, jak kobieta, która wyglądała jak ona, wyprostowała się nagle, celując Damianowi w głowę. Do diabła z instruktorem strzelania, rozwali Damianowi łeb i będzie miała pewność, że nie przeżyje kolejnego strzału.

Nie rób tego, usłyszała głos obok siebie i zdała sobie sprawę, że słowa wydostały się z jej ust, bo stoi obok tej kobiety i usiłuje ją powstrzymać.

Jestem nienormalna, pomyślała. To dobrze. Nienormalna i nieludzko zmęczona. Poczula na barkach ciężar wszystkich lat spędzonych z tym mężczyzną.

– Dłużej tego nie zniosę, przepraszam. – Czula, że po policzkach spływają jej łzy.

Damian stał przed nią pobladły, bo zobaczył w jej twarzy coś, co go przeraziło.

Przez moment ujrzała go takiego, jaki był kiedyś, kiedy dopiero się poznawali.

Taki młody, obsypujący ją komplementami i podarunkami, z którym chodziła po plaży w Brzeźnie i trzymali się za ręce. On ją trzymał i nie chciał puścić, pomyślała. Już wtedy chciał cię kontrolować, powiedziała kobieta trzymająca broń, tylko jeszcze nie miał w tym wprawy.

– Monika, nie warto – usłyszała dochodzący z oddali głos Kriss.

Pokręciła głową.

– Chcę, żeby to się skończyło.

– Już się skończyło. Złożymy zeznania. Obie. Ty i ja.

– Skończy się, kiedy jego nie będzie.

Ogarnęła ją radość. Wyobraziła sobie świat bez Damiana. Ciężar spadł jej z ramion. Będzie bezpieczna.

Podjęła decyzję. Miała wrażenie, że padł na nią cień, ale nic jej to nie obeszło. Śpieszyła się. Jej palec zaciskał się na spuście i mozolnie pracowała nad tym, żeby przełamać opór. Miała wrażenie, że czas spowolnił, każdy mikrometr ruchu palca trwał niewiarygodnie długo. W końcu zgięła palec, padł strzał.

Zdziwiła się, bo Damian wciąż przed nią stał, za to jej ręka pofrunęła w górę, broń magicznie z niej zniknęła, przestała też widzieć Damiana.

– Odśłoń mi go – chciała powiedzieć do wysokiego mężczyzny, którego plecy zasłoniły jej widok.

– Gleba, skurwysynu – usłyszała.

Mężczyzna siedział na plecach Damiana, wykręcał mu ręce do tyłu, nie przejmując się jego raną ramienia.

Monika poczuła na sobie czyjeś delikatne palce.

– Już po wszystkim – powiedziała Kriss, a głos miała dziwnie słaby i kojący, jak nie ona.

– Dobrze wyglądasz – odparła Monika, sama nie wiedząc czemu, chyba chciała dodać Kriss otuchy, bo twarz tamtej, i tak już pokaleczona, puchła gwałtownie po uderzeniu.

Obcy mężczyzna skończył skuwanie Damiana.

– A dziś to ja uratowałem cię, Damianku – powiedział. – Los z nas kpi.

– To ją skuj, chciała mnie zabić.

– Masz gadane, prawie mnie przekonałeś.

Monika powoli rozpoznawała mężczyznę. Zaniepokoiło ją, że pojawił się tak nagle. Damian może pomyśleć, że miała z tym coś wspólnego.

– Sławek – odezwała się.

Spojrzał na nią.

– Wszystko w porządku?

– Nie rób mu krzywdy, proszę.

Kruk przymrużył oczy.

– Pewnie, że nie – powiedział łagodnie. – Będę się bardzo starał.

Wielu sprawiedliwych ludzi nie spało tej nocy, a w każdym razie parę osób związanych z wymiarem sprawiedliwości. Gdy policjanci strzelają do siebie nocami, warto mieć na to jakiś pomysł, zanim wstanie dzień.

Kruk złożył zeznania i spacerował po korytarzu budynku prokuratury, czekając na Marcina Zycha, który siedział w pokoju prokurator Wiśniewskiej. Dochodziła siódma czterdzieści rano. Co chwila otwierały się drzwi różnych pokoi i ktoś wchodził i wychodził. Pojawiały się i znikwały postaci, głównie po cywilnemu, ale niektóre w mundurach. Budynek tętnił życiem, Kruk miał wrażenie, że jest na targu w godzinach szczytu.

W końcu pojawił się Marcin i obaj zeszli piętro niżej. Tam Zych usiadł na ławce i oparł się plecami o ścianę.

– Po coś go skuwał? – warknął. Był wściekły.

– Znokautował Bielińską, stanowił zagrożenie.

– One stanowiły zagrożenie, obie mierzyły do niego z broni, jedna go postrzeliła.

Kruk wciąż miał przed oczami Monikę. Całą upapraną resztkami obiadu, z nieprzytomnymi oczami...

– Nie widziałeś, jak wyglądała.

– Paczulski zeznał, że nie pierwszy raz rozrzuciła obiad po kuchni, bo się spóźnił do domu. Musiał to sprzątać. Bał się jej. Czasem budził się w nocy, a ona stała nad łóżkiem z bronią w ręku i patrzyła na niego.

Kruk powoli usiadł obok niego. Nadal był wyprostowany, tylko głowa mu opadła. Ogarnęło go zmęczenie, które nie miało nic wspólnego ze zdrowym zmęczeniem po fizycznym wysiłku.

– Prokurator od wczoraj jest w posiadaniu zdjęć z twojego mieszkania, tych z czerwca. Paczulski uważa, że Monika pozostaje pod twoją kontrolą, jest przez ciebie psychicznie sterroryzowana. Domaga się skierowania żony na badania psychiatryczne.

Kruk spytał cicho, walcząc z wszechogarniającym poczuciem porażki:

– Prokurator mu wierzy?

Marcin milczał.

– Psychiatrzy rozpoznają, że to on ją katuje. – Miało to być mocne stwierdzenie faceta, który wie, co robi, a zabrzmiało jak prośba.

– Zależy od psychiatrów. Są świadkowie, którzy byli u ciebie w mieszkaniu w czerwcu. Widzieli ją i słyszeli, co mówiła. A mówiła rzeczy zupełnie inne niż teraz. – Marcin pokręcił głową. – W dodatku posłałeś jedną poranioną kobietę, żeby

pomogła drugiej.

– Nie wiedziałem, co przeszła Kryśka.

– Nic nie osiągnąłeś, Sławek. Tylko pogorszyłeś sytuację.

Kruk uśmiechnął się smutno.

– Wszystko wyszło odwrotnie...

Uniósł głowę, spojrzął na Marcina, przeniósł wzrok na schody i się zastanowił. Myśli napływały i odpływały, a on poczuł się lepiej. Niewiele lepiej, ale zawsze coś.

– Jest odwrotnie – rzekł. – Chcę zatrzymać Rudzkiego na czterdzieści osiem.

Marcin Zych miał twarz bardzo nieszczęśliwego człowieka.

– Co on ma do Paczulskich?

– Pewnie nic.

– Za chwilę będziesz miał zarzuty i z automatu zawieszenie. Zostawiamy wszystko, ratujemy ci dupę.

Kruk go nie słuchał. Do tej pory zastanawiał się, czy Rudzki wiedział o pieniądzech w sejfie żony, czy miał dostęp do jej sejfu, czy ma to znaczenie dla sprawy. Otóż nie miało to znaczenia. Było dokładnie odwrotnie.

– Rudzka pomagała Rudzkiemu zmieniać kody dostępu do jego sejfu – powiedział. – Myślę, że miała dostęp do dokumentów, które tam trzymał, i dlatego zginęła.

– Czy ty mnie słuchasz? – spytał Marcin.

– Nie. Ty posłuchaj: gdy pojechałem z Paczulskim na przeszukanie, sejf Rudzkiego był już pusty. Ale wcześniej to był sezam pełen sekretów, jakimi ludzie podzielił się wyłącznie ze swoim psychiatrą. To znaczące, że był, a później nie był. Co stało się w międzyczasie? Gdy zapytałem Rudzkiego, po co mu sejf, zdradził się, że na akta pacjentów. Pechowo dla siebie powiedział prawdę, akurat trząsł się ze strachu, bo w sejfie żony znaleźliśmy pieniądze, którymi zapłacił za obraz.

– Podoba mi się twoja zdolność czytania w myślach ludzi – rzekł Marcin.

– Rudzka poznawała sekrety pacjentów Rudzkiego, wyciągała je na światło dzienne, puszczała w obieg plotki, załatwiając porachunki z tymi, których nie lubiła, bo Rudzki leczył też znajomych.

Marcin pokiwał głową, co mogło oznaczać wszystko.

– Do Rudzkiego chodzi żona Wolnego, a nawet sam Jacek Wolny – nie ustępował Kruk. – Oszust matrymonialny, co go kiedyś Wolny przycisnął, zaczyna kręcić się przy żonie Rudzkiego.

– Rudzki, Wolny. Zapomnij. Paczulski, Paczulska, Bielińska. O tym pamiętaj.

– Ściągam tu Rudzkiego. Załatw mi parę godzin, żebym miał czas go przycisnąć pod lampą, przed kamerą i wziąć jego zwierzenia na papier.

Kruk był już na schodach, ale i tak usłyszał ciche słowa Marcina:

– Wiesz, że jesteś popierdolony?

Tomasz Rudzki spojrział na zegar na ścianie. Było pięć po ósmej, a Wolni jeszcze się nie pojawili. Pięć minut to drobne spóźnienie, ale nie dla Jacka Wolnego. Przez te wszystkie lata jego żona i on przychodzili punktualnie. Jeśli zanosilo się na spóźnienie, dzwonili z drogi. Jeśli musieli odwołać wizytę, uprzedzali.

Sześć po ósmej.

Może go aresztowano. Rudzki śledził doniesienia mediów i oskarżenia rzucone na Wolnego. Może by się nawet ucieszył z takiego obrotu rzeczy.

Zadzwoił domofon. Rudzki uruchomił otwieranie, nie wstając zza biurka, miał przycisk przy swoim fotelu. A jednak to tylko spóźnienie. Wstał, by powitać ich w drzwiach. Zawsze tak robił.

Człowiek, który się pojawił, nie był Wolnym. Miał blond włosy, mocno zarysowaną szczękę i twarz pozbawioną wyrazu.

– Pan prezes czeka w samochodzie – powiedział.

– Czemu nie wchodzi?

Blondyn popatrzył spokojnie, po czym powtórzył wolno, jakby mówił do dziecka:

– Czekaj w samochodzie.

Nie był w nastroju do dyskusji. Rudzki zaniepokoił się, ale możliwe, że to wszystko miało związek z kłopotami Wolnego.

Zeszli na dół. Przy krawężniku stała czarna limuzyna z przyciemnianymi szybami. Blondyn otworzył tylne drzwi, Rudzki wsiadł, a blondyn zajął miejsce za kierownicą.

Głośne suche piknięcie w drzwiach Rudzkiego powiadomiło go, że zamek po jego stronie został zamknięty. Jacek Wolny, wygodnie rozparty obok, nawet na Rudzkiego nie spojrział.

Patrzył za okno, ale nie było to leniwe oglądanie krajobrazu. Rudzki dostrzegł na ulicy Kruka. Policjant wysiadał z metalicznej toyoty, lecz zastygł z połową ciała na zewnątrz, wpatrując się w ruszającą w jego stronę limuzynę. Rudzki zdążył jeszcze dostrzec, jak Kruk odwraca głowę, gdy go mijali.

Poranne korki odpuściły i limuzyna bez przeszkód wydostała się na aleję Zwycięstwa, a stamtąd na Armii Krajowej.

Rudzki poczuł, że stało się coś złego.

– Dokąd jedziemy, panie Jacku?

Wolny twarz miał nieruchomą. Czasem obojętność bywa najstraszniejszą groźbą.

– Wczoraj wczesnym wieczorem w małym brazylijskim miasteczku przyszedł po moją córkę – powiedział Wolny. – Stał się pan zbędny. Dla mnie i dla nich.

W pierwszym odruchu Rudzki chciał zaprzeczać, ale jedyne, na co się zdobył, to przymknięcie oczu.

Wolny, zapatrzony w ulicę za oknem, dodał:

– Pojedziemy do Czerniewa pod Gdańskiem. Mój znajomy hoduje świnie i zbliża się pora karmienia.

– Nie zrobi pan tego...

– Robiłem już takie rzeczy.

– Proszę, ja...

– Stul pysk.

Samochód płynnie nabierał prędkości. Piękna limuzyna wioząca karmę dla świń. Za Auchan zjechali na obwodnicę.

– Ten policjant – odezwał się blondyn zza kierownicy. Rudzki widział tylko jego oczy. – Jedzie za nami.

Na Wolnym ta informacja nie zrobiła wrażenia.

– Odpalił koguta?

– Nie.

– Nie ma się czym przejmować.

Rudzki usiłował coś wymyślić. Nagle zrobił się odrętwiały. Mieli za sobą policję, to dawało mu nadzieję.

– Od kiedy pan wie? – wyszeptał.

– Od początku.

– Panie Jacku, błagam – powiedział Rudzki.

– Wydał pan moją córkę. Tego nie mogę wybaczyć.

– Nie chciałem...

– Na pewno miał pan lepsze i gorsze chwile, były pewnie momenty, gdy chciał się pan z tego wyplątać. – Wolny wreszcie spojrział w twarz Rudzkiego. – Więc zabili panu żonę.

– Nie wiem, czy ją kochałem.

– To bez znaczenia. Dziś żona, jutro zabiją panu psa, aż znajdą coś, na czym naprawdę panu zależy. Dlatego zawsze trzeba reagować.

– Pan zareagował? Pozwolił pan, by zabito panu syna.

– Myli się pan – rzekł Wolny. – Nikt mnie nie pytał o pozwolenie.

Zapadło ciężkie milczenie. Rudzkiemu przemknęło przez głowę, że Wolny ma niewłaściwe pojęcie o sytuacji. Może uda mu się to wykorzystać, żeby się ratować.

Samochód zjechał z obwodnicy i mijał kolejne wsie.

– Kruk nadal za nami?

– Tak jest.

Potem wciąż jechali, aż limuzyna dotarła do dużego gospodarstwa i stanęła przy dobrze utrzymanym domu. Wolny wysiadł. Znowu ciche kliknięcie i otworzyły się drzwi od strony Rudzkiego. Kierowca wyciągnął spod fotela małą walizeczkę i odwrócił się do niego:

– Na co czekasz?

Rudzki stanął na błotnistej ziemi. W drzwiach budynku mieszkalnego pojawił się ubrany w dżinsy i białą koszulę mężczyzna o krótkich siwych włosach. Przywitał się z Wolnym, chwilę żartowali.

Nadjechała toyota. Gospodarz zwrócił tam wzrok, Wolny kazał się jednak prowadzić do chlewu. Blondyn pchnął Rudzkiego, poszli tam wszyscy, a żaden z mężczyzn otaczających psychiatrę nie poświęcił więcej uwagi wysiadającemu z samochodu policjantowi.

Rudzki chciał zawołać, lecz gardło odmówiło mu posłuszeństwa. Odwrócił głowę z nadzieją, ale komisarz Kruk nie patrzył na niego, tylko sprawdzał coś w telefonie.

– Głodne? – spytał Wolny, gdy stanęli w chlewie. Świnie podbiegły do barierki, przepychając się i potracając nawzajem tłustymi cielskami.

– Długo nie jadły. – Rolnik z zainteresowaniem popatrzył na Rudzkiego. – A garnitur dostanę? Chyba mój rozmiar.

Ochroniarz Wolnego trącił Rudzkiego w ramię.

– Rozbieraj się.

Rudzkiego opuściły wszystkie siły. Nie potrafił podnieść ręki, nie potrafił się nawet odezwać, choć bardzo chciał.

– Rozbieraj się.

Uderzenie pięścią w brzuch zgięło go w pół. Momentalnie zwymiotował treścią żołądka.

– Panie Jacku – wymamrotał. Nie wierzył, że to się dzieje naprawdę. Rozpaczliwie szukał wzrokiem Kruka.

– Rozbieraj się.

Rudzki potrzebował kilku chwil, żeby się wyprostować. Zdjął marynarkę. Właściciel chlewni ostrożnie wyjął ją z rąk psychiatry, dbając o to, żeby nie wdepnąć w rzygowiny.

– Garnitur spalimy – odezwał się Wolny, wywołując grymas rozczarowania na jego twarzy.

– Szybciej, kurwa, nie mamy całego dnia – powiedział ochroniarz.

Jacek Wolny nie zwracał uwagi na Rudzkiego. Przyglądał się świniom, zadając pytania hodowcy. Rudzki zdjął koszulę, spodnie, a potem, ponaglany przez blondyna, całą resztę. Stanął nagi, trzęsąc się z przerażenia.

Blondyn otworzył walizeczkę. Chwilę w niej grzebał, wyciągnął szklaną fiolkę i jednorazową strzykawkę.

– Zastryk zadziała na pana system nerwowy – odezwał się Wolny cicho, jakby mówił do siebie. – Lekko pana sparaliżuje, ale nie zmniejszy bólu.

– Panie Jacku, zmusił mnie, ale i tak go okłamywałem...

– Kto?

– Charon. Olivier Charon. Współpracowałem z nim kilka miesięcy. Kupował informacje o moich pacjentach, wykorzystywał je do szantażu. Niedawno zapytał mnie o pana, wiedział, że opiekuję się pańską żoną. Chciał, żebym się z panem

zaprzyjaźnił, znalazł słabości, coś, na czym panu zależy. Odmówiłem. Zagroził, że mnie zabije, a najpierw, dla przykładu, zabije Lidię. – Rudzki mówił coraz szybciej. Historia, którą opowiadał, wydawała mu się przekonująca. Sam w nią uwierzył i poczuł pewność, że Wolny też w nią uwierzy. – Zwodziłem go, gdy spotykałem się z nim w hospicjum składać raporty, zmyślałem, ale się zorientował.

Rudzki przerwał, patrzył na Wolnego, który skinął z uznaniem głową.

– Próbował pan być wobec mnie lojalny – rzekł.

– Charon ją zabił, żeby mnie zmusić do współpracy. Ale ja wciąż nie mówiłem mu prawdy.

Wolny dał znak blondynowi, który opuścił dłoń ze strzykawką. Rudzki poczuł nadzieję.

– Charon nie żyje – powiedział Wolny.

Rudzki usiłował przełknąć ślinę. Nie potrafił pozbierać myśli. Nie wiedział, co to znaczy.

– Wierzy mu pan? – pytanie zadał wysoki mężczyzna, który stanął w drzwiach chlewu. Kruk.

Rudzki poczuł dreszcz euforii, bo policjant jednak tu przyszedł, a potem przeraźliwego strachu, bo nikt sobie z tego nic nie robił.

– Będzie kłamał, ile się da – rzekł Wolny cicho. – Myśli, że to go ocali.

Kruk podszedł bliżej i stanął między nimi. Jego oczy były równie puste, jak pozostałych.

Wolny zwrócił się do Rudzkiego:

– Doktorze, myślę, że próbował pan wy badać, czy spełnię ich żądania, jeśli porwą mi córkę. Może to nawet był pański pomysł. Ale to ja pana wykorzystałem: kupiłem czas bajeczką o przepisaniu na nią budynku. – Wolny przyglądał kamizelkę pod lekkim płaszczem. Z jakiegoś powodu był to przerażający gest. – Wykorzystałem pana drugi raz: gdy powiedział im pan o kolczykach Kingi, zyskałem pewność, że do niej dotarli.

Rudzki poczuł, jak grunt usuwa mu się spod nóg. Zachwiał się, a nikt się nie ruszył, żeby go podtrzymać.

Blondyn nie miał już w dłoni strzykawki. Gospodarz chlewni na moment zniknął, a gdy pojawił się znowu, w rękach trzymał coś dużego. Podał blondynowi piłę łańcuchową, a ten zaczął ją uruchamiać.

Powietrze przecięło wycie motoru. Świnie zaczęły przeraźliwie kwiczeć.

– Zła wiadomość jest taka – Wolny podniósł głos, przekrzykując hałas – że na początek rzucimy świniom pańską nogę. Dobra, że pozwolimy wybrać którą.

– Pozwoli pan na to?

Przerażone oczy zaszczutego psychiatry wpatrywały się w Kruka z nadzieją.

– Wyłącz to – powiedział Kruk do blondyna.

Nie zareagował, ale gdy Wolny lekko poruszył palcami, blondyn wyłączył piłę. Warkot umilkł, tylko świnię wciąż kwiczały.

– Jest pan policjantem – powiedział Rudzki.

– Właśnie mnie zawieszono. Czego dowiedziała się pańska żona, że musiała umrzeć?

Najpierw nie zrozumiał. Potem, bardzo powoli dotarło to do niego. Nadzieja w oczach Rudzkiego zgasła. Kruk widział, że jest po nim.

– Robiłem notatki po spotkaniach z panem Jackiem. Pisałem je wieczorami w domu, trzymałem w sejfie przed spotkaniami z Charonem.

Umilkł, bo za bardzo się trząśł. Może z zimna.

– Przeczytała je?

– W czwartek, przed dwoma tygodniami, nakryłem ją na tym. Znała szyfr, musiała go podejrzeć... pomagała mi go zmieniać. Zrozumiałem, że nie pierwszy raz czyta moje papiery.

Do tej pory rozstrzelone fakty ułożyły się w spójną całość. Kruk pomyślał, że nie było lepszego miejsca niż ten chlew, by mówić o wszystkich rzeczach, które się wydarzyły.

– Nie układało nam się – powiedział Rudzki z rozpaczą. Nagi, chudy, bez garnituru, który nadawał mu dostojność, był równie żalony, jak jego czyny. – Przeraziłem się, że komuś o tym opowie i pan Jacek się dowie. W tych notatkach było wszystko, co robiłem i po co to robiłem.

– Poszedł pan z tym do Charona?

– On do mnie przyszedł. Pytał, co wyprawia moja żona. Ukradła pieniądze, które mi dał na zakup obrazu w galerii. Miały trafić do radnego Łaszewskiego, mieli wspólne interesy. Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć.

Charon wiedział o skradzionych pieniądzach. Ciekawe. Kruk potrząsnął głową.

– Powiedział pan Charonowi, że żona wie. Powiedział pan, że może nie być dyskretna, bo stręczył ją pan radnemu i miała pana dość.

– Obiecał, że jej nie skrzywdzi, Lidia miała tylko zniknąć na jakiś czas, dopóki nie załatwi spraw z panem Jackiem.

– Musiał się pan zmartwić, no bo co potem?

Rudzki walczył z mdłościami.

– Pojawił się w piątek w nocy, powiedział, że sprawy się skomplikowały. Lidia znalazła sobie kogoś na boku, kto wyciągał z niej informacje. Załatwi to tak, żeby nie padł na mnie cień podejrzenia. Będzie wyglądało jak kłótnia kochanków. Policja, a za nią Jacek Wolny to kupią. Kazał mi pokłócić się z nią na przyjęciu i tam zostawić, niech zadzwoni po tamtego, żeby wszyscy zobaczyli jego samochód, a Charon przyjedzie zamiast niego i zajmie się resztą. – To było za dużo dla Rudzkiego. Zwymiotował.

Kruk czuł obrzydzenie. Do tego człowieka, do ludzi, którzy go upokarzali i do siebie, bo był jednym z nich. Czuł się brudny tym rodzajem brudu, którego nie zmyje gorąca woda. Gdyby żaden z nich nie wyszedł nigdy z tej chlewni, świat stałby się lepszy, czystszy.

– Był pan bardzo zdenerwowany, gdy wyszedł z Remzo. Zamiast zabawiać się z kobietami, rzygał pan jak kot. To dobrze o panu świadczy.

Rozbawiony Wolny spojrzął na Kruka, a po chwili namysłu powiedział:

– Ten Charon zmienił plany. – Było to częściowo stwierdzenie, częściowo pytanie, ale ani trochę jedno ponad drugie.

– Bo jak zabrał się za Majewskiego – warknął Kruk – dowiedział się, że to pan go przysłał. Po co podstawił pan Majewskiego Rudzkiej?

Wolny popatrzył w bok i Kruk pomyślał, że nie dostanie odpowiedzi.

– Sypiała z tym radnym, to świetny kandydat na przyjaciela.

Kruk pomyślał, że dokładnie taką odpowiedź musiał dostać Charon od Majewskiego. Może nawet była to prawda, przynajmniej częściowa. Zaprzyjaźnić się z kochanką polityka. Zebrać na niego haki.

Coś musiało nie dawać spokoju Wolnemu, bo zapytał:

– Mogłem uwierzyć, że Majewski zachlał, poniosło go i zatłukł Rudzką, ale nie uwierzyłem, że zostawił robotę i z nią uciekł? – Wolny zadał to pytanie ostrożnie, jakby bardziej badał nim Kruka, niż interesowała go odpowiedź. No to Kruk nie odpowiedział, choć tak właśnie sądził. Majewski za bardzo się Wolnego bał. – Sądzi pan, że uwierzyłem? – Wolny nie dawał za wygraną.

– Uwierzył pan, tak jak Charon tego chciał. Wątpliwości zrodziły się, gdy pana odwiedziłem. Dlatego zaprosił mnie pan do domu.

– A nie z innego powodu?

– Może powody były dwa.

– Więc to Charon zabił żonę mojego przyjaciela psychiatry?

– Naprawdę interesuje to pana?

– Niespecjalnie. – Wolny zwrócił się do Rudzkiego. Jego głos się zmienił. – Kto stał za Charonem?

– Nie wiem. Spotykałem się tylko z nim.

– Niech się pan trochę wysili.

– Naprawdę nie wiem.

Wolny oparł się o ogrodzenie dla świń. Zwierzęta podbiegły do niego.

– Więc nie ma pan dla mnie wartości.

– Rozmawiam z panem szczerze.

– Świniom to bez różnicy. Smakują im szczerzy i nieszczerzy. Charon to pionek, facet od mokrej roboty, interesuje mnie jego zleceniodawca. Człowiek, który kręci tym wszystkim. Który chce mojego terenu. Który kazał porwać Kingę.

– Nie wiem! – wykrzyknął zrozpaczony Rudzki.

Blondyn sięgnął po piłę. Kruk miał dosyć. Obrzydzenie coraz mocniej w nim narastało.

– Wystarczy – powiedział i na wszelki wypadek rozpiął marynarkę, aby mieć szybszy dostęp do broni. – Koniec.

Zapadła cisza.

Wolny skinął głową. Blondyn odłożył piłę i klepnął Rudzkiego w obnażone plecy.

– To przecież wszystko żarty, panie doktorze. Fajny z pana facet, że się pan lubi bawić.

Gospodarz usłużnie podał Rudzkiemu ubrania. Wziął je machinalnie, ale nie wiedział, co ma z nimi zrobić.

– Proszę się ubrać – powiedział serdecznie gospodarz. – Już się nie bawimy.

Tylko Wolny milczał. Czekali, aż Rudzki się ubierze. Trwało to długo, bo męczył się z krawatem. Nikt go nie popędzał, nikt mu nie powiedział, że krawat jest nieważny. Skończył, ale wciąż nie wyglądał dobrze. Koszula wystawała mu ze spodni, buty uwalą w świńskim łajnie, gdy je wkładał.

Kruk sięgnął do paska po kajdanki.

– Jest pan zatrzymany pod zarzutem... – zaczął, ale dał spokój. Był zawieszony. Zatrzasnął obrączki na nadgarstkach Rudzkiego i wyprowadził go z chlewu. Wsadził go do toyoty na tylne siedzenie.

Wolny poszedł za nimi i obserwował ich w zamyśleniu.

– Cóż za nieostrożność. Skuł pan człowieka, a nawet go pan nie przeszukał.

– Niech pan nie daje mi rad.

– Chcę, żeby między nami było jasne. Gdyby się pan nie napatoczył, dostałby go pan takiego samego: żywego, skruszonego i gotowego do zwierzeń. Ale wie pan, czego chcę.

Kruk wciąż miał w nozdrzach zapach świń i wymiocin Rudzkiego.

– Porwali panu córkę?

– Tym niech się pan nie przejmuje. To daleko stąd.

– Inwestorzy, którzy chcą przejąć pańską nieruchomość?

– Jacy tam inwestorzy. Specjaliści od oczyszczania przedpola dla innych, niewinnych, takich, co nie chcą brudzić rąk.

– Złowieszcza korporacja? – skrzywił się Kruk, myśląc o rozmowie z Gambarskim.

– Może pan kpić, ale wiem, jak działają. A działają na całym świecie. Muszę takie rzeczy wiedzieć, skoro mam wobec nich plany.

Kruka to zaciekało. Pieprzony Glaser uważał, że Wolny zrobił sobie z Kruka pomagiera. Lalkarz ostrzegął, żeby Kruk nie wchodził z Wolnym w układy. Obaj mówili do rzeczy.

– Rok temu – powiedział Wolny – podjęli się wykarczowania stu hektarów lasów w jednym z afrykańskich państw. Na ich drodze stało dwustu osiemdziesięciu jeden Buszmenów, do których cywilizacja nie dotarła, wrośniętych w lasy z dziada pradziada. Firma chciała ich przesiedlić, ale wielkie czarne chłopcy, potrząsając zaostrozonymi patykami, nie chciały o tym słyszeć. – Zapatrzył się za budynki gospodarstwa. – Pewnej nocy cała wioska zniknęła. Mężczyźni, kobiety i dzieci rozplynęli się w dżungli jak duchy. Firma utrzymywała, że odeszli. Przejęła ziemię, komuś się zamarzyło wielkie pole golfowe. – Westchnął. – Tak to się robi w Afryce.

– Tu jest Polska.

– Właśnie. Nie jesteśmy Afryką. Jesteśmy biali, nosimy garnitury, mamy broń i prawników.

– Ryzykuje pan. Postawił pan coś bardzo cennego na szali.

– Moja córka przesłała im wiadomość. Zaprosiła do negocjacji.

– Żaden z pana biznesmen, wciąż jest pan zwykłym bandziorem.

– Taki właśnie ze mnie biznesmen – odparł zaskakująco pogodnie bez cienia urazy. – Taki sam jak tamci.

– Biznesmen nie brzydzi się rozmawiać z policją? Koniec udawanek?

Wolny wskazał brodą budynek chlewni.

– Był pan tam. Jaki tam z pana policjant.

– Do zobaczenia, o ile wcześniej pana nie załatwią.

Kruk otworzył drzwi toyoty, a Wolny się roześmiał.

– Niech mi pan nie grozi, to niegrzeczne. I więcej wiary w polski biznes, komisarzu. Ludziom wciąż się wydaje, że co zachodnie, to lepsze.

Nad miastem wstawał brzask, koszmary odchodziły, wszystko było dobrze.

Kinga Wolny wyłączyła radio. Samochód, w którym siedziała, stał zaparkowany na skraju ruchliwej nawet o tej porze drogi prowadzącej do miasta. Nad drogą wznosił się wysoki wiadukt i Kinga pochyliła się w siedzeniu pasażera, żeby przyjrzeć się wiaduktowi przez przednią szybę.

– Trzeba jechać, senhora – mruknął Tiro zza kierownicy.

– Jeszcze nie.

Spojrzał w lusterko wsteczne. Za nimi stał jeszcze jeden samochód, w którym czekali jego ludzie.

Myśli Kingi uporczywie wracały do wczorajszego wieczora. Do uroczego Antonia, który pozwolił jej skończyć palić papierosa, a potem stracił resztkę uroku i bił ją w twarz tymi samymi rękami, którymi jeszcze niedawno sprawiał jej rozkosz. Robiąc to, przyglądał się jej ciekawie, bo nie krzyczała, nie płakała, nie prosiła o litość.

Zrobił jej kolejne zdjęcie i znowu gdzieś wysłał. A potem bił dalej.

Przerwał, gdy usłyszał za drzwiami strzał. Potem rozległy się dalsze strzały i na jego zimną twarz wypełznął grymas zastanowienia. Gdy otworzyły się drzwi i stanął w nich Tiro z wycelowaną w niego bronią, usiłował zasłonić się Kingą, ale ona spodziewała się tego, a jego bicie nie zabiło w niej niczego oprócz litości. Zdołała dopełznąć do szafki nocnej, zgmiotła w palcach cieniutkie szkło szklanki z drinkiem i ociekającą krwią i alkoholem dłonią uderzyła go w twarz. Szkło wbiło się w jego policzki, nos, oczy.

Tiro był już w pokoju i zajął się Antoniem.

Młody mężczyzna z rzadkim wąsikiem, który wszedł za Tiro, pomógł jej się podnieść. Założył jej szlafrok, aby nie była już naga. Opierając się na jego ramieniu, kazała się wyprowadzić z sypialni. Zaraz za drzwiami przeszli ponad zwłokami dwóch mężczyzn, których nie знаła. Stał tam drugi z ludzi Tiro, całkiem obojętny na to, w czym brał udział.

Kinga zatrzymała się, bo drogę do wyjścia tarasowało zwaliste cielsko Wielkiego Macieja. Leżał nieruchomy, porzucony, zbędny.

Spojrzała w jego twarz, w oczy o zamkniętych powiekach, które zawsze były otwarte dla niej, gdy potrzebowała pomocy. W jego klatce piersiowej widniały trzy otwory po kulach, a krew barwiła nieskazitelnie białą koszulę. Poczowała żal, że tak się to wszystko potoczyło, że straciła przyjaciela. Zapragnęła ucałować go w zamknięte

powieki.

– *Me dê uma arma* – powiedziała do człowieka, który ją podtrzymywał.

Uniósł brwi, ale nic nie powiedział. Podał jej swój pistolet, a ona wzięła go wciąż krwawiącą dłonią. Zrezygnowała z jego pomocy, stanęła nad ciałem Wielkiego Macieja, powoli kierując wylot lufy w jego głowę.

Kolejna kropla krwi upadła z jej ręki na podłogę. Miała wrażenie, że ten dźwięk był nieproporcjonalnie głośny, niczym uderzenie w dzwon. Sprawił, że powieki leżącego mężczyzny otworzyły się, a on spojrzał na Kingę absolutnie trzeźwym wzrokiem.

Obaj ludzie Tiro zakłęli zaskoczeni.

– Nie wiedzą, że jesteś nieśmiertelny – powiedziała.

Nie odezwał się. Patrzył na nią, na wycelowaną w siebie broń, wzrokiem pozbawionym strachu, pozbawionym czegokolwiek. Po prostu czekał.

– Dlaczego? – spytała.

– Jesteś dziwką – powiedział głosem, w którym był ból, ale nie taki, który płynął z ran. – Znudziło mi się być twoim alfonsem.

– Jestem tylko samotna.

Strzeliła mu w głowę. Strzelała, dopóki nie opróżniła całego magazynku, a krew pryskała na jej stopy. Pamiętała tamten dzień, kiedy mała dziewczynka siedziała grzecznie w samochodzie, a on zmartwychwstał z sześcioma kulami w piersi.

Strzelała dalej, nawet gdy całkiem opróżniła magazynek.

Jeden z ludzi Tiro podał jej chusteczkę.

– Obetrzyj twarz, senhora – powiedział.

Zrobiła to, ocierając krew i swoje łzy. Mężczyzna odebrał jej broń i wyprowadził z willi.

– Trzeba jechać, senhora. – Z rozmyślań wyrwał ją Tiro. – Już zaczynają go widzieć.

Miał rację. Kinga ponownie się nachyliła i spojrzała przez szybę. Samochody zwalniały, przejeżdżając pod wiaduktem. Wschodzące słońce wyodrębniło z szarości poranka kołyszącą się na wietrze postać.

Uwiązana za nogę, zwisała na linie z wiaduktu niczym makabryczna marionetka. Ręce dyndały bezwładnie, wolna noga odstawała, jelita z otwartego brzucha wysypywały się, niemal sięgając dachów samochodów wjeżdżających do miasta. Jakiś czas temu postać przestała poruszać się sama i teraz poruszał ją jedynie wiatr.

Kinga chciała ostatni raz dojrzeć twarz Antonia, czułego kochanka, ale światła było jeszcze zbyt mało.

– Jedźmy, Tiro.

Tiro, skorumpowany glina. Jej ojciec lubił skorumpowanych gliniarzy. Kinga wcześniej zrozumiała, że to Wielki Maciej zaaranżował jej spotkanie z Antoniem, którego usiłował jej wcisnąć jeszcze w São Paulo, aby mieć nad nią ściślejszą kontrolę. Udawał, że należy go odprawić, bo zwykle to budziło jej sprzeciw. Gdy napisała o tym ojcu, wysłał na konto Tiro milion dolarów.

Zamruczał uruchamiany silnik. Kinga za dwie godziny miała prywatny czarter do Peru. Ze względu na stan jej twarzy lot regularnymi liniami nie wchodził w grę, bo taka twarz przykuwała zbyt dużo uwagi.

Tiro chciał wywiesić z wiaduktu także zwłoki Wielkiego Macieja, ale Kinga się nie zgodziła. Zakopali go w ogrodzie willi, skąd rozciągał się widok na miasto.

Miała nadzieję, że Wielki Maciej, jej stary przyjaciel, będzie stawał nocami przy balustradzie, słuchał świerszczy i patrzył na światła.

Jechali w milczeniu. Kruk czasem spoglądał w lusterko wsteczne, ale Rudzki siedział jak skamieniały.

– Chciałem ją uratować – odezwał się.

Kruk go zignorował.

– Chciałem, żeby zabrał ją do siebie. – Nadzieja pojawiła się w jego głosie, po czym zgasła. – A ona mu uciekła.

– Jaki on?

– Emil Zasada. Niepokoił Charona, Charon o nim też chciał się jak najwięcej dowiedzieć. Miałem go skłonić do zwierzeń.

– Kazał pan zaprzyjaźnić się z nim tego wieczora?

– Nie, wcześniej. Ale Zasada za mną nie przepadał.

Podstawiłeś mu więc żonę, żeby przełamać lody, pomyślał Kruk. Miałeś w tym wprawę.

– Złoży pan wyjaśnienia przed prokuratorem – powiedział.

– Tak.

– Dobrze będzie, jeśli nie zmieni pan zdania. To nam uprości wiele rzeczy.

– Nie zmienię. Żeby nie zeżarły mnie świnię.

Kruk wybuchnął śmiechem. Kurwa, facet go rozbawił.

Z obwodnicy wjechali do miasta, a potem na Armii Krajowej.

– Jakim człowiekiem był Charon?

– Przeróżającym.

– Bez pierdolenia, Wolny już na pana nie patrzy. Charon pana nie zastraszał, on pana kupił.

– I tak był przeróżający.

– Czytał dzieciom bajki.

– Zauważyłem – Rudzki ożywił się – że widział świat w sposób baśniowy. Jego nazwisko nie było prawdziwe, prawda? Miałem czasem wrażenie, że naprawdę uważa się za Charona. Powiedział, że jest przewoźnikiem umarłych, który zabierze Lidę w ostatnią drogę.

Kruk skręcił w ulicę Łostowicką. Nie była to droga na komendę, ale Rudzkiego to nie zainteresowało.

– Więc jednak ją zabił? – spytał cicho Rudzki.

Kruk miał go dość.

– Już kiedyś pytałem, czy pan wie, że żona nie żyje. Nadal nie dotarło?

– Powiedział, że tego nie zrobił.

– Kiedy?

– Dwa dni po zabójstwie Lidii spotkał się ze mną w hospicjum i pytał mnie o jej lalkę.

Kruk czuł, jak wracają do niego sny. Lidia Rudzka na stole sekcyjnym otwiera oczy i pokazuje mu język.

– Lalkę?

– O tę, którą przy sobie nosiła. W gruncie rzeczy Lidia była infantylna.

– O co pytał Charon?

– Skąd miała taką lalkę. Nie wiedziałem, to była jej zabawka z dzieciństwa. Wie pan, nie mogę mieć pewności, bo widywałem Charona rzadko, ale bywał też w naszym mieszkaniu pod nieobecność Lidii. Raz zajrzał do jej pokoju i zobaczył jej lalki. To był pierwszy i jedyny raz, kiedy widziałem w nim słabość. Tknęło mnie, czy nie cierpi na pediofobię. – Głos Rudzkiego stał się spokojniejszy. Może dlatego, że zahaczyli o dziedzinę, w której czuł się kompetentny.

– Co to takiego?

– Strach przed lalkami. Człowiek boi się lalek, bo nie ma pewności, czy są żywe, czy martwe.

– Jest pan psychiatrą, doktorze. – Kruk zdał sobie sprawę, że po raz pierwszy w taki sposób zwrócił się do tego człowieka, ale zrobił to celowo. – Pana zdaniem, jako fachowca: czy Charon był normalny?

– To zimna, wyrachowana osobowość, ale nie bardziej nienormalna niż pan czy ja.

– Czyli nie było z nim dobrze. Dlaczego powiedział, że jej nie zabił?

– Byłem roztrzęsiony, panikowałem, zapytałem go, czy musiała umrzeć, czy nie było innego sposobu. Powiedział, że nie i czy jestem ciekawy, jak to się odbyło. Nie byłem. I tak mi opowiedział, jak zmusił tamtego człowieka, by ją bił. A potem tamten nie chciał już więcej i płakał, błagał Charona, aż wreszcie się całkiem załamał. I jak wolał się powiesić, niż ciągnąć to dalej. I jak Charon pomógł mu w samobójstwie, i mnie także pomoże, jeśli nie wezmę się w garść.

– I co?

– Lidia nie uciekała. Leżała tam, jeszcze żywa, w bagażniku, i jedyne, na co się zdobyła, to wyjęcie z torebki lalki. Przytuliła się do niej jak dziecko, dlatego mnie pytał o lalkę. Zaskoczył mnie, bo sam z siebie wyznał, że nie on ją... – Rudzki przełknął ślinę – ...dokończył.

– A kto ją – wycedził przez zęby Kruk – dokończył?

– Nie on. Był tylko jej Charonem.

Kruk myślał o tym wszystkim. Ktoś jednak zabił Rudzką. Aby pobić na śmierć kobietę, trzeba mieć do tego predyspozycje. Kruk pewnie by nie dał rady, tak samo jak Śliczny Czarek.

– Jak pan nazwał tę fobię?

– Pediofobia.

– Nie słyszałem o czymś takim.

– Ludzie boją się przedziwnych rzeczy. Większość fobii to wyolbrzymienie lęków, których wszyscy doświadczamy, tylko umiemy zachować właściwe proporcje. Jest strach przed klaunami, wyjściem z toalety...

– Spec od brudnej roboty, który boi się lalek?

– Tak, to nieprawdopodobne.

Może. Ale Kruk miał inną niezależną diagnozę, zadziwiająco zbieżną z tą Rudzkiego. Postawiła ją mała bystra dziewczynka. Nie użyła tak trudnego słowa jak pediofobia, ale wnioski miała podobne.

– Ludzie tworzą w głowie różne konstrukty – rzekł Rudzki. – Nigdy nie wiemy, co kryje umysł drugiego człowieka. Czy to istotne?

Zachowywał chłodny, analityczny dystans wobec śmierci żony. Wkręcił się w rozmowę. Pediofobia, konstrukty...

Kruk nie wiedział, czy to istotne. Chyba tak. Myślał, że mogło to być dość istotne, zwłaszcza gdy facet z wynaturzoną wyobraźnią niespodziewanie natknął się na lalkę w rękach kobiety, którą miał zabić.

A lalka była niezwykła. W połowie piękna, w połowie przerażająca. Jak zła królowa.

Kruk czekał blisko półtorej godziny w La Bagatela pod Hotelem Szydłowski i patrzył przez okno. Wypił trzy kawy. W międzyczasie zadzwonił Żyra z laboratorium, który sprawdził pięć losowo wybranych banknotów z plików znalezionych w sejfie Rudzkiej. Na żadnym nie znalazł śladów linii papilarnych Rudzkiego, ale nie miał czasu dłużej się tym zajmować.

Kruk mu podziękował. To już nie miało znaczenia. Rudzki sam się przyznał, że pieniądze na zakup obrazu otrzymał od Charona.

Pojawił się Marcin Zych, położył na stole laptopa i wskazał parkujący za szybą samochód Kruka. Psychiatra siedział na tylnym siedzeniu, wyglądał, jakby drzemał.

– Co on tam robi? Jesteś zawieszony, nie masz prawa zatrzymywać ludzi.

– To go przekonaj, żeby wysiadł. Nie pragnie być nigdzie indziej, chce do celi.

– Serio?

Kruk uśmiechnął się smutno.

– Miał bliskie spotkanie z Jackiem Wolnym.

Marcin też zamówił kawę. Pił ją małymi łykami i słuchał relacji Kruka. Wydawał się spokojny, ale to tylko pozory.

– Co ci, kurwa, odbiło? – Odsunął od siebie filiżankę. – Wzięłeś udział w porwaniu.

– Nadjechałem, gdy Rudzki wsiadał do limuzyny, robił to z własnej woli.

– Pamiętasz, że jesteś policjantem?

Kruk wgapił się w stół.

– Nic mu nie groziło. Wolny afiszował się prywatną bryką pod jego gabinetem.

– Tak?

– Tak. Pojechałem za nimi, żeby pogadać, a oni nie mieli nic przeciwko.

Marcin zaciskał zęby.

– Grozili Rudzkiemu torturami i ty, policjant, z nimi.

– Nikomu nie groziłem. A wchodząc do chlewu, byłem już zawieszony. – Kruk rzucił na stół komórkę, na którą dostał od Marcina SMS-a z decyzją komendanta.

– Wściekasz się, bo mam rację – powiedział Zych.

– I co, kurwa, z tego? Wyciągnąłem go w jednym kawałku, siedzi w samochodzie, nie skarży się.

– Sam też ryzykowałeś.

Zapadła cisza. Zych znowu sięgnął po filiżankę i dokończył kawę.

– Ze słów Rudzkiego wynika, że Charon dorwał Majewskiego przed sobotą – powiedział Kruk.

– Jeśli Rudzki mówi prawdę.

– Obstawiam, że mówi. W piątek rano komórka Majewskiego umilkła. Jeśli Charon miał w rękach Majewskiego, ten nie mógł przyjechać po Lidie.

– Zmusił go.

– Majewski miał być pijany. Pijany nie myśli racjonalnie, zawsze może mu coś strzelić do głowy, kiepsko prowadzi i delikwenta może zatrzymać drogówka. Nie puścisz go samego, musisz być ciągle przy nim, ale i tak to ogromne ryzyko, gdy jedziesz akurat kogoś zabić. Charon nigdy nie miał takiego zamiaru. Wedle słów Rudzkiego Charon zamierzał przyjechać po Lidie osobiście.

– Może zmienił zdanie, a Majewski wcale nie był pijany.

– Może jeszcze nie był. Może został zmuszony do picia później. Może nawet siedział w tym samochodzie, ale nie za kierownicą.

Kruk otworzył laptopa, którego Marcin na jego prośbę przyniósł z komendy miejskiej, i uruchomił odtwarzacz wideo. Włączył film z monitoringu restauracji Remzo. Lidia Rudzka właśnie otworzyła tylne drzwi samochodu i wsiadła, a Armin Glaser, wtedy jeszcze Emil Zasada, otworzył drzwi od strony kierowcy, który go odepchnął i odjechał.

Kruk nacisnął pauzę.

– Widziałeś? – powiedział.

– Co?

– Dwie rzeczy.

– Nie widzę żadnej.

– Raz, że Lidia wsiada na tylne siedzenie. Jeśli prowadzi jej kochanek, dlaczego usiadła z tyłu, jak do taksówki? Naturalnym odruchem jest usiąść z przodu, obok niego.

– Marcin nie wyglądał na olśnionego.

– A druga rzecz?

– Zaraz. Lidia zadzwoniła do Majewskiego przed wyjściem z restauracji. Majewski był już wtedy w rękach Charona, czekał w samochodzie niedaleko. Przymuszony mógł ją uprzedzić, że wypił kielicha, prowadzić będzie kolega, a on usiadzie z tyłu. Dlatego nie przestraszyła się Charona za kierownicą i usiadła, gdzie usiadła. Teraz druga rzecz. – Kruk ponownie puścił scenę odepchnięcia Glasera. – Majewski był chuchro, pijany i siedział. Glaser to mocny facet. A zobacz, jak odpłynął w tył.

– Ten, kto go odepchnął, nie był chuchro?

– Ten sam, który po zabójstwie wyrzuci zakrwawione zwłoki z bagażnika na drogę, gdzie je znajdziemy. Charon. Grimm. Gołąbek. Zwij go, jak chcesz. Odepchnął Glasera trochę za mocno. Widać go nie lubił, pewnie z wzajemnością, nic dziwnego, że wkrótce potem Paczulski go kropnął.

– A skąd tu Paczulski?

– Mówiłeś, żebym go nie lekceważył. Kto wyznaczył Paczulskiego na prowadzącego śledztwo? Musieli mieć kogoś, kto załata dziury w tej historii.

– Komendant.

Popatrzyli na siebie.

– Paczulski wyciął komuś niezły numer, wciągając cię do śledztwa – rzekł Marcin.

Kruk przez moment znowu był w piwnicy domu na Oruni, widział ciemność i idącego w tej ciemności faceta.

– To ja wyciąłem mu numer, bo nie dałem się zabić. Powiedziałem ci, że go ruszę, i zobaczymy, skąd nadejdzie odwet.

– I ruszyłeś? Bo nie zauważyłem.

– Robiłem, co mogłem.

Marcin popatrzył na Kruka.

– Powiedz mi, skąd przyszedł odwet, bo nie jestem pewny.

– Kto kazał mnie zawiesić?

– Komendant.

– Jednak układ istnieje.

Zapadła cisza. Marcin przecież rozumiał.

– Jest jeszcze coś – powiedział Kruk i położył na stole pendrive’a.

– Co to?

– Przeszukałem Rudzkiego i znalazłem to w wewnętrznej kieszeni jego garnitur. Przysięga, że to nie jego.

Marcin włożył pendrive’a do gniazda USB laptopa. Był tam tylko jeden plik wideo, nazwany „smierc.mpg”. Nietrudno było się domyślić, co zobaczą. Nachylili się nad stołem, aby zakryć ekran przed przypadkowymi spojrzeniami, i obejrzeni, co tam było. Marcin przymknął oczy. Gdy film się skończył, Kruk przesunął suwak odtwarzacza do początku i wznowił odtwarzanie.

– Wystarczy – powiedział Marcin. – Skąd Rudzki to miał?

Kruk pozwolił, aby obraz się przesunął.

– Wolny mu podrzucił.

– Kazał zabić Rudzkiemu żonę?

– Raczej dostał to jako demonstrację, do czego są zdolni pewni ludzie. Jak już zabijali młodą kobietę, co im szkodziło nakręcić film. W końcu zamierzali porwać Wolnemu córkę.

Zatrzymał. W tym ujęciu doskonale było widać lalkę w rękach kobiety skulonej w bagażniku. Przyjrzał się lalce, po czym wznowił odtwarzanie.

– Gdy zabójca bierze kamień, już jest pobita, ale żyje. I zabójca to nie Majewski. Ma na sobie żółty płaszcz przeciwdeszczowy, przymały, chyba damski, ale to męczyzna znacznie potężniejszy od Majewskiego.

– Jednak Grimm?

Kruk nie mógł powiedzieć Marcinowi, co myśli. Niektóre rzeczy brzmią

niedorzecznie, gdy się je ubiera w słowa.

– Patrz – powiedział, zatrzymując film. Na moment kamera oddaliła się od bagażnika, pokazując fragment otoczenia. Nie było tam nic szczególnego, kawałek betonu i odrapanej ściany. – To w każdym razie nie jest las.

– Gdzieś wjechali, żeby ją zabić.

– Dokładnie. Lidię Rudzką zabijano na raty w różnych miejscach.

Kruk ponownie wznowił bieg filmu. W końcowej scenie zabójca gwałtownie wyrwał lalkę z rąk umarłej i równie gwałtownym ruchem wrzucił ją do wnętrza bagażnika. Kruk myślał, że rozumiał, co wtedy czuł.

Marcin zamknął pokrywę laptopa.

– Pogadam z komendantem. – Rozważał coś w myślach. – Pojadę do niego od razu. A ty co chcesz robić?

– Zebrać dowody.

– Jesteś zawieszony.

Kruk podniósł swoją komórkę i zadzwonił.

– Dzień dobry – powiedział, gdy usłyszał zduszony głos w aparacie.

– Dzień dobry, komisarzy.

– Możemy się spotkać?

– Znowu? – Długa pauza. – Rozmawialiśmy niedawno. Czy to nie może poczekać?

– Może, pani Magdo, ale miejmy to z głowy.

– Mam przyjść na komendę?

– Jeśli pani polubiła to miejsce. Siedzę w La Bagatela we Wrzeszczu, może pani podjechać?

Usłyszał jej przyśpieszony oddech.

– Okoliczności są raczej tragiczne, a pan mnie zaprasza do kawiarni?

– To nie randka, pani Magdo. Zrozumie to pani, gdy zacznę zadawać pytania.

Jej oddech przycichł, stał się spokojniejszy.

– Za dwadzieścia minut – powiedziała.

Kruk odłożył komórkę.

– Zaprosiłem kobietę na kawę. To nie randka, ale mogę przecież rozmawiać z kobietami, nawet gdy jestem zawieszony?

– Czego od niej chcesz?

– Majnert powiedziała coś, co mnie od dawna nurtuje, i chyba wreszcie znalazłem właściwy kontekst.

– Uważaj na siebie.

– A ty uważaj na Rudzkiego, potrzebujemy go w sądzie. Zabieraj go z mego auta i przykuj do nogi biurka. – Kruk wykrzywił usta. Taki uśmiech bez wesołości. – Wiesz, żeby doczekał rozprawy.

– Kosztuje mnie pan mnóstwo straconego czasu – powiedziała Majnert, kiedy się podniósł na jej widok.

Kruk spojrział na zegarek w komórce. Miało być dwadzieścia minut, było czterdzieści. On mógł powiedzieć to samo o straconym czasie, ale zamiast tego tylko się uśmiechnął.

Nie pozwoliła, żeby postawił jej kawę. Nowoczesna, niezależna kobieta, której nie da się kupić za osiem złotych. W takim razie poprosił, żeby ona postawiła kawę jemu.

Zaskoczona potrząsnęła włosami i roześmiała się. Zrobiła to, a on ładnie podziękował.

To na moment przełamało lody, ale Kruk wiedział, że odprężenie się skończy, kiedy zada pierwsze pytanie. Zwlekał, ile się da, ale się w końcu odezwał:

– A więc to tak wygląda cała prawda, którą mi pani obiecywała?

Piła powoli kawę, nie nawiązując z nim kontaktu wzrokowego. Przyszła, tolerowała go i na nic więcej nie mógł liczyć.

– Co pan ma na myśli?

– Kradzież pieniędzy przez Lidię. Zataiła to pani przed Rudzkiem.

– Tak właśnie było.

– Ale komuś pani o tym powiedziała.

Jej filiżanka nieco głośniejsz stuknęła o spodeczek.

– Tak?

– Oczywiście.

Uniosła wzrok.

– Co z tego?

– Szkoda, że się pani nie podzieliła ze mną tym faktem.

– Nie uważałam, żeby to miało znaczenie.

– Komu pani powiedziała?

Zasłoniła się filiżanką. Gdy ją odstawiła na spodeczek, odparła:

– Emilowi.

Kruk nie powiedział nic. Popatrzył za szybę, na parkujący tam swój samochód, aby się upewnić, że już nie siedzi w nim Rudzki.

– Pani Magdo – powiedział. – Dlaczego Emil Zasada to dżentelmen?

Majnert zmarszczyła brwi.

– Pan mnie tu ściągnął służbowo czy prywatnie?

Nie odpowiedział. Może uznała to za potwierdzenie, może nie. Kruk nie mógł mieć pewności.

– I pytania zadaje pan jako policjant?

Wciąż milczał.

– Sprytnie.

– Niespecjalnie. Dziś w ogóle nie bywam sprytny, mógłbym zanudzić panią opowieścią o tym, jak mało jestem sprytny. Odpowie pani na pytanie?

– Ma doskonałe maniery.

– Tak jak i Tomasz Rudzki, ale on nie jest dżentelmenem.

– Rzeczywiście.

Patrzyła na niego, ale nic nie mówiła.

– Ułatwię pani. – Kruk westchnął. – Po przyjęciu na Uphagena Zasada odwoził panią do domu.

Zrobił taki gest, który oznaczał, że jej kolej dokończyć tę historię.

– Komisarzu – powiedziała cicho. – Czy ja się panu podobam? Bo zachowuje się pan...

– To nie jest ważne. Ważne jest, że Zasada podoba się pani. Czy wtedy, gdy panią odwoził, już się pani podobał?

– Tak.

– Facet jest bystry. Kręcił się przy pani przez resztę wieczoru, musiał to widzieć. Potem odwoził panią do domu i tyle?

– To dżentelmen.

– Właśnie.

Uniosła wzrok.

– Nie rozumiem.

– Uznał, że wypełni mu pani lukę po Lidii Rudzkiej, która dała nogę. Z panią było łatwiej niż z nią. Pani usiłowała mi wmówić, może nawet i sobie samej, że niepokoiła się pani o Lidie, bo Zasada jest niebezpieczny dla młodych kobiet. A ja myślę, że była pani zazdrosna. I oto ma pani go wreszcie dla siebie, obok siebie, w taksówce. Co się stało, że do niczego nie doszło?

Majnert stała się purpurowa na twarzy. Gdy się odezwała, brzmiała jednak spokojnie:

– A co miało się stać?

– Dwoje dorosłych, bez zobowiązań, lekko podpitych, chętnych, żeby się zabawić. Tacy wsiadaliście do taksówki. Czemu wysiadła pani sama, wciąż bez zobowiązań, ale smutna?

– Jest pan wściekły. Dlaczego?

– To ja zadaję pytania.

– Zaprosiłam go do siebie. Odmówił.

– Co powiedział?

– Osądza mnie pan? Uważa pan, że jestem łatwa.

– Nic podobnego, moje doświadczenie tego nie potwierdza. Co powiedział?

Oddychała głęboko, a potem przygryzła usta.

– Że bardzo pragnie wejść, ale moja uroda go jednocześnie onieśmiela i pobudza, więc mógłby zrobić coś niewłaściwego, czego będzie bardzo żałował. Nie chciał mnie obrazić zbyt śmiałym zachowaniem. Przyznał się, że zbyt mu na mnie zależy, aby ryzykować, że zepsuje coś większego, co mogłoby się zrodzić między nami.

– Wzruszające – warknął Kruk. – Co spowodowało tę tyradę?

– Naprawdę nie rozumiem, o co panu chodzi.

– Pani coś powiedziała, co go ruszyło, coś zobaczył, usłyszał, zadzwonił jego telefon?

Drgnęła.

– Tak. To była pomyłka.

– O wpół do drugiej w nocy?

– Co w tym dziwnego?

– Powiedział pani, że to była pomyłka?

– Powiedział tak do aparatu: „Pomyłka” i schował telefon.

– Nie odniosła pani wrażenia, że po tym telefonie stał się inny?

– Nie. Właśnie dojeżdżaliśmy do mnie.

– Dziękuję pani.

Kruk pomyślał o tamtym przyjęciu. Rudzki nie podejrzewa, kim naprawdę jest Zasada. Przecież Charon zlecił mu, by faceta skłonić do zwierzeń, nie może więc mieć z Charonem nic wspólnego. Nie wie, że to ich gra, że go osaczają, chcą być blisko, stale obserwują i oceniają postępy. Rudzki w ostatnim ludzkim odruchu przed opuszczeniem przyjęcia usiłuje wepchnąć Lidię w ramiona Zasady. Jeśli wyjdzie z Zasadą, nie zadzwoni po Majewskiego i Charon jej nie dostanie.

Sabotuje plan, który mają z Charonem, ale nie stać go na nic więcej. A Zasada, zwykle grzeczny i dbający o maniery, zachowuje się tak, żeby Rudzką jak najbardziej do siebie zniechęcić.

Żeby zadzwoniła do Majewskiego.

Kruk wstał, bo jeśli chodzi o dzwonienie, to właśnie dzwonił do niego Zych. Przeprosił Majnert i odszedł na bok.

– Rozmawiałem z Wojtkiem – odezwał się Marcin. – Masz wolną rękę i chwilowo nie jesteś zawieszony.

Kruk nie wierzył. Przedstawił jedynie poszlaki i podejrzenia, nie było tam nic rozstrzygającego, aby rzucić się otwarcie na agenta Interpolu.

– Co go przekonało? To, że Glaser podał rysopis człowieka, który nie siedział za kierownicą audi?

– Nie uwierzysz. Przestraszył się, jak powiedziałem, że uważasz, że to za namową Glasera wyznaczył Paczulskiego do śledztwa.

– Co w tym takiego?

– Raz, że to prawda. Dwa, trzęsie portkami, bo facet go zauroczył i Wojtek

dopuścił Glasera do kilku poufnych spraw. Przedstawił go ważnym ludziom i jeśli to bandyta, komendant ma przejebane. Ustal, po czyjej stronie jest ten facet. Jeśli jest winny, musi to wyjść od komendanta, żeby zachował twarz.

– A jeśli się mylę?

– Wszystko pójdzie na ciebie. Wylecisz.

– Trzeba działać ostrożnie, założyć obserwację...

– Nic z tego, Wojtek przy mnie do niego zadzwonił, powiedział mu o twoich podejrzeniach. Glaser jest w Kopenhadze, lata tam dwa razy w tygodniu. Zatrudnia go Londyn, ale mieszka w Danii.

– Kurwa, facet nie wróci z Kopenhagi.

Usłyszał w aparacie daleki śmiech Marcina.

– Rzeczywiście, Glaser miał wracać dziś wieczorem, ale nagle coś mu się przedłużyło. Jeśli ma brudne sumienie, lepiej, żeby nie wracał. Wojtek musi mieć czas posprzątać bałagan.

Majnert ze swojego miejsca patrzyła na Kruka ze zniecierpliwieniem. Kruk też zaczynał się niecierpliwić. Nie miał czasu, musiał zdążyć na spotkanie z inną kobietą, a w obecnej sytuacji kobieta mogła się już pakować.

– Chcę dwie mocne załogi – rzekł Kruk. – Wchodzimy jednocześnie na dwa kwadraty. Potrzebuję kwitów.

– Będą wystawione, zanim dotrzecie na miejsce, gdziekolwiek to jest.

Kruk wrócił do Magdy Majnert.

– Czy pana pytania na pewno wiązały się z zabójstwem Lidii? – powiedziała z naganą.

– Pytała pani, czy jestem tu służbowo. Tak, teraz jestem tu służbowo, ale chciałbym coś powiedzieć prywatnie. Facet, z którym się pani umawia, zatłukł na śmierć Lidię Rudzką. Niech pani uważa, z kim pani chodzi na randki.

Weszli do biura firmy Glasera i dopadli do komputerów, żeby nikt nie zdążył ich zablokować. Mała księgowka rzuciła się na Kruka z pazurami, pytając o nakaz. Była tak agresywna, że komisarz kazał ludziom ją uspokoić. Pytał o Julię Rosę, ale nie dostał odpowiedzi. Był tam jeszcze szczupły młody człowiek. Patrzył na funkcjonariuszy, którzy zaczynali przetrząsanie szaf z dokumentami, nerwowo spoglądał na księgową. Kruk wyprowadził go na korytarz, poza jej wzrok, i tam wypytał.

Pracował w biurze ubezpieczeniowym na tym samym piętrze, a Rosa zeszła do restauracji na parterze zjeść obiad. Kruk miał złe przecucia. Spóźnił się, miała dość czasu, by zniknąć, i już jej nie dostanie.

Ale była tam, na końcu sali. Właśnie wstawała. W pośpiechu zdjęła torebkę z oparcia krzesła, w drugiej ręce trzymała komórkę. Zwróciła się twarzą do wyjścia i od razu zobaczyła Kruka, który szybko zmierzał w jej stronę.

Rozejrzała się. Błyskawicznie podjęła decyzję.

Nagle przestało się jej śpieszyć. Usiadła, schowała telefon do torebki, pomachała mu ręką. Śmiała się. Kruk spokojniejszym krokiem przeszedł szpalerem między stolikami i usiadł. Miała na talerzu wegański makaron ze szpinakiem.

– Nie posmakowało? – spytał.

– Takie sobie, ale może jednak dokończę.

Kruk dał znak nadchodzącej kelnerce, że szkoda jej fatygi.

– Kto dzwonił? – Wskazał torebkę, w której zniknął telefon.

– A ktoś dzwonił? – Posłała mu promienny uśmiech.

– Opowiedz mi jeszcze raz o tej nocy z soboty na niedzielę, kiedy Emil do ciebie przyszedł prosto z przyjęcia.

– Żartujesz, prawda? – spytała. – Wiesz, że to nie żaden Emil. Ja też już wiem.

– Na pewno wiesz. Niech będzie Armin. Podobnie.

– No i co jeszcze chcesz wiedzieć, komisarzu?

– Coś więcej oprócz jego imienia.

Zanurzyła widelec w spaghetti, obróciła go zwinnym ruchem nadgarstka i nie brudząc się wcale, elegancko wsunęła do ust.

Odezwała się dopiero po chwili:

– Mówiłam ci, że przyszedł i poszliśmy do łóżka. Mało ci? Chcesz znać pozycje?

– Tak.

Był poważny, a ona wciąż rozbawiona.

– Świntuch.

– Opowiedz mi po kolei. Każdą chwilę waszego spotkania. Co do siebie mówiliście, co miałaś na sobie i co on miał, i jak to z siebie zdejmowaliście. Interesuje mnie każdy detal, minuta po minucie.

Rozchyliła lekko usta, musnęła je końcem widełca. Widelec był ostry, ale jej zęby bardziej.

– Ty naprawdę chcesz wiedzieć.

– Ale najpierw zjedz – powiedział. – Bo ci wystygnie.

Tym razem makaron ubrudził jej brodę i starła odrobinę szpinaku serwetką.

– Przyszedł około godziny...

– Posłuchaj – przerwał jej Kruk. – Przetrząsamy wasze biuro. Prosto z tej restauracji zabieram cię na komendę. Oskarżę cię o matactwo i współudział w zabójstwie. Będę zadawał pytania. Jeśli odpowiesz, porównamy twoje kłamstwa z tym, co nam nakłamię Glaser, o ile go jeszcze zobaczymy. Sprawdzimy, jak dobrze jesteście przygotowani. – Kruk sądził, że nie są przygotowani zbyt dobrze. Dziury w alibi Glasera miał załatać prowadzący śledztwo Paczulski. – Jeśli odmówisz składania wyjaśnień, wystąpimy o tymczasowe aresztowanie. Sprawdzimy monitoring miejski w Sopocie, zamiast się ograniczać do Gdańska, rozpytamy ludzi w okolicy twojego domu, wykonamy całą policyjną robotę, której nie zrobił Paczulski. Aha, nie wspominałem, że w tej chwili dokonujemy przeszukania twojego domu w Sopocie.

Już się nie śmiała. Patrzyła na niego uważnie.

– Armin jest agentem Interpolu – powiedziała. – Wreszcie mi się do tego przyznał. Nie o wszystkim wiesz.

– Kłamał w sprawie o zabójstwo. Celowo wprowadził w błąd funkcjonariuszy polskiej policji, podobnie jak i ty. Dam ci szansę: powiedz prawdę, a wyjdiesz z tego bez szwanku. Nie zależy mi na tobie.

– Może to błąd – powiedziała.

Wzruszyła ramionami i zabrała się za spaghetti, jakby przestraszona, że Kruk dokona zatrzymania, zanim skończy jeść.

Była naprawdę ładną kobietą, z długimi rudymi włosami opadającymi do ramion, doskonałą cerą, ustami nieskażonymi botoksem. Mimo urody, miała w sobie coś trudnego do uchwycenia, co niwelowało jej urok. Może chodziło o twardość rysów, o zbyt sztywną postawę.

– Co mi proponujesz? – spytała w zamyśleniu.

– Pomóż mi udowodnić udział Glasera w zabójstwie, a gwarantuję ci wolność.

– Wciąż jestem wolna.

– Byłaś.

Uniosła na niego wzrok, nachyliła się w jego stronę. Momentami przygryzała widelec, niemal łaamię sobie na nim zęby.

– O jakim udziale Armina mówisz? – Jej oczy lśniły, malowało się w nich zaciekawienie.

– Bezpośrednim.

– Myślisz, że to Armin zabił?

– Nie zrobił tego Charon. Wycofał się w trakcie. Pewnie wiesz, że miał swoje słabości.

Rozkosznie zmrużyła oczy.

– Był kompletnym pojebem – przyznała.

– Coś poszło nie tak, prawda? Inaczej tamtego wieczora Glaser nie odpuściłby Majnert i miałyby solidne alibi, nie takie gówniane jak z tobą. Nie musiałyby wykorzystywać Paczulskiego do spierdolenia śledztwa i przymykać oka na jego prywatną grę ze mną.

– Zręcznie to wymyśliłeś – powiedziała.

– Twój bandzior się nie wywinie, choć jest z Interpolu.

Nachyliła się mocniej, stolik był dość krótki, miał jej lśniąco oczy tuż przed swoją twarzą.

– Może ja to zrobiłam? – szepnęła.

– Nie zrobiłaś. Dałaś mu swój płaszcz przeciwdeszczowy, może filmowałaś. Wolny wyciął wam niewiarygodnego figła, bo facet, który nigdy nie rozmawiał z policją, podarował mi film z zabójstwa.

Zbladła.

Pogłaskała go po dłoni, którą trzymał na blacie stołu. Miała przyjemną skórę, gładką, ciepłą. I te pełne blasku oczy wpatrzone w niego. Kruk zapatrzył się w ich głębię.

Uderzenie było błyskawiczne. Nie zauważył ruchu jej drugiej ręki ani tego, jak widelec przybija jego dłoń do stołu. Poczul ból i przed oczami zrobiło mu się białe, szarpnął się, szarpnął ręką, zobaczył widelec, poderwał się, ale dłoń pozostała na stole.

Wolną rękę wystrzelił przed siebie. Rosa zdążyła już wstać, przewracając krzesło, odchylając się i usiłując obrócić. Chwycił jej rude włosy, zacisnął na nich palce i szarpnął, aby ją zwalić z nóg.

Ale ona już biegła do drzwi. Ruda peruka została mu w dłoni, a czarnowłosa, krótko ścięta kobieta wybiegła z restauracji. Kruk rzucił perukę na podłogę, słysząc, jak jakaś inna kobieta piszczy przerażona, i kątem oka widział, jak pokazuje go palcem. Chwycił rączkę widelca i szarpnął, ale ból go obezwładnił, bo widelec nie puścił, tylko zmienił położenie, więc Kruk szarpnął jeszcze raz, spuścił widelec na podłogę i rzucił się do drzwi, czując krew spływającą mu po palcach.

Znalazł się na dworze, Julia Rosa zniknęła.

– Kurwa – zaklął Kruk. – Ty kretynie.

Czuł się jak kurczak, którego lis strzelił w pysk rudą kitą.

Zadzwoił telefon.

– Znaleźliśmy coś, panie komisarzu – usłyszał głos funkcjonariusza. – Zdjęcia.

Na zapisach z dwóch kamer monitoringu miejskiego w Sopotcie udało się zidentyfikować audi Majewskiego. Uchwycono je w noc zabójstwa Rudzkiej w godzinach druga trzynaste i druga pięćdziesiąt dwie, gdy samochód najpierw jechał w jedną, a potem w drugą stronę, a więc w tym czasie, gdy według danych lokalizacyjnych telefonów komórkowych Rudzkiej i Majewskiego komórki znajdowały się w lesie za Gdańskiem. I wtedy, gdy Zasada bawił już w Sopotcie.

Kruk był pewien, że komórki naprawdę leżały w lesie. W lesie leżał też Majewski. Ale on był już martwy, a komórki to nie ludzie.

Wytoczył przypuszczalną trasę, jaką trzeba by pokonać, aby przejechać z lasu pod Otominem do domu Julii Rosy. Kamery znajdowały się po drodze.

Myślał o tym, co stało się w lesie. Lidia i Majewski powinni zostać znalezieni martwi nad ranem. Majewski nie miał kontaktu z Wolnym już drugi dzień, scena zbrodni powinna zostać odsłonięta jak najszybciej, żeby Wolny nie zaczął za dużo myśleć. Grimm zadzwonił do Zasady, informując go, że nie udało mu się zmusić Majewskiego do zabójstwa. Nie mógł go fizycznie przymusić, na ciele Majewskiego nie mogły pozostać ślady.

W sumie – żaden problem. Zasada każe mu osobiście dokończyć robotę.

I przeżywa największe zaskoczenie swojego życia. Facet od brudnej roboty odmawia.

– Obecność samochodu w Sopotcie niczego nie dowodzi – powiedział Marcin Zych. – To rzecz do wyjaśnienia, ale żaden dowód.

Jakby Kruk tego nie wiedział.

Ale mieli nagranie z zabójstwa. A ściana pomieszczenia, w którym go dokonano, była obdarta. Nie ma dwóch ludzi, którzy mają takie same linie papilarne, i nie ma dwóch identycznie obdartych ścian. Gdy porównano wzór obdartej farby ze ścianą na filmie ze ścianą z garażu domu Julii Rosy, nie było wątpliwości, że tam dokonano zabójstwa.

Glaser wciąż nie wrócił do Polski. W Kopenhadze zatrzymywały go ważne sprawy.

Kruk miał trochę poszlak, podejrzeń i dowody, dla niego przesądzające sprawę, ale wciąż budzące wątpliwości u innych. Nadal oficjalnie nie wniesiono przeciw Glaserowi zarzutów.

Glaser żył na wolności. Wciąż był agentem Interpolu.

Prasa rozpisywała się o Grimmie, ukazały się nawet jego zdjęcia, i pewnego dnia

z policją skontaktował się menedżer jednego z gdańskich hoteli. Olivier Charon wynajmował tam pokój. Policjanci przyjechali i zabezpieczyli jego rzeczy osobiste, a także należącego do niego mercedesa.

Kruk przejrzał zabezpieczone rzeczy. Nie znalazł nic, co miałoby znaczenie dla sprawy.

Prawie nic.

Grimm woził ze sobą mały album, a w nim kilkanaście starych zdjęć. Były to wyłącznie zdjęcia z dzieciństwa i na żadnym nie było Grimma.

Była za to dziewczynka. Na większości zdjęć szczęśliwa i uśmiechnięta. Na kilku wyraźnie chora.

Na jednym jedynym zdjęciu dziewczynka siedzi na łóżku, a w ręku trzyma lalkę. Lalka jest szmaciana, tylko głowę, ręce i stopy ma wykonane z materiału, który bardzo przypomina ludzką skórę.

Kruk nie miał pojęcia, co czuł Grimm, kiedy zobaczył identyczną lalkę w rękach Lidii Rudzkiej. Ale wiedział, co czuł Glaser, kiedy musiał sam załatwić za Grimma robotę z powodu, który nie mieścił mu się w głowie.

Krukowi też się nie mieścił.

Pokój był przestronny i przyjemny, z oknem balkonowym wychodzącym na ogród. To okno było uchylone, wnikające do środka powietrze wydymało firanki, przynosząc zapach jesieni.

Krystyna Bielińska powitała Kruka w sukience w kwiaty. Wydawała się tym skrzępowana. Nie uprzedził, że przyjdzie, i oto zaskoczył ją, jak usiłuje udawać, że nic się nie stało i można wciąż zakładać kolorowe sukienki.

– A Salomon? – spytał.

– Zostawił mi dom. Za dwa tygodnie wypływa, do tego czasu zainstalował się w hotelu.

Jej głos niczego nie wyrażał, ale wyrażała coś ta sukienka. Założona na posiniaczone ciało, odsłaniająca pokaleczone ramiona i nogi. I ta twarz, po uderzeniu Paczulskiego wciąż napuchnięta.

Zapytała o opatrunek na rękę. Coś jej odburknął. Posadziła Kruka przy stole nakrytym grubym ciemnym obrusem. Wzbraniał się, ale i tak kazała mu nigdzie się nie ruszać, tylko czekać, aż ona zaparzy herbatę. Kruk wolałby kawę, ale nie ośmielił się o tym wspomnieć. No to czekał, układał w głowie różne sprawy, a potem dalej czekał.

Gdy Krystyna wróciła, niosła tacę z dzbankiem i dużymi filiżankami, ale nie była sama. Za nią szła Monika, też w sukience, choć w bardziej stonowanych kolorach. Kruk wstał. Przywitali się, herbata spłynęła do filiżanek. Siedzieli we trójkę przy stole. Ten dom, panujący tu spokój, wszystko to przez chwilę sprawiło, że Kruk rzeczywiście poczuł się tak, jakby nic się nie stało.

– Wszystko dopiero przed nami – odezwała się Bielińska. – Ten sukinsyn zeznaje, że to on był w ich związku ofiarą. Monika nie ma odwagi pojechać do mieszkania po więcej rzeczy. Boi się, że on tam będzie.

– Wciąż się bunkruje w szpitalu – rzekł Kruk.

– W każdej chwili może wrócić do domu. Prawo jej przed nim nie chroni.

Monika piła herbatę, ledwie muskając filiżankę ustami, czasem spoglądała przez okno na ogród.

– Przeze mnie wy też macie kłopoty – powiedziała cicho.

– Mamy kłopoty, bo jesteśmy, jacy jesteśmy – warknęła Bielińska. – Ty nie masz z tym nic wspólnego.

– Macie kłopoty przeze mnie, a ja nie mam siły, żeby z nim walczyć. Nigdy tego nie potrafiłam.

– Nie wrócisz do niego. – Bielińska pokręciła głową. – Po moim trupie.

– Wy go nie obchodźcie, chce tylko mnie. Jeśli uda się go przekonać, że przestaniecie się wtrącać, może da wam spokój.

– Słyszysz, co ona gada? – Bielińska zwróciła się do Kruka.

Kruk nachylił się nad stołem i powiedział najspokojniej, jak potrafił:

– Strzeliłaś do niego, Monika. Nie da się wrócić do przeszłości i nic nie będzie już takie samo. On zawsze będzie miał z tyłu głowy, że jesteś w stanie go zabić.

Monika drgnęła.

– Kriss mi powiedziała.

– Co?

– Powiedziałeś jej mężowi, że tylko jedna osoba na świecie może mi pomóc w mojej sytuacji. Ja sama. Chciałaś, żeby Kriss mi dała odwagę. Żeby wzięła sprawy w swoje ręce.

Kruk się wyprostował.

– Myślałem o separacji i sprawie w sądzie, nie o strzelaniu do faceta.

– Naprawdę? Jesteś tego pewny?

Kruk nie odpowiedział. Wolał nie zastanawiać się, co nim kierowało, ani dlaczego w decydującym momencie ją powstrzymał. Nie miał nawet pewności, czy dobrze zrobił. Chciał wyrwać ją z piekła. Była jedną z tych istot, które czynią świat piękniejszym i sprawiają, że warto w nim żyć.

Widział w niej coś, czego nie widział w sobie. Światło. Gdyby zabiła, choćby kogoś takiego jak Paczulski, światło na zawsze by zgasło.

– Jak będziesz się czuła na siłach, pojedźcie po twoje rzeczy. Nie musicie się śpieszyć.

– Damian...

– Nim bym się nie przejmował. Damian to już historia.

Bielińska przygryzła strop na ustach.

– A to ciekawe.

– Damiana zostawcie mnie. A skoro o nim mowa...

Kruk zadał Monice kilka pytań o Paczulskiego, o ostatnie miesiące ich życia. Nie były specjalnie istotne, może mógł jej tego oszczędzić, ale odpowiedziała bez oporów.

Bielińska przyglądała się temu podejrzliwie, milczała. Nie naciskała, gdy Kruk się pożegnał i ruszył do drzwi. Poszła za nim, jednak nie wyszła na dwór. Pozostała w środku, w tej swojej sukience w kwiaty, skąpana w bezpiecznym cieniu, jaki dawał dom.

– A co z tobą? – spytał Kruk.

– Gdy znowu zacznę wyglądać jak człowiek, rozejrzę się za nową pracą. – Mówiła jak ktoś pogodzony z losem, ale to tylko złudzenie. – Spójrz na mnie, Kruk. Może mi podpowiesz, kim mogę być, skoro przestaję być policjantką.

Kruk wszedł do dwuosobowej sali, gdzie tylko jedno łóżko było zajęte. Pólsiedział na nim Paczulski i oglądał telewizję. Był bez góry od pizamy, część ramienia miał zabandażowane. Był mocno zbudowany, choć nie tak jak Glaser.

– Przyniosłem ci soczek.

Kruk postawił na szafce przy łóżku litrowy karton soku jabłkowego. Najtańszy, najbardziej podły, jaki znalazł w markecie.

Paczulski nie odpowiedział. Głowę miał zadartą, wpatrzoną w ekran na ścianie. Kruk wyłączył telewizor z kontaktu. Ekran zgasł, ale Paczulski dalej się tam gapił, jakby telewizor wciąż grał.

– Bardzo się nad sobą trzęsiesz – powiedział Kruk. – To tylko skaleczenie.

– Lekarz pozwolił mi iść do domu, jeśli ktoś się tam mną zajmie.

– No to pech.

Kruk podsunął sobie stołek i usiadł. Ostatni raz siadał tak przy szpitalnym łóżku, kiedy odwiedzał pewnego bandziora, który prawie doprowadził do śmierci Kruka. Ludzie siedzieli przy szpitalnych łóżkach, odwiedzając bliskich, bo ich kochali. Kruk miał inaczej.

Paczulski końcem brody usiłował poprawić opatrunek na ramieniu. Cicho westchnął, obrzucił Kruka obojętnym spojrzeniem.

– Jak się czuje Monika?

– Troskliwy jesteś.

– Mam nadzieję, że dobrze.

– Nie ma cię przy niej, więc z każdym dniem czuje się lepiej. Zamieszka z Kryską. Nie zbliżaj się do nich, bo cię dziewczyny odstrzelą.

Paczulski spojrział z wdzięcznością.

– Cieszę się, że Kriss się nią zajęła do mojego powrotu.

– Zamierzasz szybko wrócić?

– Adwokat każe mi tu jeszcze posiedzieć, zrobię mu tę przyjemność.

– Adwokat ci się przyda.

– Uważa, że bezprawnie mnie skułeś.

Kruk nachylił się i szepnął:

– Uratowałem ci życie, a ty pobiłeś funkcjonariuszkę policji. Trochę wdzięczności, kurwo.

– Nie mnie ratowałeś. A ja się tylko broniłem. Pijana groziła mi bronią.

– Przy drzwiach rzuciłeś się na nią z łapami.

– Ona tak mówi. A gdyby nawet, co z tego?

Kruk znał linię obrony Paczulskiego. Nie zamierzał się z nim spierać.

– W czepku urodzony – powiedział ostrożnie. – Takim jak ty wszystko uchodzi na sucho, co?

Zapadła cisza. Paczulski stracił ochotę do dalszej rozmowy.

– Myślałem, że mi pomożesz ze śledztwem – rzekł Kruk.

– Śledztwo jest zakończone. Została biurokracja.

– Kto naprawdę zatłukł Lidię Rudzką?

Paczulski w oczach miał cement.

– Majewski.

– Żałuję, że nie ty. To uprościłoby wiele spraw, ale rozmawiałem z twoją żoną i dała ci alibi na tamtą noc.

– Myślałeś, że jeśli ty będziesz pytał, nie zechce ci sprawić przykrości?

– Szkoda, jedno małe kłamstwo i świat stałby się przyjemniejszy. Za to odebrałeś tamtej nocy telefon.

To dopiero było kłamstwo. Monika nie pamiętała, czy ktoś wtedy dzwonił. Damian był z nią na pewno, słabo spała, budziła się w nocy kilka razy, nie mogłby nigdzie wyjść bez jej wiedzy. Ale telefonu nie pamiętała.

– Co z tego?

– Pewnie pomyłka.

– Pomyłka.

– Grimm nie powiedział, po co chce cię wyciągnąć z domu? Szkoda, że nie wiedziałeś. Tłuc kobietę po twarzy, aż umrze. Całe życie czekałeś na taką okazję.

– Nie znałem Grimma, dopóki go nie zabiłem, żebyś ty mógł żyć.

Kruk pokręcił głową.

– Liczysz, że cię Glaser wyciągnie? Wiesz, że facet wyjechał i nie chce wrócić do kraju? Mogę wprowadzić cię w szczegóły, w końcu razem pracujemy.

Paczulski obserwował Kruka ze spokojem. Kruk opowiedział mu o tym, co miał na Glasera, i o tym, kto jego zdaniem siedział za kierownicą audi pod restauracją.

– Więc to dlatego pytałeś, czy Grimm do mnie dzwonił – powiedział Paczulski. Wiadomość, że Glaser znalazł się pod lupą, jakby go trochę zaniepokoiła.

– A ty nakłamałeś, że go nie znasz.

Kruk sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął grubą kopertę i rzucił na pościel.

Paczulski otworzył ją bez pośpiechu. Wyciągnął plik zdjęć, które policja znalazła podczas przeszukania biura Glasera. Przedstawiwały Grimma i Paczulskiego pogrążonych w rozmowie w parku Oliwskim. Zdjęcia były robione z ukrycia, na jednej fotografii wykonanej pod dziwnym kątem zachował się palec osoby robiącej zdjęcie. Szczupły kobiecy palec wskazujący zakończony pomalowanym na rudo paznokciem.

– Wewnętrzni, prokuratura, komenda – powiedział Kruk cicho. – Wszystkim

opowiedziałeś, że nigdy wcześniej nie spotkałeś człowieka, którego zabiłeś.

Paczulski zrobił się błąd. Nie odrywał wzroku od zdjęć.

– Niewdzięczny ten Glaser – rzekł Kruk. – A ty tyle dla niego zrobiłeś. Przesłuchując go, byłeś ostry, elegancko eksponując jego alibi. W rozmowie z Rudzkim dbałeś, żeby nie wygadał za dużo. Sam był zdziwiony, myślał, że jesteś nieudolny, ale przecież nie jesteś. Glaser nie ufał nie tylko Grimmowi, ale także tobie. Wyobrażam sobie, że Grimm musiał umrzeć, bo nie zabił Rudzkiej.

– Wyobrażasz sobie – powiedział Paczulski przez zaciśnięte zęby. – Twoja wyobraźnia to skarb.

– Chętnie to załatwiłeś dla Glasera. Bałeś się Grimma, był niebezpieczny. Monika mówi, że trzymałeś przy łóżku pistolet.

Imię żony w ustach Kruka sprawiło, że Paczulski spojrział z wściekłością. Wciąż reagował tak samo, miło było patrzeć.

– Bo dlaczego ja miałem umrzeć, to rozumiem, po to mnie wciągnąłeś do śledztwa.

– To fotomontaż – powiedział Paczulski, wskazując zdjęcia.

– Myślałeś, że macie układ, przykro mi.

– Gównu ci przykro.

– Fakt, nie jest mi przykro ani trochę. Przyklepią ci parę spraw, zwłaszcza zabójstwo z premedytacją Grimma.

Paczulski otworzył oczy szeroko. Czekał.

– Ale jeśli pomożesz mi udowodnić, że Glaser zabił Rudzką, ja się odwdzięczę.

Paczulski pokręcił głową. Był pokonany i wiedział o tym.

– Nie pomogę ci w niczym.

Kruk krzyknął na korytarz. Do pokoju weszło dwóch umundurowanych policjantów. Poważni, mieli sądowy nakaz aresztowania Paczulskiego, ale niepewnie patrzyli na jego obandażowane ramię.

– Nic mu nie jest – powiedział Kruk. – W areszcie się nim zaopiekują.

Pozwolili Paczulskiemu się ubrać. Gdy go wyprowadzali z rękami skutymi na plecach, Kruk pomyślał, że może z facetem trzeba po dobroci. Niektórzy tak mają, że nie da się ich niczym ruszyć, ale robią się ludzcy, gdy się ich po ludzku poprosi.

Kruk chwycił Paczulskiego za zabandażowane ramię:

– Pomóż mi, jesteś mi to winien. Pomogłem w kłopotach twojej żonie.

Kruk nabrał zwyczaju chodzenia do parku Reagana. Zaglądał tam o różnych porach dnia, jeśli akurat miał wolne. Czasem pojawiał się w niedzielę.

Oczywiście było to głupie. Prościej było przejść się Monciakiem w Sopocie, zajrzeć do Galerii Magdy Majnert i zapytać o byle co.

Kruk lubił proste rozwiązania i pewnego dnia tak właśnie zrobił. Powitała go młoda energiczna dziewczyna, którą zapytał o właścicielkę. Majnert była obecna, wyszła z biura za ścianą i nawet podała Krukowi rękę, co okazało się szczytem bliskości, na jaki mógł liczyć. Chwilę rozmawiali o sztuce, o Szymańskim, którego obrazy przestały się sprzedawać. Nie zapytała o śledztwo. Domyślał się, że śledziła media.

Zapadła krótka chwila ciszy i spytała, czy jest mu jeszcze potrzebna, bo przygotowuje rozliczenie dla księgowości. Podziękował za jej czas, a gdy go mijala, poczuł perfumy i coś jeszcze, coś bardzo delikatnego. Zapach, którego nie dało się pomylić z żadnym innym.

Od tego dnia przestał o niej myśleć, ale zwyczaj chodzenia do parku pozostał. Spotkał ją tam tydzień później. Zaskoczyła go, bo sama do niego podeszła. Spacerowali parkowymi uliczkami, prowadząc ostrożną rozmowę o niczym, weszli na nadmorski deptak, a stamtąd na plażę. Była końcówka października, fale napływały na piasek z głośnym szumem i przestali rozmawiać.

Wrócili do parku.

– Mogę o coś zapytać? – powiedziała, schodząc z drogi trójce biegnących dzieci.

– Proszę.

– Czy został aresztowany?

– Nie – odparł Kruk.

– Wciąż go szukacie...

Tak, formalnie policja szukała Armina Glasera.

Paczulski dogadał się z prokuraturą. Piętnaście zamiast dwudziestu pięciu lat więzienia albo i dożywocia. W zamian poszedł na coś, co wszyscy poza Krukiem uznali za współpracę.

Przyznał, że czasem wykonywał polecenia Armina Glasera, sądząc, że jest agentem Interpolu, i gdy zorientował się, że Glaser działa nielegalnie, zabrnął za daleko, by się wycofać. Złożył obszerne wyjaśnienia dotyczące zabójstwa Lidii Rudzkiej. Miał dowiedzieć się o nim dopiero po fakcie, gdy dostał zlecenie przykrycia śladów. Owszem, Gołąbek dzwonił do niego w noc zabójstwa i próbował go

wyciągnąć do jakiejś roboty, ale nie wyjawiał, o co chodzi, a Paczulski odmówił.

Potwierdził przebieg wydarzeń, który Kruk już znał. Śliczny Czarek i Lidia Rudzka zostali wywiezieni do lasu pod Otominem. Czarek został zmuszony do pobicia Lidii, ale nie był w stanie jej zabić. Ostatecznie zawisł na drzewie, a Gołąbek zawiadomił Glasera, że ma wciąż żywą kobietę w bagażniku, i odmówił zabicia jej własnoręcznie. Paczulski nie znał motywów tej odmowy.

Glaser był wściekły, bo musiał dokończyć robotę sam. Na jego polecenie Gołąbek przywiózł półżywą Rudzką do garażu domu Julii Rosy w Sopocie. Gołąbek nie był obecny przy egzekucji. Zabrał samochód, gdy było po wszystkim, wywiózł zwłoki na obwodnicę i pozostawił samochód w lesie.

Glaser, oficjalnie agent Interpolu, wpłynął na komendanta komendy wojewódzkiej, aby swoimi kanałami sprawił, że śledztwo dostanie Paczulski. Z kolei Paczulski wciągnął do śledztwa Kruka, bo rzekomo Glaser Kruka też chciał skaptować. Gdy jednak Gołąbek kazał Paczulskiemu zwabić Kruka do domu na Oruni, Paczulskiego coś tknęło. Przyjechał w ostatniej chwili, aby uratować Krukowi życie.

Fakty i zmyślenia przeplatały się, tworząc jedną opowieść i utwierdzając Kruka w przekonaniu, że prawda jest czymś bardziej nieuchwytnym niż sny.

W tej opowieści ani razu nie padło nazwisko Łaszewski, nie było też wzmianki o większej inwestycji w mieście. Rudzka i Majewski zginęli, by chronić Tomasza Rudzkiego, który potrzebny był Glaserowi, aby wpływać na Jacka Wolnego. Próba wymuszenia sprzedaży nieruchomości na Jacku Wolnym zainteresowała prokuraturę, ale nikt nie chciał dopatrzeć się szerszego kontekstu całej sprawy.

Wezwany na świadka Jacek Wolny przyznał, że był obiektem nacisków, ale wraz ze śmiercią Charona naciski się skończyły. Zapytany o Emila Zasadę, zainteresował się, kto to jest i dlaczego miałby go znać.

Kruk nie prowadził tego przesłuchania, ale był przy nim obecny, jak kiedyś, przed laty, tylko że teraz za lustrem weneckim. Widział, jak Wolny, pozorując próbę skojarzenia człowieka, o którego go pytano, umiejętnie pociągnął za język przesłuchującego go oficera.

Kruk dostrzegł spokój w jego oczach, gdy zrozumiał, że pytany jest o człowieka, który wydawał rozkazy Charonowi.

„Wie pan, czego chcę”, powiedział nie tak dawno Wolny do Kruka.

Kruk wyobraził sobie, jak po złożeniu zeznań Wolny wraca do pustego domu, wchodzi do salonu, podchodzi od barku i nalewa sobie kieliszek koniaku.

Nie moja wina, pomyślał komisarz.

– Złapiecie go? – Głos Majnert nadpłynął z oddalenia i Kruk uświadomił sobie, że od kilku długich chwil idą w milczeniu.

– Nie, ale niech pani nie czeka. On nie wróci.

Glaser zniknął, zanim przedsięwzięto przeciw niemu formalne kroki. Interpol nie zdążył go nawet zawiesić. Niedawno pojawił się wreszcie europejski nakaz aresztowania Glasera, ale Kruka to już nie obeszło.

Bardziej obchodził go los Paczulskiego. Częścią ugody z prokuraturą stała się sprawa zarzutów wobec Kruka: komendant Sarzyński uczestniczył w rozmowach z ramienia policji i zadbał, aby Paczulski je wycofał. Zamieciono pod dywan użycie broni przez Monikę oraz rajd z bronią Bielińskiej. Miało to swoją cenę. Monika zobowiązała się, że także nie wniesie sprawy.

Kruk najpierw się wściekł, potem – im dłużej o tym myślał, tym bardziej przyznawał Sarzyńskiemu rację. Tak było lepiej dla Moniki: uciąć koszmar, nie wikłać się w proces, zacząć życie od nowa. Paczulski przez długie lata nie wyjdzie na wolność, nawet jeśli będzie się dobrze sprawował, a Kruk nie miał wątpliwości, że będzie.

Za namową Bielińskiej Monika wynajęła adwokata, który przygotowywał pozew rozwodowy.

Majnert popatrzyła przed siebie, gdzieś poza Kruka, jakby go tu w ogóle nie było, a nawet jeśli był, to nie istniał dla niej.

Mimo to nie odchodziła i przeszli pod ogromny kawał porzewiałego żelastwa, które wyglądało jak rozpadające się pudło. Była to instalacja artystyczna i nosiła nazwę *Rozpakowanie*.

Zrobiło jej się zimno i objęła dłońmi łokcie, przyciskając je do brzucha.

– Wejdziemy na kawę? – zaproponował Kruk. – Niedaleko jest mała kawiarnia.

To ją obudziło. Popatrzyła wokół zdziwiona, gdzie jest.

Potrząsnęła włosami.

– Nie.

Ponownie się rozejrzała, westchnęła i spytała:

– Przyszedł pan tutaj, żeby mnie spotkać?

– Czasem tu spaceruję.

– To dobrze, bo nie chcę, żeby przychodził pan z mojego powodu.

Kruk się uśmiechnął.

– Pani chyba nie lubi kawy.

– Tak naprawdę, to uwielbiam.

Zniósł to godnie. Miał nadzieję, że tak to znosi.

Magda Majnert wyciągnęła rękę i ścisnęła jego dłoń. Lekko dygotała z zimna, ale skórę miała ciepłą.

– Jest pan po prostu samotny – powiedziała.

– A pani?

Pokręciła głową i jej oczy załśniły, odbijając białe październikowe słońce.

– Dla mnie samotność to za mało. – Puściła jego rękę. – Przepraszam.

Mężczyzna, który siedział naprzeciw niej za biurkiem, był z gatunku tych, których nie potrafiła ścierpieć. Z wyglądu nikt, z gestów ślamazara, pozbawiony wszystkiego, co cenila w mężczyznach. Oczyma wyobraźni widziała go, jak wspina się po szczeblach policyjnej kariery, starając się nie wychylać zza biurka.

– Czemu tu jestem? – spytała.

– Skontaktowałem się z pani przełożonym. Dostałem komplet akt. Bez cenzury.

– Dlaczego?

– Ciekawi mnie pani. Moja żona czytała portale, gdy dziennikarze odkryli pani sprawę. Musiałem jej opowiedzieć więcej, niż podawano w newsach, o dzielnej kobiecie pod przykrywką.

To by się zgadzało. Jeśli coś o nim bliżej wiedziała, to tyle, że z faceta jest plotkarz i pantoflarz. Na biurku miał zdjęcie tej żony. Nawet ładna. Ciekawe, co ona w nim widziała.

– Same laurki. – Postukał w akta drogim piórem. – Najzdolniejszy przykrywkowiec, świetnie rozgrywa ludzi, najwyższe statystyki zatrzymań, a potem kładzie pani na Śląsku ogromną akcję przeciw handlarzom narkotyków.

– Tak jest – powiedziała Kriss, starając się, aby jej głos pozostał bez wyrazu.

– Miłość – powiedział. – Takie rzeczy są tylko w kinie.

– Tak jest.

– Po czymś takim jest pani jeszcze policjantką, ale już tylko teoretycznie.

Zdawała sobie z tego sprawę. Więc czego od niej chciał? Ściągnął ją tu, żeby z niej kpić, czy miał w zanadrzu coś, co ją totalnie pognębi?

– Zamierzam panią ściągnąć do mojego wydziału.

Zamurowało ją.

– Mnie?

– Pani jest sierżant Krystyna Bielińska?

– Tak, to ja – odpowiedziała automatycznie, zdając sobie sprawę, jak głupio to brzmi.

Pokiwał głową, usiłując się nie uśmiechnąć.

– No to panią.

– Dlaczego?

– Bo zaraz będzie pani bez pracy. A ja potrzebuję kogoś nowego.

– Ma pan moje akta na biurku – powiedziała cicho. – Czy pan je chociaż

przeczytał?

– Bardzo uważnie. Zajął się panią Stasiu Dębiński z BSWP.

Bielińska wzruszyła ramionami.

– Umorzył postępowanie.

– Słusznie zrobił. Zgadaliśmy się któregoś dnia, powiedziałem mu: ty, Stasiu, jesteś ostry gość z zasadami, ale nie znasz się na kobietach, bo nie masz żony. Ja mam.

Dębiński. Postrach policji. Bielińska zacisnęła zęby.

– Dlaczego pan proponuje mi pracę? Nie można mi ufać. Nawaliłam. Zawiodłam zaufanie kolegów i przełożonych, naraziłam ich bezpieczeństwo, położyłam akcję...

Nieśpiesznie spojrzał w akta.

– Główny boss nie żyje, zabiła go pani. Miała pani powody. Mógłbym powiedzieć, że przekonują mnie te powody, ale oczywiście nie mogę tego powiedzieć.

Znieruchomiła. Nie wierzyła w to, co słyszy.

– Dwóch pomniejszych wciąż żyje. Przykro mi, ze względu na panią. Z zarzutów narkotykowych mało co wyjdzie, ale i tak będą siedzieć.

Podniósł wzrok znad akt. Coś się w nim zmieniło, miała wrażenie, że patrzy na innego człowieka. Jakby zdjął przesłonę i przez chwilę pozwolił jej zajrzeć głębiej w swoje oczy i zobaczyć, co się tam kryje.

Było coś w jego spojrzeniu, co czasem widywała, ale nigdy tutaj, wśród ludzi po tej stronie prawa. I gdy raz to dojrzała w człowieku, jako doświadczona operacyjna, na spotkania z takim nigdy już nie chodziła bez asysty zetbezeta*.

– Potrzebuje pani czasu na decyzję?

– Nie, panie naczelniku. Jestem zdecydowana.

Naczelnik wydziału dochodzeniowo-śledczego komendy wojewódzkiej policji w Gdańsku, Marcin Zych, spojrzał w okno. Gdy wrócił do niej wzrokiem, nic już w jego oczach nie było.

– Zdecydowana na co?

– Pracować dla pana.

– Dobrze. Gdy powiem żonie, że zwerbowałam śledczego kobietę, będzie zachwycona. Wie pani, ona jest zwolenniczką parytetów.

Kriss skinęła głową. Głupia, przecież facet był szefem Kruka i jego przyjacielem. A Kriss parę razy zdarzyło się pomyśleć, jak to jest, że Kruk ze swoim podejściem do spraw już dawno nie wyleciał ze służby i nie ogląda świata zza krat.

– Z pani przełożonym jestem dogadany, ale nie może pani przyjść do nas od razu. Najpierw uporządkujemy sprawy prawne. – Zawahał się. – I nareperujemy psychikę.

– Oczywiście.

– Uruchomiłam parę wejść. Nie chcemy, żeby to się ciągnęło zbyt długo.

Spojrzała w to samo okno, w które przed chwilą patrzył naczelnik. Październikowe słońce wlewało się do gabinetu. Lato się skończyło, jesień była w pełni, ale Kriss nie czuła tęsknoty za latem.

– Oczywiście – powtórzyła i zdała sobie sprawę, że gardło ma ściśnięte.

* ZBZ – Zespół Bliskiego Zabezpieczenia. (Przyp. red.).

EPILOG

Na początku marca pojawiły się pogłoski o nowej inwestycji w mieście. Kruk śledził te pogłoski. Nabrał nowego zwyczaju oglądania lokalnych wiadomości, gdy o tym mówiono.

Ogromny kompleks biurowy miał powstać na Przymorzu. Nie obyło się bez kontrowersji, ale nie było sprzeciwu właścicieli terenu, na którym miały stanąć biurowce. Wszyscy, jak jeden mąż, gotowi byli odsprzedać swoje nieruchomości konsorcjum, które powstało na potrzeby inwestycji. Oficjalnie nic nie było przesądzone, nieoficjalnie mówiło się jednak, że powstanie kompleksu jest pewne i że od dawna istnieją gotowe projekty.

Wśród inwestorów przewijało się nazwisko Jacka Wolnego. A więc dopiął swego. Kruk kiedyś zobaczył go w telewizji. Towarzyszyły mu dwie kobiety o długich blond włosach: w jednej z nich Kruk rozpoznał odmienioną Julię Rosę, a w drugiej agresywną księgową z firmy Glasera.

Widać Wolny nie żywił do nich urazy i uznał, że wykorzysta ich talenty.

Kilka dni po tym, gdy Kruk widział Wolnego w telewizji, wychodził rano z mieszkania i napatoczył się listonosz. Przyniósł przesyłkę – cienką, sztywną i niezbyt dużą szarą paczkę. Kruk musiał pokwitować odbiór.

Nadawcą był Emil Zasada, ulica Martwa 02/17, Warszawa. W Warszawie też paczkę nadano. Ktoś miał wisielcze poczucie humoru. Kruk ostrożnie oglądał przesyłkę ze wszystkich stron i wcale nie miał ochoty jej otwierać.

Mimo to zaczął rozdzierać szary papier, ale zadzwonił jego telefon. Rozmawiał, zbiegając po schodach, póki nie znalazł się w samochodzie. Skończył rozmowę, ale telefon zadzwonił znowu. Kruk rzucił paczkę na siedzenie obok, patrzył na nią, lecz nie sięgnął po nią ponownie, kiedy odłożył komórkę. Pojechał do pracy.

Około południa wybierał się samochodem na GUMed do Zakładu Medycyny Sądowej. Dopiero wtedy podniósł paczkę z siedzenia.

Rozdarł opakowanie.

W środku była grafika o wymiarach trzydzieści na sześćdziesiąt centymetrów, zabezpieczona tekturowymi okładkami. Odrzucił okładki. Grafikę wykonano czarnym tuszem na dobrej jakości grubym papierze.

Przedstawiała pustą ulicę, a na niej leżącego mężczyznę. Mężczyzna miał na sobie podarty garnitur, ręce rozrzucone, jedną nogę podciągniętą, a głowę wygiętą do tyłu.

Twarz. Jego twarz. Zaskakująco podobna, doskonale oddana. W połowie ludzka, o rysach regularnych i przyjemnych, ustach półotwartych, w połowie zmasakrowana

i zakrwawiona, wyczierała na Kruka z papieru. Mężczyźni obcięto uszy i nie żył, co do tego nie było wątpliwości.

Kruk się przygarbił.

To nie była najlepsza sztuka, ale za to okrutnie prawdziwa, a artysta potrafił wydobywać detale.

W pierwszym odruchu Kruk chciał podrzeć grafikę, ale się powstrzymał. Siedział, patrzył na nią, nie ruszał się. Zadzwoił jego telefon, ale Kruk nie odebrał.

Pojechał na GUMed. Wracając tego dnia do domu, wstąpił do Galerii Bałtyckiej i zaszedł do sklepu z artykułami wyposażenia wnętrz. Pokazał grafikę.

Dziewczyna, która tam sprzedawała, zaciekawiała się.

– Straszne – powiedziała. – Bardzo sugestywne.

– Znajdzie pani do tego ramkę?

Wybrała prostą czarną ramkę z drewna. Oprawiła mu grafikę na miejscu i zapakowała w papier.

Zaparkował pod swoim falowcem i wysiadł z samochodu. Ruszył w stronę klatki schodowej. Pod pachą niósł oprawioną grafikę. Zastanawiał się, gdzie ją zawiesi.

Wieczorem przyszła Ewa. Bez zapowiedzi stanęła w drzwiach jego mieszkania. Usiłowała się uśmiechać, ale było to zbyt ciężkie zadanie.

– Jutro mam rozprawę rozwodową – powiedziała.

Usiedli w dużym pokoju. Grafika już wisiała na ścianie, ale Ewa o nią nie zapytała. Rozmawiali o dawnym życiu, o jej rozwodzie, o tym, że życie przemija.

Spędzili ze sobą noc.

PIOTR GÓRSKI urodził się w 1971 r. w Morągu, od lat jest związany z Trójmiastem. Ukończył filologię polską na Uniwersytecie Gdańskim oraz podyplomowo bankowość i finanse w Ecole Supérieure de Commerce de Rouen. Publikował opowiadania w „Nowej Fantastyce” i „Feniksie” (m.in. *Horda*, *Melomani*, *Niepomszczeni*), niektóre z nich znalazły się potem w antologiach. W 2017 roku powstała pierwsza powieść kryminalna Piotra Górskiego zatytułowana *Kruk*, która rozpoczęła serię o komisarzu Kruku. *Królowa lalek* stanowi – po *Gorszym* i *Krewnych* – czwartą część tego cyklu.

Spis treści:

Okładka

Karta tytułowa

Prolog

Rozdział 1

Rozdział 2

Rozdział 3

Rozdział 4

Rozdział 5

Rozdział 6

Rozdział 7

Rozdział 8

Rozdział 9

Rozdział 10

Rozdział 11

Rozdział 12

Rozdział 13

Rozdział 14

Rozdział 15

Rozdział 16

Rozdział 17

Rozdział 18

Rozdział 19

Rozdział 20

Rozdział 21

Rozdział 22

Rozdział 23

Rozdział 24

Rozdział 25

Rozdział 26

Rozdział 27

Rozdział 28

Rozdział 29

Rozdział 30

Rozdział 31

Rozdział 32

Rozdział 33

Rozdział 34

Rozdział 35

Rozdział 36

Rozdział 37

[Rozdział 38](#)

[Rozdział 39](#)

[Rozdział 40](#)

[Rozdział 41](#)

[Rozdział 42](#)

[Rozdział 43](#)

[Rozdział 44](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 45](#)

[Rozdział 47](#)

[Rozdział 48](#)

[Rozdział 49](#)

[Rozdział 50](#)

[Rozdział 51](#)

[Rozdział 52](#)

[Rozdział 53](#)

[Rozdział 54](#)

[Rozdział 55](#)

[Rozdział 56](#)

[Rozdział 57](#)

[Rozdział 58](#)

[Rozdział 59](#)

[Rozdział 60](#)

[Rozdział 61](#)

[Rozdział 62](#)

[Rozdział 63](#)

[Rozdział 64](#)

[Rozdział 65](#)

[Rozdział 66](#)

[Rozdział 67](#)

[Rozdział 68](#)

[Rozdział 69](#)

[Rozdział 70](#)

[Rozdział 71](#)

[Rozdział 72](#)

[Rozdział 73](#)

[Rozdział 74](#)

[Rozdział 75](#)

[Rozdział 76](#)

[Rozdział 77](#)

[Rozdział 78](#)

[Rozdział 79](#)

[Rozdział 80](#)

[Rozdział 81](#)

[Rozdział 82](#)

[Rozdział 83](#)

[Rozdział 84](#)

[Rozdział 85](#)

[Rozdział 86](#)

[Rozdział 87](#)

[Rozdział 88](#)

[Rozdział 89](#)

[Rozdział 90](#)

[Rozdział 91](#)

[Rozdział 92](#)

[Rozdział 93](#)

[Rozdział 94](#)

[Rozdział 95](#)

[Rozdział 96](#)

[Rozdział 97](#)

[Rozdział 98](#)

[Epilog](#)

[Karta redakcyjna](#)

Opracowanie graficzne okładki
Emotion Media

Redaktor prowadzący
Alicja Oczko

Opracowanie redakcyjne
Jakub Sosnowski

Korekta
Sylwia Kozak-Śmiech

© 2020 by Piotr Górski

© for the Polish edition by HarperCollins Polska sp. z o.o., Warszawa 2020

Wszystkie prawa zastrzeżone, łącznie z prawem reprodukcji części lub całości dzieła w jakiegokolwiek formie.

Wszystkie postacie w tej książce są fikcyjne. Jakiegokolwiek podobieństwo do osób rzeczywistych – żywych lub umarłych – jest całkowicie przypadkowe.

HarperCollins jest zastrzeżonym znakiem należącym do HarperCollins Publishers, LLC. Nazwa i znak nie mogą być wykorzystane bez zgody właściciela.

Ilustracja na okładce: 123RF. Wszystkie prawa zastrzeżone.

ISBN 978-83-276-5086-3

HarperCollins Polska sp. z o.o.
02-516 Warszawa, ul. Starościńska 1B lokal 24-25

Konwersja do formatu EPUB, MOBI: Katarzyna Rek / [Woblink](#)